







DZWON  
LITERACKI  
PISMO ZBIOROWE

**DZWON LITERACKI.**

WARSZAWA



# DZWON

## LITERACKI

### PISMO ZBIOROWE.

TOM II.



*Wydawca*  
*Karol Maycha*

**WARSZAWA.**

W DRUKARNI POD FIRMĄ JULIANA KACZANOWSKIEGO

przy ulicy Długiej pod N. 543.

—  
1846.

DZWIEN



LITERSKI



PISMO

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie d. 16 (4) Lipca 1846 r.

Cenzor:

**Niezabitowski.**



PT  
548



*Handwritten signatures and notes*

WARSAWA

W Drukarni pod firmą Lit. i K. K. K.

przy ulicy Białej pod N. 218

1846



ludzi... i ludzką naszą stronę obchodzących. Żeby  
zas nie miałem kto, że tylko samo rzeczy ziemskie  
czyli dotykał się przydatne do tego celu, i że one  
tylko przez naszą doskonałość Najwyższą kwoli na-  
szemu i powszechnemu dobru, zastanowimy się tu  
ogólnie i nad innymi rzeczami, które dotąd myśle-  
ludzi zdawali odkryć w świecie istniejącym i objawie-  
kwoli pomienionemu dobru:

## UKŁAD RZECZY ZIEMSKICH

### ZASTOSOWANY DO POTRZEB POWSZECHNYCH.



#### WSTĘP.

Każda rzecz ma dwie strony. Dobry,  
rad ją uważać z dobrej, zły ze złej,  
a sprawiedliwy z obudwóch.

Postęp wiadomości ludzkich zależy, nie tylko na  
ich pomnażaniu, ale zarazem na ich wyjaśnianiu, upro-  
szczaniu, porządkowaniu, upowszechnianiu i do wła-  
ściwych potrzeb stosowaniu. Względny te, a szczegól-  
niej ostatni z nich, który według naszego ogólnego  
przekonania jest najważniejszy, bo nam każe uważać  
tylko to za *potrzebne*, co się stosuje do naszych i po-  
wszechnych *potrzeb*, staje się dla nas powodem do  
objawienia niniejszych myśli, o układzie czyli porząd-  
ku poznanych dotąd rzeczy ziemskich, zastosowanym  
do pomienionych potrzeb, a szczególnie naszych ludz-

kich... i ludzką naszą stroną obchodzących. Żeby zaś nie mniemał kto, że tylko same rzeczy ziemskie czyli dotykalne są przydatne do tego celu, i że one tylko przeznaczyła Doskonałość Najwyższa kwoli naszemu i powszechnemu dobru, zastanowimy się tu ogólnie i nad innymi rzeczami, które dotąd umysł ludzki zdołał odkryć w świecie istniejącym i objawić kwoli pomienionemu dobru.

Rzeczy te uważane w całym swoim zbiorze, składają to co nazywamy światem powszechnym, naturą czyli przyrodą, a nauka o nich stanowi jedną gałąź powszechniej wiedzy ludzkiej, znaną pod imieniem nauki świata rzeczywistego, czyli nauki przyrodzenia. Nauka ta jako uznana powszechnie za potrzebną, musi się stosować tak jak wszystkie inne, do naszych i powszechnych *potrzeb*, i tylko w tym jednym widoku powinna nam być przedstawiana i wykładana, bo inaczej przestałaby być dla nas potrzebną, a zatem nie zasługiwałaby na naszą uwagę. A jeźliby miała dla nas jakie znaczenie, to tylko chyba odjemne, to jest takie, że zajmując jakokolwiek chwile naszego życia, nie dozwalałaby nam zostawać w szkodliwej bezczynności, i przeto wstrzymywałaby nas od złych myśli i czynów, do których też bezczynność ściśle zwykle drogę. Taka atoli odjemna wartość nauki przyrodzenia, chociaż byłaby godna celu, którybyśmy przez nią osiągnęli, nie byłaby warta przedmiotu, jakim się zajmuje: bo i wszelka inna nauka nawet mówiąca o rzeczach niestworzonych, mogłaby nam zapewniać takąż samą korzyść: czego przedstawiają nam przykład wszystkie opisy rzeczy zmyślonych i same zmyślenia, które w istocie tylko co do swo-

jéj formy i powierzchownéj barwy są zmysleniami, ale co do celu — wielkiego są dla nas znaczenia, bo wielkie i częstokroć zbawienne prawdy w sobie mieszczą. A zatem są i zawsze będą *potrzebnemi* póki tylko ludzie, obok rozumu posiadać będą czucie i wyobraźnię; — które nie nadaremnie im są dane, a zatem i z nich właściwe dla siebie i dla dobra powszechnego odnosić powinni korzyści.

Skoro zatem tak jest, że na polu działań czuciowych i w krainie zmysłów możemy zbierać dla siebie pożyteczne plony, więc tém bardziej jesteśmy ich pewni na polu działań umysłowych i w świecie rzeczywistym,—który wprawdzie nie zajmuje tak potężnie naszej imaginacji i nie przemawia tak dzielnie do naszego czucia, jak świat urojeń, ale jednak nie jest on dla tych władz obojętny, albowiem w badaniu jego musimy się często do nich uciekać i na nich polegać, zwłaszcza w razach wątpliwych dla rozumu. A zatem świat ten ostatni to jest rzeczywisty, zajmować może korzystnie nie tylko naszą umysłowość, ale i zmysłowość wraz z wyobraźnią; że zaś obok tego jest on zdolny zatrudniać pożytecznie, jako w znacznej części dla nas dostępny, i siły nasze fizyczne, a tém samém ukrzepiać je i pomnażać przeto nasze zdrowie,—czego nie jest w stanie czynić dla nas świat zmysłów; przeto tém większą, bo aż potrójną ma on dla nas wartość, to jest: że tak powiem, machinalną, sensualną i intelektualną, czyli tyczącą się naszego *ukrzepienia, uprzyjemnienia i uzdatnienia*; do których przybywa jeszcze czwarta, to jest moralna, czyli ściągająca się do naszego *uzacnienia*. Albowiem świat ten, to jest rzeczywisty czyli przyrodzo-

ny, przedstawiając nam w sobie tak doskonały i dobroczynny porządek, że każda jego cząstka przykłada się do utrzymania całości, a ta całość do utrzymania każdej cząstki w szczególności.—staje się przeto dla nas godnym do naśladowania wzorem, i pobudką do starania się o to, abyśmy także, ile tylko jest w naszej mocy, przykładali się do dobra powszechności; a ta powszechność ze swojej strony aby nie zapominała o dobru naszym szczególnym: bo jak część nie może się obejść bez całości, do której należy, tak nawzajem całość nie może istnieć bez części, z których się składa.

Jeżeli więc świat rzeczywisty ma dla nas tak wielkie znaczenie, że może zajmować korzystnie wszystkie nasze siły i zdolności, a przeto przykładać się do ich właściwego udoskonalenia, i do podniesienia naszej istoty, do takiego znaczenia, do jakiego tylko na tej drodze dojść może,—więc i nauka, która by nam dała poznać ten świat, pod takowemi względami, to jest nauka przyrodzenia, nie może być dla nas obojętną, bo właśnie jej przeznaczeniem jest nie ograniczać się na samym tylko wyliczaniu, rozróżnianiu i uporządkowaniu składających tenże świat rzeczy, i na wskazaniu czem są same w sobie, bez względu na inne, ale jeszcze do niej należy nauczyć nas, czem te rzeczy są i czem być mogą względem innych, mianowicie względem żyjących czyli *potrzebujących* istot, i względem nas samych: bo na tém właśnie zasadza się znajomość ich obustronna, to jest znajomość zarazem ich natury i użyteczności, czyli przyrodzenia i przeznaczenia. Wzgląd ten ostatni, jako będący celem względem pierwszego, jest nawet od niego ważniejszy, ale że cele nie mogą się

osiągać bez środków, przeto i pierwszy z tych dwóch względów, które mamy głównie do uważania w rzeczach składających świat fizyczny, to jest ich przyrodzenie czyli natura, zasługiwać powinien na naszą uwagę; zwłaszcza że nam wiadomo, iż różnica natury rzeczy, pociąga zawsze za sobą różnicę ich użyteczności, a zatem znajomość pierwszej staje się środkiem i pomocą do poznania drugiej. Ale przez drugą, to jest przez użyteczność nie rozumiemy tu samą tylko użyteczności pospolitej, czyli przydatności do utrzymania życia: bo to utrzymanie czyli trwanie jako rzecz przemijająca i spólna nam ze wszystkimi twórami żyjącymi, nawet roślinnymi, nie jest potrzebą naszą jedyną, a zatem nie do niej tylko samą stosować mamy znajomość rzeczy nam *potrzebnych*, ale i do wszystkich innych *potrzeb*, mających na celu: ukrzepienie, uprzyjemnienie, uzdatnienie i uzacnienie; czyli jednym słowem: udoskonalenie, naszego z natury swojej wątłego, cierpkiego, nieumiejętnego i niezacnego jestestwa.

Poczwórne takowe, to jest że tak powiem *machinalne, sensualne, intelektualne i moralne* udoskonalenie naszej istoty, musi mieć poczwórne i odpowiednie swojej naturze środki, a środki te muszą być jeszcze dwojakie, to jest: jedne wewnętrzne, które się wewnątrz nas mieszczą, i do których właśnie liczymy się naszą mechaniczną, czucie, umysł i duszę, czyli władzę *ukrzepiającą, uprzyjemniającą, uzdatniającą i uzacniającą*;—drugie zewnętrzne, które się znajdują zewnątrz naszej istoty, i które właśnie składają to, co nazywamy *światem zewnętrznym*. Świat ten, jak wiadomo jest bardzo obszerny, a właściwie

mówiąc nieskończenie wielki, ale ta tylko jego część jest nam potrzebną, którą się zajmować mogą z korzyścią cztery wspomniane nasze władze; że zaś i ta część (stanowiąca właśnie to, co nazywamy *światem poznany*, i będąca zapewne tylko małą cząstką całego świata istniejącego), jest jeszcze dla nas rzeczą bardzo wielką i trudną do poznania, przeto dla ułatwienia tej trudności, podzielono całą o niej naukę na kilka osobnych, a mianowicie na dziesięć następujących nauk, jakimi są: *Kosmologja, Astronomja, Meteorologja, Geografja, Geologja, Historja Naturalna, Fizyka, Chemja, Kultura i Technika*. — Części te powszechniej nauki przyrodzenia, jako obejmujące treść znajomości wszystkich rzeczy dotąd poznanych, stanowiących środki zewnętrzne zaspokojenia naszych i powszechnych potrzeb, zasługują na to, abyśmy się tu nieco nad nimi zastanowili, i wskazali, jakie każda z nich przedstawia nam i przedstawiać może główne korzyści.

*Kosmologja* czyli Kosmografja, znacząca z greckiego opisanie świata, zastanawia się nad *całym światem poznany* w powszechności, ale nie uważa go pod wszystkimi względami, pod jakimi tylko może być uważany (bo w takim razie obejmowałaby przedmiot wszystkich razem tu wymienionych nauk), tylko głównie pod względem harmonii i związku, zachodzącego między wszystkimi jego częściami, i pod względem dobroczynnego wpływu, jaki z rozporządzenia Doskonałości Najwyższej na siebie i na nas wywierają. A zatem nauka ta, nie przedstawia nam żadnych zgoła korzyści materialnych, ale tylko umysłowe i duchowe czyli intelektualne i moralne, albo

wiem otwiera ona najobszerniejsze dla umysłu naszego pole, na którym może zbierać dla siebie obfite plony, i szukać na niem swego właściwego udoskonalenia; a dla duszy naszej wskazuje dzielne pobudki w boskiej harmonii tegoż świata i w jego dobroczynnym porządku, aby godnie odpowiadała swemu przeznaczeniu i godnie przewodniczyła umysłowi w jego wzniosłych, ale częstokroć dumnych i nie mających nic wspólnego z dobrem powszechnem działaniach i zaciekaniach.

*Astronomja* czyli nauka gwiazdarska ma mniej rozległy zakres jak Kosmologja, bo nie zastanawia się nad całym światem znajomym, ale tylko nad tą jego częścią, która nosi nazwisko *świata zaziemskiego*, i nie uważa jej z tak wzniosłego stanowiska jak ona, ale tylko stara się obeznać nas z biegiem ciał składających tenże świat i wytłumaczyć wszystkie przypadające na rozległym jego obszarze (znanym pod imieniem nieba) zjawiska, stosując ich znajomość do potrzeb ogólnych człowieczeństwa, a mianowicie do tych, które mają związek ze znajomością ogólną kuli ziemskiej i z potrzebą podejmowania dla jej zwiedzenia dalekich lądowych i morskich podróży, tudzież z potrzebą mierzenia dokładnie czasu: od czego zależy ścisłość rachuby historycznej, i utrzymanie porządnego toku spraw społecznych.

*Meteorologja* czyli nauka zjawisk napowietrznych, ma jeszcze mniej rozległy zakres jak Astronomja, bo przedstawia nam tylko i tłumaczy zdarzenia przypadające w samym szczytym obszarze *świata ziemskiego* i to nie w całym, ale tylko w tej jego części, która się rozpościéra *nad powierzchnią kuli ziemskiej*,

i która znana jest pod imieniem powietrzokregu czyli atmosfery. Do nauki więc tej należy: wybadanie przyczyny ciepła i zimna, wilgoci i suszy, wiatru i ciszy, burzy i gromów, oraz wszystkich zwyczajnych i nadzwyczajnych zmian powietrza i przypadających w niemi zdarzeń; tudzież oznaczenie ich wzajemnego związku, wskazanie najpewniejszych znaków, po których się mogą przepowiadać, i nareszcie ocenienie ich wpływu, jaki wywierają na zdrowie i życie ludzkie, i na stan wszystkich w ogóle tworów żyjących, mianowicie tych, których pielęgnowaniem zajmuje się człowiek, a tęp samém na powodzenie podejmowanych przez niego około nich prac i zatrudnień.

*Geografja* zajmuje się podobnie jak *Meteorologia* samym *światem ziemskim*, lecz mało na to zwraca uwagi, co się dzieje nad powierzchnią ziemi, ale tylko daje nam poznać samą takową *powierzchnię*, oraz uczy co się znajduje i dzieje na niej w ogólności, przezco ułatwia nam stosunki i związki społeczne, i wskazuje najkrótsze oraz najłatwiejsze drogi, któremi mamy nabywać skąd inną rzeczy i wiadomości potrzebnych do naszego materialnego i moralnego życia; a wysyłać w zamian gdzieindziej te, których mamy nad własną potrzebę, i które są płodem naszej ziemi, owocem naszej pracy, dziełem naszego dowcipu, i w ogóle wypadkiem naszej miłości dobra powszechnego, oraz dowodem wdzięczności, jaką winni jesteśmy całemu społeczeństwu za odbierane od niego dobrodziejstwa.

*Geologia* zajmuje się tym samym przedmiotem jak dwie poprzedzające umiejętności, to jest *światem ziemskim w ogólności*; ale nie uważa go w tych samych czę-



ściach, to jest nie śledzi tego, co się dzieje i znajduje nad powierzchnią ziemi lub na niej, lecz co jest w ogóle godne naszej uwagi i wiadomości *pod nią*. A zatem najprzód opisuje nam stan wewnętrzny i budowę kuli ziemskiej, a mianowicie wskazuje skały i pokłady, z których się składa zwierzchnia jej powłoka, nadmieniając co się w nich i pomiędzy nimi znajduje i dzieje ważniejszego, powtóre, tłumaczy nam przyczynę trzęsień ziemi, źródeł gorących, wybuchów wulkanicznych, powstawania gór, wynurzania się wysp, podnoszenia się i rozprzestrzeniania lądów i t. p. zmian, którym ulegał i dotąd ulega świat ziemski; oraz dozwala wyprowadzać stąd prawdopodobne wnioski, co do tego: jakim jeszcze w kolei postępującego i wszystko zmieniającego czasu ulegać będzie, i jakie stąd mogą wynikać korzyści dla dobra powszechnego.

*Historja Naturalna* uważana w znaczeniu i określeniu, jakie jej teraz nadają naturaliści, nie obejmuje jak dawniej, całej nauki przyrodzenia czyli całej *Historji natury*; a zatem nie zajmuje się ona, ani całym światem w powszechności, ani zaziemskim i ziemskim w ogólności (bo to jak uważaliśmy stanowi przedmiot pięciu poprzednich nauk), ale tylko uważa same *rzeczy ziemskie w szczególności*, i to nie pod wszystkimi względami, pod jakimi tylko mogą być uważane (bo w takim razie nie zostawiałyby nic dla nauk następnych), ale głównie zastanawia się nad niemi pod tym względem: jak utrzymują swój byt i jak wpływają na utrzymanie bytu innych tworów, oraz na zachowanie istnienia naszego. Przytęm ta nauka, wskazuje nam porządek tychże rzeczy, odpowiedni

ich przyrodzeniu i przeznaczeniu, oraz naznacza ich właściwe znamiona czyli cechy, któremi się od siebie niewątpliwie odróżniają, i wymienia miejsce ich pobytu: przezco wielkie przedstawia nam ułatwienie w ich wyszukiwaniu, rozpoznawaniu i w ciągnięciu z nich właściwych korzyści. A następnie wskazując nam ogólne warunki ich bytu i trwałości, podaje właściwe i naturze ich odpowiednie prawa pielęgnowania, przerabiania i obracania na ogólny pożytek. W końcu Historia Naturalna wspierając się na postrzeżeniach czynionych nad szczątkami istot zaginionych i nad stopniowem rozwijaniem się ich pierwotworów, oraz nad kształceniem się rozlicznych odmian i pokoleń teraz żyjących istot, a mianowicie nad doskonaleniem się i postępem plemion ludzkich: wskazuje nam ogólny progres rozwijania się i kształcenia świata żyjącego, i utwierdza nas w tém pocieszającym przekonaniu, że jak dotąd tak i na zawsze trwać będzie, pod kierunkiem Doskonałości Najwyższej, ten błogi acz powolny i nieznaczny postęp całej przyrody ożywionej, a z nią i całego człowieczeństwa.

*Fizyka* ma za przedmiot poznanie tych samych rzeczy ziemskich, któremi się zajmuje historia naturalna, ale nie bada ich pod tym względem, jak utrzymują swój byt i jak wpływają na utrzymanie bytu innych istot, oraz na ich stopniowe rozwijanie się i kształcenie; lecz głównie stara się poznać własności ich powszechne i ogólne, któremi się znamionują i przez które są nam do różnych celów przydatne. A obok tego umiejętność ta uczy nas: jakim siłom rzeczy te są przez mądrość najwyższą poddane, jak się też siły na nie wywierają, jakie spr-

wiają w nich skutki i powierzchowne zmiany, jak mamy według woli i potrzeby kierować i rozrządzać takowemi siłami, oraz jakie ciągnąć stąd dla dobra własnego i ogólnego korzyści. Wszystkie te względy fizyka stara się opierać na niewątpliwem i przez wielu światłych oraz miłujących prawdę mężów dokonaniem doświadczeniu; historia zaś naturalna, tak jak wszystkie poprzednie umiejętności, gruntuje swą rzecz głównie na prostem, lecz także niemylnem postrzeżeniu czyli obserwacyi. A zatem jedna jak druga, mając za zasadę w swoich badaniach i widokach, zgodne z naturą rzeczy przekonanie, daleką jest w sądzeniu zjawisk przyrody, od śmiesznych urojeń i dziwacznych przywidzeń, które o ile przeciwne są prawdzie i zamiarom Doskonałości Najwyższej, o tyle stają się szkodliwemi dla dobra powszechnego i pomnażają liczbę zgubnych dla niego przesądów, a przez to przynoszą ujme naszemu umysłowi i ściągają na niego winę — że się częstokroć okazuje tak porywczym i lekkomyślnym w sądzeniu o prawdach wiecznych, i tak obojętnym na korzyści, jakie z ich dokładnego i rzetelnego poznania na nas spływają, i jakie stawać się mogą dla nas najdzielniejszymi pobudkami, do uznawania i miłowania Doskonałości Najwyższej, i do poczuwania się ku temu, abysmy ją godnie, to jest przez doskonałe czyny uznawali i miłowali.

*Chemja* jest umiejętność bardzo blisko spowinowacana z fizyką, bo tak jak ona, zastanawia się nad własnościami ciał, oraz nad siłami, którym też ciała ulegają, i nad wynikającemi stąd skutkami; ale znajomość tych własności i skutków, więcej opiera

na poznaniu natury pierwiastków, z których się też ciała składają, i na poznaniu sposobu, jakim są one z sobą połączone, aniżeli na znajomości powierzchownej tychże ciał i na uważaniu stanu ich mechanicznego. Chemja więc jest to umiejętność; która najgłębiej wgląda w naturę rzeczy i w samych ostatecznych ich cząstkach stara się je zbadać nie przestając na wydobyciu i odosobnieniu tychże cząstek, ale usiłuje połączyć je znowu, w taki sam sposób, jak były poprzednio połączone, i jeszcze w inny, w jaki się tylko da to uskuteczyć: przez co otrzymuje nowe kombinacje, nie znane dotąd w naturze i nowe wskazuje im użytki. Chemja zatem uczy nas składu i rozkładu ciał, i podaje nam sposoby, jak z jednych możemy otrzymywać drugie, wydobywając z nich pewne pierwiastki i łącząc je z sobą w innym sposobie: co pociąga zazwyczaj za sobą zupełną zmianę tychże ciał, co do ich natury i użyteczności, czyli co do ich przyrodzenia i przeznaczenia. Zkąd wynikają nieocenione korzyści dla przemysłu, rolnictwa, sztuk i rzemiosł, i dla ogólnego postępu człowieczeństwa, mianowicie w doskonałości intelektualnej, za którą tuż postępuje doskonałość moralna, tak jak w ogólności za przekonaniem wykonanie, a za oświeceniem poświęcenie.

*Kultura* czyli nauka uprawy, *pielęgowania* i kształcenia istot, zajmuje się, tak jak trzy poprzedzające umiejętności, wyłącznie *rzeczami ziemskimi*, a mianowicie temi, które w stanie swoim surowym i dzikim, nie zapewniają nam takich korzyści, jakie z nich przez naszą umiejętną pracę i troskliwe staranie osiągnąć możemy. Nauka więc ta nie przedstawia nam

takowych rzeczy pod tym względem: *czem są* i *czém* je chciała mieć surowa przyroda, ale *czém się stać mogą*, za przyłożeniem się do nich naszych udoskonalonych sił i zdolności, wspartych siłami natury, i jak przez to przyłożenie się podwyższona być może ich — dla nas i dla dobra ogólnego wartość. Do nauki tej należy: najprzód, uprawa ziemi w ogólności, a w szczególności uprawa pól, łąk, pastwisk, lasów i ogrodów; powtórę, pielęgnowanie na nich i w nich pożytecznych roślin; a potrzebie, hodowanie za pomocą nich podobnych im zwierząt, oraz ciągnięcie z jednych i drugich właściwych korzyści, mających na celu utrzymanie i udoskonalenie naszego jestestwa. Do nauki tej to jest: do kultury, uważanej w całej obszerności jej zakresu, należy także wskazanie prawideł pielęgnowania i wychowania ludzi, jako istot najwięcej nas obchodzących i z natury swojej najbardziej niedoskonałych, a do przyjęcia nieograniczonej doskonałości usposobionych; czego najwznioślejszym przykładem są ludzie święci,—poświęcający się dla dobra powszechnego. Doskonałości takowej nabywamy nie tylko przez bezpośrednie i wyłączone kształcenie siebie, ale i przez pielęgnowanie innych istot, albowiem uczą nas dzieje człowieczeństwa i codzienne doświadczenie, że żadne powołanie i żadna praca, nawet umysłowa, jaką się zajmują wszyscy ludzie myślący, przemyślni i przemysłowi, nie wpływa tyle na ułagodzenie surowej przyrody człowieka i na ucywilizowanie całych narodów, ile oddawanie się zatrudnieniu około pielęgnowania istot: bo doskonaląc i łagodząc takowe, przez używanie właściwych ku temu środków, doskonalimy i łago-

dzimy sobie. A doskonałość ta (jako będąca owocem dobrego użycia wszystkich naszych sił i zdolności, któremi posługiwać się koniecznie musimy w podejmowaniu tak różnorodnych prac i poświęceń, jakich wymaga po nas wzniosły zawód pielęgnowania i kształcenia poruczonych naszej opiece i oddalonych dla naszego dobra istot); nie będzie jednostronna i cząstkowa, jakiej nabywają ludzie trudniący się tylko samą pracą, *ukrzepiającą, uprzyjemniającą, uzdatniającą* lub *uzacniająca*, czyli *robotą, zabawą, nauką* lub *kontemplacją*; ale całkowitą, to jest taką, do jakiej tylko nabycia przez Doskonałość Najwyższą jesteśmy usposobieni.

*Technika* uważa podobnie jak kultura rzeczy ziemskie pod względem ich udoskonalenia; lecz udoskonalenie to nie zamierza osiągnąć przez pielęgnowanie, ale przez mechaniczne lub chemiczne *przerobienie* i ukształcenie tychże rzeczy. A zatem do niej należy: z surowych płodów przyrody i z tych, które wydaje kultura, jako to: z rzeczy kopalnych, roślin i zwierząt, otrzymywać przedmioty bezpośrednio do utrzymania naszego życia i do zaspokojenia innych wrodzonych nam potrzeb przydatne. Technika więc jest to umiejętność, która podobnie jak kultura nie uważa rzeczy pod tym względem *czém są*, ale *czém być mogą*, za przyłożeniem się do nich naszej umiejętnej pracy i usilnego starania. A zatem jej przeznaczeniem jest także kształcenie i doskonalenie rzeczy, a przez to posuwanie dalej naszej doskonałości, która jak wiadomo nabywa się przez pracę, i tém więcej jest wielostronna, im ta praca wielostronniejszego wymaga po nas zajęcia i poświęcenia. Że zaś techni-

ka uważana w całej obszerności jej zawodu (a zatem obejmująca nie tylko rzemiosła, ale i wiele sztuk nadobnych, jak np. budownictwo i rzeźbiarstwo), wymaga z naszej strony użycia wszystkich naszych i natury sił, do wykonywania rozlicznego rodzaju działań i do umiejętnego kierowania nimi ku pewnym, a zawsze mającym dobro nasze i ogólne na widoku celom: przeto umiejętność ta wraz z działaniami, którym wskazuje prawidła i cele, przyczyniać się musi do rozwinięcia i udoskonalenia wszystkich wrodzonych nam zdolności; w czem jak uważaliśmy, podobna jest do niej kultura, a nawet podobne jej być mogą wszystkie inne umiejętności, jeżeli wszystkimi udzielonemi nam od Stwórcy siłami i zdolnościami poświęcać się im będziemy, i wszystkie przez to utrzymywać w pożytecznym zajęciu. — poczynawszy od siły machinalnej czyli ukrzepiającej, aż do moralnej czyli uczniającej.

Z tego wszystkiego co się dotąd powiedziało okazuje się, że nauka świata rzeczywistego czyli nauka przyrody, obok celu bezpośredniego, jaki nam przedstawia, zaspokajając naszą ciekawość, co do natury otaczających nas rzeczy, i obznajmiając nas z przedmiotami przydatnemi nam do powszedniego użytku, jest jeszcze dla nas i przeto korzystną, że zatrudniając wszystkie nasze siły i zdolności, stanowiące istotną i najwięcej doskonałą część naszego jestestwa, przykłada się do naszego wszechstronnego, to jest zarazem fizycznego, estetycznego, intelektualnego i moralnego udoskonalenia; a tem samem z bogaca nas w poczwórną i poczwórny naszego szczę-

ścia będącą źródłem doskonałość, jaką właśnie stanowi czerstwość, przyjemność, umiejętność i zacność.

Podług tego nauka przyrody, czyli nauka doświadczenia, dostrzegania, dociekania i kontemplacyi, byłaby dla nas tęp, czém są wszystkie razem wzięte nauki, to jest środkiem naszego wszechstronnego udoskonalenia i uszczęśliwienia; lecz tak nie jest, bo i inne nauki, jako to: matematyczne, ekonomiczne, prawne, historyczne, filozoficzne, moralne, religijne i t. p. do tegoż samego zmierzają celu, tylko innemi, mniej lub więcej prostemi prowadzą nas do niego drogami, a zatem równy należy im się z naszej strony szacunek, jak tym, którym się oddajemy z powołania. A jeżeli nie poświęcamy się wszyscy wszystkim, nie pochodzi to z innój przyczyny; tylko z niemożności podołania odrazu wielu rzeczom i sprawom. Ale widząc, że wszystkich nauk jeden jest ostateczny i najwyższy cel, to jest udoskonalenie i uszczęśliwienie naszego — z natury swojej niedoskonałego i nieszczęśliwego jestestwa, przeto nie będziemy upatrywali między sobą z tego powodu różnicy, że się jedni z nas, według wrodzonego popędu, zamiłowania i możności, zajmują pielęgnowaniem tych, a inni innych gałęzi rozległego drzewa powszechnój naszej wiadomości, i że jedne z tychże gałęzi — niższe a drugie wyższe zajmują na niém miejsce. Bo jeżeli ostatnie zdają się mieć to pierwszeństwo, że wyżej będąc umieszczone, na więcej błogi wystawione są wpływ promieni światła niebieskiego, to za to pierwsze większego z naszej strony wymagają około siebie starania i pracy, aby mogły wydać równie dojrzały i pożyteczny dla dobra powszechnego owoc,



jak drugie, i więcej nastęrczają nam sposobności użycwania i ćwiczenia wszystkich wrodzonych nam sił, a tēm samēm nabywania wszechstronniejszej doskonałości.

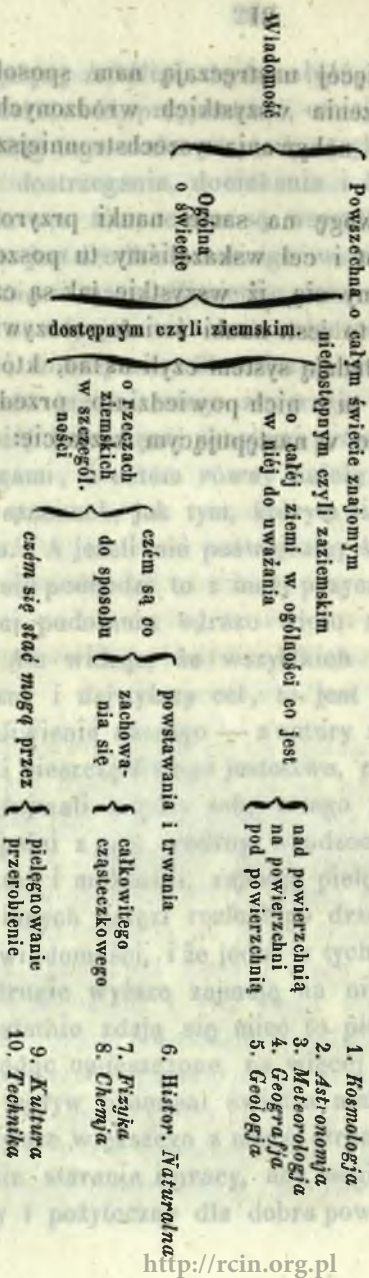
Zwracając uwagę na same nauki przyrodzone, których przedmiot i cel wskazaliśmy tu poszczególne, przekonywamy się, iż wszystkie, jak są częściami jednej nauki, to jest: nauki świata rzeczywistego, tak tēż jeden składją system czyli układ, który według tego co się tu o nich powiedziało, przedstawia się naszej uwadze w następcującym kształcie:

WIDOK NAUKI PRZYRODZONYCH



## UKŁAD NAUK PRZYRODZONYCH

*Uskuteczniomy wedł ug rozlżaju wiadomości, jaki nam każda z nich przedstawia.*



1. Kosmologia
2. Astronomia
3. Meteorologia
4. Geografia
5. Geologia

Wskazane tu dziesięć głównych gałęzi powszechnej nauki przyrodzenia, z których jak uważamy, połowa zajmuje się samemi rzeczami ziemskimi, będącemi głównym przedmiotem obecnego pisma, przedstawiają nam tylko ogólny, a zatem niezupełny podział téjże nauki albowiem każda prawie z pomienionych jęj gałęzi, dzieli się jeszcze na pewną liczbę odnóg, jak np. meteorologja na meteorologją właściwą i klimatologją; geologja na geologją właściwą i geogenją; historja naturalna na mineralogją, botanikę, zoologją i paleontologją czyli naukę o skamieniałościach i t. d.

Wiele z tych nauk są już oddawna znane z treści i nazwiska, ale nierównie więcej pomiędzy niemi jest takich do jakich się liczy np. chemja, agronomja, geologja, meteorologja, fizyologja i paleontologja, które niedawno pojawiły się na widowni świata uczonego i obfite już przynoszą dla ogólnej oświaty i dla dobra postępującej ludzkości plony.

Liczba ta nauk przyrodzonych, równie jak wszelkich innych, ponieważ pomnaża się ciągle, przeto jest wielkie podobieństwo do prawdy, że się i nadal pomnażać będzie, dopóki tylko odwieczne drzewo powszechnej naszej wiadomości, którego one są gałęziami, żyć i rozwijać się będzie.

Wszystkie te nauki, zarówno przyrodzone jak i inne, będąc uznane powszechnie za *potrzebne*, muszą się odnosić do naszych i powszechnych *potrzeb*; a przeto potrzeby te, są względem nich celami, a one muszą być względem nich środkami. Gdy zaś wiadomo, że nie można trafić do celu nie mając go sobie wprzód wytkniętym i nie znając go należycie, przeto za stosowną i właściwą poczytujemy dla sie-

bie rzecz, w naszym stosowaniu *nauki o porządku rzeczy ziemskich do powszechnych potrzeb*, wskazać wprzód takowe potrzeby, oraz środki i sposoby ich zaspokojenia, niemniej wynikające stąd korzyści, a potem dopiero przystąpić do właściwego przedmiotu.

Znajomość *potrzeb* zdawać się może dla wielu ludzi rzeczą *niepotrzebną*, a przynajmniej zbyteczną, bo sądząc oni, że je znają dokładnie, jako cele, do których wszystko zwykli odnosić (choć mogą one być zarazem i środkami do dalszych celów), nie przypuszczają może nawet myśli, ażeby je można obierać za przedmiot bliższy rozwagi, a tém bardziej za przedmiot osobnej nauki; ale dla innych ludzi znajomość ta zdawać się może *najpotrzebniejszą*; a zatem dla ogółu jest ona co do swojej ważności, rzeczą wątpliwą, i dla tej samej przyczyny ciekawą, a może nawet ciekawszą od wielu innych: bo inne rzeczy, chociaż pospolite i dobrze nam znane, ciągle nas zajmują, a ona prawie nigdy. A przeto, chociaż jest ona dla nas rzeczą starą co do swego nazwania, może być uważana za nową co do uznania jej za *potrzebną* i za godną naszego bliższego zastanowienia się; a zatem zdolną przedstawić nam nowe widoki i nową nastreczyć dla umysłu naszego materję do pożytecznego zajęcia, a może nawet stać się przedmiotem nowej nauki, która chociażby była tylko tém, względem wszystkich dotąd znanych nauk, czém drobna i młodociana latorośl na drzewie, względem wszystkich dorosłych i rodzajnych jego gałęzi, przecież może czynić nadzieję, przy starannem jej pielęgnowaniu, wydania w przyszłości pożądaných

owoców, a zatem zjednać zasługę i pociechę dla tych, którzyby się pracą, radą lub pomocą przyłożyli do jej rozwinięcia i ukształcenia.

Czy nadzieja ta utworzenia *nauki o potrzebach i rzeczach potrzebnych*, jest płonną lub nie, i czy spodziewane z niej korzyści zasługiwać mogą na jakowąś uwagę, będą się mogli zapewnić światli czytelnicy, z przytoczonego tu jej rysu, który umieszczamy wprawdzie głównie dla tego, we wstępie do niniejszej nauki o rzeczach ziemskich, zastosowanej do powszechnych potrzeb, abyśmy wiedzieli, do czego właściwie mamy ją stosować; ale jednak obok tego pragnęlibyśmy zasięgnąć o niej zdania świątłych i życzliwych czytelników, oraz uzyskać od nich potrzebną pomoc i radę, jeżeliby zasługiwała na ich względy i zapewniała z siebie jakiegokolwiek dla dobra ogólnego korzyści.

*Naukę tę o potrzebach i rzeczach potrzebnych*, nazywamy z greckiego Anankonomją od wyrazu *ananke* — *potrzeba*: do czego nas skłania, nie tylko przyjęty powszechnie w świecie uczonym zwyczaj, brania nazwisk dla nauk z tego najdawniejszego naukowego języka, ale jeszcze łatwość oznaczania ich jednym wyrazem, jakiej, żaden prawie z żyjących języków nie przedstawia.

*Jastrzębowski.*





# **KILKA SCEN**

**Z**

**BURGRAPÓW**

**TRYLOGJI V. HUGO.**

*Przekład A. Krzemińskiego.*

KILKA SDEM

2

WARGRAW

TRIOGI V. HUGO

Przedruk z. 1890. r.



— Hrabowie i książęta, zaczęli królów tej samej —  
 Korę się i przysięgę ich sobie równać.  
 Xamok ten, będący trąd i spiewem, ponury  
 Piętry się niedopatnie, że pomiedzy chary,  
 A tysiącami żołnierz, sędęcy z krwawym okiem,  
 Czawają ustrojeni na szanę wysokim.  
 Wszystkie strażki i broni tej lotrów jaskini.  
 — W zamczysku głuchym i kłęb, jakoby na pustyni,  
 Kobieta — niewolnica, jako ptak złowrogi  
 W rozsyjniek żelaznym, z łancuchem u nogi,  
 Właściwie nieznana, samotna, jak pociągła...  
 Lecz drżyciel! To kobieta — nieważnie wiodła!

## AKT I.

### SCENA PIERWSZA

GUANHAMARA. *(sama, — przysłuchuje się;  
 słychać za sceną piosnki, trąby i litawry).*

GUANHAMARA

Panowie się weselą — i dotąd uczują.

*(spogląda na drugą stronę sceny).*

A biedacy pod biczem od zorzy pracują.

*(słucha).*

Tam hałas biesiadników; — tu, — brzęczą kajdany.

*(patrzy na drzwi wieży, — na prawo).*

Tam dziad i ojciec, — każdy wiekiem skołatany,

Szukają zapomnianych śladów swoich czynów,

Dumają nad swym losem i nad życiem synów.

Patrzą samotni, obcy przy szumnej zabawie,

Na potomstwo straszniejsze, od nich samych prawie.

Do dziś dnia potężnymi są jeszcze Burgrafy,

A los dotąd im sprzyja, — sąsiednie Margrafy,

Hrabiowie i książęta, szczep królów tej ziemi, —  
 Korzą się i przyznają ich sobie równemi.  
 Zamek ten, brzęiący trąbą i śpiewem, ponury  
 Piętrzy się niedostępnie, aż pomiędzy chmury,  
 A tysiączni żołnierze, zbójcy z krwawém okiem,  
 Czuwają uzbrojeni na szaniec wysokim.  
 Wszystko strzeże i broni tej łotrów jaskini,  
 — W zamczyska głuchym kącie, jakby na pustyni,  
 Kobięta—niewolnica, jako ptak złowrogi  
 W naszyjniku żelaznym, z łańcuchem u nogi,  
 Błądzi nieznana, smutna, laty pochyłona...  
 Lecz drżycie! Ta kobięta — nienawiść wcielona!  
*(oddala się w głąb teatru).*

## SCENA TRZECIA.

OTBERT, REGINA, czasami JADWIGA.

OTBERT.

Wesprzyj się na me ramię i niespiesz się tyle.  
 Usiądź tu, na tém krześle; odpocznij na chwilę.

*(sadza Reginę na krześle u okna).*

Cóż, lepiej ci już teraz?

REGINA.

Źle. Dreszcz mnie przechodzi.

Ta uczta mnie znużyła.

*(do Jadwigi).*

Czy nikt nienadchodzi?

OTBERT.

Nie trwóż się. Oni pija, pić będą do rana.

Po codla nas ta uczta, moja ukochana?

REGINA.

Hatto...

OTBERT.

Hatto!!!

REGINA.

To jego wola mnie zmusiła,  
Ja mu już zaręczona.

OTBERT.

I tyś nie skarżyła  
Dziadowi. Hatto go się lęka.

REGINA.

Na co skarżyć?!  
Wkrótce śmierć przyjdzie.

OTBERT.

Ach! porzuć te myśli.

REGINA.

Marzyć,  
Cierpieć i konać — kobiet przeznaczenie!

OTBERT.

*(pokazując na okno)*

Patrz, — cudne słońce!

REGINA.

Zachód ubrał się w promienie.  
Jesień!... Tak bliska chwila dziennego skonania.  
Liście żółkną i wszystko kirem się osłania.

OTBERT.

Liście się rozwiną.

REGINA.

Tak.

*(marząc patrzy na niebo)*

Lecą,—już znikają.

Smutno patrzeć, gdy ptaki od nas uciekają  
 Tam, na południe, kędy niebo się promieni.

OTBERT.

O! powrócą.

REGINA.

Powrócą. Lecz nowej zieleni  
 Ni wracających ptaków nie ujrzy me oko!

OTBERT.

Regino!...

REGINA.

Otwórz okno, szeroko, szeroko.

*(daje mu woreczek z pieniędzmi)*

Rzuć te pieniądze więźniom.

*(Otbert rzuca pieniądze przez okno  
 w głębi. Regina mówi dalej patrząc  
 w okno).*

Jak słońce się skłania,

Cudnie. Promienie jego, promienie—skonania,

Kładą złotą koronę na najwyższej skale;

Rzeka iskrami igra; las szumi wspaniale;

Tam dalej—płomień ubrał okna wiejskiej chatki;

Jak to wielkie! jak cudne! Jak dziwnej piękności!

Przyroda jest to strumień życia i jasności!...

— A ja samotna ciągle, bez ojca, bez matki!

W czyjém sercu, z mych cierpień i łez wieniec złożę?

Ach! jak żyłam samotna, tak skonam o Boże!

OTBERT.

Samotna!? A ja!? a miłość moja?.

REGINA.

Złudzenie!

O nie! Ty mnie niekochasz! — Oto nocy cienie,  
Noc! Ona mnie okryje a ty—mnie zapomnisz!

OTBERT.

Ja? ach! ja oddam życie i zbawienie!

Ja cię niekocham?! Regino, czy pomnisz?

Rok mija, gdy cię raz pierwszy ujrzałem

W tej jaskini, wśród zbójców i wnet ukochałem!

Jak do samotnej lilii w przepaści zbłąkanej,

Jak do jedynej gwiazdy w nocy nieprzejrzanej,

Do ciebie, w tém zamczysku, co się zbrodnią mroczy,

Zwróciłem zachwycone i serce i oczy!

Tak,—śmiałem tobie odkryć, co serce ugniata,

Chociażes pani Renu, narzeczona Hatta!

Rzekłem ci: — jestem żołnierz biedny, losem gnany,

I jak oręż mój dzielny, tak ród mój nieznany;

Może mnie niż słuźalec, równy królom może,

Lecz wszystko moje twojem. A gdybyś o Boże!

Odrzuciła! Ja niewiem, — dwa tylko jedyne,

Znam uczucia—nad wszystko, nad moję rodzinę...

Kocham cię,

*(pokazując na podwoje wieży)*

A później ten starzec dostojny,

Z całą straszną przeszłością. Silny i spokojny,

Pradziad potomstwa zbójców, co mu niebo dało,

W tobie szlachetne dziecko, złożył radość całą;

Tys jest jego pochodnią, i wiarą i Bogiem,

A świecisz mu jak gwiazda, po nad grobu progim!

Ja, żołnierz, który głowę pod losami zginam,

Was dwojga błogosławię!... Przy was—zapominam,

A dusza w tej złowrogięj i wiecznej żałobie,

Czuje się wielką—przy nim, a czystą—przy Tobie!

Odkryłem ci me serce. Tak, często szaleję.  
 Z zazdrości i rospaczy! — Cierpię i łzy leję!  
 Przed chwilą Hatto patrzył na cię długo—długo—  
 A krew we mnie zawrzała wnet ognistą strugą!  
 Czulem — gniew i nienawiść zwyciężyły wolę,  
 I z siniałym rumieńcem osiadły na czole,  
 Wstrzymałem się — w mej piersi kipiła zniszczenie!...  
 Ja cię nie kocham? — Dziecię! za twe uściśnienie  
 Krew oddam! O Regino! powiedz kapłanowi,  
 Żeby nie kochał Boga! Toskanii synowi  
 Niech swobody nie kocha! — Powiedz że na morzu,  
 Żeglarz nie kocha słońca, co błysnie w przestworzu!  
 Powiedz aby niewolnik nie oddał swęj duszy,  
 Za tę rękę, co jego niewolę pokruszy!  
 Ale nie mów mi nigdy, że niekocham ciebie!  
 Bo tyś dla mnie w tej nocy, gdzie nie widzę ciebie,  
 Gdzie mimowolnie czuję i trwogę i drzenie,  
 Więcej niżli pochodnia, więcej niż zbawienie! —  
 Jestem twój! Miłość moja, bez granic, szalona,  
 Znasz ją dobrze! — I na cóż kobieta stworzona,  
 Okrutną od natury; — zachwyci spojrzeniem;  
 Później igra męczyzny sercem i cierpieniem!  
 Lecz przebacz mi! Ty cierpisz — ja mówię o sobie;  
 Ja który powinienem klęcząc tu, przy tobie,  
 Niesprzeciwiać się, — tylko cierpienia twe słodzić,  
 Słuchając cię i milcząc, na wszystko się zgodzić! —

## REGINA.

Othercie! I ja równie smutne chwile miałam:  
 Jak i ty, bez rodziców, sierotą zostałam!  
 Niebo mogło połączyć cierpienia mej duszy  
 Z twemi—i stworzyć szczęście ze wspólnych katuszy!  
 Lecz.....

OTBERT.

Lecz ja cię kocham! Ja dla ciebie żyję!  
 Jam twój! Jeżeli umrzesz — i ja się zabiję!  
 Hatto ci nienawistny? — Ta ręka go złamie!  
 Ja zastąpię ci miejsce i ojca i matki,  
 Obojga! — Patrz, przyzywam niebo tu na świadki:  
 Matką twą — moje serce! Twym ojcem — to ramię!

REGINA.

Dzięki luby! W twój duszy, w tobie się złączyła,  
 Miękką czułość kobiety i olbrzymia siła.  
 O! znam ciebie Otbercie, znam i kocham ciebie,  
 Lecz nic dla mnie nie możesz...

OTBERT (*zrywając się*).

Mogę! —

REGINA.

Chyba w niebie!  
 Nie z Hatto trzeba walczyć o me posiadanie:  
 Narzeczony bez boju Reginę dostanie.  
 Nawet ty go nie zwalczysz: ty! piękny i śmiały!  
 Bo moim narzeczonym kamień grobu biały!  
 Niestety! gdy śmierć bliska z cieniami czarnymi,  
 Najdroższe moje skarby, na tej biednej ziemi,  
 Dzielę: — jedną połowę z nich Panu na niebie,  
 A drugą — jak pamiątkę, zostawiam dla ciebie!  
 Otbercie! Zbliź się ku mnie! Dziś, stojąc przy grobie,  
 Duszę mą daję Bogu, a me serce — tobie!  
 Kocham cię!!

JADWIGA (*wchodząc*).

Idą.

## REGINA.

Bądź zdrów!

*(Postępuje kilka kroków ku drzwiom, oparta na Otbercie i Jadwidze. Przed wejściem zatrzymuje się, obraca i mówi).*

Ach! umrzeć tak młodą,  
Kiedy można żyć razem i kochać z swobodą!  
Otbercie! Ja chcę życia! Litości, pomocy!  
Zasłoń mnie przed cieniami tej okropnej nocy!  
Widzisz, śmierć mię przeraża! Ocal mię od zguby!  
Ocal mnie jeśli możesz?!.. Litości, mój luby!

OTBERT.

O! żyć będziesz!

*(Regina wychodzi z Jadwigą. Drzwi się zamykają. Otbert zdaje się śledzić za nią oczyma i mówić do niej, chociaż jej już niema).*

Umrzec! Ty! Piękna, nieskalana!  
Chociaż bym miał mą duszę oddać w moc szatana,  
Przysięgam, — ty żyć będziesz!!

## SCENA CZWARTA:

OTBERT. GUANHAMARA.

OTBERT. *(sposzeregając Guanhumarę, która od niejakiemu czasu stoi nieruchoma w głębi sceny).*

Ciebie mi potrzeba!  
Guanhumara! daj rękę! — Zsyłają cię nieba;  
Chodź tu, bliżej, na chwilę.

GUANHAMARA.

Idź, idź w swoją drogę.

OTBERT.

Posłuchaj! —



## GUANHAMARA.

Zawsze jedno w twych ustach pytanie! —

Kto rodzice? Gdzie kraj twój? — Powiedzieć nie mogę!

Czy Otbert, czyli Jorghy jest twoje nazwanie;

Czemu od lat dziesięciu dzielisz me wygnanie;

W Korsyce — czy w Mołdawji, wśród burzliwej nocy,

Znalazłam cię niemowlę, bez żadnej pomocy.

Czemu do tego zamku udać się kazałam;

Czemu złączyć się z tobą wkrótce się niebałam?

Czemu żądam, bym tutaj była ci nieznana;

Czemu, kiedy Regina zmiękczyła nam pana,

Mam na szyi obrozę i łańcuch u nogi,

Jakbym chciała dopełnić jaki ślub złowrogi,

I dziś jeszcze, patrz, tłumię oburzenia krzyki?

Czyli nakoniec jestem z Afryki, z Korsyki,

Żydówka, czy Murzynka? Napróżno czas tracisz!

Wydadaj mię, jeśli wola? Lecz wiem — nie zapłacisz

Zdradą starej kobiecie, co cię wykarmiła,

Która w smutnym sieroctwie matką twoją była;

Zresztą — choćbyś mnie wydał: — śmierci się nie boję.

*(Chce odchodzić. Otbert ją zatrzymuje).*

OTBERT.

Ach! dziś niedbam o losy ni moje, ni twoje!

Powiedz tylko — Regina.....

GUANHAMARA.

Nim nów się odmłodzi,

Umrze.

*(odchodzi. Otbert znowu ją zatrzymuje)*

OTBERT.

Możesz ją zbawić? —

GUANHAMARA.

Mnie to nie obchodzi!

*(dumając mówi sama do siebie)*

Pomnę! W Indyi, w puszczy się błakałam,  
 Dociekając i śledząc, samotna w noc ciemną;  
 Błada, jak upiór straszna,—lwy drżały przedemną!  
 I docieklam. Napoje i zioła poznałam:  
 Jedne, które umarłych z mogiły wskrzeszają.  
 Drugie, które żyjących w trupy zamieniają.

OTBERT.

Możesz-li ją ocalić?

GUANHAMARA.

Mogę.

OTBERT.

O! litości!

Ocal ją! Wylecz! Bóg wielki nad nami,  
 On ci nagrodzi!

GUANHAMARA.

Słuchaj — gdy pełen miłości,  
 Patrzałeś na Reginę, a Hatto przed wami,  
 Stał raptem w tej chwili—straszny jak gniew Pana—  
 Gdyby w twych oczach—dziki, z uśmiechem szatana,  
 Zamordował Reginę i rzucił jój trupa,  
 W ten strumień, co jak tygrys, ryczy tam spieniony;  
 A ciebie gdyby schwycił i przykuł u słupa,  
 Na rynku, w bliskim mieście. A ty tam shańbiony,  
 Umierający, nagi, bez siły, zeznania,  
 Stałbyś w łańcuchach, jak zwierz do sprzedania!  
 I gdyby cię żołnierza i wolnego człeka,  
 Sprzedał w pociągi łodzi, które dźwiga rzeka!  
 —Teraz przypuść—że po tym dniu hańby i rozpaczy,—

Przeznaczenie wam obu długo żyć naznaczy,  
 Wiek cały prawie — że po smutnej doli,  
 Wracasz z błędnej wędrówki i ciężkiej niewoli —  
 Powiedz! Jakie byłoby duszy twój marzenie?

OTBERT.

Zemsta! Morderstwo! Krwi straszne pragnienie!

GUANHAMARA.

Widzisz! — I jam jest zemsta! Ja niosę pożogi!  
 Idę, jak ślepe widmo, do celu bez drogi!  
 Ja jestem krwi pragnienie! — A ty żądasz dziecie!  
 Bym kwiaty dobroczynne rzuciła po świecie?  
 Abym była litością! Abym była cnotą!  
 Ocalała żyjących! — O śmieszna prostoto!!  
 I wzywasz mej pomocy? Nierozważne dziecie!  
 A gdybym ja też rzekła: żem i ja na świecie,  
 Dla mych celów czuwała nad twoją młodością?  
 I że cofam się tylko przed twą niewinnością? —  
 O! wiedz, że się nie wędresz, szaleńcze bezkarnie  
 W moję straszłą samotność i w moję męczarnię!  
 Odkryłam ci me życie. Ha! dosyć plugawe!  
 Tylko — zginął kochanek; kobieta sprzedana,  
 Dotąd żyje — nią jestem! A nieba łaskawe,  
 Zachowały przy życiu dni moich tyrań!  
 O! jak długo cierpiałam. Męki i cierpienia,  
 Skaziły moje rysy piętnem potępienia!  
 I żyłam lat sześćdziesiąt tém, co śmierć zadaje —  
 Boleścią! Głód i nędza targały zwątlone,  
 Moje życie. Widziałam morza, rzeki, kraje,  
 Burze i pod równikiem nocie nieskończone —  
 W moje ciało łańcuchów wpiło się ogniwo!  
 Tylu panów mię gnało chorą, ledwo żywą,  
 Moie — kobietę! pod biczem jak zwierza dzikiego!

Teraz koniec! Nic we mnie niemasz już ludzkiego!

*(kładąc rękę na sercu)*

I łono me nie wzniesie tej dłoni westchnieniem!

Groby mojem mieszkaniem i jestem kamieniem!

A dziś — nienawiść moja tak długo czuwała!

Że wróg jest w mojej mocy — byłem tylko chciała

Mam go w rękę! I jeśli naznaczę godzinę,

Zadrży — gdy rzeknę słowo! A zginie — gdy skinę!

Czyż trzeba ci tłumaczyć? Ty jeden wśród wielu

Możesz spełnić mą zemstę. Lecz teraz u celu,

Gdym przebiegła najwyższe już cierpienia stopnie,

Rzekłam — Nie! to byłoby za nadto okropnie!

Widzisz! Na progu piekła wahać się i dręczyć!

O! nie przychodź więc do mnie, nie kuś mnie szaleńcze!

Bo jeśli żądzę zemsty raz wywołam z siebie,

Szatan by takiej zbrodni nie żądał od ciebie!

Powiedz! Wyjmiesz-li sztylet! Będiesz przeniewiercą!

Powiedz! Czy będziesz katem! Czy będziesz mordercą!?...

Drżysz!! — Idź że serce słabe, rękę zniewieściała!

Nie do ciebie mówiłam.

OTBERT *(blady, głuchym głosem)*

Czego byś żądała?

GUANHAMARA.

Nie kuś mię! Ustąp, ustąp!

OTBERT.

Ach! krwią moją całą,

Zapłacę za Reginy ocalenie, życie!

GUANHAMARA.

Idź z Bogiem.

OTBERT.

Będę zbójcą! Czy ci jeszcze mało?

## GUANHAMARA.

On mnie kusi, on kusi! Szatany! widzicie!  
 Więc mój jesteś: twa ręka, twa dusza, twe życie!  
 Teraz nie prosź, nie błagaj, nie módl nadaremnie  
 Słuchaj: modły nie dojdą w te okropne ciemnie,  
 Któremi napełnione duszy mej wnętrzości,  
 Powiedziałam ci naprzód: nieznam ni litości,  
 Ni żalu, ni sumienia! Chybabym ujrzała  
 Żyjącego Donata, którego kochała.  
 Teraz zważaj. Czas jeszcze. Powiedzieć ci mogę,  
 Na progę, co zaczyna tę straszną drogę,  
 Co cię czeka! Wiedz dobrze — posłuszny wezwaniu,  
 Musisz zabić człowieka — jak na rusztowaniu!  
 Tu — kiedy, kogo zechcę; zabić bez wzdrygnięcia,  
 Miłosierdzia...

OTBERT.

Cóż dalej?

## GUANHAMARA

Reginy istnienia

Kres bliski — ona kona. Zechcę — a ożyje!  
 Widzisz napój — niech co dnia kroplę jego pije  
 A żyć będzie.

OTBERT.

O dzięki! Daj napój — bierz życie!

## GUANHAMARA.

Lecz gdy po moich lekach, konające dziecię  
 Ujrzysz jutro przed sobą, świeże i radosne,  
 Anioła wskrzeszonego, widzenie miłosne —  
 Tyś mój wtedy!

OTBERT (*w uniesieniu*).

O zgoda!

GUANHAMARA.

Przysięgniesz?

OTBERT.

Na Boga!

GUANHAMARA.

Gdy niedotrzymasz, na nią spadnie zemsta sroga. —

Regina mi odpowie za twoją niewiarę:

Wiesz o tém, że znam dobrze to zamczysko stare,

Znam wchody i wychody, lochów czarnych cienie.

OTBERT (*sięgając po napój*).

Ona żyć będzie?!

GUANHAMARA.

Będzie. — Pomnij przyrzeczenie!

OTBERT.

Ocalisz ją!

GUANHAMARA.

Ocalę. Pomnij na katuszę,

Co cię czeka — dam napój — a wezmę twą duszę.

OTBERT.

Bierz i daj!

GUANHAMARA (*daje mu napój*).

Więc do jutra?

OTBERT.

Do jutra!

(*Guanhamara wychodzi*)

O dzięki!

O dzięki ci, kobieto! kimbyś kolwiek była!

Wszak Regina żyć będzie — ja skrócę jej męki!

*(Chce odchodzić, zatrzymuje się i patrzy na napódj)*

Niech mnie piekło pochłonie, byle ona żyła.

### SCENA SIÓDMA.

*Giż sami — to jest: JOB, DZIECI I WNURI JOBA, ich GOŚCIE, NIEWOLNICZY, STRAŻE I ŻEBRAK.*

*JOB (stoi otoczony wnukami, i mówi do żebraka co zatrzymał się nieruchomy na progu).*

Więc witaj mi przychodniu. Czyliż ci mówiono,  
 Że istnieje pomiędzy Spirą a Koloną  
 Zamek nad wszystkie zamki — w chmurach się zanurza,  
 Na skale — przy niej góry są jak małe wzgórza,  
 I w tym zamku, wzniesionym na ogromie skały,  
 Mieszka Burgraf — ze wszystkich najbardziej zuchwały.  
 Człek ten bez czi i wiary, i słyszałeś może,  
 Że wielkie jego zbrodnie, sławą świetne imię,  
 Że na sejmie w Frankfórcie, w Pizie na soborze,  
 Wywołany z cesarstwa i wyklęty w Rzymie,  
 Samotny, odrzucony, lecz wesół z swęj doli,  
 Stoi na swojej skale i na swojej woli?!  
 Że wyzywa i gromi, i miasta wyrzyna  
 Arcybiskupa z Trewu, hrabi Palatyna;  
 Że drabinę cesarstwa, wspartą na tym wale,  
 Sześćdziesiąt lat odpycha swoją nogą stale?  
 Słyszałeś, że przytułkiem każdego obdarzy;  
 Bogatych zmienia w biednych, panów w niewolników,  
 I że wyższy nad grafów, książąt i cesarzy,  
 W obec całej Germanij, na łup przeciwników,  
 Zatknał na swojej wieży, jak godło zniszczenia,  
 Jak wezwanie grobowe ludów pohańbionych,  
 Straszny żałobny sztandar, znamię potępienia,

Którym miotają wichry w poświstach szalonych?  
 Słyszałeś, że ten człowiek stu lat brzemię nosi,  
 Ze urąga niebiosom i nad los się wznosi?  
 Słyszałeś, że od kiedy stoi na swj skale  
 Nigdy — ani niszczące krwawych wojen fale,  
 Ani wściekłość Cezara, ni Rzymu pioruny,  
 Ni lata, co człowieka prowadzą do truny,  
 Nic niepohamowało, nie zwalczyło wcale  
 Olbrzyma z ponad Renu, Joba wyklętego!  
 Czy wiesz o tém?

ŻEBRAK.

Słyszałem.

JOB.

Dziś, jesteś u niego.

Witam cię na mym progu. Mnie to nazywano  
 Tym wyklętym!

*(wskazując na Magnusa)*

To syn mój; Magnus jego miano.

*(wskazując na Hatto, Gorloa i innych)*

To syny mego syna. Ród coraz maleje:  
 Bo często los zawistny zawodzi nadzieje.

Miecz ten wziąłem od ojca — a do miecza miano —  
 Straszne wrogom. Ten zamek matki mojej wiano.

A miecz, zamek i imię dla siebie oddamy!  
 Teraz gościu mów śmiało i szczerze;—słuchamy.

ŻEBRAK.

Książęta, grafy, pany — i wy niewolnicy!

Witam was! Kiedy wszystko w serc waszych tajemicy

Cicho, spokojne;—kiedy czas przeżyty

Niezachmurza dusz, czystych jak nieba błękity,

Weselcie się, śpiewajcie! Lecz jeżeli gości

W was zgryzota sumienia, — myślcie o wieczności!



Młodzieńcy, starce, których byt w życie bogaty,  
 Wy — wieńczeni kwiatami,—wy—wieńczeni laty,  
 Jeśliście złe robili, pod sklepieniem nieba,  
 Wtedy patrzeć przed siebie i dumać potrzeba:  
 Bo też krótkie, niepewne jest życie człowieka,—  
 Dla jednych starość bliska, na drugich grób czeka!  
 Wy młodzi, dumni mocą, zaufani w sobie,  
 Silni—myślcie o starych; wy starzy — o grobie!  
 Gościaność dla przychodnia zachowywać macie.  
 Odpychając go—wiecież kogo odpychacie?  
 I czym jest pośtańcem?—I gdyby was nieba  
 Porobiły królami—przychodnia czcić trzeba!  
 Bo Bóg, co jednym słowem zarządza światami,  
 Złoży czasem pioruny, sądy, potępienie,  
 Które może w tej chwili już wiszą nad wami,—  
 W żebraka dłoń ukryte, pod biedne odzienie!

## S C E N A D R U G A.

## OTBERT I REGINA

OTBERT:

O! ciekaw!

Regina! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw!

REGINA:

O! ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw!

Regina! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw!

Regina! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw!

Regina! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw!

OTBERT:

O! ciekaw! Ciekaw!

REGINA:

Regina! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw!

Regina! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw! Ciekaw!

## AKTU II.

### SCENA DRUGA.

OTBERT i REGINA.

OTBERT.

O! cudzie!

Regino! Ciebież widzę? Czy mię wzrok niełodzi?

REGINA.

Otbercie! Patrzaj! żyję! mówię! i oddycham,  
Patrz, chodzę! Patrz mój luby, ja ci się uśmiecham!  
Już minęły cierpienia, już minęła trwoga,  
Jestem szczęśliwa, twoja!

OTBERT.

O radości błoga!

REGINA.

Wiesz —całą noc tę spałam, bez marzeń, bez trwogi;—  
Jeślim we śnie mówiła—to twe imię, drogi!

O sen luby! Prawdziwie niewiem czym cierpiała.  
 Gdy mię słońce zbudziło, to'm w koło spojrzała  
 Na świat, jak odrodzona. I moje ocknienie  
 Wnet powitało ptasząt szczebiotliwe pienie.  
 Kwiaty strzeliły w niebo woni błogięj tokiem.  
 Ja, nic pojąć nie mogłam i badałam okiem  
 Wszystko, co mi te czyste tchnienia posyłało,  
 Wszystko, co w cudnym świecie do koła śpiewało —  
 I szeptałam ze łzami, jak radosne dziecię:  
 Lube ptaszki — ja żyję! Żyję — lube kwiecie!  
 Kocham cię mój Otbencie!

*(rzuca się w jego objęcia, wyjmując z zanadru napój).*

Ten napój — to życie!

Mogłeś wrócić mi zdrowie, przed śmiercią ochronić;  
 I od Hatta, wszak prawda, możesz mię obronić?

OTBERT

Regino! Moje bóstwo! Promienny aniele!  
 Gwiazdo ma! Com zaczął, to dokonam śmieie!  
 Ale nic niepodziwiaj! Ja niemam śmiałości,  
 Niemam cnoty, —znam tylko zapaly miłości!  
 Żyjesz — wszystko przedemną w radości koronie!  
 Żyjesz — ja drugą duszę czuję w mojem łonie!  
 Ach! popatrz na mnie. Piękna jak wiosenne zorze!  
 Powiedz — niecierpisz wcale?

REGINA.

Nie.

OTBERT.

O! dzięki Ci Boże!

REGINA.

Otbencie! Twa nagroda w mem sercu i w niebie!  
*(Oboje we wspólnem uściśnieniu milczą. Regina wyrывa się z objęć Otbenta).*

Stary hrabia, tak dobry, czeka mnie u siebie.  
 Chciałam ci tylko luby, powiedzieć zdaleka:  
 Kocham cię!

OTBERT.  
 Czy wrócisz?

REGINA.  
 Wnet... Spieszę, on mnie czeka.

OTBERT.  
*(pada na kolana i podnosi wzrok do nieba)*

O Boże! Dziękuję Tobie!

## SCENA TRZECIA.

OTBERT — GUANHAMARA.

GUANHAMARA. *(uderzając po ramieniu Otberta)*

Czyliż cię zwodziłam?

OTBERT. *(przerazony).*

Guanhamara! o nieba.

GUANHAMARA.

Słowa nie spełniłam?...

OTBERT.

Ja dotrzymam przysięgi.

GUANHAMARA.

Bez litości?

OTBERT.

Stale.

*(n. s.)*

Później sam się zabije.

GUANHAMARA.

Dziś w nocy, na wale  
Będę cię czekać.

OTBERT.

Miejsce?

GUANHAMARA.

U wieży, znamienia  
Czarnego.

OTBERT.

Miejsce okropne, straszego wspomnienia  
Nikt tam niechodzi. Mówią, na skale są znaki...

GUANHAMARA.

Ślady krwi, co się ciągną w długie, ciemne szlaki  
Od okna nad przepaścią.

OTBERT (*przerazony*).

Więc to krwawe znaki!?

Słuchaj, — krew plami, pali!

GUANHAMARA.

Krew zmywa urazy!

Koi pragnienie!

OTBERT.

Słucham, wydawaj rozkazy!

Jestem twym niewolnikiem. Jestem na twój łascę!  
Kogóż znajdę w tym miejscu?

GUANHAMARA.

Znajdziesz w czarnej masce  
Człowieka!

OTBERT.

Cóż zrobić?

GUANHAMARA.

Trza iść za nim w ślady.

OTBERT.

Pójdę.

*(Guanhamara wyrzywa nagle sztylet z pochwy zawieszonj. u pasa Otberta; okropnym wzrokiem spogląda na klingę, później podnosi oczy do nieba).*

GUANHAMARA.

O nieba! O swiatów gromady!  
 Głucha i straszna ciszo tej głębi świętosci!  
 Nocy, której tęsknota ma tyle wielkości!  
 Stare ogniwo kajdan, koło mojej nogi,  
 Co wiecznie było zemną, jak towarzysz drogi!  
 Wzywam was tu na świadki, wy mury, manowce!  
 Wy dęby, co rzucacie cienie przed wędrowce!  
 Słyszycie mnie! Niech padnie, pod sztylet złowrogi,  
 Fosko, baron tych zamków, lasów, gór, pieczary,  
 Jak ty nocy — ponury! Jak wy dęby — stary!

OTBERT.

Któż ten Fosko?

GUANHAMARA.

Ten, który ma zginąć z twej ręki!

*(oddaje mu puginał)*

Pomnij—wieczór!

*(wychodzi przez galerję w głębi nie widząc Joba i Reginy., którzy wchodzą z przeciwnj strony).*

OTBERT.

O nieba!

## SCENA CZWARTA.

OTBERT. REGINA. JOB.

REGINA *(wbiega i obraca się do hrabiego Joba idącego za nią wolnym krokiem)*.

Widzisz? Bogu dzięki,

Biegać mogę.

*(zbliża się do Otberta, który zdaje się słuchać ostatnich słów Gu-anhamary i niespostrzeżęł wchodzących)*.

Otbecie! witaj!

OTBERT *(jakby nagle zbudzony)*

Hrabio!.... pani!....

JOB.

Ranek dziś nowym smutkiem serce moje rani.

Słowa tego żebraka, wczoraj wyrzeczone,

Przelatują w mój duszy.

*(do Reginy)*

Dziecię ulubione!

Dumałem później o twym okropnym cierpieniu,

O twój matce, błędzącym dokoła nas cieniu...

*(do Otberta)*

Raptem to dziecko wpada do mojej komnaty;

Świeża, rumiana, hoża, jak wiosenne kwiaty,

Cud niebios i pieśczoła, do mnie ona mówi:

A teraz podziękować chodźmy Otbertowi.

Rzekłem, chodźmy dziękować twemu lekarzowi —

I przyszliśmy do ciebie, starzec i dziewczyna...

REGINA *(wesóło)*

Ciągle biegnąc, oboje.

JOB *(do Otberta)*.

Co za tajemnica?!...

Regina wyleczona! — Trzeba wszystko mówić —  
Otbencie! Jakżeś począł aby ją uzdrowić?—

OTBERT.

Nabyłem cudny napój, za małą nagrodę,  
Od niewolnicy zamku.

JOB.

Wracam jej swobodę.

Sto złotych liwrow, pola i winnicę daję—  
I przebaczam skazanym na śmierć w tym więzieniu!  
I tyśiącom poddanych wolność dziś nadaję.  
Wybierze ich Regina.

*(biorąc ich za ręce).*

Jestem w uniesieniu!

*(patrząc na nich z czułością)*

Bo też dość, bym was obojga oglądał przy sobie.

*(idzie naprzód sceny, i zdaje się wpadać w głębokie zadumanie)*

O prawda! Jam samotnik, wyklęty, przy grobie!

—Jestem smutny! zamknąłem się w tej wieży mury;

I tam siedząc milczący, samotny, ponury,

Patrzę do koła siebie w nieprzejrzane cienie.

Niestety! wszystko czarne! Gdy rzucę spojrzenie

Na Niemcy, — widzę tylko sadzących się Panów

Na głupotę i zbrodnie, — katów i tyranów!

Biędny kraj! Tysiąc ramion w przepaść go potraça.

Zginie! — jeśli opieka Boga wszechmogąca

Nie zesze tu olbrzyma dla jego zbawienia.

O! jak mój kraj mnie smuci! Patrzę w pokolenia!

Na ród mój, na me dzieci.... Podłości dziedzina!

Syn powstaje na ojca, — wnuk czycha na syna!

Tu zawieść, — a tam podłość, — a tu poniżenie!

A pod wilkiem już zgrzyta jego własne szczenie...

O! mój ród mnie przeraża! Gdy spojrzę czasami

W siebie — czoło me potu zlewa się kroplami!



Każde moje wspomnienie wezwane w noc ciemną,  
 Krwawe, w obrzydłej masce powstaje przedemną!  
 Wszystko czarne! Ojczyznę piekło niezgód kruszy—  
 Poczwały w moim rodzie — a widma w mej duszy!  
 Dla tego — gdy nakoniec oko me ze drzeniem,  
 Śledząc za tém potrójnem i strasznem widzeniem —  
 Unosi się do Boga, jasności i ludzi—  
 I ma dusza z krwawego marzenia się zbudzi —  
 Potrzebuję was widzieć, jak czyste promienie,  
 Jako na progu piekła niebiańskie widzenie,  
 Was dzieci, których czoła promieniami świecą,  
 Ciebie dzielny młodzieńcze i ciebie dziewico!  
 Was, których oczy jeśli ku mnie są zwrócone,  
 Patrzycie jak anioły, nad piekłem schylone!

OTBERT (*n. s.*)

Niestety!

REGINA.

Panie!

JOB.

Dzieci! w jedno uściśnienie,  
 Połączam was tu razem.

*(do Otberta patrząc mu czule w oczy)*

Szczere twe spojrzenie.

O tobie każdy powie: rycerz i obrońca,  
 Wierny dla swej przysięgi jak orzeł dla słońca—  
 A złamać niepotrafi słowa raz danego.

*(do Reginy)*

Prawda?

REGINA.

Winnam mu życie.

JOB.

Podobny do niego

Byłem ja—przed upadkiem:—i dzielny i czysty —  
Jak miecz i jak dziewica.

*(idzie do okna)*

Ranek tak przejrzysty;

Tak błogi uśmiech nieba!

*(powraca do Reginy i pokazuje jej Otberta)*

Ach! bo wy niewiecie

Jak Otbert przypomina me najmłodsze dziecko.

Spojrzę — i zdaje mi się, żem syna zobaczył,

Bóg mi dał go — myślałem, że mi już przebaczył,

Już dwadzieścia lat temu. Syn w mojej starości —

Dar nieba! Niewiedziałem co począć z radości!

Często on śpi: ja mówię doń godziny całe...

Bo widzisz, starzy ludzie to jak dzieci małe.

Wieczorem, na mém ręku jasnowłose dziecko

Igrało — Jeszcze wtedy nie byłaś na świecie.

— Jaki dowcip w niem świecił! Roku mu nie było

A niektóre wyrazy wymawiał tak miło,

I jak znał mię.....

Nawet uśmiechał się; a ja gdy ujrzałem

Ten uśmiech — biedny starzec, słońce w sercu miałem!

A jaką świetną przyszłość jemu wymarzyłem?

Nosił imię Jerzego..... Raz... Tego dożyłem!

Igrał w polu.....

Ach! kiedy będziesz miała twoje własne dziecko,

Nieopuszczaj go na krok, dla niczego w świecie,

Nie pozwalaj mu igrać, tylko przy twój szacie.....

Ukradziono go... Żydzi, cyganka... Mówili,

Że go zamordowano w szatańskim sabacie.....

Ja płaczę, płaczę teraz, jak i w pierwszej chwili!

— Byłto mój król mały. Jak ja go kochałem!

Patrząc nań od radości mało nieszalałem!

Gdy czułem na mym włosie te białe rączęta

Serce mi napełniała radość niepojęta!

Odtąd go nie widziałem... Nigdy... Serce boli!

(do Otberta)

Już byłby w twoim wieku. Taki wzrok sokoli  
Miałby i takie czoło. Kocham cię!

(Od niejakiemu czasu Guanhamara weszła i niebędąc widziana,  
patrzy na nich z głębi sceny. Job ściska Otberta w objęciach i  
płacze).

O Boże!

Często patrząc na ciebie, myślę — to on może!  
Wszystko w tobie — twe oczy, twój głos, twoja mina —  
Nieszczęsne moje dziecię wnet mi przypomina,  
Spojrzę na cię — i widzę przed oczami syna,  
Patrzę długo — a serce stratę zapomina...  
Bądź mi synem...

OTBERT.

O panie!

JOB.

Czy nie masz ochoty?!

Dziecię — pełne odwagi, honoru i cnoty,  
Sieroto — bez rodziców, nieznanego rodu,  
Z wielkim sercem i z wielką myślą już za młodu —  
Czy rozumiesz, gdy synem ciebie nazywałem,  
Co było w mojej myśli? Co powiedzieć chciałem?  
Chciałem wyrzec.....

(do Otberta i Reginy)

Słuchajcie.

.....Moje dzieci miłe,

Że pędzić dni przy starcu, co patrzy w mogiłę;  
Od rana do wieczora, żyć jakby w ciemnicy —  
Dla dzielnego młodzieńca i pięknej dziewczicy,  
Byłoby to okropnie, nudnie i opacznie,  
Gdyby nie można było, czasami, nieznacznie,  
Po nad starca — co wszystko to widzi, mój Boże!  
Uśmiechnąć się do siebie i rzucić spojrzenie.

Chciałem rzec: że już starzec udawać nie może,  
 Że odgadł waszę miłość... i że ja was żenię!

REGINA (*w uniesieniu*).

O nieba!

JOB (*do Reginy*)

To znów moje lekarstwo.

OTBERT.

O Boże!

JOB (*do Reginy*)

Twa matka umierając błagała opieki  
 Mój dla ciebie... Jak ona, najdzielniejszych może,  
 Siedmiu z mych synów w krótkce zamknęło powieki;  
 Później stratę Jerzego ciężko opłakałam,  
 I żona także w grobie... Wszystko, co kochałam  
 Dawno mnie opuściło. Takie ciężkie losy  
 Tych, którym długie życie zsyłają niebiosy:  
 Muszą patrzeć jak długim, nieprzerwanym ciągiem  
 Prowadzą pociąg śmierci, za śmierci pociągiem.  
 Jak — miesiąc za miesiącem, w ślad idą żałoby,  
 I na smętarni sypią coraz nowe groby!  
 Ty przynajmniej, znaj szczęście! — Dzieci! Ja was żenię!  
 Tyś kwiatek — ciebie złamie Hatta uściśnienie!  
 Gdy umarła twa matka, rzekłem: tyś już w niebie,  
 Patrz! twa córka — mém dzieckiem; a w każdej potrzebie  
 Oddam za nią me życie.

REGINA.

O! ojczy dostoyny!

JOB

Poprzyślałem.

(*do Otberta*)

Ty synu, idź i szukaj wojny!

Nic niemasz, lecz ci daję w posagu Reginy

Mą lenność Kummerbergu — a twojemi czyny

Zyskaj sławę jak cesarz i inni zyskali!

I ja miałem dwie matki — jedną — w miecza stali,

Drugą — w kobiecie. Jestem syn hrabi nieprawy,

Ale mnie uprawniły czyny własnej sławy.

Idź za moim przykładem.

(n. s.)

Tylko nie we zbrodni.

(głośno)

Bądź cnotliwy i mężny. O co nam tu idzie?

Możemy się połączyć.

Wzajem jesteśmy siebie z pochodzenia godni.

Pewno, nie raz myślałeś: zostanę, o wstydzie!

Wiecznie jako pies przy lwie, pazim u hrabiego.

Więźniem, póki on żyje — zawsze koło niego. —

Na honor! nie dla siebie kocham cię, me dziecię.

O! starzy nie są tak źli, jak mówią na świecie.

Ułożmy się. Lecz cicho. Bo Hatto mnie trwoży.

Głośno nie trzeba działać — przyszło by do noży.

(zmieniając głos)

Ma wieża jest z fosami zamku połączoną.

Mam klucze. Dziś Otbercie, pod straży zasłoną,

Uciekniecie oboje. Należy do ciebie

Reszta.

OTBERT:

Lecz...

JOB (z uśmiechem).

Czy odrzucasz?

OTBERT.

Ja niepomnę siebie!

Hrabi! raj mi otwierasz! —

JOB.

Więc słuchaj mnie dziecię  
Teraz milczyć. Wieczorem zamek opuścicie.

Ja przeszkodzę, gdy zechcą pogoń śląc za wami,  
A ślub weźmiecie w Kaubie.

(*Guanhamara podsłuchawszy wszystko, wychodzi. Job bierze Othberta i Reginę pod rękę i patrzy na nich z czułością*)

Zegnam was ze łzami.

Powiedzcie mi przynajmniej, że szczęście wam dałem...

Ja samotny zostanę.

REGINA.

Mój ojcze!

JOB.

Płakałem.

Tak, już nieraz. Dziś na pożegnanie

Zostawcie mi swą miłość. Cóż się zemną stanie

Kiedy mnie opuścicie? Gdy straszne katusze,

Ciężar wspomnień przeszłości, znów spadną na duszę?

(*do Reginy*)

Bo widzisz ma gołąbko! nie wiele mi nada,

Że podniosę ten ciężar — on wnet znowu spada.

(*do Othberta*)

Mój kapelan wyjedzie niedługo za wami.

Wszystko nam dobrze pójdzie. A później czasami,

Kiedyś, wracajcie do mnie. Nie płaczcie... bo łzami

Ostatek mój odwagi i sił odbieracie.

Wy, wy szczęśliwi! Wzajem się kochacie

Cóż was starzec obchodzi. Wy, w młodości kwiecie!

A ja — mnie Bóg tak długo zapomniał na świecie...

(*wyrywa się z ich objęć*)

Czekajcie na mnie tutaj.

(*do Othberta*)

Wychody ci znane.

Ja wnet powrócę; tylko kluczy wprzód dostanę.

(*wychodzi drzwiami na lewo*)

## SCENA PIĄTA.

OTBERT. REGINA.

OTBERT (*patrząc za wychodzącym Jobem, z obłąkaniem*)

O Boże! Myśli moje w tym chaosie giną.  
 Uciekać z tego zamku! Uciekać z Regina!  
 Jeśli to sen jest Panie! miej litość nademną,  
 Nie budź mnie! — Lecz ja czuвам i tyś luba zemną!  
 Aniele, mój aniele! Nim się słońce schyli,  
 Uciekajmy ztąd! Spieszmy! Nietraćmy ni chwili!  
 Ty nie wiesz... Za mną przepaść, straszna, niezmiernona!  
 Przedemną szczęście ku nam wyciąga ramiona!  
 Tam raj — a tutaj zbrodnia czycha przyczajona!

REGINA.

Otbercie?

OTBERT.

O Regino! Napróżno cię trwożę!  
 Jadę... a ta przysięga! Boże, wielki Boże!  
 Regino! niedbam o nic! Ucieknę... dla ciebie!  
 Niechaj czyn mój osądzi Bóg prawdy na niebie!  
 A ten starzec tak dobry, czuły i wspaniały —  
 Kocham go!... Lecz czas mija, nieba go nam dały;  
 Chodź luba! Uciekajmy! Teraz nic niestanie  
 Na przeszkodzie ucieczce.....

*(Podczas tych ostatnich słów Guanhamara weszła galerję z głębi. Prowadzi Hatta i pokazuje mu rękę Reginę i Otberta, którzy stoją we wzajemnym uściśnieniu. Na znak Hatta wbiegają tłumem książęta, burgrafy, żołnierze. Margrabia pokazuje im kochanków, którzy w zapomnieniu nic nie widzą i nie słyszą. — W chwili kiedy Otbert chce uprowadzić Reginę, Hatto zastępuje mu drogę. Guanhamara znika).*

## SCENA SZÓSTA.

OTBERT. REGINA. HATTO. MAGNUS. GORLOA. BURGRAFY.  
 KSIĄŻĘTA. ŻOŁNIERZE. *później* ŻEBRAK.  
*a później* JOB.

HATTO (do Otberta)

Czy tak mniemasz panie?



Przed nim obiem zamkniętym, w nieprzejętym cieniu,  
 Dłżyłoby zasłony, jak w swoim widzeniu.

(Wchodzi)

Z umysłem niecierpliwym igra duch kłopotliwy.

Tak, to sen być musiał. Sen dziwny, straszliwy!

Wiesz, w naszym sercu, co krwawi się odlewa.

Całe życie na chwilę, a chrobia się niewy.

Młodość ksi się sława, a starość — kara.

Na dwóch krzesłach istnienia podwójną snów mara.

Pierwsza klama. A druga...

(Po pauzie)

Wiem, że w tej godzinie,

## — AKTU III.

A Fryderyk Barbarossa wchodzi w swój dziedziniec.

### SCENA PIERWSZA.

O godzinie ósmej, ciemność zjawia.

*(Teatr przedstawia ciemny loch, ze sklepieniem niskim i w łuk zagiętym, wilgotny i okropny. Około murów wiszą szmaty staro- obicia strawionego czasem. Na prawo okno — trzy szyny kraty złamane i wygięte. Na lewo stół i ławka kamienna prostej roboty. W głębi, w cieniu ciągnie się rodzaj kurytarza, którego kolumny, podpierające spadziłość arkad, dają się nieco spostrzegać.*

*Noc — promień księżycy wpada przez okno i odbija na przeciw- ległym murze prostym i białym słupem.*

*Przy podniesieniu zasłony, Job jest samotny w lochu, siedzi na kamienną ławce i zdaje się pogrążony w dumaniu ponurem. Pa- ląca się latarnia stoi u nóg jego na podłodze. Długa siermięga okrywa go.*

JOB (sam).

Co mi cesarz powiedział? Co odpowiedziałem?

Nierozumiem — niepomnę. Nie. Ja źle słyszałem!

Od wczoraj błędzą w duszy wątpliwości mary.

Idę drżący na oslep, te nogi zwątlone

Próżno szukają drogi — idę — nędzarz stary;

Wszystko w koło tumanem gęstym otoczone,

Przed mým okiem zaćmioném, w nieprzejrzanym cieniu,  
Drży pokryte zastoną, jak w senném widzeniu.

*(marząc)*

Z umysłem nieszczęśliwych igra duch złośliwy.  
Tak, to sen być musiał. Sen dziwny, straszliwy!  
Niestety! w naszym sercu, co krwią się oblewa,  
Cnota uśnie na chwilę, a zbrodnia sny mięwa.  
Młodości śni się sława, a starości — kara.  
Na dwóch krańcach istnienia podwójna snów mara.  
Pierwsza kłamie. A druga?...

*(po pauzie)*

Wiem, że w tej godzinie,  
Wysoki dom mój upadł i leży w ruinie —  
A Frydryk Barbarossa rządzi w mój dziedzinie.  
O boleści! Lecz mniejsza—dobrze postąpiłem,  
Ocaliłem ojczyznę, cesarstwo zbawiłem!

*(marząc)*

Cesarz!... Byliśmy sobie, jako dwa widzenia,  
Mierzyliśmy się okiem, okiem podziwienia,  
Podobni dwom olbrzymom, co wieki przeżyli!  
Nad przepaścią, my we dwóch stoimy w tej chwili,  
Wiek nowy wszystko pokrył, lecz zalew ludzkości  
Nie dosięgnął naszego czoła wysokości!

*(zagłębiając się w dumaniu)*

Jeden z nas musi upaść. Ja padnę ponury.  
Wielka chwila dla świata upadek mój góry!  
Jutro Ren, starodawnej, niemieckiej krainie,  
Opowie o tym cudzie i o tej ruinie.  
I będzie dla pokoleń żyjącym pomnikiem  
Końca okropnej walki — Joba z Fryderykiem.  
Oddałem cesarzowi wasalów i synów.  
O! żegnajcie mi boje krzyków i wawrzynów!  
Żegnaj sławo! A jutro, około mój strzechy,  
Postyszę przechodzących szyderstwo i śmiechy.  
Wszyscy ujrzą, — że Job ten, co wiek prawie cały,

Krwia swą bronił na Renie każdej piędzi skały,  
 Dziś nakoniec bezsilny, kona zwyciężony,  
 Że mu orły cesarskie w sercu topią szpony,  
 Ujrza, — ten martwy posąg już nie straszny wcale, —  
 Skon ostatniego grafa na ostatniej skale!

*(wstaje)*

Jakto? Tyż to masz upaść? Tyż to hrabio Jobie?...  
 Milcz dumo! — milcz przynajmniej w tym okropnym grobie!

*(spoglądając do koła)*

Tu to — pod temi mury, co rzekłbyś jęknęły,  
 W noc podobną.... O! chociaż lata upłynęły  
 Zda się wczoraj!... Okropność!...

*(Upada na ławkę, zakrywa twarz rękoma i płacze)*

A pod tem sklepieniem,

Od dawna jęczy zbrodnia, skryta nocy cieniem,  
 Oblana krwawym potem, który zwał sumieniem!  
 Tutaj rozmawiam zawsze sam na sam z trupami.  
 I bezsenność, o Boże! straszniemi szponami  
 Wpiła się pod powieki i oczy szarpała,  
 Wiecznie czuwać i wiecznie myśleć przymuszała.  
 Gdy na chwilę usnąłem, to dwa krwawe cienie  
 Wnet sen mój zamieniały w okropne widzenie.

*(wstaje i idzie na przód sceny)*

A świat mniemał żem wielki! Te góry widziały  
 Jak, niedbając na gromy, żył zbrojca zgrzybiały.  
 Świat cały mię podziwiał, gdym stał na gór szczycie;  
 Ale zabójca nigdy, przez najdłuższe życie,  
 Nie ukoi sumienia! — A ludy myślały,  
 Żem najszczęśliwszy z ludzi pośród mojej chwały.  
 Ja noce — całe noce z głową pochyloną  
 Biłem się lat sześćdziesiąt w pokutnicze łono!  
 Ale sławnego zamku, mury poczerniały,  
 Widziały wewnątrz straszne, nędzne, pobutwiałe  
 Mojej fałszywej sławy — popiół, brud i kały!  
 A przedemną tymczasem trąby hucznie grzmiały,

Szedłem potężny, — wzniosłszy w górę me sztandary —  
 Hrabia rzymskich cesarzy, a lew méj pieczary!  
 Lecz, gdy wszystko przedemną nikło w chwały dymie,  
 Zbrodnia ten straszny karzeł, był we mnie, w olbrzymię;  
 Szydził ze czczonej głowy i z chwały okrzyku,  
 I szarpiąc moje serce, wciąż wołał: nędzniku!

*wznosi ręce do nieba)*

O, Donato! Dzinewra! Ofiary wścickłości!  
 Czyli mi przebaczycie na progu wieczności?  
 — Bić się w piersi i klęcząc na twardym kamieniu,  
 Płakać, kruszyć się sercem, żyć duszą w modleniu,  
 Niedosć jeszcze. Czym zgładził winę łzami mémi?  
 Nie. Ja jestem przeklęty na niebie i ziemi!

*(siada)*

Miałem przodków i żyłem w liczném pokoleniu.  
 Zamek upadł, syn stary, a wnuki w więzieniu.  
 Najdroższy skarb straciłem — me ostatnie dziecię!  
 Reginę i Otberta, co jeszcze na świecie  
 Kochałem, — dusza kocha, bo dusza od Boga, —  
 Pewno spaliła straszna mych losów pożoga.  
 Szukałem ich napróżno — przepadli oboje!  
 Czas umierać!

*(dobywa sztylet)*

Tu, — ciągle mówi serce moje, —  
 Czekają mnie.

*(zwracając się do głębokości podziemia)*

Więc dobrze! Niech się los przesili!  
 Donato! wzywam ciebie, przebac mi w tej chwili!  
 Joba niemasz! Tu Fosko błaga przebaczenia!

GŁOS *(w cieniu, słabo jak szmer)*.

Kainie!

JOB *(strwożony)*.

Głos... Słyszałem! — Nie. To echa drżenia.

Jeśli kto na mnie wołał, to chyba trup z grobu.  
 Bo wejść tu żaden człowiek nie znajdzie sposobu.  
 O tém przejściu, gdzie nigdy promieni zarzewie  
 Nie błysło — nikt z żyjących oprócz mnie dziś nie wie,  
 A ci którzy wiedzieli, sześćdziesiąt lat w grobie...

*(postępując krok w głąb sceny)*

Fosko błagalne dłonie wyciąga ku tobie,  
 Przebacz mu, męczenniku!

GŁOS.

Kainie!

*'JOB (przerażony).*

W sklepieniu

Ktoś przemówił... słyszałem! A więc straszny cieniu!  
 Okropna maro, uderz! O widmo złowieszcze,  
 Błagam cię! Wolę umrzeć, niż słyszyć raz jeszcze,  
 Jak echo, straszne echo, w tej czarnej dziedzinie  
 Kiedy ja rzeknę Fosko, odpowie...

GŁOS.

Kainie!

*(Coraz ciszej, jakby usuwał się w podziemiach)*

Kainie! Kainie!

JOB.

O Boże! widzisz me męczeństwo!  
 Ja marzę... Moja boleść zmienia się w szaleństwo,  
 I upaja nakoniec, jak napój piekielny!  
 Och! słyszę śmiech szatanów dokoła bezczelny!  
 Tak, to sen, sen okropny, co w ślad za mną chodzi  
 I w tém okropném miejscu, nowy przestрах rodzi.  
 Straszny głosie! co z grobu na mnie zawołałeś,  
 Patrz! jestem tu przed tobą, mów więc czego chciałeś?

Czego żądasz? Ja słucham, maro złęgo świata!  
 Pytaj! — dam ci odpowiedź!...

## SCENA DRUGA.

JOB. GUANHAMARA.

GUANHAMARA (pod zasłoną).

Gdzie podziałeś brata?

**Uwagi nad pochwałą poematu Dzieciątko  
Jezus X. Hołowińskiego, umieszczoną  
przez I. J. Kraszewskiego w Biblio-  
tece Warszawskiej, w poszycie za  
miesiąc Lipiec 1846 r.**

**SZANOWNY REDAKTORZE!**

Gdym na wieś powrócił z zapasem nowości literackich, zabrałem się najpierw do Lipcowego poszytu Bibl. Warsz. r. b. Przeczytawszy recenzję poematu Hołowińskiego i nabiedziwszy się nie mało ze zdaniem sobie sprawy, o pojęciach i dążeniach recenzenta, przewróciłem z niechęcią parę kart dalej, alisci zdybuję wtóry artykuł o tymże samym utworze. Przynajmniej temu drugiemu, braku dążenia zarzucić niepodobna. Kraszewski ma tę wielką zaletę nie mówienia niczego przez połowę. U niego jeśli białe, to jak śnieg, jeśli czarne, to jak kruk; — tę swoją naiwną młodzienczość, widać już na wieki

zatrzyma. Uwielbiam go za tę nienawiść wszelkich *melirte couleur's* (szaraczków) jak mówią nasi krawcy. Zaiste téż absolutném jest niepodobieństwem dobitniej i wyraźniej zdanie swoje objawić, jak to w 20 stronicach owego panegiryku autor wędrowek uczynił. Jak od pierwszych wyrazów otworzył (rzekąc wschodnim stylem) gębę podziwu, tak ją aż do ostatniego wyrazu otwartą trzyma. Jest to pochwała, apoteoza, owacja rzadkiego ognia i śmiałości u dzisiejszych tak skąpych w sprawiedliwość *czubków* literackich (*sommite litteraire*). Aby się ośmielić coś podobnego napisać trzeba lepiej swoich czytelników oswoić, niż Van Hamburg lwy i tygrysy.

Z tém wszystkiém co do mnie, cel pochwały osiągnięty. Zapaliłem się chęcią osobistego poznania utworu, którego bym po przejrzeniu pierwszej recenzji może nie tknął. Albowiem jakże nie czytać dzieła, o którym tak rozgłośny krytyk napisał:

«W każdej literaturze, zjawienie się takiego poematu, jakim jest Dzieciątko Jezus ks. Hołowińskiego, skromny tytuł opowiadania noszący, byłoby ważnym wypadkiem. (!?) Tymczasem, gdy aż do zbytku głosów odzywa się zewsząd dla mnóstwa fraszek, ledwie na wspomnienie zasługujących, nie wiem czy kto i jeden poważnym i godnym rzeczy rozbiorem, powitał ten utwór wysokiej ceny.»

«Oto jeden z tych utworów cudnych, rzadkich, zachwycających, które by w dobrej chwili literackiej, był przedmiotem wszelkiej rozmowy, rozbiorów, sprawozdań, uniesień (!!!) dotąd podobno nie doczekał się nawet sumiennej recenzji.»

«Dzieciątko Jezus stawi ks. Hołowińskiego w rze-



dzie poetów Polskich, nie tylko współczesnych, ale wszystkich w ogóle, na jednem z najpierwszych i najświetniejszych miejsc. Wiele zaiste można się było spodziewać po autorze legiend (?) tłumaczu Szekspira (??), autorze pielgrzymki; ale nigdy tyle, co dotrzymał w nowym poemacie swoim, Jest to coś nadspodziewanie wielkiego, pięknego, pomyslanego wybornie, wykonanego mistrzowsko. Jest to arcydzieło, nad które nie może (zdaje się) nic już stworzyć większego ks. Hołowiński; arcydzieło stanąć mające na czele wszystkich spółczesnych tego rodzaju utworów (!!?).»

Widzisz więc Szanowny Redaktorze, że po tej serenadzie, mając poemat ks. Hołowińskiego pod ręką, niepodobna mi go było nie czytać. Ton tej pochwały zakrawa coś nie na serio.

Przeczytałem *Dzieciątka Jezus* raz pierwszy skwapliwie, z usposobieniem do rozkoszy wewnętrznej—jak do wszystkiego, co nam chwałę przynieść ma. Drugi raz czytałem już rozważniej, mniej *cursorich*; trzeci raz zupełnie *statarisch*, (\*) zastanawiając się co chwila, przymierzając recenzje do dzieła, grzebałem w tym tłumie wierszów i rozwlekłości, szukając nie wad, ale zalet, owych okrzyczanych klejnotów i pereł. I o cudo! mamże ci wyznać, ja! ów zapaleniec powstałem chłodny jak kamień, chłodny jak krytyk unoszący się na zimno!

Nie wiem, czy z przyczyny owej niedonoszonej apoteozy, czy też tak jestem przesycony tą niezliczoną liczbą |co dzień, jak grzyby z ziemi wyrasta-

(\*) Sposoby czytania, używane w szkołach niemieckich.

jących *gieniuszów*, dość iż bliski byłem szepnięcia „*Parturiunt montes...*» Zły mój duch co mi zbyt często okulbacza nos, dziwnemi okularami humoru, przez które świat tak śmiesznie wygląda, mruczał nawet: «Co cię ta pochwała odchodzi; chociażby tam i była jaka najmylniejsza dążność, toć ją zdrowy rozsądek ogółu i sama śmieszność przesady zabije; wszakżeć to ludzie unosili się nawet podobnie nad poematem «o śmierci niechybnej.» (\*)

Przez parę dni jednak, kołatałem się z różnemi myślami w swojej biednej głowie i byłbym ani ładu ani spokoju tak nieodzownego do gospodarki, pewno nie znalazł, gdyby nie zbawienna myśl wyleczenia tego chwilowego *spleenu*, wylaniem wątpliwości na papier i zaciągnięciem twój rozsądnej rady, szanowny redaktorze! Wszakże wiesz że z *powołania* (sic) literatem, a tём mniej patentowanym recenzentem nie jestem. Jeśli biorę kiedy za pióro, to niechcę zyskać poklasku, nie płaskie pochlebstwo koterji, albo osoby, ale głos prawdy, głos sumienia nakazuje mi to czynić—abym nie puszczał obojętnie kwestji naszego życia i abym jeśli źle widzę, moje złe i fałszywe przekonanie i podobnie wierzących, na drogę świętej i niezmiennej prawdy sprowadził. W podobnym celu i teraz te kilka wątpliwości bez ładu, jak mi się nastęrczają spisuję.

Za wielką nowość podaje pan Kraszewski; «*Nic trudniejszego być nie może nad epos religijny;*» (\*\*)  
Zaiste nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby ten

(\*) Patrz wędrowki literackie

(\*\*) Bibliot. War. za Miesiąc Lipiec karta 167.

stary pewnik estetyczny ujrzyć; jest to toż samo co spostrzedz wysoką górę stojącą od wieków przed oczami wszystkich.

Już kilkadziesiąt lat temu wyrzekł Herder: *«Un- glaube an das Himmlische hat uns die Epopöie fast ge- raubt.»*

Eschenburg, Jean Paul, Schlegel, Tieck, Hegel, i t. d. i t. d. i t. d. ze wszech stron ten potężny przedmiot analizowali i wszystko co się tylko dało, *prawdziwym* krytycznym talentom powiedzieć, wyrzekli. Pomimo to, poemata nie postępują w równi z estetyką: poezja głuchą jest na zakłęcia teorii. Dowolna mitologia albo zimna allegorja nieuratowała Henryady od biednej mierności. Cóż więc robić? może się kto zapyta?—Oto niech poeta, jak Göthe w swęj prawdziwie Homerycznej epopei Hermann i Dorothea (\*) niech nam spęta niewiarę w swojem natchnieniu i niech nas natchnie apostołskim duchem prawdziwej poezyi.

Poezja tworzy cuda i wierzyć w nie musimy. Ale taka poezja, unosząca nas w wyższe krainy szczęścia nieziemskiego i ideałów, tchnąca w nas lepszego ducha, nie będzie wymagać, aby serce i wyobraźnia zawczasu były nastrojone, do tonu jej piosnek lub hymnów, bo ona je sama nastroi swem potężnem brzmieniem.

»Prawda jest całą poezją« powiada Pan Kraszewski (\*\*). Jakżeż to płocho rzucony sofizmat! Jak zgu-

(\*) Wyborny mamy przekład A. Czajkowskiego, a jednak jak mało znany! — a wart lepszego rozbioru, boć nieskończenie wyższy od tak zachwalonych tłumaczeń Szekspira.

(\*\*) Bibl. Warsz. jak wyżej str. 167.

bny w rozwinięciu. I to jest tematem nieskończonych warjacji, uwielbień. Prawda jest prawdą—ale nie poezją. Przedstawienie téj prawdy może być poetyczne, ale nie przeto sama prawda jest poezją.

Wezwijmy naprzykład kilku, kilkunastu znakomych malarzy do odmalowania jednego i tegoż samego człowieka; każdy mu wedle indywidualnych pojęć, zdolności, nada podobieństwo, wyraz, cechy, zgoła utworzy arcydzieło, a jednakże, arcydzieła te nie będą kopijami siebie, nie będą nawet do siebie podobne. Któż nie rozróżni Van Dyka od Rembrandta lub Tycjana od Davida? — a jednak wszystkie te portrety, będą odbiciami wzorowemi jednej prawdy. Serce i umysł człowieka są zwierciadłem wklęsłym zbierającym rozpierschłe promiona ze świata, które oczyszczone, natchnione, ożywione iskrą duszy, obleczone w ciało — formę piękną, występują jako poezja.

Powiedzieć, że prawda jest poezją, byłoby toż samo co uważać dagerotyp za arcywzór potęgi sztuki.

A więc nie proste odbicie samej istoty, ale obraz jej duszy, typu, ideału, przedstawiony wedle praw piękna — jest poezją.

Są to już tak oklepiane drobiazgi, iż wszelkie przeciwnie, oryginalstwem tchnące wyrzeczenie, zbyłoby się milczeniem, gdyby od kogo nieznanego pochodziło, — lecz z ust pana Kraszewskiego drobiazgi podobne mogą nie jednego obłąkać. Nie możemy się wydziwić, iż tak znakomity pisarz, może czasami tak długo i napozór błyszcząc gawędzić niemyśląc wcale, nie zastanawiając się nad ścisłą konsekwencją swoich słów: wolno niekiedy kosztem jakiej negacyi stać się oryginalnym w humorystyce; ale rzucać od nie

chcenia na serio, ludziom, że światło czasem jest czarne i że dwa a dwa czyni czasem pięć; ponieważ nam tak kaprys podyktował,—to się niegodzi, jest to humorystyczna zabawka kosztem dobrej wiary pocziwego czytelnika. O taki byśmy zamiar posądzili autora pochwały poematu, o którym mowa, gdyby pan Kraszewski, co krok nie stawał sam z sobą w sprzeczności. Cecha to braku wewnętrznego, jednego i silnego przekonania. Np. zakazuje nam autor Wędrówek stawić *Przenajświętszej Rodziny* obok z *Dzieciątkiem* (\*). Co nam broń Boże nawet przez myśl nie przeszło.

«Rodzina mówi p. Kr. jest flamandzkim obrazkiem ślicznie wykonanym; ale wykonanie tam wszystkim, bo rysy twarzy, akcesorja (\*\*) chybione, koloryt ukraiński nie wschodni, *Dzieciątko* zaś staje w stosunku Rafaela Madonny do Łukasza Cranach lub van Eicka (\*\*\*)»

Bracia van Eickowie i Cranach, jedni z głównych założycieli szkoły niderlandzkiej (\*\*\*\*) właśnie spełnili to, czego zdaje się żądać p. Kr. to jest pogardzili wielkim ideałem i starali się tylko o prawdę, o proste naśladowanie natury, literalną ilustracją podania. Cudowność obrazków Cranacha jest też właśnie taką, jaka z tego wypływa; czysto zewnętrzną, zmysłową, niewolniczym posłuszeństwem podania. Nie zachwyca nas, nie każe nam wierzyć, nie natchnie

(\*) Str. 166.

(\*\*) *Rysy twarzy* — śliczne akcesorja

(\*\*\*) K. 166.

(\*\*\*\*) Flamandzka jest odrębną, innych cech i charakteru, i daleko późniejszą od niderlandzkiej szkoły.

mimowolnie tej wiary. W swoim czasie obrazy te wzbudzały w naiwnych sercach strzeliste akty, pomimo zaparcia się wszelkiej prawej poezji, pomimo całego materializmu. Dziś wzbudzają tylko uwagę mechanicznej części sztuki, jej stronę realną do znakomitej potęgi doprowadzoną i zarazem swoim układem wzbudzają uśmiech i niechęć ku owym materialnym, ultramontańskim poganizmom. Kto chce wszystko odbijać na słowo, mniemaną prawdy nic nie analizując — tego idee w końcu zawsze będą niedo-  
 01 1007

Jakżeż tu przytęm wyzywać Rafaela, mistrza, którego nazwisko tak lekkomyślnie tylu poniewiera. Jest to znieważać go przyznając mu za główną zaletę zachowanie kolorytu miejscowego (*couleur locale*) dziś tak w modzie będącego. Rafaelowi nie chodziło głównie, nie tylko o ów miejscowy ale nawet o zwykły koloryt, boć go Paweł Veronese, Correggio Titian i inni kolorytem przewyższali znacznie. Nie chodziło mu o odbijanie wschodniej ani żadnej miejscowości, boć w jego obrazach napotykaemy nie raz anachronizmy fantazyjnymi akcesorjami zastępujące ścisłą prawdę; ale geniusz jego starał się przede wszystkim o bezwzględne odbicie typów bóstwa wcielonego — ducha boskości, w jakiej on kolwiek postaci ludzkiej występował — w jakiej kolwiek uczuciu się objawiał. Rafaelowe postaci nie są typami narodowymi, ale żyją wszędzie wzniosłą powagą, godnością, świętością istoty człowieka — a uprzedmiotowaniem tej boskości stosownie do warunków czasu i działania ideału. — Rafael unosi naszą duszę w wynioślejsze sfery, poznawania wszystkiego, co wielką

i prawą oddycha poezją. Obrazy Rafaela bezwzględnie na koloryt *wschodni* [czy *niewschodni* — napętniają nas czcią, wiarą w bóstwo — i w cuda ducha ludzkiego i boskiego. Bo znajdziecież mi najfanatyczniejszego niedowiarka, któryby patrząc na transfiguracją nie wierzył, że w duszy boskiego poety cud ten był rzezywistym!

Ale do tego trzeba swobody ducha, natchnienia, nie bierności, nie krępowania się niewolniczą literą — materjalną stroną podać.

Może to kiedyś przed Rafaelem było wystarczającym, ale dziś już za mało i żadna siła retrogradować pojęć i zwinąć ducha ludzkości rozwiniętego nie zdoła.

Patrzcie do czego to dążenie za tą niby samą prawdą prowadzi, — to skłanianie się ku drugiemu i wprawdzie przeciwnemu biegunowi materjalizmu w sztuce. Spójrzycie tylko na obrazy z treści pisma świętego, Vernet, Chopina i całej nowej szkoły. Wszakże tu już koloryt *wschodni* doskonale odbity — Abraham stoi w pustyni malowanej z natury — i tak iż nie każdy równie wzniosłe na nią patrzeć i ją widzieć potrafi. — Twarze patriarchów zaledwo nie portretowane z natury; zgoła w najmniejszym szczególe uderza nas niewolnicze posłuszeństwo prawdzie. A jednak cóż za wrażenie z całego ogółu na serce? Oto patrzymy na te obrazy jak na rodzajowe sceny familijnego życia Arabów lub Idumeów. Rysunek piękny, koloryt dyszący życiem, prawda historyczna i miejscowa aż do ostatnich drobiazgów zachowane — a jednak wszystko pozostanie tylko smutnym pomnikiem próżnego usiłowania tak znakomi-

tych talentów tego wieku. Brakło tam wiary i natchnienia — a na próżno chciał malarz *rysami twarzy i akcesorjami* przekupić naszą wiarę.

I czuje to sam bardzo dobrze wielki artysta nowowiecznego realizmu Vernet; patrzcie na jego apoteozę bohatera Austerlitz — na jego ducha Napoleona, powstającego z grobu, z palmą pokoju w ręce, aby się dopominać u Francji o grób w jej łonie, który mu się tak słusznie należy. Otóż w tę cudowność wierzycie — bo tu jest inny rodzaj prawdy—prawdy natchnienia i poezji. Ale Vernet nie odważyłby się wziąć za przedmiot transfiguracji lub innej cudowności tej sfery i w wykonaniu by upadł. Prawy syn wieku czuje do czego jest powołanym; natchnieniu nikt rozkazywać nie może, a on wie czego od niego czas wymaga i jakim go natchnieniem nagradza. Ale Vernet to wielki poeta, nie zaciągnął się pod chorągwie sztuki, aby retrogradować postęp i wynajmować gieniusz swój za służalca namiętnościom obskurantyzmu.

— P. Kraszewski jednego Overbecka passuje na godnego ilustratora ks. Hołowińskiego — ale jakaż tu przepaść pomiędzy ich obrazkami!

Overbeck jest zjawiskiem, jakie się tylko w excentrycznych szczepu giermańskiego artystach czasami trafia. U tych cześć sztuki zastępuje często miejsce religii i w nią się czasem przetwarza. Lecz tu przecież nie możemy posądzać nikogo, jakim takim smakiem obdarzonego, aby czią dla formy i części poetycznej poematu ks. Hołowińskiego chciał natchnąć cześć samej istoty.

Overbeck, uwielbiany dla formy, dla przesiąknię-



cia naiwną wiarą i duchem dawniej sztuki, jest jak owo lekkie *fata morgana* z średnich wieków, i gdy zniknie jak ono, w potomności odniesiony będzie na powrót w przeszłości kilkaset lat w tył—gdzie właściwa jego duchowa społeczność. Overbeckowi wszystko można przebaczyć, i niezrozumienie ducha czasu, i zbytnią cześć dla sztuki i cały excentryzm — a to przez jego niezaprzeczonego talent. Ale śmiemy zaręczyć iż on nie illustrowałby poematu księdza Hołowińskiego.—To zmysłowe materjalne lubowanie się zewnątrzniemi rysami obrazków, ta rozmyślna suppressja ducha, nawet w najwznioślejszych ustępach przemówiłyby chyba do talentów Watteau, Boucher'a, Prudhona, Greuzego, gdyby ci kiedy podobne przedmioty malować zachcieli.

Przyznam się iż nas, którzy z takim jesteśmy uwielbieniem dla zasług i talentów autora Dzieciątka Jezus, boleśnie przygniotło to obrazowanie w jego poemacie, które tak ubóstwia pan Kraszewski. Czytając zdało nam się że tchu, że nam powietrza braknie, że nie widzimy nad sobą jasnego, swobodnego nieba, ale jakies duszne sklepienie pomalowane w nieudatne obłoki i allegoryczne obrazy kar i nagród. Chcieliśmy wyjść co prędzej i odetchnąć świeżem tchnieniem a i to niestety można było tylko w miejscach zupełnej modernizacji poematu—w opisach samej martwej przyrody — i miejsca te były podobne do tureckich obrazów, na których jest wszystko—prócz żyjących postaci. Owe podania przedstawiane w podobny sposób nie wydały nam się *kwiatami zerwanemi w dolinach Judei na najpiękniejszą wiązanke czystą, jasnych barw i świeżej woni, którą można zło-*

żyć na ołtarzu, tak ma niezwiędłe w sobie kwiaty» (\*) Ale nam się raczej zdały owym sztucznym i dzikim bukietem lepionym z kolorowego papieru i świecideł, jakie po skromnych chatach biedni ciemnotą parafianie przechowują i święcą. — Oni w tych jaskrawych barwach i cudactwie nie widzą profanacyi Bóstwa i ofiary fałszywych błyskotek, nie doznają bolesnego wrażenia poniżenia ducha. Śpi ich myśl, ale nacóż mamy naszą rzucać w letarg, śpiewając jej monotonną piosenkę o panowaniu zmysłów — bierném posłuszeństwie rozumu uczuciom i negacji woli.

W przypiskach na końcu Dzieciątka Jezus, ksiądz Hołowiński daje wiadomość o poemacie jezuitę Cewy, pod tytułem *Puer Jesus*. Utwór ten jakkolwiek różny rozwinięciem, układem zupełnie odmienny, duchem jednak, to jest wyłączną zewnętrznnością, materjalném lubowaniem się, suppresją woli i rozumu ma też samą dążność, — tenże kierunek. Nie mamy zamiaru szczegółowego rozbierania różnic wad i pojedynczych zalet obu tych poematów — co z samego siebie zbytby było rzeczą trudną; dodamy tu jeszcze tylko kilka ulotnych uwag.

Jezuita Cewa bądź co bądź postanowił utworzyć epopieję, nie był więc skrupulatnym w wybieraniu postaci i faktów z mitologii, fantazji, gdzie się zdarzyło. Nie zgrzeszył jednakże przeciwko zasadom ortodoksyjnym, boć nawet jego poemat staraniem jezui-

(\*) Karta 168 Bibl. Warsz. za Lipiec r. b.

itów bawarskich niedawno na nowo przedrukowanym został. Poemat ten ma wszystkie cechy, a raczej ściśle sporządzony jest według recepty na epopeję przeszłowiecznych klasyków retoryków. Nie brakuje tam całego aparatu *Deus ex machina*, epizodów, nawet nieodzownej odezwy, jakby kalkowanej z «*Arma virumque cano*» etc.

A jednak Ceva był poetą, dykcją i pomysłem często zdradzał swobodę natchnienia godniejszą swego powołania.

Poemat ks. Hołowińskiego zupełnie w innej się mieści kategorii, — a choć zręcznie ukryty szatą prostoty i wierności podaniom, cel i dążenie ma zgodne z dążeniem Cevy Jezuity i w tym zręczniejszy bo cichszy a pewniejszy skutku.

Wszystkie postacie ks. Hołowińskiego są pozbawione najmniejszej siły, samodzielności — i w tym wszystkie są do siebie podobne, wszystkie od początku do końca oddychają tylko negacją samoistności, ubóstwieniem bezwładności, zupełnym zaparciem się indywidualności a poddaniem się jakowemuś *fatum*; wszystkim tym postaciom bez wyjątku brak godności moralnej. Nie takim cześć nasza wystawia sobie Zbawiciela dziecięciem. Zrodzony w prześladowaniu i niedostatku, od przedświtu swej boskości już się wznioslejszym z wewnętrznego rozwijania siły duszy musiał ukazywać. Boskość ta musiała się bardziej podmiotowo objawić, i niegłówną jej cechą były zewnętrzne cuda. Właśnie to jest cechą nieporównaną tej olbrzymiej wszystkich wieków świętością figury, że całe życie tworzące jedną, wielką, harmonijną ca-

łość, ani na wyraz od głównego celu nigdy nie zbaczało. Wszystkie cuda Zbawiciela, o jakich tylko mamy  *pewne podania*, dążyły do ulżenia niedoli lub do oświaty ludzi. Nie mamy śladu ani o jednym cudzie uczynionym dla samej ostentacyi lub dowodu. Cudowność więc Jezusa zupełnie w innym charakterze w obręb sztuki powinna była być wciągnięta, nie jak to ks. Hołowiński czyni, nadając coś nakszałt mitologiczno-igraszkowej barwy.

Cześć, którą pałamy dla Boga dziecięcia, każe nam w nim więcej widzieć nad owego  *»rajskiego chłopczyka«* bawiącego się spólnie z Stym Janem strojeniem baranka i bieganiem po górach i dolinach. A cóż dopiero rzecz o Józefie, którego jedyną cechę umiał autor wynaleść w owej bierności, braku wszelkiego ducha i odwiecznym do znudzenia powtarzanym a nic nie mającym moralnie, epitecie  *»starego«* Albo tej cudownej postaci Matki Boga, upadającej pod brzemieniem przeczucia wielkości swojego syna! Nakoniec to i Kraszewskiego uderzyło, że ją autor mianuje z całym ceremonialnym przyborem—królową kwiatów!!

Sam szanowny autor poematowi swemu nadał skromny tytuł opowiadania; ustępów nawet nie nazwał pieśniami. Rzeczywiście byłaby to skromna ortodoksyjna idylla średnio-wieczna, gdyby był nieprzekroczył granic jakie sobie założył, i jakie w przypiskach przedstawia, i gdyby nie pretensja czegoś więcej, co pieśnią  *»widzenie«* wyraźnie objawił.

Pominąwszy już Popego Messiasza, który właściwie jest także idyllą, i Venturyniego niedołączny romans z życia Chrystusa, dziwna rzecz że ks. Hołowiński

ski nie wspomniał wcale o dwóch potężnych, i przez bardzo odległą styczność zbliżających się poematach do jego treści. Mówię tu o Miltonie i Klopstoku.

Autor Dzieciątka Jezus, niespominając o nich wcale wyrzucił je za obręb swęj dziedziny, a rozwijając w teoryi nowe prawa traktowania tak wzniosłego przedmiotu, ubocznie potępił tych obu kolosalnych wieszczów. Autor Dzieciątka Jezus do poezyj religijnej zdaje się nawet wprowadzać owę surową ortodoksyjną zasadę *«et ubique et ab omnibus credendum.»* Nakazując ściśle trzymać się prawdy podań — nowych tworzyć zabrania. Do podań zaś przyjmuje wszelkie podania religijne ludu i nadaje im sankcję. To znowu dalej przyjmując je, radzi próbować gustem i czuciem poety — tak więc owa surowość rozsiała się w aż nazbyt rozległych i wygodnych granicach. Dobrze jednak, że i tę klauzulę położył, może bardzoby się zdziwił Ks. Hołowiński słysząc religijne w wielu miejscach podania ludu, natchnione wyraźnie albo szczątkami przedchrześcijańskiej mitologii, albo panteistycznej poezji wiecznie tworzącego ludu. I jedno i drugie wbrew jest przeciwne ewangelizmowi, jakkolwiek temu autor przeczy.

Pominąwszy jednak ten nawias, utworzywszy sobie raz nowe prawa estetyczne, trzeba było pozostać im wiernym. Nieodstępując ani na jotę od tradycji, nie tworząc nowych, nie puszczając się na pole fantazji, utworzyłaby się wtedy z tego tematu dramatyczna legenda, lub jak spomniałem — skromna religijna idylla, jak ich lepiej lub gorzej wierszowanych nie braknie w żadnej literaturze. Gdyby przytem

edycja nie była tak wystawną, a zatem przystępnej ceny, wierzylibyśmy p. Kraszewskiemu, że książka ta stałaby się w krótkim czasie nadpodziw popularną. Wtedy przysługa ks. Hołowińskiego byłaby nieocenioną; albowiem upowszechniając czysty język, logiczniejsze pojęcia, łatwe i ładne obrazki, oczyszczałyby tym sposobem czucie i smak ludu.

Do wyższych dążeń brakuje tu zupełnie pojęcia ogółu i natchnienia.

Trzeba przeczytać skromną powiastkę Anna Marji «Dusza na wygnaniu» aby pojąć co to jest umiejętne traktowanie podobnych przedmiotów. I komuż z nas łzy mimowolnie nie cisnęły się do oczu, odczytując tam ów obraz patriarchalnego życia i uczuć — przeglądając ową sferę cudów, wiary i poezji. Ale tam autor nie przestawał na malowaniu samych zewnętrznych rysów — zamiast umyślnego zasłaniania grubym zmysłowości kolorytem wszelkiej duchowości, on duszę naszą na swobodnych skrzydłach natchnienia razem z sobą do nieba unosił. I tamta mała objętością, ale niewyczerpana uczuciem książeczka jest kwiatem, który na stosownym czasie gruncie posadzony, ślicznie się rozwinął i w każdego czytelnika sercu owoc wyda — bo nie jest gwałtem przeszczepiony z innej epoki, innych pojęć i uczuć — nie jest niezrozumiały dla myśli i czucia. Kościół katolicki nie stanowi nieruchomości kamiennych podań, owszém w ciągłym organicznym rozwoju, dozwala w nowym oglądać ją świetle, jakkolwiek ducha ich niezmienia, bo to się zmienić nie może. Ci, którzy się od kościoła katolickiego odrywali, właśnie powoływali się na Jakowys przedhistoryczny chrystjanizm, którego kon-

strukcją najczęściej równie dowolnie i nie historycznie tworzyli, jak filozofowie ów tyle głośny pierwotny stan naturalny człowieczeństwa.

Już młodzieńcze, świeże życie wieków średnich zwalczone zostało od analitycznego, naukowego życia nowożytności. Co w wiekach średnich żyło i wykształcało się cichemi siłami pośród ludu, to lud czerpał a to dziś stało się uniwersalną wiedzą i własnością — pismo, litera, zwalczyły wiarę i ducha natchnienia.

Teologia, którą wieki średnie w świętej prostocie jako uczucie apodyktycznej prawdy pełniły, już przez scholastyczność stała się przedmiotem sporów szkolnych. Jakżeżby więc dziś samo uczucie miało znów brać górę nad wszystkim — jakimby sposobem miało dobić się panowania? Cucie samo jest tylko biernym w krainie wiedzy czystej, bez której nic rzeczywistego istnieć nie może.

Jakże przyjść do przeświadczenia o bycie? Przez czucie? (mniejsza zresztą jak rodzaj tego czucia nazwiemy). Ależ czucie bez stosunku z istotą jest tylko fenomenem! — Nie idea? Ależ idea istoty równie jak idea ducha, są nicością i tym samym niszczą byt istoty odpowiedniej. Pozostaną więc tylko obrazy, fantastyczne złudzenia, uczucia, a świat cały rozczerwiera się w jednej niezmierzonej i niepokonanej iluzji.

Tylko materializm śmie uczyć takiej potęgi uczuć i zmysłów.

O myśli! czysta i silna, ty jedna jesteś wszechwładną! wszystko gnie się pod twojemi prawami i nic twojej potęgi nie ujdzie. Dozwolisz czasem czło-

wiekowi zbłąkać się w obszary błędów i dziwactw, ale on z tobą tylko błąkać się może. Bez ciebie nie wyszedłby ze spoczynku. Co mówię! niezdolny twierdzenia ani zaprzeczania, nie byłby człowiekiem ani zwierzęciem, nie byłby niczém, od ciebie zależy istnienie przez wszystkie szczeble skali bytu. Nawet ten, kto twojej potęgi nieuznaje, od ciebie czerpie i błąd swój; i kiedy nieuznając cię dochodzi do nieuznawania wszystkiego, i w tej negacji wszystkiego, zdaje mu się, iż stał się niezwalczonym, ty zmuszasz uznać się w twój wieczystej realności. Spirytualizm cały zależy na dobrém zrozumieniu cię, bo i któżby zrozumiawszy mógł się zapierać twój władzy.

Gdzież jest materializm, jeżeli nie w owych pojęciach człowieka pozbawionego władzy myślenia, a będącego jedynie zmysłami i wyobraźnią? Takimi byli żydzi i poganie pod względem moralnym i politycznym, i ztąd u nich wypływała konieczność nietolerancyi. Pojęcia te panowały wszechwładnie a całe człowieczeństwo działało tylko przez zewnętrzną cielesną formę. Chrystjanizm dopiero przełamał te granice i za główne dobra duszy — posiadanie Boga w swój duszy obiecał. Nie mogąc się ukonstytuować aż po zupełném rozwiązaniu pogańskich i żydowskich społeczeństw, późno dopiero, bo w długie wieki po Chrystusie, ukonstytuował się, kładąc za zasadę: swobodę sumienia. Niechże nam już raz przestaną zachwalać średnie wieki, ów ocean barbarzyństwa. Było to tylko panowanie przesądów, ciemnoty, ucisku i nędzy. Patrzenie jak ci przeciwnicy spirytualizmu, chcąc sobie zdać jakąśkolwiek sprawę z tego co my ślą, de Maistre, Bonald, Lamennais i ich uczniowie,



zmuszeni są w ostatecznym wypadku odnawiać zmysłowy sceptycyzm Montaign'a, Hueta — Pyrrhonizm! Utrzymują w ostatnim wypadku, że człowiek jedynie przez uczucie wiedzieć coś może! Na co im się zda rozprawiać ciągle aż do przesytu o Bogu, o dobrach wieczystych, o duszy; w ustach ich są to słowa, nic więcej; razem z temi słowami coraz głębiej grzną w materjalizmie. A wygodnie też to obalić rozum, aby pod płaszczem obrzydłej hipokryzyi ukryć egoizm i żądze! Wyzywać imienia Boga aby go się zapierać! Używać siły i gwałtu na sumienia, co jest cechą materjalizmu. — Spirytualizm walczy tylko słowem przekonania.

Przebacz kochany redaktorze, że mnie jakiś zapal uniósł tak daleko od głównego przedmiotu — ale co już raz wyrzeczone niech tkwi, niechcąc tego odwoływać, wracam znowu do pierwszego przedmiotu.

Nieodżałowaną jest rzeczą, że ks. Hołowiński z większym cokolwiek pobłażaniem nie wejrzał na Messiadę Klopstoka. Obdarzony talentem byłby niewątpliwie ze studiów nad Messiadą nieskończenie wiele korzystał. Dziwnym przypadkiem w poemacie Ks. Hołowińskiego napotyka się jedne z głównych piękności, które w podobny sposób są drobniejszemi klejnotami Messiadę np. Klopstok opisując Zbawiciela udającego się na modlitwę, na górę oliwną:

„Ringsum nahmen ihn Palmen ins Kühle. Gelindere Lüfte,  
Gleich dem Säuseln der Gegenwart Gottes, umflossen sein Antlitz.“

w Dzieciątku Jezus podobny napotykanym wiersz, jeden z najpiękniejszych;

Tędy widzialną Bóg obecność swoje

(\*) Spuszczał na cieplém wianiu południowém.

Więcej przejąwszy się wzniosłością Klopstoka, je-  
dynego mistrza tego rodzaju poezji, byłby zapewne  
ks. Hołowiński zamiast odezwy na początku pieśni  
Dolina Terebintu—lub owego prologu czy apostrofy  
na czele poematu — umieścił coś podobnego do te-  
go znanego i nieporównanego potęgą religijnego na-  
tchnienia:

Der Seraph stammelt, und die Unendlichkeit

Bebt durch den Umkreis ihrer Gefilde nach.

Dein hohes Lob, o Sohn! wer bin ich,

Dass ich mich auch in die Jubel dränge?

Vom Staube Staub! Doch wohnt ein Unsterblicher,

Von hoher Abkunft in den Verwesungen,

Und denkt Gedanken, dass Entzückung

Durch die erschütterte Nerve schauert.

Ale tu jest trochę więcej jak miniaturowane lu-  
bowanie się obrazkiem kąpieli.

Przecież Herderowi, Miltonowi, Klopstokowi nikt  
ani prawego uczucia, ani braku religijnego natchnie-  
nia nie zarzuci. A za swe usiłowania zasługują na  
cześć, jaka się należy wszystkim, którzy poezją, bie-  
dne nasze dusze od obrazów czysto zmysłowych ode-  
rwać usiłują i na skrzydłach gienjuszu unoszą nas  
w sfery prawdziwej religijności.

Nasza nawet literatura, którą p. Kraszewski tak  
spotwarzył, posiada wzory poezji małych objętością,  
ale wielkich wykonaniem — gdzie obok prawdziwej  
religijności, artyzm zgodny z postępem wieku zapewni  
ich autorom trwałe, niezapomniane miejsce w litera-

(\*) Z Genesis Concord. Bibl.

turze i w sercu tych czytelników, którzy ani w Cewie ani w ich naśladowcach zbawienia nie widzą (\*).

Nieprzesycając cię kochany Redaktorze dłuższymi uwagami, kończę zapewnieniem i t. d. i t. d.

F. N. J.

---

(\*). Jedynie tylko w czystej miłości Boga, objawionej prawdziwą miłością bliźniego. Przyp. Red.

---

Drukarnia pod firmą Juliana Kaczmarskiego przy ulicy Długiej Nr 543, podejmując nakład i zobowiązując się do pomyślnego wydania następujących artykułów, podejmuje zarazem całą czynność pieczętowania i wszelkie pióroszkie porachunki własne.

Sprostowanie ważniejszej pomyłki druku: na str. 27 zamiast *Krzemińskiego* winno być *Korzeniowskiego*.

Dalej, na okładkach: numer mojego pomieszkania 467 lit: B: (przy ulicy Senatorskiej i t. d.): zmienić należy na: Ner 609 przy ulicy Bielańskiej.

Drukarnia pod firmą Juljana Kaczanowskiego przy ulicy Długiej Nro 543, podejmując nakład i zobowiązując się do pospiesznego wydania następnych poszytów, podejmuje zarazem całą czynność materialną — samem przyjmuje przedpłatę i wszelkie pieniężne porachunki ułatwia. Au: Wi:

Pierwsza prelekcja historii cywilizacji  
francuskiej

GUIZOTA (\*).

*Panowie!*

Wielu z was przypomina sobie przedmiot i naturę przed kilku miesiącami ukończonego kursu. Był bardzo ogólnym i pospiesznym. Usiłowałem w krótkim przeciągu czasu stawić przed oczy wasze obraz

(\*) W roku 1828 i 9 wykładał Guizot à la Faculté des lettres de Paris, historją cywilizacji ogólnej w Europie. Zebrane odczyty liczne rozpowszechniły wydania. Na polski język przełożył je p. Feliks Bentkowski w bibliotece zagranicznej. W następnym 1829 i 30 roku wykładał historją cywilizacji francuskiej, z której pierwszą prelekcją przytaczamy w tłumaczeniu.

cywilizacji europejskiej: przebiegałem że tak powiem, z wierzchołka na wierzchołek, ograniczając się faktami ogólnymi i twierdzeniami, wystawiając się na niebezpieczeństwo niezrozumiałości i na brak wiary.

Wiadomo wam panowie, że konieczność zmusiła mnie do obrania takowej metody: mimo tego jednak nie byłbym się jej chwycił, gdybym nieprzewidywał, że w kursie następnym jej niedogodnościom zaradzę, gdybym sobie nie założył już w ówczas zapewnienia wymiarów jakie nakreśliłem, do prowadzenia was tą samą drogą pilnego badania faktów, do wypadków ogólnych, jakie wówczas przedstawiłem. Ten zamiar uskuteczniam obecnie.

Dla dopięcia zamiaru mógłbym dwojakięj metody użyć: albo rozpocząć na nowo kurs zeszłoroczny wykładem historii powszechnej cywilizacji europejskiej, opowiadając w szczegółach to, co wówczas ogólnie tylko podałem, postępując wolnym krokiem w zawodzie bez wytchnienia przebieżonym,—albo obrać za przedmiot wykładu, cywilizacją jednego szczególnego kraju lub narodu, i ograniczyć pole mych badań dla tem dokładniejszego ich poznania.

Pierwsza z tych metod zawiera wiele niedogodności; w tak obszernęj historii byłoby rzeczą trudną jeżeli nie niepodobną, utrzymać jakąkolwiek jedność. Przekonaliśmy się w roku zeszłym, że w cywilizacji Europy jest rzeczywista jedność, jawiąca się w faktach ogólnych, w wypadkach wielkich. Potrzeba wzlecieć po nad góry aby stracić z wzroku nierówności powierzchni ziemi; aby odkryć charakter ogólny, prawdziwą a jednolitą fizjonomiją kraju. Zszedłszy z krainy ogólnych widoków w pojedyncze miej-

scowe odcienia, znika natychmiast owa jedność, powstaje różnorodność zdarzeń, przyczyn i skutków. Wielką jest dalej tej metody niedogodnością, ogrom i różnorodność wiadomości wymaganych tak ze strony mówiącego jak i słuchających. Ktokolwiek zechce skreślić dokładnie bieg cywilizacji europejskiej, powinien mieć gruntowną znajomość nie tylko natury wypadków zaszłych w rozmaitych narodach, czyli właściwej historii, lecz ich języków, literatury, filozofii, wszelkich wreszcie odcieni ich bytu. Praca za wielka w porównaniu z długością życia i miarą objęcia ludzkiego.

Zdało mi się panowie, że wpatrując się w cywilizację jednego z wielkich krajów Europy, dojdę prędzej do celu jaki sobie założyłem. Naówczas jedność wykładu da się pogodzić z szczegółami. W każdym bowiem narodzie istnieje pewna jedność moralna wynikająca ze wspólności obyczajów, praw, języka i zdarzeń, cechująca jego cywilizację. Można tu śledzić fakt za faktem nie tracąc z widoku ogółu. Wreszcie wówczas łatwiej znaleźć odpowiednie tej pracy zdolności.

Przedsięwziąłem obrać tę ostatnią metodę. Opuzczam historję ogólnej cywilizacji wszystkich europejskich narodów, które się do jej rozwinięcia przyczyniły, obierając za przedmiot jedną wyłączną cywilizację mogącą być pomimo zachodzących różnic, wiernym obrazem wielkiego przeznaczenia Europy.

Tak postąpiwszy z wyborem metody, wahać się długo nad wyborem kraju niemogłem, obrałem historję cywilizacji francuzkiej. Nie zapieram się, że mi to sprawiło rodzaj ukontentowania, byłbym jednak tego

nieuczynił, gdyby inna historja w Europie zdawała mi się większą, więcej nauczającą, zdolniejszą wreszcie przedstawić bieg ogólnej cywilizacji. Obierając Francję mam po sobie słusność. Oddawna bowiem opinija publiczna głosi, że Francja jest najwięcej ucywilizowanym krajem, oddawna głos czystej prawdy niezmaconej narodowemi uprzedzeniami, wyrzekł, że ta cywilizacja jest najzupełniejszą, najwięcej zdolną się udzielać, najgodniejszą zwracać uwagę Europy.

Niemniemajcie panowie, że ta wyższość naszego kraju, zasada się jedynie na uprzyjemnieniu stosunków towarzyskich, na powabie obyczajów, na swém łątwém i ożywioném obejściu, — fakt o którym mówię, ma daleko ogólniejsze i głębsze przyczyny: nie należy go nawet szukać, ani w owém arystokratycznym społecznieniu wieku Ludwika XIV, ani w gminowładnej ostatnich czasów fermentacji. Pierwszeństwo przyznane przez opinię publiczną cywilizacji francuskiej usprawiedliwia się filozoficznie, jestto wypadek instynktowego, jakkolwiek nie jasnego, lecz gruntownego sądu o naturze cywilizacji w ogóle i o jej prawdziwych żywiołach.

Rozpoczynając kurs zeszlóroczny skreśliłem znaczenie wyrazu „*cywilizacja*.» Badałem jak go pojmuje rozsądek powszedni. Z uznania powszechnego przyszedłem do przekonania, że cywilizacja zawisła szczególnie na dwóch faktach: na rozwinięciu stanu towarzyskiego i intelektualnego; na rozwinięciu położenia zewnętrznego, ogólnego i na ulepszeniu natury wewnętrznej, osobistej człowieka, jednem słowem na ukształceniu towarzystwa i ludzkości: te dwa żywioły nie tylko że stanowią istotę



cywilizacji, lecz ich współczesna obecność, ściśle i prędkie połączenie, zobopólne oddziaływanie, są nieodzowne dla jej ukształcenia. Wskazałem, że gdy nawet nie objawiają się współcześnie, gdy rozwinięcie towarzystwa lub ludzkości, wyprzedzają się w historii, nie znosi to przecież prawa ich wzajemnej zawisłości, a pierwszy z nich wywołuje w następstwie drugi. Rozłączone, bez związku wzajemnego, przykre na widzach sprawiają wrażenia. Świat czuje wówczas jakowąś tęsknotę i niezupełność. Gdy w kraju jakim okażą się znakomite reformy towarzyskie, wielki postęp materialny bez współczesnego rozwinięcia intelektualnego, bez podobnego postępu w umysłach, ulepszenie wówczas zdaje się wyżebranem, niewytłómaczonem. Ludzie zapytują się jakie go myśli ogólne wywołują i usprawiedliwiają, chcą mieć rękojmię, że się nie ograniczy na kilku pokoleniach, na pewnej przestrzeni, że się udzieli, rozszerzy, stanie zdobyczą wszystkich ludów. Uwaga powszechna zwraca się wówczas ku krainie myśli, bo za ich jedynie pośrednictwem, na skrzydłach nauk ulepszenia towarzyskie rozpowszechniać się mogą. Myśli unoszą się nad przestrzeniami, przebywają morza, zyskują wszędzie prawo obywatelstwa. Taką jest wreszcie szlachetna natura ludzkości, że nie może scierpieć wielkiego rozwinięcia siły materialnej bez wpływu i przewodnictwa siły moralnej; jest coś upokarzającego w dobrym bycie materialnym dopóki nie zrodzi innych owoców nad materialne, dopóki nie stawi umysłu człowieka na równi z jego przeznaczeniem.

I wzajemnie, niech rozbłyśnie gdziekolwiek roz-

winięcie myślowe, bez stosownego postępu towarzyskiego, zdziwi i zniechęci natychmiast wszystkich. Będzie to piękne drzewo nierodzące owoców, słońce, które nieogrzewa i nieupładnia. Myśli jałowe, nieużyzniające świata zewnętrznego staną się przedmiotem wzgardy, ludzie zwątpią o ich rozumowej wartości, odmówią niedołącznym prawa przewodniczenia działającej ludzkości.

Takiem jest powołanie człowieka, wcielać myśli w czyny, urządzać i upiększać świat, który zamieszkuje, wedle prawdy którą pojmuje, łączyć dwa wielkie żywioły cywilizacji rozwinięcie towarzyskie i myślowe w całym ciągu żywota historycznego.

Spojrzymy teraz z tego stanowiska na rozmaite kraje Europy, szukajmy cechujących znamion pojedynczych cywilizacji, a stawiając wypadki badań obok wyżej wymienionych zasad, przekonajmy się, którego narodu cywilizacja jest najzupełniejszą, najogólniejszą najgodniej przedstawiającą historję Europy w całości.

Zaczynam od Anglii. Cywilizacja angielska rozwijała się widocznie w kierunku towarzyskiego udoskonalenia, w kierunku ulepszenia sytuacji zewnętrznej publicznej mieszkańców;— dążyła wprawdzie i do poprawy położenia moralnego, do wprowadzenia w społeczeństwo sprawiedliwości i szczęścia, w ogóle jednak rozwinięcie towarzyskie szczególnie w Anglii zakwitło, stosunki socjalne ważniejszy tam wpływ wywarły jak myśli ogólne, naród okazał się wyższym jak człowiek. Filozofowie nawet, poświęcający się wyłącznie uprawie myśli, Bacon, Locke i inni, należą wszyscy do szkoły filozofji tak zwanęj praktycznej; dążą szczególnie do bezpośrednich i stałych,

wypadków, nie uwodzą się ani mamidłami wyobraźni, ani wywodami logiki. Mają wszyscy geniusz rozsądku. Zwracam me spojrzenie na czasy największej czynności intelektualnej Anglii, na epoki szczególnie ruchowi umysłowemu poświęcone, na owo wielkie polityczno-religijne przesilenie w XVI i XVII wieku. Komuż jest obcą ówczesna walka umysłów w Anglii? Któż mi jednak powie, jaki wielki system filozoficzny, jakie nauki socjalne, europejskie, ruch ten wywołał? Wywarł niezmierne, podziwienia godne skutki, ustanowił prawa, ustalił obyczaje, działał przeważnie i za stronę duchową człowieka, porodził sekty, zapalił entuzjastów, nie wzniosł jednakże i nie powiększył widnokregu umysłu ludzkiego, nie zapalił ani jednej myślowej pochodni, któraby całą epokę oświecała. W żadnym kraju nie przywiązują może więcej ważności do przekonań religijnych jak w Anglii, takowe jednak zawsze były praktyczne, wywarły wpływ wielki na postępowanie, na szczęście, uczucia indywidualne, zrodzić jednak nie mogły wypadków socjalnych, któreby obchodziły stronę intelektualną ludzkości, — poglądając na tę cywilizację z jakiegobądź punktu widzenia, przyznać jej trzeba charakter wyłącznie praktyczny, socjalny. W literaturze nawet znamię praktyki widocznie się przebija. Wiadomo, że Anglicy nieumieją pisać dzieł rozumowo i estetycznie obrobionych, doskonałość sztuki i formy nie uderzy wyobraźni czytelnika. Jestto słaba strona dzieł pisarzy angielskich. Za to celują jasnością wykładu, dokładnem obejrzeniem przedmiotu, oczywistością rozsądku, wszelkiemi wreszcie sposobami sprawiania efektów praktycznych. Język angielski

ski ma ten sam charakter. Nie jest to język systematyczny, prawidłowy, pożycza wyrazów z najrozmaitszych źródeł, nie troszcząc się o symetrię ani o harmoniję. Zbývá mu widocznie na tój ogładzie, na tój logicznój piękności greckiego i łacińskiego. Mimo to jednak jest bogatym, giętkim, odpowiada wszelkim zewnętrznym potrzebom. Zasada użyteczności, zastosowania panująca wszędzie w Anglii, stanowi fizjonomiją i potęgę jój cywilizacji.

Z Anglii przechodzę do Niemiec. Późno i zwolna rozwijała się tu cywilizacja. Grubość obyczajów niemieckich była od wieków w przysłowiu. Śledząc jednak pod tą zasłoną porównawczego rozwijania się dwóch głównych żywiołów cywilizacji, przekonamy się, że postęp myślowy wyprzedzał i przewyższał w Niemczech rozwinięcie towarzyskie. Umysł ludzki w świetniejszym był stanie jak położenie człowieka. Porównawszy stan myślowy reformatorów niemieckich XVI wieku, Lutra, Melanctona, Bucera i innych, porównawszy mowę ducha ich dzieł z współczesnymi obyczajami narodu, jakaż okaże się nierówność! Jak niezgodne są myśli Leibnica, dzieła jego uczniów i uniwersytetów niemieckich z obyczajami panującymi wówczas nie tylko pomiędzy ludem, lecz i w klassach wyższych. Jakaż sprzeczność uderza nas czytając pisma filozofów i pamiętniki malujące dwór elektorów brandeburskiego lub bawarskiego. W ostatnich czasach ta sprzeczność jeszcze jest większą. Wiadomo teraz powszechnie, że w Niemczech porządek myślowy i rzeczywisty są w zupełném rozłączeniu. Komuż jest obcą czynność umysłowa Niemiec od lat 50 na polu historii, filozofii, lite-

ratury i poezji? można wprawdzie nadmienić, że kierunek jej rozwinięcia nie był zawsze najlepszym, można zaprzeczyć jej ostatecznych wypadków, przyznać jednak należy energję i wszechstronność rozwinięcia. Za to stan towarzyski, położenie publiczne, poszło w zaniedbanie. Znamieniem cechującym wszelkie pomniki umysłu w Niemczech, poezji, filozofii, historji, jest brak znajomości świata zewnętrznego, brak rzeczywistości. Świat i ludzie nie wywierają tu wpływu na dzieła uczonych. Zapaleńcy lub dialektycy zamknąwszy się w sobie, żyją tylko z swemi myślami.

Włochy przedstawiają inny zupełnie widok. Cywilizacja włoska nie jest ani wyłącznie praktyczną jak angielska, ani wyłącznie myślową jak niemiecka. Zjawiały się tam i wielkie udoskonalenia umysłu indywidualnego i wielkie zdolności praktyczne. Nieraz świetnie i człowiek i towarzystwo się rozwinęły. Włosi celowali w naukach ścisłych; w sztukach, w filozofii i w praktycznego życia znajomości. Wprawdzie oddawna ten podwójny postęp zdaje się być zatamowanym, działalność umysłu ludzkiego i towarzystwa zdaje się być sparaliżowana, wpatrzywszy się jednak w to zjawisko zbliżka, ujrzymy że to nie jest bynajmniej skutkiem niezdolności narodowej. Państwa ościenne za wielki wpływ na Włochy wywierają. Jest to kwiat piękny usiłujący się rozwinąć, zimną a nieczułą ściskany ręką. Nie zginęły we Włoszech ani zdolności umysłowe, ani polityczne, nie dostawało im jednak i niedostaje zawsze tego, co stanowi główną zasadę wszelkiej cywilizacji: wiary w prawdę. Przez wiarę rozumiem tutaj owę ufność

w prawdę rządzącą, że myśl ludzka może na niej polegać i rządy świata i czynów przekazać. Człowiek wszedłszy przez to uczucie w posiadanie prawdy, czuje się powołanym do przeprowadzenia jej w czyny zewnętrzne. Tego właśnie uczucia brakowało zawsze we Włoszech. Szczyciła się wielkimi umysłami, ideami ogólnymi i ludźmi rzadkich zdolności praktycznych, lecz dwie te klasy ludzi oddzielnie zawsze postępowały: ludzie myślący nie czuli się upoważnionymi do rządzenia towarzystwem,—wierząc w prawdę swych zasad, zwątpili o ich sile. Ludzie znowu praktyczni, rządzący krajem, nie śledzili biegu myśli ogólnych, nieusilowali nigdy sprowadzić do pewnych zasad, zaszłych pod ich panowaniem wypadków. I jedni i drudzy niewiedzieli, że uznanie prawdy niezupełnia jeszcze jej przeznaczenia. Brak tego przeświadczenia, udaremniwszy tyle pięknych zdolności, przypisał cywilizację włoską o bezpłodność.

Jest jeszcze kraj wielki, o którym mówię jedynie przez wzgląd na jego szlachetnych i nieszczęśliwych mieszkańców. Ani wielkich umysłów, ani wielkich zdarzeń niebrakło Hiszpanji. Pierwiastek myślowy i praktyczny nieraz tu w całym zajaśniały blasku, lecz były to fakta odosobnione, rozrzucone tu i ówdzie po historii hiszpańskiej, jak palmy w pustyni. Niepodobna prawie dopatrzeć charakteru zasadniczego, postępu ogólnego i ciągłego w tej cywilizacji. Jest to uroczysta nieruchomość, lub bezowocnych zmian pasmo. Nieprzekazała Europie Hiszpanija ani myśli wielkich, ani ulepszeń towarzyskich. Ten naród żył odosobniony od Europy, mało od niej wziął,

nie wiele też oddał. Cywilizacja ta niema prawie żadnego znaczenia.

Widzicie panowie, że w żadnym z tych czterech narodów niepodobna dopatrzeć zasady prawdziwej cywilizacji, owego ściśłego, nagłego zjednoczenia w rozwijaniu się towarzystwa i ludzkości.

Rzecz ma się zupełnie inaczej z Francją. Tu postęp myślowy odpowiadał zawsze towarzyskiemu. Wszelkie zamieszania, wstrząśnienia i ulepszenia publiczne wywoływały zawsze teorje i myśli. Nauki zbogacały się wypadkami świata zewnętrznego, wypadki odbijały się w pojęciach naukowych. W ogóle jednak we Francji porządek myślowy przodkował i wywoływał postępy na drodze towarzyskiej. Wszelkie reformy socjalne wyrabiały się wprzód na łonie nauk, za nim świat urządzić zaczęły, a rozum przewodził postępowi cywilizacji. To podwójne znamię czynności myślowej i zdolności praktycznych, rozmyślenia i stosowania, cechuje wszystkie wielkie zdarzenia historii francuskiej, oznacza wszelkie klasy towarzystwa nadając im właściwe i odrębne piętno.

Na początku XII wieku nadchodzi chwila wyswobodzenia miast, ów wielki bez zaprzeczenia w stanie towarzyskim postęp. W tym samym czasie objawia się dążenie do wyswobodzenia myśli. Abeilard jest współczesnym mieszczan z Laon i Vezelay. Pierwsze starcie swobodnych myślicieli z jedynowładztwem intelektualnem, zachodzi współcześnie z walką mieszczan o swobodę publiczną. Wprawdzie te dwa wielkie zdarzenia były sobie zupełnie obce, filozofowie pogardzali zbuntowanymi mieszczanami, uważali ich za barbarzyńców, wzajemnie mieszczanie mówili o filozofach, jak

o heretykach: mimo to jednak podwójny postęp okazał się współcześnie.

Przenieśmy się myślą w czasy późniejsze. Weźmy na uwagę uniwersytet paryski. Znane są powszechnie jego prace naukowe od XIII wieku. Nigdy zakład podobny nie miał większego znaczenia politycznego. Uniwersytet ten mieszał się do polityki królów, do wszelkich kłótni duchowieństwa katolickiego z dworem Rzymskim, z władzą świecką. Rozwijały się na jego łonie myśli, kształciły się nauki, przechodziły natychmiast w świat zewnętrzny. Wiadomo, że zasady tego uniwersytetu służyły za sztandar usiłowaniam koncylium w Konstancyi i Bazylei, że wywołały i utrzymały sankcję pragmatyczną Karola VII. Czynność umysłowa i wpływ przeważny odznaczały od wieków tę instytucję.

Przejdźmy do XVI wieku, rzućmy okiem na historję reformacji we Francji. Cechuje ją wyłączny charakter: była rozumniejszą i umiarkowaną od innych. Reformacja francuska walczyła przeciwko kościołowi katolickiemu nauką i erudycją. Mnóstwo dzieł filozoficznych, historycznych i polemicznych wychodziło we Francji i Hollandji. Nie popadłszy w ostateczności Anabaptystów Niemieckich ani Sektarzy Angielskich, rzadko oddalała się francuska reformacja od roztropności praktycznej.

W czasach późniejszych, mianowicie w XVII i XVIII wieku, ściste i szybkie połączenie myśli z czynami tak jest widocznem, iż go wskazywać niemam potrzeby.

W tych kilku epokach, kilku wielkich zdarzeniach, charakter wyłączny cywilizacji francuskiej widocznie



się odbija. Zwróćmy teraz uwagę za rozmaite klasysy naszego społeczeństwa, przypatrzmy się ich obyczajom, fizjonomii, a ten sam fakt nas uderzy. Duchowieństwo francuskie jest zarazem uczone i czynne, oswojone z myśleniem i z życiem praktycznym, nie poświęca się, że tak powiem, wyłącznie ani religji, ani umiejętności, ani polityce, lecz łączy i godzi wszystkie te żywioły. Filozofowie francuscy zarówno są biegli w czystym myśleniu jak i w znajomości praktyki, rozmyślają głęboko i śmiało, śledzą czystą prawdę bez żadnego zastosowania, lecz przytęm zachowują uczucie rzeczywistości, wznoszą się niezmiernie wysoko, nietracąc wszakże z widoku ziemi. Montaigne, Descartes, Pascal, Bayle nie są ani dylektami ani zapaleńcami. W roku zeszłym z tego samego miejsca wymowny ich tłumacz, tak skreślił gienijusz Descarta:

„stały i przedsiębiorczy, myślał w swym gabinecie z taką dzielnością, z jaką walczył pod murami Pragi.“

Niemieli wprawdzie wszyscy nasi filozofowie gieniuszu Descarta ani doświadczali jego przygód, lecz wszyscy zdolni do rozwagi i myślenia szukając prawdy, świat zrozumieli. Jakież wreszcie piętno cechuje owę klasę wtajemniczoną najwięcej w życie publiczne, urzędników francuskich i parlamenta? Połączenie nauki z mądrością praktyczną, szacunek dla myśli i czynów, nauki i jej zastosowania i tu postrzegać się daje. We wszelkich zawodach naukowych, filozofji, literaturze, historji, wszędy spotykamy członków parlamentów i magistratur francuskich, biorących także udział we wszelkich prywatnych i publicznych sprawach.

Gdziekolwiek zwrócimy naszą uwagę, wszędy

odkryjemy to podwójne znamię cywilizacji francuskiej. Człowiek odpowiadał tu zawsze swęj wielkości indywidualnej, a ta wielkość potrzebom publicznym. Wiele w ostatnich czasach rozprawiano, że rozsądek znamionuje szczególnie j gjeniusz francuski. Zgadza-my się na to: dodając wszakże, że niejestto tylko ów rozsądek praktyczny życia codziennego, jestto rozsądek wzniosły, filozoficzny, który przenikając naturę myśli, pogląda pilnie na fakta zewnętrzne.

Tak więc cywilizacja Francji wierniej odbija typ ogólny, ideę zasadniczą prawdziwej cywilizacji niż którakolwiek inna. Jest najzupełniejszą, najprawdziwszą. Te przedmioty wyjednały jej pierwszeństwo w oczach bezstronnej opinii Europejskiej. Francja była zawsze uczoną i potężną, bogata w myśli i siły do ich zrealizowania, przemawiała w duchu myślowym i socjalnym.

Panowie! kierunek cywilizacji francuskiej wywołał wielkie zagadnienie właściwe naszym czasom, obejmujące przyszłość całej ludzkości. Rozwiązać je do nas wyłącznie należy.

Duch ściśle naukowy, metoda scjentyficzna znamionuje dzisiejszy porządek myślowy; duch ten rozważa starannie fakta, postępuje zwolna i stopniowo w ich uogólnianiu. Charakter ten panuje przeszło od pół wieku w umiejętnościach, których przedmiotem jest świat materjalny. Ten sam pierwiastek wkrada się coraz bardziej w nauki moralne, politykę, filozofję, historję. Wszędzie rozszerza się metoda naukowa, wszędzie uznano potrzebę wspierania się na faktach, przekonano się, że one są materiałem umięje-

tności, że żadna myśl ogólna niema rzeczywistej wartości, jeżeli nie wyjdzie z łona faktów.

W świecie towarzyskim, w rządzie, administracji, ekonomii politycznej, iany znowu objawia się kierunek; tam przeważa potęga myśli, rozumowania, zasad ogólnych. Taki jest widocznie charakter tej wielkiej zmiany, która się za dni naszych zjawiała — nie cechuje on wyłącznie epoki przesilenia lub zniszczenia, zapowiada raczej nowy stan socjalny, który ze wsząd powstaje — stan ten polega na rozbiórce i jawności, to jest, na rozsądku publicznym, naukach i przekonaniach wszystkim wspólnych. Z jednej strony nigdy fakta nie znaczyły tak wiele w umiejętnościach, z drugiej nigdy myśli tak wielkiego w świecie nie wywierały wpływu.

Inaczej zupełnie było przed stu laty. W naukach mało troszczono się o fakta, rozumowanie i imaginacja swobodnie igrały, gubiono się w przypuszczeniach i wywodach. Przeciwnie w świecie rzeczywisto-politycznym fakta były samowładne, niezaprzeczano ich, choć niewiedziiano co z niemi robić. Ułuda była zwyczajniejszą jak śmiałość myśli, a umysł napróżnoby wołał w imię myśli i prawdy o udział w sprawach doczesnych. Postęp cywilizacji wywrócił dawny rzeczy porządek: ożywił krainę faktów ruchem umysłowym, a w dziedzinę umysłową technął ducha faktów.

Wypadek ten odbija się nawet w zarzutach, których cywilizacja stała się przedmiotem. Przeciwnicy jej oskarżają stan obecny umysłu ludzkiego o suchość i drobiazgowość, mówią że metoda scjentyficzna poniża myśl, oziębła imaginację, pozbawia

naukę wielkości i swobody. Wedle nich stan towarzyski zamiast zwracania uwagi na fakta i doświadczenia, łądzi się mamidłami teoryj. Tak więc cywilizacja obecna oskarżoną jest razem o suchość i o marzenie, o wahanie i o pośpiech zbyteczny, o bojaźliwość i o zuchwałość.

Powinnością jest naszą oddalić to podwójne niebezpieczeństwo. Powołani jesteśmy do rozwiązania powstającego ztąd zagadnienia, do rozświetlenia państwa faktów pochodnią myśli, wzmocnienia krainy myślącej, powagą faktów, do kształcenia rozumu na drodze rzeczywistości, a rzeczywistości na drodze rozumu. Nic wtém nie ma sprzecznego, jest to owszem wypadek konieczny dwojakiego położenia człowieka w świecie, biernego i czynnego. Rzuceni w świat, któregośmy nie stworzyli ani wynaleźli, poznajemy go i badamy, musimy go uważać za fakt, bo ma być odrębny, niezawisły od nas; na faktach to właściwie zaprawia się nasz umysł, a odkrywając nawet ich prawa ogólne, takowe jeszcze za fakta uważa. To charakter bierny człowieka. Strona czynna inny zupełnie przedstawia widok: znajomość faktów zewnętrznych rozwija w nas wyższe nad nie myśli, czujemy się powołanemi do ich ulepszenia, rozbudza się w nas zdolność rządzenia światem, rozszerzania w nim świetnego władztwa rozumu.

Takiem jest postannictwo człowieka, jako widz bierny podlega faktom, jako działacz czynny włada nimi i urządza je. Ktokolwiek dziś w śledzeniu prawdy oddali się od metody naukowej, nie weźmie faktów za podstawę wszelkiego rozwinięcia myślo-

wego, iktokolwiek w rządzeniu towarzystwem nie chce się trzymać stałych zasad, myśli ogólnych, rozbija się niezawodnie o skałę podwójnego niebezpieczeństwa, albowiem wszelka władza bąc umysłowa, bąc towarzyska, zależy głównie od stopnia zjednoczenia żywiołów swych z temi dwoma prawami działalności ludzkiej.

Lecz ani strona czynna, ani bierna nieuzupełni powołania człowieka, ma on jeszcze inny nierównie wyższy obowiązek kształcenia się moralnego. Cywilizacja oskarżoną tu jest o wpływ najszkodliwszy: zarzucają jęj zdemoralizowanie natury człowieczej, egoizm i zniewieściałość. Sądzę, że zarzuty podobne odeprzeć nie trudno; jakkolwiek przyznać wypada, że poświęcenie należy obecnie do rzadkich zjawisk. Natura jednak ludzka w miarę wzrostu potęgi umysłowej i materialnej, wzniesie się i w sferze moralnej do właściwej wysokości. Natura ta odpowiadała zawsze wielkości wypadków, dawała zawsze więcej niż odbierała, bogacąc się wydatkami. Energia i poświęcenie pod innemi zjawia się postaciami. Słabe i niepewne są bezwątpienia dzisiejsze zasady moralne w porównaniu z obyczajami, przeważnie działały dawniej, dziś zużyte straciły nasze zaufanie; starać się zatem winniśmy o inne zarówno silne jak ożywiające, w którychby dusze nasze odświeżyć się zdołały.

Widzicie więc panowie, że badania przedmiotem naszej uwagi będące, nietylko są ważne dla nas pod względem wiedzy; rozwinięcie naukowe nie zostanie faktem odosobnionym, powstanie z niego odrodzenie

moralne — piękną jest wprawdzie nauka i godną pra-  
 cy człowieka, lecz stokroć będzie piękniejszą zro-  
 dziwszy cnotę. Odkryć prawdę, przeprowadzić ją  
 w świat zewnętrzny na korzyść ludzkości, przero-  
 dzić ją wewnątrz nas w poświęcenie i energiję, to  
 jest potrójne nasze zadanie.

R. L.

## PAN PASOŻYCKI

### REDAKTOR IN SPE,

WYJĄTEK Z PIĄTEGO ROZDZIAŁU POWIEŚCI

pod napisem:

## PRZEJSIOŁ.

..... «Nie wyobrazisz sobie, mówi do Juljana Witold, także aplikant z pismienictwa, zresztą nienajgorzej ubrany młodzieniaszek, nie wyobrazisz sobie co to za ogromna nauka w tym Pasożyckim i to nie ta jednostronna, specjalna, ale ogólna, generalna, zarazem i drobiazgowa. Niema ręczę za to, niema przedmiotu, w którymby ten człowiek niemógł być sędzią stanowczym.

— «Mam nieszczęśliwą naturę, że zbyt uczynna pochwała uprzedza mnie zawsze przeciw komuś, jak zbyt uczynna nagana za kimś. Zresztą kiedy ta nauka jest tak ogromnie powszechna, nie musi być tak ugro-

mniej gruntowna, zanadto jest szeroka, żeby mogła być głęboką. Powiedz mi, że człowiek ukształcony, to ci może uwierzę.»

— «E—co mówisz, przekonasz się sam, zawsze niewierzysz,—wszakże właśnie idziemy do niego, on ciekawy poznać cię, tém bardziej, że ma zamiar wydawać to pismo, do którego twój dramat bardzo zdać mu się może.»

— «Zobopólna ciekawość,—odrzekł Julian;—biorąc dramat do ręki i zabierając się do wyjścia.

Przeszedłszy kilka głównych ulic, młodzi debiutanci zatrzymali się przed niepozornym narożnym domem przy pobocznej ulicy. Gdy po prawej stronie na dole zadzwonili, otworzył im drzwi barczysty lokaj, zapytując czego żądają; po wymienieniu nazwisk wskazał im drzwi od drugiego pokoju, niby to salonu—i poszedł zawiadomić pana, który miał być bardzo zajęty. Salonik pana Pasożyckiego nie mówił ale krzyczał, że to literata mieszkanie. Na stoliku, pod stolikiem, na kanapie, na krzesłach, pod krzesłami, na szafach, pod szafami, na oknach, komodzie i szafce od miednicy tułało się mnóstwo książek najrozmaitszej treści i w rozmaitych językach, zaczawszy od Sanskryta, Grecyzny, Łaciny a skończywszy na Litewskim, Wędyjskim i Duńskim. Nieład, owa konieczna właściwość literacka, także dawał się bardzo spostrzegać. Obok Ksenofonta i Gundling'a, leżał Snarley-Yow Marjata i Pedagogika Kanta. Jan Wyżygin ciekawie wglądał z pod Fenomenologii a historia Zinkeisen'a ponuro zamknięta, leżała obok Noworocznika Wianka, a tu na rozwartej kartce można było wyczytać tytuł jakiejś powieści: *Teraz dopiero kocham prawdziwie!*



Popiersia kilku wielkich i kilkunastu znakomitych w małym formacie śmiertelników, stały tu i owdzie, w głębi przy oknie widać było stalugi malarskie i na nich zaczęty jakiś krajobraz z krówkami, owieczkami i pastuszkami, —fortepian na wpół otwarty.

— «To pan Pasożycki zajmuje się także muzyką i malarstwem?» zapytał Julian nieledwie przestraszony całym ogromem umysłownictwa roztasowanego w saloniku.

— «A to dobre! odrzekł Witold z uśmiechem zdziwienia, mającym znaczyć: Jakże chcesz żeby ten człowiek nieznał wszystkiego i nie miał zajmować się wszystkim?»

Wszystkie promienie ciekawości, jakie tylko świeciły w umyśle Juliana, skupiły się teraz w jedno ognisko oczekiwania, w gwałtowną chęć poznania kapłana tej świątyni nauk. I nagle, jakby w samą porę, w sam czas kiedy oczekiwanie w niecierpliwość zaczynało się zamieniać, kapłan się zjawił. Pan Pasożycki mógł mieć lat trzydzieści kilka do czterdziestu, średniego wzrostu, tęgo zbudowany, rysów zwyczajnych, w oczach tylko widać było tę codzienną przebiegłość, tę konieczną przenikliwość człowieka, który w rozmaitych położeniach znajdował się w życiu; nos miał zadarty, czoło niewysokie, ale wypukłe. Ubrany był w długi, ciemny szlafrok, czapkę czarną aksamitną zwieszoną z długim złotym kutasem. Cygaro trzymał w jednej ręce, w drugiej widać było lipskie wydanie Kalderona w cynamonowych okładkach. Pewno z obawy niepokaleczenia kartek, poczciwy Kalderon wcale nie był porozrzynany.

— «Pan Julian K... rzekł Witold, kłaniając się z uszanowaniem kapłanowi.

— «Bardzo mi przyjemnie, odrzekł zdawkowo grzecznie Pasożycki, dotknąwszy się z lekka podanej sobie ręki. Niechże panowie zajmą miejsca. Przepraszam, że tak czekaliście na mnie, ale natrafiłem na tak cudowny ustęp w *La vida es sueno* (pusty jest sen). Pan czytałeś Kalderona?

— «Znam kilka sztuk w tłumaczeniu, między innymi *Zycie jest snem* (*la vida es sueno*).

— «Ach! tak *Zycie jest snem*, zawołał kiwając głową Pasożycki i mówiąc dalej prędko dla pokrycia małego pomieszania po poprawce mimochętnej Juliana. Co to tłumaczenie! Tłumaczenie nigdy nie zeszklonych brylantowanych fasetek, które oryginalnie oddycha, tłumaczenie nie popłynie nigdy tym pewnym metalem odlewu, który lśni w pierwowzorze. Ach! gdzie tam, ale a propos, może cygara będziecie panowie palić — Bartolo! daj cygar!

Po zapaleniu cygar, przyniesionych przez poczciwego Bartka, ochrzczonego na Bartolo, Witold odezwał się słodziutkim głosem.

— «Właśnie pan Julian napisał dramat, o którym wspominałem panu dobrodziejowi i ośmiela się prosić, czybyś pan nie był łaskaw przejrzeć go i pomyśleć o umieszczeniu w piśmie, które masz pan zamiar wydawać.

— «Proszę! Dramat! rzekł z udanym zadziwieniem Pasożycki, prędzej spodziewałbym się poezji, ballady, nareszcie powieści. Pan młody, bardzo młody. Wybacz pan, że zapytam się, ile pan lat sobie liczy?

— «Niewiedziałem, że do umieszczenia artykułu

w przysłem piśmie pańskim koniecznie trzeba metryki. Na nieszczęście wiek mój należy do tych zakazanych, młodych, mam lat dziewiętnaście, odrzekł Julian wesoło, a jednak cokolwiek obrażony lekceważącym tonem kapłana.

— «Prawda, prawda;—Szyller,—odparł niedokończając zaczętej myśli Pasożycki z uśmiechem nau-myślnie tłumionym. Dramat, dramat, ważny wypadek w naszym piśmiennictwie.

Jakiż to dramat?

— «Oczéwiście nie historyczny.

— «Ach! więc to fantastyczny?

— «Nieco...

— «Jakaż treść?

— «Jeżeli pan będziesz łaskaw sam przejrzeć, to sądzę, niema potrzeby uprzedzać treścią ogólną, odrzekł prędko Julian.

— «A tak, dobrze, dobrze, bardzo dobrze odparł Pasożycki, bystrzej spoglądając na Julka, ale czyby pan nie był łaskaw przeczytać mi jakiego wyjątku, który pan sam uznajesz za najlepszy.

— «Jeżeli tak panu koniecznie oto chodzi, i owszem. Przeczytam panu początek piątego aktu.

MARJA (sama) I długoż będę tak błędzić samotnie,  
W samych urojeń uspieniu?

I szukać szczęścia, które niepowrotnie

Pierzchnęło w przeszłości cieniu?

I nigdyż serce.....

— «Proszę pana, pan hrabia Mruczek, zawołał wchodząc Bartolo.

— «Czemuż niepoprosiłeś natychmiast? ofuknął marszcząc brwi Pasożycki, ale nagle udobruchał się

spojrzawszy na swój efektowy szlafrok a złagodźwszy wyraz oczu uśmiechem najgrzeczniejszym, podał rękę Juljanowi, przeprasząc go, że mu dłużej służyć nie może.

— «Niech pan będzie tak łaskaw być u mnie w Piątek wieczorkiem, będzie tu u mnie kilku literatów, z którymi wypada nawet panu zapoznać się koniecznie, dodał po chwili, to już przeczytamy, i osądzimy w komplecie. Żegnam panów.—Kapłan zniknął za zieloną zastoną, młodzi debiutanci odeszli.

— «I cóż? zapytał Witold, mając jeszcze w oczach wyraz czci dla Pasożyckiego.

— «Nie — niebardzo znowu spodobał mi się ten twój uczoney.

— «E — bo go nieznasz jak ja, który z nim żyję od dawna, nierozgadałeś się z nim, odrzekł z pewnym wyrazem wewnętrznego zadowolenia Witold, oczekując wrażenia tych słów: żyję z nim od dawna.

— «Oczewiście że go znać nie mogę jak ty, który żyjesz z nim od dawna, ale ta pierwsza wizyta niezbyt mnie korzystnie uprzedziła.

— «Będziesz w Piątek?

— «Zapewne będę.

— «Może i ja będę. Choć mnie nie prosił, ale żyjąc z nim od tak dawna, bez zaproszenia śmiało mogę przyjść, dodał ważnie Witold, poświstując.

— «A dla czegożby nie, kiedy z nim żyjesz od tak dawna, odparł tłumiąc uśmiech Juljan.

Według danego słowa Juljan w piątek wieczorem udał się do pana Pasożyckiego. Salon jego jeszcze bardziej pachniał literaturą jak zazwyczaj, to jest: jeszcze więcej książek tułało się po rozma-

tych kątach, i dym z cygar wypełniał niebiesko-brudną atmosferą szczupłą przestrzeń świątyni. Pan Pasożycki już nie w szlafroku ale w tużurku odpowiadającym o tyle o ile wymaganiom krawieckiego kunsztu, krzątał się pilnie, przedstawiając Julka zgromadzonym literatom, z których jedni po większej części podzyli, lukrecjowym uśmiechem odpowiadali na ukłon młodzieńca, drudzy wytrzeszczali oczy na niepełnoletniego debiutanta, szeptaając i wypytując się ciekawie: kto to taki?

—«Pański dramat niezadługo przeczytamy, rzekł do Juljana Pasożycki jakimś głosem pewnym i energicznym, tymczasem mamy tu jeszcze *oszczędzić* kilka artykułów. Pał cygaro i siadaj, panie!

—«Eh bien Messieurs commençons, odezwał się rozwalony na kanapie jakiś otyły, zyzowatawy brunet, któremu los pozwolił kiedyś być przez pół roku w Paryżu.

—«Commençons, powtórzył afektując francuzczyzną, jakiś drugi wyschły, w okularach, także siedzący na kanapie.

—«Przysłano mi wczoraj właśnie dwa artykuły, głośno i poważnie zaintonował Pasożycki, które tak dla nowości pomysłu, jak dla użyteczności dotykanej, mniemam, że bardzo właściwie powinny znaleźć miejsce w kolumnach naszego pisma przyszłego. Panie Pilśniewicz! racz przeczytać.

Wysunęła się na środek i w tysięcznych dygach usiadła przy stoliku, jakaś niska, krępa figurka, bez brwi, włosów i po większej części bez zębów,—zaczęła czytać:

## NOWY SPOSÓB WYPYCHANIA MATERACÓW.

W dzisiejszym wieku, kiedy wszystkie wynalazki tak przyspieszonym postępują krokiem, kiedy przemysł moralny i materialny, do tak wysokiego podniesionego stopnia stwarza dziwy, każące człowiekowi błogostawić opatrzność rękę Stwórcy, który mu kazał być tak potężną a zarazem tak znikomą cielesnie istotą, w dzisiejszym wieku powtarzam, prostym i największym wypadkiem, owych wynalazków i owego przemysłu, jest niezawodnie zabezpieczenie spokojności ogółowej i szczegółowej, czyli jak wiadomo, że użyję cudzoziemskiego orzeczenia, prywatnej. To zabezpieczenie postępując jak strumyk spadający z pagórka na dolinę, z przyczyn do skutków, z powodów do następstw, ma za najważniejszy drugi cel swojego potężnego działania: wygody codziennego życia, które odróżniają ludzi od innych tworów wszechświata. Tą wielką uderzoną prawdą, tem powodowany przeświadczeniem, zajmując się prócz tego oddawna naukami przyrodzonymi, mianowicie zaś chemją, technologją i o ile zatrudnienia mi pozwalają, botaniką, wpadłem na myśl śmiałą zapewne, zanadto śmiałą na mnie, na myśl zabezpieczenia ciała ludzkiego, zwłaszcza podczas snu,—od owadów<sup>1</sup>, za pomocą zupełnie nowego wypychania materaców, zupełnie nowej, bo owalnej formy (ob. rysunek) pewną mieszaniną roślin pilśni (herbae) i słomy ryżowej. Natura, ten wielki i najprawdziwszy nauczyciel.....

Pan Piłśniewicz w pół godziny skończył artykuł.

—«Le sujet est d'une importance fort palpable et le point de départ tout à fait neuf. (Przedmiot

jest dotykalnie bardzo ważny, a stanowisko zupełnie nowe) odezwał się zyzowaty brunet, a w naszym zwłaszcza piśmie, którego będzie obowiązkiem opiekować się wszelkimi nowymi wynalazkami, mniemam i twierdzę, że ten artykuł ne sera pas deplacé! panie Pilśniewicz *dziękuje mu* W mgnieniu oka odezwało się całe zgromadzenie.

— «Dziękujemy, dziękujemy.

Milczący, wyschły, okularowy Minos uderzył dwoma palcami w stół na znak aprobacji, pan Pilśniewicz niziuteczko ukłonił się a Pasożycki z pretorską powagą włożył artykuł do teki.

— «Cóż u licha! pomyślał Juljan, artykuł ten uszedłby od biedy do jakiego kalendarza lub poradnika babsko-gospodarskiego, ale w piśmie mającém skupiać w sobie żywioły ruchu literackiego — jak Piłat w *kredo*, jak dziura w moście.

— «Teraz pan, panie Cedrzyński, będziesz łaskaw swój artykuł przeczytać, odezwał się Pasożycki a po chwili zwracając się do Juljana dodał po cichu,—nie musiał pana zbyt zabawić poprzedni artykuł, ale co robić? Musimy zadosyć czynić wszelkim wymaganiom dzisiejszego stanowiska nauk i ich zastosowaniu. Co do mnie, przyznam się panu, nieprzyjąłbym tego nigdy, ale sam wyrokować nie mogę, autor zaś tego artykułu jeden z tych wiecznie śleczących i choć starych, a marzących uczonych, ma tu protekcje osób, których protekcja dla naszego pisma może być kiedyś znowu bardzo ważna. A o byt pisma głównie chodzi, bo czémże jest pismo bez bytu? Zresztą w mojem przekonaniu lepiej zapętniać

pismo utilitarnemi wiadomościami, niż kiepską belletrystką.

—«O ile utilitarność rzeczywiście jest utilitarną, bardzo zgadzam się. Widzi pan, dodał Julian, duch czasu...

—«Masz pan rację, duch czasu inny zapewne, wiem o tém bardzo dobrze. Ma che far? i wzruszył ramionami.

«O — nie to chciałem powiedzieć, rzekł Julian patrząc z uśmiechem na Pasożyckiego, ale Cedrzyński zaczął czytać:

*Odpowiedź na recenzję pana Q. mojej broszury, pod napisem: O składni accusativi cum infinitivo (przy padku 4go z trybem bezo kolicznym) w mowie naszej.*

Saepe stilum vertas! powiedział nieśmiertelny Horacy, często styl obracaj. Temu wielkiemu zdaniu nie dosłowne, ale rozciąglejsze dawszy znaczenie, nie narzędzia do pisania przez starożytnych *stilus* zwanego, ale stylu, to jest sposobu pisania,—natrafimy i wyprowadzimy sobie wniosek następujący: Gładźcie mowę naszą, przyprowadzając ją do poprawności i treściwości, oraz do owej *elegantiam* starożytniej. Przerzucając dawnych autorów naszego piśmiennictwa, oraz zastanawiając się dokładnie nad własnościami naszego języka, kształconego na starożytniej wychowańców *Romy* mowie, łącno przekonać się zdołamy, że składnia *accusativi cum infinitivo*, nietylko miała miejsce w ich nieśmiertelnych co do stylu, a więc myśli dziełach, ale nadto w zupełnej zgodności z mechanizmem języka zostając, zdaje się być niedawie w naszej mowie, jakby w swoim rodzinnem



siedlisku. Mówią cię straszyć, sądzą cię czynić, otóż dwa przykłady... etc. etc.

Cedrzyński czytał przez trzy kwadranse, a za każdym przycinkiem, który dał recenzentowi, twarz jego burakowa, najdokładniej kulista jeszcze kraśniejszą przybierała barwę, a blado-zielone madziudzie oczki zatrzymywały się na słuchaczach, dla obudzenia wrażenia. Słuchacze kiwali mu głową znacząco, było to coś podobnego do modlitwy chińskiej do Fota lub Fo. Cedrzyński skończył nareszcie.

—«C'est très interessant et piquant. Et puis ce savoir écrire. (To bardzo zajmujące i dowcipne, a potem ta umiejętność pisania), odezwał się zyzowaty brunet, kończąc swój sąd zapytaniem z tonem wymagającym potwierdzenia — N'est-ce pas? Cóż panowie na to?»

Milczący Minos poprawił okularów, Pasożycki a za nim wszyscy natychmiast odpowiedzieli: Bardzo ładne, bardzo ładne! Pasożycki tą razą, jak trjumfator przeszedł salonik i efektowo schował artykuł do teki. Cedrzyński podnosząc się, dodał: Ja temu panu Q. dowiodę jeszcze, że nietylko accusativus cum infinitivo ale nawet ablativus absolute positus, czyli ablativus absolutus, czyli ablativus consequentiae kto wie, czy nie jest zgodny z duchem i własnościami mechanizmu naszej mowy.

Wszystkie twarze z zadziwieniem obróciły się ku śmiałemu wyzywaczowi, a ognisty zyzowaty brunet, Siwas tej świątyni, jak milczący Minos reprezentował Brahmana a Pasożycki Wisznusa, to jest wiatr i wodę, i tak składali razem Trimurtis przyszłej Redakcji nad Redakcjami, pisma nad pismami,—Siwas powtarzam

zapomniawszy oddawna, czy też niewiedząc co to jest *ablativus absolutus*, z niedowierzaniem zapytał go:

—«Vraiment?

—«Mais c'est impossible, poddmuchnął Wisznus.

—«Mais oui, c'est donc impossible, zawołał głośno Siwas.

—«A ja panom dowiodę, że to possible, odezwał się mocno, nie tęgi francuz, ale zato doskonały łacinnik Cedrzyński i z uśmiechem wyższości, wrócił na miejsce.

—«No, ten artykuł pewno panu przypadł do smaku, rzekł,—teraz innym a pewnym tonem Pasożycki do Juljana.

—«Wybaczy pan mojej szczerości, nie najszczerzej mi smakuje.

—«Cho, cho! mój pan bardzo wymagający, nie dziwnego! I ja w wieku pańskim sądziłem tak samo i ja pragnąłem samą tylko poezji, samą pięknosci, samego dźwięku anielskiej harmonji, a odrzucałem wszystkie inne — ale w piśmie.

—«O! nie, panie łaskawy, ja zupełnie nieodrzucałem wszystkiego innego, ale pismo z samą li poezji składające się ciągle, byłoby nieledwie niepodobieństwem, a przynajmniej niedorzecznością. Takie jednak artykuły, jak pana Cedrzyńskiego są więcej niż nędzne, bo...

—«Ma pan poczęści rację, ale zupełnie z panem zgodzić się niemożę, odrzekł Pasożycki,—jeszcze tylko jeden artykułik historyczny, a wkrótce pański dramat usłyszymy.

—«Panie Pargalski! teraz jeżeli łaska, pan nam przeczytasz swoje piękne wypracowanie, odezwał się

grzecznie Pasożycki do wysokiej wyżółkłej figury z łatką na jedném oku, która zająwszy miejsce na kanapie, głosem z początku mrużącym i piskliwym, jak wstęp do zalecanek kocich, potem zaś stopniowo wznoszącym się i znów spadającym, poważnie czytać zaczęła.

## O UPRAWIE WINA ZA PIASTÓW.

*studjum historyczne.*

A jako kto może,  
Niechaj dopomoże.

Opiérając się na rozprawie umieszczonej w Muzeum Domowém i badając źródłostowu wielu wsi w południowych zwłaszcza stronach naszego królestwa, jak np. Winiary, Winnicze, Winiowo, Wieniawa, łącno dojdziemy do pewnika: że uprawa wina i używanie tego trunku narodowego wyrobu za Piastów; nieledwie współczesne jest z używaniem piwa, które mylnie za przyjęty od Niemców zwyczaj dotychczas uważano; i że przodkowie nasi, nietylko węgrzynem, małmazją i cypryjskiemi trunkami, ale swoim, niezawodnie swoim ugaszczali przychodniów trunkiem i sami często robili nim libacje.

Pargalski czytał godzinę.

—«Voilà comme il faut traiter l'histoire elegant et profondément. (Otóż jak trzeba traktować historję wykwintnie i głęboko), odezwał się Siwas.

Milczący Brahman trzy razy kiwnął głową. Wisznus suwał się od jednego do drugiego, zachwalając co sił nieśmiertelne studjum historyczne nieocenionego Pargalskiego.

— «Niewytrzymam, pomyślał Juljan, czy też go-  
dzi się nad takim bzikiem z naszej przeszłości u-  
nosić się.

— «Jakże? zapytał Pasożycki.

— «Cha, cha, cha! Przewybornie! mimowolna hu-  
morystyka, bardzo mi się podobało.

— «Oj, oj! srogi pan i ostry jak widzę.

— «Za pozwoleniem waszém, odezwał się Par-  
galski, muszę wam opowiedzieć jeden dosyć ważny  
wypadek w dziedzinie historii. Niedawno, jak wam  
zapewne wiadomo, wykopano w Łobzowie ozdobne  
obuwie męzkie, którego dawny kształt zgnilizna zie-  
mi uszanowała, więcéj albowiem na niém było me-  
talu niż skóry. Uznają to obecnie za but Kazimie-  
rza Wielkiego, gdy tymczasem, tak kształt jego da-  
wniejszy, jak wielkość, łącno dowodzą, że to jest but  
ojca jego Władysława Łokietka i dziwić się należy  
jak można było mniemać, żeby miał kiedykolwiek  
należyc do Kazimierza. Owoż czyby niemożna umie-  
ścić wiadomości o tém, z małym krytycznym roz-  
biorem. Opis tego obuwia, który tu dołączam, przy-  
słano mi w liście. Bo w terażniejszój chwili, jak  
twierdzi znany historyk, kiedy najmniejsza pamiątka  
przeszłości, ważną staje się dla jój odgrzebywaczów, my  
jesteśmy owymi mularzami składającymi cegłę po ce-  
gle na większy budynek dzieła kompletnego.

Żadną więc cegłą pogardzać nie trzeba.

Brahmanowi szczególnie się ostatni zwrot po-  
dobał, bo uśmiechnął się i trzema palcami w stół  
uderzył.

Siwas zamyslił się, jakby przez to zamyslenie chciał  
wyrazić: Ileż to wielkich trudów nas czeka, jakąż

ogromną dźwigamy przyszłość — ale to my ją dźwigamy, a więc ciężaru czuć nie będzie.

Wisznus cokolwiek ironicznie uśmiechnął się, chcąc za mądrzejszego w oczach Juljana uchodzić.

Wtém nagle zasiadł na kanapie jakiś ogromny, potężnie siwy jegomość i bez pytania zaczął czytać:

*Do moich wnuków Osia i Asia, czyli Jozia i Jasia, bo tak ich córka moja najstarsza Pelagja przez skrócenie nazywa, bawiących się w baka.*

Szczęśliwy młody wieku, szczęsne młodzienszki,

U was tylko rozkosze i u was igraszki:

Bak huczny obwiązany o sprężysty sznurek,

Oś za nim jako Tatar, a Asio jak Turek.

Bawcie się, bawcie dziatki, ja patrząc z daleka

Mówię: jakże czas rychły i jakże ucieka, —

Niedawno — za motylem biegałem śród błoni,

A teraz wieczność czeka, teraz śmierć już goni.

— » Joli! voila le mot! odezwał się Siwas, poprawiając czupryny.

— «Pocziwe, wyjąknął pierwszy raz Brahman, ściskając za rękę starego wyrostka Apollina.

— «Niema w tём błyskotek terażniejszych, ale jest prawda i uczucia odgłos, odezwał się Wisznus do Juljana.

— «A — rzeczywiście.

— «To jest zasłużony urzędnik, dodał Pasożycki, był kilka razy sędzią pokoju. O! takich nam poezji brak, to jest nie takich drobiazgowych, ale poezji na większą skalę a z tym pierwiastkiem wszy-

stkie pisma, jakie istnieją i istniały, przewyższyli byśmy dźwiękiem i pieśnią, Biblioteki nie Biblioteki, Przeglądy nie Przeglądy, Dzienniki, Kwartalniki.

— Niezawodnie, potwierdził ważnie Julian.

— Teraz pan nam popisz się, dodał Pasożycki, prosząc Juliana usiąść na kanapie. Cała hierarchja uczonych zmierzyła od stóp do głów, naprzód ubior zaczawszy od butów, a potem twarz, włosy i chustkę na szyi Juliana, nowego Lewity w tej nauk świątyni.

Juljan jedynie dla własnej przyjemności przegalopował trzy akta dramatu, w którym kilka ustępów mogło być nienajgorszych, ale całość słaba i nieszczerze sklejona, dowodziła braku tej pewności tego rzucańca się, jeszcze nieśmiałego, niewyrobionego. Hierarchja słuchała pilnie, marszcząc się, sycząc, ziewając—a kiedy zmęczony lektor po trzecim akcie, odpoczął na chwilę, Wisznus zabrał głos za wszystkich:

— Pan masz dużo architektury, zawołał, ale brak panu tej pewności płaskorzeźby, tej trafności dłuta i mocy odlewu — dramat z chęcią przyjmujemy — jako kwiat pełen nadziei.

Juljan niemógł wytrzymać i parsknął śmiechem — Brahman zmarszczył się, Siwas z pod oka spojrzął się na śmieszka, a Wisznus z otwartymi ustami stanął w środku swojego krasomówczego okresu.

Wania rozwijał się nie przypuszczając do siebie tego  
 rodzaju kształcenia talentów, nie powiem z łobu dzie-  
 jów upłyniętych wieków potrzebując się dać, kon-  
 z radem, gościnny, szermierzawa, ulatunki w pałacy-  
 na dworach królów i możnych panów, najświetniej-  
 szym były młodzieńcy zasięgiem się i tam właśnie,  
 uchości przybierając barwy dworzan, spędzali la-  
 ta młodości na ćwiczeniu ciała, aby mogli tycer-  
 sko stawać do boju i męcznie odnieść nieprzyjaciół.  
 Umysłowe przeto kształcenie się musiało być bar-  
 dzo, powolne i słabe, i to nie w szkołach lub kate-  
 chach, ale po większej części na schodkach, dzied-  
 dach spazjadyk przez dyktirki, opowiadania, do-  
 wipne uwagi i tym podobne gadki rozpręskujące  
 się i nie

## O MALARSTWIE W POLSCE.

przodkowie nasz w istotywnym wiedz wiedząc obo-  
 kraje, i tam nauki pobierając, a że podówczas Wto-  
 chy najbardziej stygnę, też do uniwersytetów  
 najbardziej ciągnęli i przez lat kilka, kilkanaście mie-  
 szkają uczyli się. Niezównie więcej do Niemiec



Ktokolwiek jest obeznanym z dziejami i historją  
 pismienictwa krajowego, ten łatwo widzieć może,  
 że nauki wyzwolone, czyli jak dziś niewłaściwie na-  
 zywają sztuki piękne, nie bardzo pielęgnowane były  
 u nas w Polsce, i tyle tylko niemi się zajmowano, ile  
 tego potrzeba wymagała w budowaniu świątyń, po-  
 mników, nagrobków, i upiększenia ich tworamı pęzła  
 lub dłota. Początkowe, a nawet i późniejsze instytu-  
 cje naukowe nasze, do składu wychowania ani rysun-  
 ku, ani malarstwa nie załączały, i dotąd badania uczo-  
 nych nic podobnego wygrzebać nie zdołały. Tryb  
 zatem życia, jaki pod wpływem odrębnego wycho-

wania rozwijał się, nie przypuszczał do siebie tego rodzaju kształcenia talentów, ile bowiem z toku dziejów upłynionych wieków postrzegać się daje, koń z rzędem, gonitwy, szermierstwa, utarczki w palcaty na dworach królów i możnych panów, najgłówniejszym były młodzieży zajęciem się, i tam właśnie, ubożsi przybierając barwy dworzan, spędzali lata młodości na ćwiczeniu ciała, aby mogli rycersko stawać do boju i mężnie odpierać nieprzyjaciół. Umysłowe przeto kształcenie się musiało być bardzo powolne i słabe, i to nie w szkołach lub książkach, ale po większej części na schadzках, biesiadach sąsiedzkich przez dykteryjki, opowiadania, dowcipne ucinki i tym podobne gadki rozprzestrzeniały się i obostrzały pojęcia. Mieli wprawdzie zwyczaj przodkowie nasi w młodym wieku zwiedzać obce kraje, i tam nauki pobierać, a że podówczas Włochy najbardziej słynęły, tam też do uniwersytetów najbardziej ciągnęli i przez lat kilka, kilkanaście mieszkając uczyli się. Nierównie więcej do Niemiec i Czech udawało się, z kąd potem wróciwszy do kraju, powołani na urzędy, zdumiewali ziomków wysokością nauki i z zadziwiającą bystrością sprawy kraju załatwiali. Pociąg szczególniejszy do nauk duchownych, jaki się objawiał w Czechach i Niemczech za wpływem ludzi obszernością pomysłów i wymową odznaczających się, zabijał wiele talentów skierowaniem umysłów do rzeczy oschłych, surowych, nietylko niemogących dać polotu wolnego wyobraźni, ale przeciwnie, narzucających na nią pęta i okowy. Ziomkowie nasi tam bawiący, nie uchronili się tego jadu, który z czasem rozprzestrzeniwszy się po kraju, lubo



mniej był zgubnym dla samej oświaty, ale za to wielce się przyczynił do klęsk, jakie przez długi czas ziemię naszą trapiły. Podróże przeto, które rzeczywiście bardziej aniżeli szkoła lub książka uczą, nietyle dobra sprawiły, ileby spodziewać się można było. Zaprzeczyć jednak niepodobna wielkiego społeczenia do nauk wyzwolonych w najodleglejszej nawet starożytności, mianowicie w tych czasach, kiedy po wprowadzeniu wiary świętej, królowie, duchowieństwo i panowie skarby swoje wylewali na budowanie kościołów. Piastowie, ród Jagielloński i późniejsi nawet niesłychaną hojnością w tej mierze słynęli. Stronice dziejów naszych i dziś jeszcze sterczące zwaliska, choć zębem czasu skruszonych zamków, aż nadto o tém nas przekonywają. Zawsze jednak, ile z podań kronik lub akt miejscowych dowiedzieć się można było, do tych olbrzymich prac używano przybyszów z Włoch i Niemiec, zaledwo gdzie niegdzie i to już w późniejszych czasach, znalazł się jakiś lubownik malarstwa, najczęściej w zaciszu klasztorném (Leksycki) co wśród modłów i pacierzy kościelnych, chwile swobodne poświęcał pędzlowi, i zdobiąc ołtarze swojemi tworam, chwalił Boga. Bywały także przykłady, że możniejsi zwiedzając obce kraje kupowali tam obrazy, aby wnętrza swoich gmachów niemi ozdabiać, jak tego przykład mamy na *Spytku*, o którym czytał Kraszewski w Wazarym, jakoby liczną galerję miał nabyć we Włoszech. Rzecz niewątpliwa że mnóstwo obrazów kościelnych, które miałem sposobność dwukrotnie oglądać w Krakowie, częścią z Niemiec a częścią z Włoch sprowadzone były, mianowicie w kościołku Śgo Idziego, tuż pod zamkiem Wawelu,

i w kościele Sgo Florjana na Kleparzu, a nawet i w kościele Sgo Stanisława dwa kolosalnych wymiarów obrazy, przedstawiające biskupów, bodaj czy nie ojców kościoła, odrębnością i stylu i roboty technicznej są tego oczywistym dowodem. Portrety zaś Zygmunta i Bony w tymże kościele zawieszono choć niemniej są dawne, wszelako robota niczem się nie różni od wszystkich innych tu u nas na miejscu wykonanych. Lecz aby ludzie bogaci i dostąpi tym naukom poświęcali się, jest rzeczą do prawdy niepodobną, bo jeszcze w owych czasach, ci malarze co obrazy malowali, pewien rodzaj bractwa, jeden cech stanowili, a nawet wątpliwość zachodzi, czy przywilejów mieszczan używać mogli, i chyba za ważne przysługi krajowi, lub szczególniejsze odznaczenie się talentem, do grona tych ostatnich ich zaliczano. Stan zaś rycerski i szlachta jak zwykle chełpiąca się wyższością urodzenia, pogardzała tego rodzaju zajęciem się sobie niewłaściwem i nieodpowiedniem. Mniemanie zaś to że Zygmunt I. miał upodobanie w rzeźbiarstwie, jest zupełnie błędne, gdyż wyraźnie Bielski w kronice pisze, że obraz jako *votum* po odniesionem zwyciężtwie nad Tatarami kazał w Norymberdze robić.

Tak tedy przez kilka wieków przybysze obcy stawali u nas i dla nas pomniki, budowali zamki, grody i rozmaite gmachy. W późniejszych czasach, kiedy światło nauk już się po kraju rozlewać poczęło, dostrzedz można, że niektórzy, zawsze jednak z uboższego stanu, malarstwu się poświęcali. Przy końcu XV wieku, wyższością talentu i robotami słynęli: Jan Wielki, Jakób Świnka, Jan Dürer brat znakomitego malarza i rytownika na drzewie, którzy przy dworach

królów naszych pracowali, — są pięknym dowodem, że panujący nasi umieli cenić talenta, i radzi przy sobie ludzi utalentowanych trzymali; lecz jakie są ich dzieła, gdzie się znajdują, i czy dotąd nieuległy zniszczeniu, o tém nic pewnego dowiedzieć się nie można. Mozolna praca, w szperaniu po zaciśniętych klasztorach, gdzie na ścianach kurytarzy do dziś dnia wiszą pamiątki pęzła odwiecznym kurzem pokryte, mogłaby wiele odkryć, ale kto tyle trudu podjąć zechce, albo zdoła? Jest to wprawdzie dziś rzeczą bardzo pożądaną, i która czasem, przy lepszym rozumieniu rzeczy, natchnie ludzi pracowitych co z przyjemnością temu się oddadzą i z nowych odkryć historję malarstwa napiszą, do której pierwszy wstęp zrobił p. Sobieszczański swoją rozprawą, gruntownie i z wielką znajomością rzeczy napisaną w Dzienniku Krajowym.

Maciej Strykowski opowiadając wierszem sam o sobie i przygodach swoich w zwiedzeniu rozmaitych krain świata, mówi:

„Bo świat zwiedzić chęć mając (a iż skarb, klejnoty,  
 „Złodziej kradnie, krom nauk świętych, rzemiosł cnoty)  
 „Nawyklę był rysować figur z przyrodzenia,  
 „Illuminując złotem, farbą, jak z ćwiczenia,  
 „Tymem się myślił żywić. Bo to w Turczach płaci,  
 „A szlachcic nierobotny tam przywilej traci.“

Pokazuje się z tych wierszy, że i Strykowski musiał być wcale dobrym artystą, a choć sposób jego życia i prace podjęte w nabywaniu tak obszernych wiadomości, wiele czasu pochłaniały, wszelako rozwinięte należycie władze umysłowe bardzo mu ułatwiały postępy w malarstwie. Przypatrując się drze-

worytowi, na którym swoje oblicze on sam narysował, można widzieć dużo fantazji, smaku, a obok tego i poprawności rysunku. Wielka szkoda, że ten człowiek udarowany żywą wyobraźnią i talentem malarskim, nieupiękniał swojej kroniki rysunkami, przynajmniej w tych miejscach, gdzie wierszem rozwodzi się nad męztwem bohaterów walczących. Wyższą jest pod tym względem kronika Bielskiego, bo wiele szczegółów i zwyczajów i zbroi tyczących się pokazuje artyście chcącemu historję traktować.

W XVII wieku Fr. Śniadecki, Leksycki, Kazimierz Cissowski, utworami pęzła zaspokajali żądania pobożnych i ołtarze świątyn zdobili; mieliśmy wprowadzić pod tę porę mnóstwo cudzoziemców, którzy zawsze i wszędzie na dworach panów lepszego przyjęcia, aniżeli krajowcy doznawali; wszelako i tych ominąć niemożna, bo niektorzy oddając się chlubnie swojemu powołaniu, zostawili nam pamiątki tak pod względem myśli, jak i nauki, godne pochwał i uwielbiania. Dankörs i Delbene przed innymi celowali, ten ostatni szczególnie, co był wezwany przez Kazimierza Sapiehę, męża znakomitego hojnością i wykształceniem smaku, do wielkiej naszej wdzięczności nabył prawa, malując przygody krajowe, ściśle tzymając się ubiorów i zwyczajów tego czasu, w którym żył u nas. Jego dwa obrazy w kaplicy ś. Kazimierza i dwa inne już zniszczone w galerji pałacu Sapieżyńskiego w Wilnie na Antokolu, które jeszcze w roku 1814 można było widzieć, mają wielkie znaczenie dla artystów, pod względem wierności strojów ówczesnych, przyczem doskonała znajomość rysunku, ubarwienie i smak tak są w nich wyraźne i tak się każdemu podobają, że je

śmiało za najznakomitsze utwory należy uważać, a nawet dodać można, że zaledwo kilku dotąd mieliśmy ziomków, coby im w tej mierze sprostać mogli. Wielka i nieodżałowana szkoda, że portrety w całej postawie znakomitych mężów, które na framugach dziedzińca uniwersytetu Wileńskiego były fresko malowane, bez przeniesienia ich na papier i zostawienia śladu pamiątki, pokryciem wapnazniszczono. Tam także, ubiór, podobieństwo osób a przytém mistrzowska robota, mogłyby posłużyć za dowód, jak u nas tём się zajmowano,—a może nawet i ziomkowie malowali.

Za Zygmunta III i później mieliśmy ludzi niepospolitych cо pęzlem i rytowaniem na drzewie wielce słynęli: z tych Gorczyn, jako pisarz, własną pracę własnym talentem zwykł przyozdabiać. Reszka, Sniadecki, Łubieniecki niemniejszą sławę talentem zjednali, o Piekarskim jednak i Ziernickim (*La grainé*), który we Francji miał mieszkać, badacze naszych starożytności a mianowicie Ambroży Grabowski powątpiewają. Później daleko, bo za Jana III, *Altamonti* wiele zasług dla kraju naszego położył, malując wypadki z dziejów rodowych swojego czasu, które dziś dla sztuki niemależ są wartości i mogą posłużyć za wzór, za wskazówkę historyczną dla późniejszych, coby chcieli z tej epoki czerpać przedmioty. W kościele ŚŚ. Piotra i Pawła w Krakowie kilka wspaniałych obrazów tego artysty widzieć można.

Tym sposobem zaczęły pojawiać się z czasem nie wielkie zbiory obrazów, które powiększając się gdzie niegdzie, szczególnie u osób światlejszych i wytwornego smaku, mogły się nazwać galerjami; niektóre z nich, wśród powszechnego odrętwienia, jeszcze do

dziś dnia jakokolwiek się świecą w Wilanowie i Królikarni, ta ostatnia, mianowicie doborem artystów i prawdziwych robót się odznacza, w Wilanowie bowiem po większej części *kontrfakcje* oryginałami są ochrzczone. Jakkolwiekbądź dowodzą one, że nasi panowie (przodkowie) byli niegdyś zwolennikami, malarstwa. Książę Stanisław Lubomirski, Mikołaj Pachet. W. Ks. L. — ks. Stanisław Jabłonowski, Ossoliński, a nadewszystko Sapiehowie, dla ozdobienia gmachów swoich—i cudzoziemców i krajowych malarzy na dworach miewali, a niektórzy własnym nakładem za granicę młodych utalentowanych wysyłali, jak tego Czechowicz przykład nam stawia. Współczucie to panów możnych tém bardziej zadziwia i godnem jest uwielbienia, że okazało się podówczas, kiedy familja Sasów na tronie siedziała mając u steru nieprzyjaznych naszemu krajowi mistrzów. I w rzeczy samej miło jest wspomnieć, jak ci osieroceni, na których prace oko majestatu spojrzeć nieraczyło, znaleźli przytułek na dworach panów dostatnich, i ich właśnie dobrodziejstwami wspierani, doskonalili swoje talenta. Był to czas naszym zdaniem najświetniejszy dla nauk wyzwolonych: jakoż i pokazanie się znakomitych kilku artystów dowodzi, że opieka możnych okazała się najczynniejszą i najskuteczniejszą do podźwignienia tej gałęzi nauk, które skierowaniem się do rzeczy rodowych, tyle się przyczyniła do uświęcenia pamiątek umysłowych. Czechowicz i Smuglewicz jedyni u nas dotąd przedstawiciele doskonałości malarstwa wnet się pokazali, chociaż wielu było innych, co choć z mniejszym talentem, ale z chlubą dla kraju malarstwem się trudnili. W czasie panowania Stanisława i pod koniec, kiedy

kraj nasz dla kłótni i zamieszek, smutny obraz przedstawiał, kiedy niedołącznie trzymane i rozprzężone wodze rządu sprowadziły na kraj burzę, i w przepaść go zepchnęły, trudno było zajmować się naukami, kwitnącemi jedynie pod czas błogiego pokoju i świetnego bytu. Była to wprawdzie pora dla przybyszów, dla Włochów i Niemców, którzy całą Polskę naówczas zalali. Trzeba im oddać sprawiedliwość, że ludzie ci niepospolitym talentem się odznaczeni, malowali nierównie lepiej od ziomków, ale niestety, prace ich garścią złota kupione, niemogły oddać ani natchnienia, ani myśli, na jakie tylko krajowy artysta zdobyć się potrafi, i dla tego właśnie malowali albo mitologję, albo tój podobne bezbarwne rzeczy, na które dziś z boleścią serca poglądając, napróżno szukamy, aby odczytać coś takiego, coby nam owoczesną przeszłość, jakieś obrazy przygód ojców i dziadów naszych przypomniało. Niemal wszystkie z tój epoki prace najoczywistszym i smutnym są tego dowodem. Co kronika piórem na papierze kręśli, to pęzel barwami na płótnie dopełniać winien, z tą chyba różnicą, że ten ostatni obiera przedmioty wznioślejsze i bardziej na umysł i na serce działające. Bliżej świadomi wypadków ostatnich, czyż mogą złorzeczyć, że w powszechnój niedoli niezabłysnął żaden talent? alboż była pora potemu, kiedy trwoga powszechna wszystkich bez wyjątku dotykała, kiedy klęska po klęsce trzymała umysły w odrętwieniu. Później jednak, za ustaleniem się ciszy, ludzie udarowani powołaniem do pióra i do pędzla, otarłszy łzę w oku, jeśli się do pracy i więcej aniżeli kiedyś znalazło się gorliwych artystów, co z zapałem malarstwu się oddawali. Po-

czet ich, w stosunku do wymagań czasu, dość licznym się okazał, a między innemi odznaczyli się wyższym talentem Korwin i Wojakowski, ten ostatni zwłaszcza śmiałością pędła, rozumieniem i uczuciem sztuki tak w malowaniu, jak i w rzutach na papierze tuszem, zadziwiał znawców; szkoda jednak, że niedość poznany i oceniony od swoich, doznał wiele przykrości zawistnego losu i w ostatku gnębiony rozpaczą przedwcześnie i okropnie życie zakończył. Właśnie pod tę porę bawił w Warszawie hr. Chreptowicz z Litwy—i ten gdy postrzegł w jakimś domu robotę Wojakowskiego, starał się go poznać aby coś dla siebie zamówić, jakoż w rzeczy samej, oglądając wiele innych jego robót i przekonawszy się o niepospolitym talencie, zobowiązał Wojakowskiego do odmalowania obrazu *Jawnogrzesznicy* wymiaru naturalnego. Znajomy ten przedmiot z ewangelii, wymagał kompozycji bogatej, z mnóstwa figur ułożonej na tle obszernem: dla tego właśnie trudno było Wojakowskiemu przedsiębrać tę robotę, niemając stosownej pracowni. Udał się przeto Wojakowski do tych co znali Bacciarellego, aby za ich wstawieniem się mógł ten obraz odmalować w jednej z sal, które były w rozporządzeniu sławnego mistrza. Lubo nieznał go Bacciarelli, wszelako zgodził się na to i dał mu miejsce obszerne, a gdy po jakim czasie przez ciekawość zajrzał i postrzegł na pół ukończoną robotę, niemógł się wydziwić zaletom obrazu i mistrzowskiej, pełnej ognia robocie: uściskał pokilkakrotnie Wojakowskiego obsypując go rzesystemi pochwałami.—Ale niestety! wesprzeć rodzinny talent, było rzeczą obcą dla Bacciarellego, niewiązała go miłość i wdzięczność do



ziemi, na której mieszkając, hojnie był wspieranym; nieznał jak to podać rękę chwiejącemu się, podnieść kogoś z talentem, co dla niemożności pokazania się musi wędnieć w cieniu i usychać niepoznany. Bacciarelli żył dla siebie, nikt z jego nauki niekorzystał i żadnego ucznia nie wykształcił. Po Wojakowskim ostatnimi czasy zabłysnął z całym pojęciem i smakiem sztuki Brodowski, a praca jego, którąśmy widzieli wyobrażającą Edypa w Kolonie wymiaru naturalnego, zjednała mu niepospolite imię. Był on uczniem szkoły francuskiej, nie tej jednak, która obrała sobie wyłącznie koniki z huzarami i tym podobne podręczne obrazki, ale tej, co się oddając gruntownemu wyuczeniu się budowy ciała ludzkiego, obiera i maluje te przedmioty, które do serca przemawiają, i jak historyk lub wieszcz na umysły działając, wznieca, rozwija i wyrabia w narodzie opinię. O Brodowskim możemy śmiało powiedzieć, że ze wszystkich dotąd artystów, on pierwszy u nas doprowadził do wysokiego stopnia doskonałości trzy główne zasady malarstwa, to jest: kompozycję, rysunek i ubarwienie, i temi właśnie jego obraz Edypa odznaczał się. Nie doświadczał Brodowski sił swoich na niwie dziejów krajowych, bo też i na prawdę mówiąc, piśmiennictwo nasze jeszcze podówczas było mocno przejęte francuzczyzną i zaledwo objawiała się myśl poświęcenia pióra rodzinnym przyrodom i wyszukania w nich naszej barwy, poezji. Wszelako malarska nauka miała u nas w Brodowskim jedyne go reprezentanta, co godnie zajmował stanowisko artysty, a po zgonie jego, dotąd osieroceni jesteśmy. Kokular jako portretysta, w samych początkach dość dobrze ro-

bił. Edyp zaś jego przed kilkunastu laty malowany, nie może iść w żaden sposób w porównanie z Brodowskim, rysunek w tym Edypie choć manierny ale niepoprawny, nagość niemalowana z natury, ale z kopersztychów; we władaniu pędzlem widać śmiałość udaną, ale nie tę, co przez wprawę nabyta z natchnieniem rzuca barwy na płótno; *Zdjęcie zaś krzyża Chrystusa* w kościele farnym, oprócz krzyczących i ostrych farb, na żadną pochwałę niezasługuje. Jest to wyraźny plagiat a przeto kompozycja pożyczana, rysunek słaby nie poprawny, światłocien błędny, tak że na jednej głowie dwa światła są rzucane a tym sposobem czaszka i czoło kalectwo pokazują. Mógł zapewne Kokular malować dużo do kościołów, ale te obrazki potylekroć powtarzane przez artystów Włoskich i innych niemogły otworzyć pola do popisania się z talentem i w samej rzeczy tyle many kopersztychów i litografij, że te mogą posłużyć za wzór do skopijowania, aby uniknąć mozołu natury, zwłaszcza nie wiele mając wprawy do jej naśladowania. Oprócz wspomnionych dwóch obrazów Kokulara nie zdarzyło nam się spotkać, ani nawet słyszyć o robocie, w którejby można było myśl autora wyczytać. Nie można brać za złe, że w młodości wystąpił z Edypem, jest to szczególniejsza słabość, tych co kończą szkołę malarską, do popisania się z malowaniem nagości—i niemasz artysty, któryby w samych początkach nietraktował czegoś z historii rzymskiej lub greckiej—owszem jest to chwalebnie zaprawiać się w oddawaniu czynów namiętnych, gdzie albo cnota albo zbrodnia pospolicie wygórowane bywają, a czego wzory niezliczone w historii greckiej i rzymskiej napotykamy.

Jednakże trzeba niekiedy rzucić okiem na siebie, i około siebie a znajdziemy niewątpliwie tak piękne ustępy do malowania, jakichby nam Grecy i Rzymianie pozazdrościli.

Dzieje nasze są niewyczerpanem źródłem obrazów, w których cnota i poświęcenie się, ofiary i t. d. najpiękniej się malują: jest to dziewicza puszcza, do której niewielu wieszczów pisarzy zajrzało, niemówię artystów, bo czyż kilka sztuk Smuglewicza rycinami upowszechnionych, mogą się nazwać ilustracją historji? są to pierwsze wstępne rzeczy, które jeszcze obrobienia wymagają. Przyjdzie zapewne czas, że będziemy mieli galerję historyczną, całe dzieje illustrowane, kroniki obrazowe, bo czegoż przy nowych usilnościach, przy kamiennej wytrwałości dokazać nie można, byleby utwory naszych powieściopisarzy, co z dziejów krajowych przygody i obrazy biorą, mogły pobudzić i rozegrzać wyobraźnię artystów do tych samych rzeczy,—a raz nadany popęd, o własnych siłach od łatwych i lekkich przedmiotów dojdzie do poważnych, jakimi są dzieje, a tak pomimo nawet letargu tych, coby mogli wspierać talenta, będziemy w stanie pochwalić się, że nam na usilności, pracy, i talentach nawet niebrakuje. Kiedym przed laty pięciu oglądał po raz pierwszy wystawę sztuk pięknych Warszawską, ażem się zdumiał, że wśród natłoku obrazków rozmaitej treści, wymiaru i dobroci, jeden tylko postzegłem wzięty z dziejów krajowych, *Obleżenie Trembowli*. Zdjęty ciekawością pytam o autora, kto on jest, gdzie się uczył?.. powiadają mi, że to malował p. Lesser, uczeń szkoły dysseldorfskiej;—ostupiałem jakem się dowiedział, że ten obraz był malowanym w Monachium. Cóż przecie u nas robią,—pomyślałem; przypatruję się

i widzę:— oto naprzód, chłopca co skrobie nożem kartofle, a największą zaletą tego obrazu była noga z błotem odmalowana;—dalej widzę grupę kilku druciarzy, —jeszcze więcej, — żydów wekslarzy przy giełdzie; — w szynkowni siedzących, przy kufiach piwa; jednem słowem tak ohydne przedmioty, z jakimi nie tylko że człowiekowi niechciałoby się nigdy spotkać, ale nawet i pomyśleć o tém.— Okręt w płomieniach na morzu i Turków kilku nań gapiących się,—pomyśły jakieś dziwaczne, stosowniejsze do wytkania na dywanie, lub na ekran dla zakrycia kominka. Po długim zastanawianiu się nie mogłem sobie innej przyczyny wynaleźć, jak tę, że artyści niewiadomo z jakich powodów stanowią kastę odrębną od tych, co pisaniem się bawią, i nietylko nie mają żadnej z nimi styczności, ale nawet dotykalnie czuć się daje, że utwory naszych pisarzy dziejowych są zupełnie dla nich obcemi. Bywały wprawdzie krytyki przy każdej wystawie drukowane, ale były to strzały na wiatr; jakieś huczne *puffy*,jakieś szumne frazesy naszpikowane wyrazami technicznymi, pisane zawsze przez osoby żadnego wyobrażenia o malarstwie niemające, przez publicystów gazeciarskich, niekiedy nawet przez mniej bacznych artystów rozdrażnione, ale nikomu z tych panów piszących nie przyszło do głowy, aby artystom, co już silnie pęzłem władają, wskazać myśli, przedmioty, ścieszkę jakiej się trzymać mają, aby wyjść na krajowego mistrza,—przemawiać do nich w sposób łagodny i drogą perswazji skierować ich umysły do czynów poważnych jakie w kronikach dotąd odłogiem leżą— nigdy nie pomyślano ani ich zachęcić, ani też do wytrwałości pobudzić, bo szczerze mówiąc, byó

u nas artystą niejest bardzo rzeczą ponętną i tylko sam urok sztuki zawsze ma tyle powagi, dla tych co się oddają malarstwu, że oni wyrzekają się największych przyjemności życia, byleby tylko pędem na płótnie tworzyć. Żyjemy w czasie w którym przemysł ogarnął wszystko, i dla nauk wyzwolonych powszechne okazało się zapomnienie, przecież mamy dosyć ludzi szlachetniejszego uczucia, co idąc w zapasy z zawistnym losem, wśród niedoli i niedostatków z roskoszą dla nauki pracują.

Zwracając uwagę na Kokulara, z boleścią serca wyrzec musimy, że pomimo sprzyjających okoliczności, które przez cały przeciąg życia dlań uśmiechały się, nie przecież takiego nie odmalował, coby choć w części odpowiedziało dążności pismiennictwa tak obszernie rozwiniętego, ani też umysłowym potrzebom ztąd wynikającym. Nie miał Kokular ani namaszczenia ani powołania na artystę i sztuka była dla niego obojętną, trudno bowiem przypuścić, aby ten co się oddaje wyłącznie rodzajowi portretów, mógł mieć jakieś wyższe artystyczne widoki, nad prostą spekulację i zysk materialny.—Blank tak był małym w sztuce, że ledwo na wspomnienie u nas zasługuje. Portret kobiety grającej na fortepianie otoczonej dziećmi, wielkości naturalnej, tak jest lichym, że trudno powiedzieć aby ten artysta choć mierne zdolności miał do malarstwa. Można nie mieć kolorytu, można grzeszyć w rysunku, można nierozumieć światło-cienia, ale nie umieć władać pędem i po prostu mówiąc, kłaść tylko farby, malaturować, nawet i temu co filizanki, tace i szyldy maluje, darować niepodobna. Blank podobnie jak Kokular portrety wyłącznie malował.

Przed kilkunastu laty Blank był najstarszym profesorem w wydziale sztuk pięknych przy niegdyś Warszawskim uniwersytecie, kiedy w tę samą porę i w tymże wydziale Brodowski, jedyny rysownik, malarz, słowem najdoskonalej wykształcony artysta, był tylko audjunkt, a z tego względu czyż można przypuścić, aby w ów czas byli istotni znawcy, którzyby mogli poznać i ocenić niezaprzeczoną wyższość Brodowskiego nad innych,—a przecież tak było!

Na Litwie Jan Damel i Walenty Wańkowiez na równi z Brodowskim sztukę pojęli, a lubo pierwszy nie odbył podróży do Włoch, wszelako doszedł pracą do wysokiego stopnia doskonałości i tę jeszcze miał przewagę nad Brodowskim, że mnóstwo własnych utworów z dziejów krajowych dla zamożnych obywateli w gubernji Mińskiej malował. Opis żywota tego znakomitego talentu wybornie skreślił lubownik i artysta Adam Szemesz w Atheneum Kraszewskiego; żądalibyśmy jednak pełniejszego wyliczenia obrazów tego artysty, mianowicie czerpanych z dziejów ojczystych, czyni to bowiem chlubę i artyście i tym co nabywając od niego te prace, wspierają talent krajowy, zwłaszcza w tym czasie kiedy zepsuty smak i ponarowione chucie w bogatszej warszcie towaństwa za obczyzną gonią. Walenty Wańkowiez w kwiecie wieku zgasty, nie mógł rozwinać skrzydeł swojej wyobraźni, ani swego talentu, lubo wychowanie i znajomość sztuki oraz wprawa pędza, aż nadto obiecywały, że mógłby godnie dzieje krajowe traktować. Czytanie dzieł treści pjetystycznej i skierowanie myśli na drogę ascetycznych sporów, bardzo niekorzystnie wpływały na jego prace artystyczne, i ta-

ką skromnością wygórowaną przejęty go, że bardzo mało z dziejów na płótnie nakreślił. Cieszymy się niepłonną nadzieją, że p. Adam Szemesz przy tak znamienitem umysłowem wykształceniu, namiętnie pędłowi oddany, nad każdą inną pracę chętnie przeniesie traktowanie dziejów krajowych, tem bardziej, że jako autor piszący w przedmiocie sztuk pięknych i mający tak rozwiniętą wyobraźnię, odpowie oczekiwaniu naszemu, w sposób godny i rzeczy i swojego talentu. Szkice bowiem ulotne, o których tak chlubne dał zdanie p. Grabowski w swojej Korrespondencji, rokują wielkiego kompozytora, na jakich zawsze przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności niedostawało nam. Oby nasze życzenia mogły co najprędzej zjść się, a mielibyśmy swojego *Kamucyniego*. — Trojanowski, o którym p. Szemesz w Atheneum wspomina pisząc o sztuce malarskiej Wileńskiej, został nieszczęśliwą ofiarą namiętności swęj do malarstwa. Pomimo kilkoletniego pobytu we Francji, we Włoszech i tamże pilnego przykładania się, za powrotem jednak do kraju niepotrafił obudzić w ziómkach współczucia, a widząc się niepoznanym opuścił niwę malarzką i oddał się gospodarowaniu. Obraz jego, Bolesława Śmiałego w chwili kiedy mu bullę papieską przynoszą, jakkolwiek przy błędach w rysunku, bo jeszcze w niespełna 24tym roku życia wprawy mistrzowskiej nabyć niepodobna, był zajmującym i piękne nadal rokował nadzieje. Kanut Rusiecki w Wilnie zamieszkały, jest jednym z tych co godnie utrzymują sławę artystyczną na Litwie. Kształcił się ten artysta początkowo u Rustema profesora w Wileńskim uniwersytecie, skąd w 1821 roku udał się do Pa-

ryża i tam w pracowni wielkiego mistrza Lethier uczył się przeszło rok cały, a ztamtąd udał się do Rzymu, gdzie lat 9 bez przerwy w rysunkach z natury i w malarstwie się kształcił. Najznakomitszym jego utworem był obraz z żywego wzoru Sgo Sebastjana, wielkości naturalnej; kopję z niego choć nędzną widzieć można tu na Pradze w kościele XX. Bernardynów. Malował on do kościoła katedralnego w Wilnie obraz *Zwiastowania P. Marji*:—przyjemność kolorytu, i miękkość pęzła tę jego pracę znamionują; nadto do kościołka parafialnego w miasteczku Giedrojcie (6 mil od Wilna) kilka obrazów wykonał.

Teraz zajmuje się historją polską, choć nie bez żalu tu nadmienić musimy, że nie jest on dotąd na miejscu odpowiedniem swojemu wykształceniu i talentowi; dając bowiem lekcje rysunków w szkołach, przez to wiele czasu traci, któryby z większą korzyścią na malowanie obrazów mógł być obróconym. Lecz cóż począć, kiedy obojętność większej części mieszkańców wśród których żyje Rusiecki, jest trudna i do pojęcia i do opisania. Przeszto lat 40 trwająca katedra malarstwa przy uniwersytecie Wileńskim, wsparta później wykładem estetyki i historji sztuk pięknych przez profesora Saundersa, aż nadto powinna była rozprzestrzenić smak do nauk wyzwolonych, rzeczywiście jednak współczucia żadnego dotąd niedostrzeżono, bo zaledwo kilku artystów dziś tam utrzymać się może i to jedynie z malowania portretów. Rusiecki przez lat 15 pobytu w Wilnie niewiem czy miał kilka obstalunków. Znakomity sztycharz i professor Kisling zaraz po zamknięciu uniwersytetu przeniósł się do Petersburga, a dziś podobno w Mo-



skwie daniem lekcji rysunków utrzymuje się. Nieodżałowana szkoda, że ten artysta niemógł wryć na blacie jednego z najpiękniejszych obrazów Czechowicza (cud. bł. Jana Kantego), do czego już miał rysunek przysposobiony. Rycina jego przedstawiająca *Flore*, z obrazu Tycjana, taką mu sławę we Florencji zjednała, że Ciampi na pochwałę wiersze łacińskie napisał:

«Finxerat italicam Floram Vecellius, ipsam etabula rapuit Sarmata Chalcographus.

«Est mirata vices! hyberno tempore flores laetior inclausis, nida non perit.

Aestivo, in campis, En discimus esse abeundum cui sors in patria non bene laeta fuit.

Kulesza i Dmochowski dziś na Litwie są uważani za najlepszych malarzy *widoków*. P. Kulesza przez czas długi malował (en gouache) i ten rodzaj nadał mu i śmiałości w robocie i dotknięcia mistrzowskiego; ma ten artysta wiele uczucia, smaku i poezji, a wszystkie jego roboty tak są miłe, tak wdzięczne, że im napatrzeć się dosyć nie można; przednie plany, główne oddalenia, wszystko to u niego dobrze obmyślane; wtenczas nawet kiedy gdzieś na boku położy kamień i przy nim rzuci kilka gałązek chwastu, zawsze widać, że to z duszy i poezji wypływa, że nie jest bynajmniej na ślepy traf położonem. Widz kiedy się przypatruje jego pejzażom, to mu się zdaje, że tuż na pierwszym planie jego rysunku stoi, a oddalenie gdzieś w mglistem powietrzu ginie. Pan Kulesza był ulubionym uczniem Rustema i ciągle w jego pracowni malował. Gdzie jest dzisiaj i czem się zajmuje, nie wiemy; wiadomość bowiem jaką nam dał p. Kraszewski w Atheneum jest trochę za ogólną, i nie

wymienia szczególnych tego artysty robót. P. Dmochowski jest wielkim naśladownikiem żyjącej natury, lubi on w swoich pracach chwycić naturę, ale w jej odległym blasku, maluje bowiem albo poranki, albo zachody słońca, podobnego rodzaju widzieliśmy widok miasta Wilna, tuż przy zachodzącem słońcu, budowny efekt promieni, padających na obłoki tuż nad lasem unoszące się. Musimy i to dodać, że p. Dmochowski jest pięknie wykształcony, jak na artystę potrzeba, obeznany z piśmiennictwem; dość powiedzieć, że książka z rąk tego artysty nie wychodzi. Rypiński pracuje nad miniaturą i portretami olejnymi, a robota jego dobrym rysunkiem i śmiałością pędzla zawsze odznaczała się. Zawcześnie zmarły Żukowski Feliks był u nas najlepszym miniaturzystą, takim jak dziś w Krakowie Jan Głowacki; krótką o nim wiadomość biograficzną, umieściłem przed kilku laty w *Atheneum* p. Kraszewskiego. Zmarły niedawno Bachmatowicz, wydawca szkiców Rustema i Orłowskiego, był niezłym kompilatorem litografij francuskich, a choć krajowe rzeczy na kamieniu rysował, wszędzie jednak akcent francuski *Adama* przebijał się. Byczkowski, Hesse, Raczyński, Sławecki, znakomitą sławę pracą i talentem w kraju zjednali; szczególnie ten ostatni uczył się w akademii sztuk pięknych w Petersburgu, otrzymał dwa medale srebrne, nadto był wybornym medalierem. P. Byczkowski, który lat kilkanaście bawił w Dreźnie, był uczniem Rustema, później zaś doznał opieki hr. Gintera, który chcąc podnieść talent tego artysty, wiele się przyczynił do wystania go za granicę, dawszy mu należyte wsparcie. W tem się niepomylił p. M. Grabowski, że pomieścił hr.

Gintera w liczbie orędowników malarzy krajowych, mieliśmy szczęście na to patrzeć; o innych zaś, których p. Grabowski chciał ustroić w pawie piórka, to jeszcze pomówimy — nie trzeba jawnie głosić hołdów, i wonnych kadzidał tym, co żadnego prawa do tego rościć niemogą.

Kazimierz Jelski znakomity rzeźbiarz, nierównie wyżej stanął od swojego nauczyciela Lebruna. Mnóstwo ogromne popiersi gipsowych, które z natury robił, z osób nauką i światłem odznaczających się a między temi i profesorów Uni: W.; wielkie mu imię zjednały. Najlepszymi jego uczniami byli: Kowalewski i Franciszek Smokowski (\*). Do lepszych robót ostatniego policzyć można 12tu apostołów wielkości naturalnej, które wykonał do kościoła XX. kanoników regularnych w Ozieranach w Gubernii Mohilewskiej, gdzie około trzech lat pracował.

Dziś żyjący w Krakowie Statler wydoskonalił swój talent częścią w Rzymie a częścią w Paryżu. Wspaniały obraz jego Machabeuszów zjednał mu pochwałę w stolicy sztuk pięknych i medal złoty od króla Francuzów. Obraz ten choć pod względem myśli nie ma żadnej styczności z dzisiejszym tokiem piśmiennictwa i czuć go trochę pleśnią, zawsze jednak daje poznać talent w wykonaniu. Pracuje podobno teraz nad wiadomą przygodą ś. Jadwigi, i ten przedmiot więcej nas obchodzi i cieszy. Przed trzema laty będąc w Krakowie mieliśmy szczęście widzieć dwa wspomniane obrazy w pracowni tego artysty.

(\*). Szemesz w Ateneum o szkole malarzkiej Wileńskij.

Od IV, zeszyt VI, str. 225.

w Krakowie Jan Nep. Głowacki głośny wiernym i trafnym kopjowaniem sławniejszych wiedeńskich artystów, szczególnie Amerlinga. Udają mu się wybornie widoki, w głowach jednak co do rysunku chybiamy, jeżeli z natury maluje, w rysunku całej figury jest trochę słabym.

Tu w Warszawie, zamiłowanie w nauce malarskiej nad podziw się objawiło i rozszerzyło: mamy dużo imion, co już nieźle w tym zawodzie poczęli; jednakże mała wytrwałość w pracy, mylny kierunek i zbyt nie o sobie rozumienie są główną przyczyną, że dotąd bardzo niewiele mamy artystów na stanowisku takim, na jakim widzieć ich pragniemy. Jedni z nich, jak istoty pasożytne, przerysowywali litografje francuskie i cudzym talentem, cudzą pracą szczylicili się, a inni niemając dobrze wskazanej drogi i szkoły, chromiejąc, po manowcach się błąkali, a tym sposobem jedni i drudzy zakresu mierności nieprzeszli. Piwarski należy do chlubnych wyjątków: w *Album* cynkograficznym starał się oddać przygody ludu naszego; a choć rysunek niedość poprawny i w obliczach tożsamości nieuniknął, jednak wybitność i oddanie niektórych szczegółowych charakterów, wiele zalet tej jego pracy nadaje. Jest on także dobrym kompozytorem widoków,—można poznać, że karmił wyobraźnię zapatrując się na ryciny zagranicznych mistrzów, wprawy jednak potrzebnej do tego rodzaju pracy niema: w kraju jest on jednym z tych co pracował i ręką i głową i sprawiedliwie nabył prawa do popularności swojemi tworam.

Bonawentura Dąbrowski dał się poznać bardzo ko-

rzystnie ze swoim talentem, obrazy jego wzięte z przygód życia włościan naszych, nawet przy usterkach rysunku wielce się podobają: widać w tych robotach obok śmiałej ręki, pojęcie myśli prawdziwie autorskie. P. Dąbrowski pierwszy u nas po Stachowiczu zajął się obrazami życia sielskiego, do czego zapewne stosunki jakie miał z ludźmi pismienictwu oddanymi, musiały go natchnąć. Miło jest patrzeć na te jego roboty, gdzie wyobraźnia pełna ognia i przejęcie się dobroduszną prostotą ludu i oddanie się świątecznej wesołości, tak cudownie się malują. Są zapewne w tych robótkach i uchybienia, ale gdzież ich niema, u p. Dąbrowskiego nikną one przed urokiem natury schwytanęj na prawdzie. Ile razy mi się zdarzy spotkać z temi scenami ludzi p. Dąbrowskiego, nigdy dość im się napatrzeć niemogę — jest on u nas malarzem, autorem i jedynym co odpowiada wymaganiom obecnego stanu pismienictwa. Uczta z czasów Stanisława Augusta i tańce weselne w zbiorze K. W. Wójcickiego, chlubę znamienitą artyście przynoszą. Obraz także p. Dąbrowskiego *Zesłanie Ducha Ś.* w kościele farnym jest tam najlepszym ze wszystkich nowych a nawet i od *Zdjęcia z Krzyża* przez pana Kokulara malowanego. Szczegóły, amianowicie ręce są mniej starannie i niepoprawnie narysowane, ale za to śmiałość pędza, ogólny efekt obrazu, koloryt, powietrze otaczające, łuna nad Matką Boską, wszystko to znawcę niewypowiedzianie zachwyca — czegoż więcej mamy żądać po tym, który nie był za granicą — i dla tego ubolewamy, że p. Dąbrowski, chwile młodości swojej, w której talent szybko i najłatwiej doskonalić się może, zapatrując się na

wzory w Rzymie lub w Paryżu, dotąd w Warszawie trawi. Niezaprzeczamy, że i tu w kraju można się kształcić, ale mieszkając między temi, co żyją oddychając prawie uczuciem malarskiem, w rok jeden więcej postąpić można, aniżeli u nas w lat 10.

Antoni Ziemęcki, który tak chlubnie od dawna pracuje na niwie rodzinnej, nabył słusznie prawa do naszej wdzięczności, istotnie bowiem on jeden swojemi obrazami, przypomina i odświeża w pamięci naszych kronikarzy. Nie jesteśmy w mocy, abyśmy mieli nasuwać artyście ustawy, albo też kierować upodobaniem jego, które zawsze w robotach się odbija, ale odważamy się tę uwagę zrobić, że p. Ziemęcki te tylko przedmioty do malowania obiera, do których konie wchodzi. Bitwy, utarczki, wyścigi konne, i tym podobne sceny, które stanowią osobny, podrzędny rodzaj historycznego malowania, lepiej to zostawić fuszerce, która nie znając rysunku, przez okno zdejmuje kontury z litografii Adama, i na płótnie farbami napuszcza; ale p. Ziemęcki, co odbył należycie szkołę, co rysował z nagiego wzoru, i zna doskonale budowę ciała ludzkiego, może obierać do malowania przedmioty wzniosłe, gdzie namiętności duszy, w poruszeniach ciała i na obliczach się okazują. P. Ziemęcki tak śmiało i z taką pewnością władający pędzlem w szkicowaniu głów, umiejący tak silnie nateżyć koloryt i po Rubensowsku rzucać pędzlem, powinien obracać pole do popisu w sejmach i tym podobnych uroczystościach, gdzie mowy senatorów i dygnitarzy wywołują na zgromadzonych widzach rozmaite poruszenia, gniewu, zadziwienia, urazy, zemsty i t. d. W ogólności p. Ziemęcki ma i tę swą zaletę, że cokolwiek bądź z dziejów krajowych obiera do malowania,

zawsze przystępuje do tego z chwalebłą sumiennoscia, — co dowodzi, że artysta niemniej książką jak i pędzlem zajmować się lubi. Nadmienić nam tutaj wypada, że w malowaniu portretów z natury, bardzo trafne schwycenie rysów, podobieństwa, jest także powszechnie przyznaną zaletą pana Ziemięckiego.

P. Kaniewski wystawił po raz pierwszy swoją kopię z Rafaela *Wjazd Papieżów do Rzymu*: ogromem swoim ten obraz zadziwia; ale nie widząc oryginału trudno dać zdanie o kopii, wszelako nie można przypuszczać, aby Rafael tak nędznie malował; wszystkie osoby, ile ich tam jest, wyraźnie chorują na wodną puchlinę. Portrety p. Kaniewskiego mają jakiegokolwiek zalety: bez porównania wyżej stanął p. Hadziewicz w tym rodzaju, i w jego robotach rysunek poprawny, barwność przyjemna, kwiecista, miękkość pędzla prawie do wymuskania, są największymi zaletami, i śmiało uważać możemy p. Hadziewicza jako najlepszego u nas portretystę. W malowaniu zaś obrazów świętych, pomimo wszelkie zalety praktyki technicznej, nieokazał się p. Hadziewicz wyższym nad malarzy XVI i XVII wieku, nie tylko co do myśli, ale nawet co do układu. Nieostrzeżliśmy w robotach jego nic takiego, coby nam choć lekki odcień estetycznego pismienego pojęcia sztuki odbić mogło. Prawda, że w obrazach treści religijnej, trudno jest robić zawsze to samo, i coraz odmiennie, wtenczas kiedy te same przedmioty potylekroć razy były powtórzone przez najcelniejszych włoskich artystów, ale można wyszukać coś innego, gdzieby należycie z talentem tak pięknym jak p. Hadziewicza popisać się można było. Powtarzam jeszcze, że w portretach różnego mu dotąd [Iniemamy.org.pl](http://Iniemamy.org.pl)

Roboty panny Bauman są u nas zjawiskiem tak ciekawym, iż prawdziwie zdumieni, niedowierzamy aby ręka ludzka je malowała. Portret kobiety w czarnej atłasowej sukni jest arcydziełem, z jakim w całym mojem życiu nigdy się niespotkałem, dni i miesiące przypatrywałbym się cudnej robocie głowy i rąk; co za studja, co za natura, miękkość, świeżość. Dla panny Bauman dość tej jednej roboty, bo ona ją uwiekopomni, może rzucić pęzle i żyć na wieki w potomności. Każdą razą, kiedy tylko wspomnę o tej panny Bauman robocie, przychodzi mi na myśl, co to twórczy geniusz, nawet w krótkim czasie dokazać może, jeżeli Bóg nim udaruje kobietę. Widziałem w Petersburgu kilka robót w akademii sztuk pięknych *Angeliki Kaufman*, której stawa za życia Kamuczyniego grzmiała na całą Europę, widziałem obrazek pani *Lebrun* przedstawiający pokój 1814 roku — były to wielkie mistrzynie, odgłos ich talentu był upowszechnionym, i na równi z artystami pierwszego rzędu uważane były: a przy pannie Baumann tak one giną, jak świętojański robaczek przy słońcu. Jedna tylko pani Gérard, robotą i talentem nieda się przewyższyć. Mówią, że Rubens malując swoje obrazy, maczał pęzle gdzieś tam w niebie; panna Bauman zaś, gdzieś w sferze nadludzkiej siedząc maluje. Niemożę sobie wyobrazić, aby można było do wyższej doskonałości doprowadzić talent malarski, i chyba tylko już w myślach i ideach bujać można będzie (\*).

(\*) Na wystawie sztuk pięknych w Berlinie, r. 1844, prace panny Baumann do najznakomitszych policzone były; szczególniejszemu podziwiano *Rodzinę Górali* patrzącą z zalem na dogorywającą chatę. Tłumy widzów oblegały obrazy ręką panny Baumann robione.



Breslauer, uczeń szkoły Düsseldorfskiej, — który pracował przez lat 20 za granicą, pokazał nam kilka widoków malowanych z natury, dodatkami własnego pomysłu, gdzie niegdzie ozdobionych; — prawda, że natura jest wszędzie wiernie oddana, w świetnych jej barwach; mgliste oddalenia, lekko unoszące się obłoki i przednie plany, należycie z płótna wyskakujące, do wielkich zalet tego artysty należą, ale brak całkowity dotknięcia i łatwości w robocie (czém Głowacki celuje), nie nadaje jego utworom prawdziwie mistrzowskiego piętna.

Lesser w obrazie *Obleżenie Trębowli* odznacza się bogactwem kompozycji, wchodzą tam osoby na scenę, które niekoniecznie w rzeczy samej tam się znajdować mogły; zależy to od woli artysty, tak mu się podobało i przeciw temu nic powiedzieć niemożemy. Ale rysunek jeszcze słaby i mieszanie farb nakreskowane wiele zalet technicznej robocie ujmują. Porównać tego obrazu nie można z *Kadłubkiem* przed rokiem na wystawie pokazanym, gdzie i rysunek i władanie pędzlem znamienitego postępu dowodzą i wielkiego w nim mistrza rokują.

*Męczeństwo ś. Wawrzyńca* p. Aleksandra Zielińskiego, szczególnie uwagę na się zwróciło, nietylko wymiarem, ale nawet i najpiękniejszą kompozycją. Widać, że ten młody artysta obrał sobie drogę, jakiej nie wszyscy nasi pojmują i trzymają się; musi być kierowanym przez nauczyciela mistrza, gruntośnie sztukę malarską znającego; styl bowiem rzymskiej szkoły, owe *pathos, grandioso*, już się przebija w tym utworze młodego wieku artysty. Jesteśmy najmocniej przekonani, że p. Zieliński, przy właściwej sobie pracowitości i zamiętnem do sztuki przy-

wiązaniu, dojdzie niewątpliwie do wysokości doskonałości, i do rzędu pierwszych artystów u nas policzonym będzie.

Dzięki Bogu, że mało mamy zwolenników rodzaju miniaturowego — u nas p. Marszałkiewicz jakożkolwiek portreciki klepie, — byłyby one dobre, i w rzeczy samej udaje mu się czasami wydobyć przyjemną mieszaninę farb, ale rysunek niepoprawny, a nawet zupełna jego nieznamość w kręśleniu tułowia i rąk, niewyrozumienie światłocieni, niedostatek artystyczności tak tu niezbędną, do rzędu miernych utworów jego prace spychają. Nierównie śmielej, artystyczniej i z większym smakiem oglądaliśmy akwarelowe portreciki, wielkich nadziei młodzieńca Piwarskiego. Od serca radzilibyśmy, aby zarzucił tak błahę robotki, a jeżeli ma powołanie zostać artystą, aby oddał się historycznemu, olejnemu rodzajowi. Wszak mamy dużo spekulantów, zostawmy to przybyszom, bez nauki i talentu, co do nas każdorocznie przyjeżdżają i fuszerką pieniądze łudzą. Dziś potrzebujemy artystów w całym znaczeniu tego wyrazu, potrzebujemy takich, coby na równi z autorami, malując obrazy pisali i objawiali myśli wzięte z kronik naszych, którzyby produkując swoje utwory, mogli wpływać na opinię publiczną, i jej kierunek nadawać; obraz bowiem bez myśli, jest jak martwe ciało bez duszy, albo gorzej, jest wyrobem nie sztuki, ale przemysłu.

P. Chojnacki, jak się z pracy jego pokazuje, najlepiej i najwięcej dotąd za granicą korzystał: w rysunku jest poprawnym, ma wiele czucia i smaku, w pojęciach zaś estetycznych co do myśli, innych przewyższył. Możemy obiecywać, że w p. Chojnackim będziemy mieli kiedyś znakomitego artystę, byleby tyl-

ko niezbaczał z tak pięknej ścieszki i pracował w tej gałęzi, która przemawiając do naszego uczucia, i więcej sławy artyście i pożytku dla kraju przynieść może.

Kasprzyckiego widoki mają wiele pięknych zalet, starannie wypracowane, po większej części z wzorów upatrzonych, niekiedy nawet zachwycają, jak ostatnia jego robota *widok zimy*. Jednakże to wysłęczenie pędzlem, niemieckim artystom właściwe, zupełnie się sprzeciwia polotowi talentu, wyobraźni i lekkiej ręki, która w okamgnieniu, prędzej aniżeli myśl przyjdzie, rzuci na płótno barwy. Dobrze jest umieć widzieć naturę, chwycić ją i naśladować wiernie, ale obok tego zawsze jest potrzebne śmiałe władanie pędzlem, które nas upewnić może o wprawie ręki i czucia artysty.

P. Zalewski obrał szczęśliwie dla siebie rodzaj malowania wnętrów, lubo zataić nie możemy, że ta gałąź sztuki jest niewdzięczną, bo cóż zajmującego mogą mieć ściany, mury i ulice nawet dla samego artysty, w tej bowiem pracy najwięcej ma do czynienia oko i ręka,—a myśl, jakby jej niebyło. Ci tylko co się chcą sposobić na dekoratorów teatralnych, najprzyzwoiciej temu rodzajowi oddawać się powinni. Pod względem techniki nie możemy odmówić p. Zalewskiemu wielkich zdolności. Przed pięciu laty widzieliśmy mnóstwo wnętrów malowanych, szczególnie salonów, w których firanki, meble, bronzы, najpierwszą grają rolę: był to jakiś chwilowy popęd młodych i jeszcze niepojmujących rzeczy artystów, co jak dzieci za cackiem, za tą bawiącą banką nowości pobiegli, i na malowanie tak błahych rzeczy czas swój marnowali, kiedyby ten rodzaj należało zostawić tym,

co niemając ani nauki ani umysłowego wykształcenia, tylko w samej technice zwykli są szukać artystyczności. P. Zalewski w obranym rodzaju prawdziwie po mistrzowsku maluje.

Obrazy i obrazki p. Suchodolskiego pod względem artystyczności, ledwo na wspomnienie zasługują. Obraz przedstawiający walkę amazonki, z przeszłej wystawy, jest prawdę mówiąc: *magnum nihil*. Konie z litografji Adama i innych kompilowane, a rysunek figur ludzkich jest rzeczą obcą dla niego: byłoby wszelako z naszej strony niesprawiedliwością, gdybyśmy niepochwaili zamiłowania sztuki, z jakim p. Suchodolski nad innymi celuje — nie rzeknąć o szczerzej wdzięczności, jaka mu się najstuszniej należy za obieranie przedmiotów do pracy swojej, dla naszego serca najdroższych.

Niemożemy ominąć P. Paszkowskiego, który obrazem Sgo Marcina pokazał na sobie przykład smutny — zupełnego zwichnięcia w pojmowaniu zasad sztuki malarskiej — i do jakiego stopnia można się obłąkać, niemając wskazanej drogi w czasie odbywania szkoły, to jest uczenia się rysunku z wzoru żyjącego. Dać czysty błękit na niebie, odmalować pąsową draperję, figurę kamienną cielistym naprowadzić kolorem, nie jest to żadną sztuką, prosty lakiernik to wszystko potrafi. W obrazie treści historycznej, aby należycie warunkom artystyczności odpowiedzieć, trzeba studjów z natury, trzeba czucia, smaku, łatwości, władania pędzlem, śmiałych rzutów ręki, dotknięć i t. d. trzeba poznać budowę ciała ludzkiego, przejąć jego formy, tak w częściach jak w ogóle, umieć przywiązać ramiona do pleców, i ręce do podramion, równie też stopy do nóg, choćby figura

przykryta była draperją,—nie zaś malować wypychane sianem manekiny. W tej robocie p. Paszkowskiego, oprócz silnych kolorów i wylizania, nic artystycznego, pod jakimkolwiek bądź względem dostrzedz nie można, lubo wielkiego talentu i pracy najwidoczniejsze są ślady—i tylko zły kierunek studjom nadany, rozumienie sztuki zagmatwał, że w robocie p. Paszkowskiego nie widać ani sztuki ani natury.

P. Pęczarski udarowany wielkim talentem i pracowitością; szkoda tylko, że obiera przedmioty do malowania w brudach towarzystwa—bo kogóż zając może lichwiarz, szuler przy kuflu piwa, włóczęga bilardowy. Cudownie p. Pęczarski chwyta fizjonomje, traktuje pędzlem miękko, i wiele jest natury w jego obrazach; ubolewamy tylko, że talent swój poświęca na malowanie istot wzgardzonych i hańbą pokrytych, kiedyby mógł znaleźć krocie myśli z przykładów malujących szlachetność, cnotę, męstwo i t. d.

P. Fanhauzer w malowaniu portretów niepospolite okazał zdolności, jeżeli tylko niewdawał się w zbytne wykończenie, jakie zwyczajnie przy wygasłym już ogniu zimną ręką i zimnem uczuciem się odrabia.—Ręce po mistrzowsku pędzlem kreślił, niemniej też metale, hafty, futra, i t. d. czém właśnie nad innych celował. W wykonaniu zaś obrazów świętych mniej jest szczęśliwym.

P. Lampi malarz fantastyczny, malarz poeta, a nade wszystko widoków, które z uczuciem piękności tworzy i układa. Widoki jego tém się szczególnie odznaczają, że wybierał pory dnia najdobitniejsze, i z tych zachody słońca, najlepiej mu się udawały. Przypatrując się tym obrazom, w których rozgrzana atmo-

sfera i parna mglistość tak artystycznie jest oddaną, mimowolnie zdumiewać się trzeba, nad talentem Lampiego, — zdaje się, że od samego tylko patrzenia na to gorące niebo, widzowi pot na ciele wystąpić musi. Portrety p. Lampiego są robione z niestychną łatwością, rzuca on barwy na płótno ze śmiałością historyka, i ubiera osoby malowane, a szczególnie kobiety, w draperjach od niecheenia rzuconych na głowę i ramiona a co wiele piękności tym robotom nadaje. Wszystkie roboty p. Lampiego mają na sobie wyraźne cechy mistrza zupełnie wykształconego, które go wywyższają nad cną tych wyrobników, co w cudzej pracy i talencie szukają dla siebie pokarmu, a czasami niedołącznie przerabiając i nicując, za własne utwory nam pokazują. Godzien zaiste p. Lampi aby doznał współczucia od prawdziwych wielbicieli sztuki, tak bowiem wszechstronny talent jego zasługuje na to.

Pominałem w tym krótkim wykazie wielu innych artystów, nie dla tego żebym miał ująć im talentu i zdolności, ale dla tego, że w robotach swoich jeszcze nie wyrobili tego co się nazywa artystycznością: celem bowiem sztuki, jest jak powiada Kremer, sama sztuka, czyli artystyczność, skoro zatem jeszcze w robocie to się nieprzebija, choćby nawet i w manierność rysunek wpadał, jeszcze te prace książką i szkołą pachną (\*).

(\*) Z młodych rodaków poświęcających się sztuce w różnych zagranicznych uczelniach, nie możemy tu pominąć p. Stankiewicza Warszawianina, który obrawszy sobie wyłącznie rodzaj portretowy, z całym młodzieńczym zapałem i niezmordowaną pracą mu się oddaje. W czasie dwuletniego pobytu w akademii sztuk pięknych w Pe-

Rzeźbiarstwo przed wieki było u nas w świetnym stanie. Skłonność chwalebna i najpiękniejsza cnota przodków naszych, do uczczenia pamięci osób drogiej rodziny, albo zasłużonych w kraju mężów, wabiła z Włoch mnóstwo artystów do stawiania grobowych posągów. Pamiątki te, jeszcze do dziś dnia po kościołach i kaplicach święcie dochowane, przekonywają o doskonałości mistrzów, a zarazem o szczodrej hojności osób, co koszta na nie łożyli.

Niema kościoła w Krakowie, gdzieby kilka pomników dawnością i wzorową robotą odznaczają-

tersburgu, zaszczycony dwoma medalami, obecnie udaje się do Rzymu. Ostatnie jego prace sumiennością rysunku, uderzającym schwytem podobieństwa wyrazu i świetnym a niemanierowym kolorytem, zjednały sobie nader przychyłbe zdanie znawców, z pomiędzy których znany *Brülów* niepospolitego w Stankiewiczu artystę zapowiada. P. Antoni Kolberg, którego obraz świętej Trójcy w czasie początkowej nauki malowany, znajduje się w naszej katedrze, od kilku lat bawi w Rzymie. Zamiłowanie jego i początkowe próby w rodzaju wielkim, poważnych religijnych obrazów, przekonało nas, że z pobytu swego w świętym mieście, razem z pojęciem sztuki i jej mechanizmem wykształcone estetycznie przywiezie natchnienie, z którym trzeba się rodzić, ale którego nauczyć się nie można.

P. Tadeusz Brodowski — w bardzo młodym wieku, bo nie licząc jeszcze lat 20, już zwracał na swoje obrazki, najczęściej sceny bitew i t. p., uwagę ludzi cieszących się szczerze ze zjawienia się każdego nowego rodzinnego talentu. P. Brodowski po krótkim pobycie w Rzymie, zajmuje obecnie jedno z pierwszych miejsc w pracowni H. Verneta w Paryżu, owego mistrza całej szkoły, apoteozy niktącej już w echu, a niedawnej sławy oręża francuzkiego.

Jeżeli talent co już tak wczesnie obrał sobie kierunek niezachwiany (a to jest jego rękojmią), mógł trafić na przyjazne okoliczności, to zapewne p. Brodowski ich niechybił, i małe a jednak charakterystyczne z ostatniej epoki szkice, któreśmy widzieli z pod pędla tego młodego artysty, każą nam niepowątpiewać, że tyle cudownych kart naszej historii znajdują w nim godnego ilustratora.

cych się widzieć nie można było. Między innemi w stylu gotyckim, cudownie piękny, już prawie upadkiem grożący, znajduje się przy ścianie bocznej kościoła Stój Katarzyny, który przed laty w czasie trzęsienia ziemi u góry się zrysował. Upewnił mnie p. Grabowski, że zwierzchność miejscowa szczerze zamysła przenieść go do innego kościoła. W Pułtusk kościół farny ozdobiony jest kilku znakomitými posągami, które i dla ubioru i dla doskonałości roboty są dla nas nieocenione. We wsi Grodzisko pod Ojcowem na górze przy kościele Stój Salomei są cztery posągi z piaskowego kamienia wcale dobrej roboty. Dziwnie jednak opatrność boska niemi się opie-

Pojęcie sztuki, jój mechanizm, zgoła cała zewnętrzna strona, dają się nauką, pracą i zapatrywaniem się na arcy-wzory nabyć, ale to nie dosyć — bo kto z urodzenia nie poświęcony na artystę, komu brak boskiego natchnienia poezji, ten lepiej aby wcześniej pozbył się uludy i porzucił sztukę, która nigdy mu się wdzięcznością za samą pracę nieodpłaci. Z jakimże więc uniesieniem wianiliśmy witać wszystkie talenta rzucające się w tak mozolny zawód, zawczasu natchnione świętym ogniem poezji i pracujące niez mordowanie nad zdobyciem mistrzowskich form, które im jedynie stoją na zawadzie wypromienienia swoich uczuć. Jednym z tak szczęśliwych powołanych jest niewątpliwie p. Cyprjan Norwid, zaszczytnie znany z niewielu swoich ulotnych poezji w pismach naszych umieszczanych. Nieodżałowana szkoda, że słabość wzroku niedozwoliła temu najpełniejszych nadziei artyście poświęcać się malarstwu. Przez kilka lat bawiąc we Florencyi kształcił się w niewdzięczniejszém dla naszego ubożego kraju i mozolniejszém w ogóle rzeźbiarstwie — chociaż egoistycznie patrząc na postęp sztuk naszych, cieszymy się, że imieniem swoim p. Cyprjan Norwid nietylko u nas w tej gałęzi sztuk pięknych, oddawna otworem stojącą lukę zapełni, ale i w reszcie artystycznego świata zasłynie. Z pierwszych prac jego w nowym zawodzie projekt i model do pomnika wieszczą z Czarno-lasu każdego uderza dziewczą prostotą i poetyzmem pomysłu na jaki tylko wyższe talenta natrafiają. Przep. Red. J. B. D.



kuje, gdyż dotąd, pomimo wiatry, upały, mrozy i słoty, przeszło dwa wieki dość dobrze przestały. Opis ich w dziełku Grabowskiego starannie jest skreślony.

Tu w Warszawie wyłączając kościół fary a może i XX. Dominikanów, bardzo mało jest grobowców starożytności znamienitych i nierównie więcej znajduje się ich w licznych kościołach Wilna. Ważniejsze przerysował i opisał Kraszewski w historii Wilna, a teraz p. Oziębłowski ma zamiar wylitografować całkowity zbiór tego rodzaju pamiątek. We wszystkich tych pomnikach albo popiersiem albo całemi posągami ozdobionych, przeszło lat sto w tył sięgających, zawsze poprawny rysunek, ozdobny styl i sumienna robota postrzegac się daje.

O pracach dzisiejszych rzeźbiarzy nic podobnego powiedzieć nie można, są to po większej części wyroby kamieniarskie; jeszcze ozdoby, liście, gzymsy i tym podobne rzeczy jakożkolwiek podobać się mogą, ale gdzie idzie o zrobienie popiersia lub całej figury, to zawsze nam pokażą dziwoląga, który i pięciu głów wymiaru niema. Przed laty kilkunastu słynął tu Małiński, a dziś podobno najpracowitszym jest p. Tarkiewicz.

Trudna jest wprawdzie nauka rzeźbiarska, wymaga głębokiej znajomości rysunku, bo figura kamieniana ze wszystkich stron się rysuje, ale też i sława rzeźbiarza nie tak się łatwo nabywają jak malarza. Ze wszystkich dotąd rzeźbiarzy, pierwszeństwo ma Kazimierz Jelski w Wilnie, który był professorem rzeźbiarstwa w uniwersytecie Wileńskim: inni zaś wszyscy w mierności ugrązli, a co boleśnieszka, że ta na-

uka w ręku szarlatanów na przemysł się zamieniła; są nawet tak bezwstydni, że cudzą pracę za własną pokazywali.

Dotąd artyści stanowili u nas odrębną klasę i zupełnie od piśmiennictwa usuniętą, nigdy do ich pracowni niezajrzał żaden literat, nikt władający piórem nie wywarł wpływu na ich prace artystyczne, ani też poznał z nimi publiczności naszej. Dziś, kiedy tak skrzętnie w obcych krajach o sztuce i artystach myślą, pora i u nas ocknąć się z letargu i pisać rozprawy o sztuce, a jeżeli tak będą artyści nieszczęśliwi, że tém niewywołają dla siebie mecenasów, to nierównie wyżej staną jako ofiary namiętnego przywiązania do sztuki, ludzie z talentem, których praca niczém wynagrodzoną nie była.

*Wincenty Smokowski.*

# SPEKULANT

POWIEŚĆ

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

*Wilno r. 1846.*



W obecnym utworze Korzeniowskiego, dążność autora rozbija się na dwa równie żywotne tępna, widoczne mniej więcej we wszystkich jego dziełach. Pierwsze, wszędzie przemagające, odznaczone czystą, postępową miłością bliźniego, przypomina nam autora żydów, górali i t. p. Drugie, które poetyczną miłość przeszłości z tak świetnej ogląda i podziwia strony, mniej nas zadowalało. To ostatnie zdaje nam się źródłem wszelkich usterków lub wad nietylko w powieści *Spekulant*, lecz w większej części utworów tegoż autora. Aby poznać nadzwyczaj zręczny a tak prosty mechanizm tego opowiadania, w krótkości je-

go treść przebieżemy. August, dwudziesto cztero letni młody człowiek przepróżnowawszy kilka lat życia po wyjściu ze szkół, upamiętywa się nagle, zastanawia w swym birbanckim zawodzie i z rozrzu-tnego, niegardzącego żadną z trzech zdradzieckich gracji, które tylu młodych złudziły, staje się oszczędnym, rządym i wyrachowanym. Naprawiwszy szczerby nieoględnością swą zadane miernemu szlacheckiemu majątkowi, układa plan, którego celem są pieniądze. Zdobycie pieniędzy dla polepszenia materialnego bytu — zdobycie ich szybkie i łatwe a zatem przez bogate ożenienie się, staje się głównem, jedynem jego żądaniem. Jak sam autor powiada, poprzedni sposób życia Augusta nie wypływał z jego charakteru, łatwo więc mógł przybrać inny i w istocie przybiera go, czy też odzyskuje swój właściwy, bo tego niezupełnie jesteśmy świadomi. Wnet mu się też otwiera pole działania. Przypadek zrządził, że bohater nasz spotyka w drodze panią Chorążynę wracającą ze swą córką Klarą z Odessy. Tenże przypadek sprawia, że August zabiera z damami znajomość, i razem, nawet w jednej karecie odbywa podróż.

Klarunia jakkolwiek dobrze wychowana, pełna delikatnego uczucia i skromności, ale żywa, i kapryśna, za pomocą tajemnego ściskania rąk w czasie nocnej jazdy, niedwójznacznie daje poznać swoje affekta Augustowi, który na serdeczne uściski młodej i pięknej dziewczyny, pomimo swój dwudziesto pięcio letniej krwi, pozostaje zimnym — jak buchalter za kantorem kupieckim. Prowincjonalnie udając miłość, rachuje miljon posagu śliczniutkiiej swej ofiary. Czytelnikowi pozostaje tylko podziwiać tę zi-

mną krew w tak młodym człowieku. Aby podejść rodziców, szczególnież czułą aż do exaltacji matkę, przybiera wbrew przeciwny własnemu charakter i występuje w roli szlachetnego, godnego, jak każdy piwszy kochanek teatralny. Zręcznemi jak je nazywa autor zabiegami, zwycięstwo prawie pewne, August Klarunię a raczej jej posag, już, już miał zagarnąć. W tém występuje znowu nieubłagany przypadek w postaci żyda dzierzawiącego młyny pana Chorążego. Żyd zagrożony w swym interesie przez Augusta, zasiewa w serce matki Klaruni podejrzanie o prawości charakteru przyszłego zięcia. Tymczasem spółcześnie tenże sam przypadek sprawia, że August dopuszcza się oszukaństwa swęj siostry i szwagra. Ten ostatni nadzwyczaj przenikliwy filozof (sic) a jednak poprzednio złudzony, otwiera oczy i demaskuje Augusta. Tu dopiero rozpoczyna się właściwa rola Jaśnie Wielmożnego Pana Marszałka, jednej z najgłówniejszych figur powieści. Marszałek, jak na człowieka trzydziesto-siedmioletniego, posiada serce czułe na miłość, jakiejby się żaden z rycerskich kochanków niepowstydzik. Kochając od kilku lat Klarunię, umiał uczucia swoje zataić i przypadek dopiero zrządza, że się z niemi wydaje. Aby uleczyć Klarunię z niegodnej miłości ku Augustowi oświadcza się z heroizmem o jej rękę i otrzymuje z łaskawością zezwolenie rodziców; nie było tu już bowiem żadnej *zawady z nierówności majątku i urodzenia* pochodzącęj; na *niestosowność wieku i odrazę* Klaruni od marszałka, czuła matka nie dawała uwagi, była pewną, że pomimo tych *drobiazgow* będzie szczęśliwą. Klarunia tak dalece dąsa się iż przy ślubie zamiast *tak*, stanowczo *nie odpo-*

wiada; naturalnie rodzą się ztąd zamieszanie, mdłości, i tym podobne następstwa tej sceny; w końcu jednak Klarunia upamiętywa się i odpowiada *tak*, a marszałek małżonkę zabiera do domu. Rozumiałby kto może, iż na tym koniec powieści? bynajmniej! Klarunia pozostawszy żoną marszałka nieprzestała być Jednak Klarunią, cała trudność aby została panią marszałkową z własnej dobrej woli. Dziełeczyna kapryśna, dziecko zepsute, smuci się, dąsa, i długo na to nie przystaje, w końcu jednak niezmordowana cierpliwość, gieniusz, cnota i poświęcenie się j. w. marszałka zostają uwieńczonemi, i jednego wieczoru niespodzianie Klarunia zamienia się w j. w. Marszałkową, a sztafeta wysłana do domu rodziców, tę zbawienną nowinę lotem farysowego rumaka zanosi.

Tem dopiero zamyka się powieść. Piękny jej sens moralny łatwy do odgadnięcia: jak dalece miłość na świecie jest niepotrzebną, ponieważ zawodzi a posłuszeństwo bezwarunkowe uszczęśliwia, bez względu na uczucie, nawet odrazy.

Przyznać musimy, że aby doprowadzić do tak trudnego wypadku, cała maszynerja powieści nadzwyczaj zgrabnie ułożoną została. Jakkolwiek przypadek kilka razy się niespodzianie do postępu intrygi mięsza, jakkolwiek dla zbitcia z toru domyślności czytelnika nie potrzebnie niektóre rysy dodane, (np. suchotniczość matki Klary), z tem wszystkiem interes, ciekawość, utrzymane są wybornie aż do samego końca, co już nie małą jest zaletą. Obrobienie artystyczne nawet w szczegółach tak jest staranne, ukazuje nam tak wytrawnego i doświadczonego pisarza, że najmniejszy ustęp z prawdziwą przyjemnością

czytać się daje. Powieść ta nie jest owym szumiącym, pryskającym poezją i talentem strumieniem, czasem kapryśnym i swawolnym, czasem cichym i orzeźwiającym, lecz zawsze swobodnym i poetycznym;—ale raczej zdała nam się długą sztuką atłasowej niby materji, czystej i lśniącej w różne wzory pracowicie obrobionej, która może się bardzo podobać.

Jeżelibyśmy chcieli koniecznie porównywać ten utwór z innymi, to najprędzej z niektórymi cichymi, wymuskanymi powieściami Balzaka. Niech tu jednak nikt sobie nie wystawia, że posądzamy autora o naśladownictwo — Zachowaj Boże! — Zadanie *spekulanta* trudnoby było artystycznie bardziej po swojsku obrobić. A jednakże tło tej powieści, duch w niej wiejący nie są nasze. Ten świat konwencjonalny, bogaty, i na jedną skalę ukształcony, chłodny i egoistyczny, wszędzie dziś jest jednostajny! wszędzie jednostajnie spekuluje i przeżywa swoje szczęście i nieszczęście. Nie odpowiada on ani potrzebom czasu, ani położeniu naszemu—zatarta już w nim przez połowę krajowa indywidualność i dla tego nie wzbudza silnie naszej sympatji. Świat ten bardzo przecież na naszą pociechę jest nieliczny i w końcu zawsze znajdzie w dostatkach i kupionem szczęściu odretwienie. Całe społeczeństwo nasze należy się biedniejszej, ale jakże liczniejszej kasty, czysto naszej, miejscowej;—ale tego nienapotykamy i śladu w stiukowych ścianach i kobiercami wybitych posadzkach salonów, powieści p. Korzeniowskiego.

Najznakomitsza postać z *Spekulanta*, p. Marszałek, ów olbrzym cnoty, tyle razy płaczący z przepęknionego uczucia, że gotowibyśmy go uważać za zdolnego

do Bóg wie nie jakich poświęceń — jest w gruncie dusz y tylko egoistą. Poświęcenie to jego, tylko jego własne, osobiste szczęście ma na celu. Towarzysząc w powieści od rana do wieczora i to przez czas długi, wszystkim jego czynnościom, nie spostrzegamy nic takiego coby wzbudzało wedle naszych, może dzikich pojęć, szacunek dla tej salonowej wielkości. Bo czyż nie jest grzechem aby pan tak możny, tak cnotliwy i tak oświecony, żyjący poświęceniem się, pracował tylko nad tem, co prawie każdy, najpospolitszy człowiek, może w cokolwiek dłuższym czasie od takiej jak Klarunia dziewczyny by otrzymał. W oczach naszych owa kolosalna 37 letnia postać JW. Marszałka roztapia się we łzach, które tak obficie wylewa i maleje do drobnosci pospolitego stempla przestarzałych kawalerów z pretensjami. Matka Klary zdaje nam się także jakąś anomalją charakteru, nie matką czułą, rozumną, żyjącą w XIX wieku. Zdaje nam się typem z XIV wieku wziętym. Ów gwałt zadany biednej Klaruni przy ołtarzu, owo lekceważenie świętego uczucia od Boga wlanego człowiekowi, przyznam się, nie pociągnęły serca ku arcywzorowi matki. Że August był obrzydłym hipokrytą, wyrzutkiem społeczeństwa, nie szło zatém aby biedna dziewczyna miała padać ofiarą tego, kogo nienawidziła, człowieka chłodnego, zbyt od niej różnego wiekiem. Nie zaspokaja nas szczęśliwe rozwiązanie powieści, bo w tym prawdopodobieństwie lesie, mogło wypaść zupełnie inaczej — i biedna Klarunia mogła stać się nieszczęśliwszą niż gdyby została żoną Augusta, a czytelnik może sam sobie zadawać pytania, coby się stało gdyby Klarunia cokolwiek miała więcej stało-



ści charakteru, lub gdyby przypadek postawił ją w możności wkroczenia na drogę zepsucia? Jakąby wtedy przybrało nazwę przewidywanie matki i jej przymus? W powieści tak dobrze obmyślanej, powinna by każdego przekonać oczywistość konieczności takiego, a nie innego postępowania wzoru matki.

Co do Augusta tylko słów kilka. Zdradzenie się jego w Berdyczowie jest zupełnie nienaturalnem. Jak stary łgarz wierzy w końcu swoim łgarstwom, tak hipokryta tego hartu nigdy, a tém bardziej tak lekkomyślnie swęj maski nie rzuca. Konając, jak Cezar pod razami, jeszcze się płaszczem hipokryzji okryje, aby się i w zgonie nie zdradził. Albo nie był tyle złym, albo nie był tak zręcznym jak go nam autor odrazu ukazał.

W ogóle, w powieści p. Korzeniowskiego wszystkie postaci satyryczne, komiczne, ujemne, bez porównania są prawdziwiej i zręczniejsz odrysowane. Kulawy djabeł, z swoją pocziwą ciągle szlochającą Marynią, pan Chorąży, architekt, pan Paweł poeta, Żyd, nawet Poczmistrz są wyborne, niezwyte i z wytrawnym smakiem narysowane figury. Z tej strony nie mamy nic i nic do zarzucenia. Możeby zaś nam kto zarzucił, że p. Korzeniowski maluje we wszystkim świat takim jakim go widzi z jego błędami i zaletami, nie dodając i nie ujmując, — oprócz wysoce artystycznego obrobienia. Wtedy poważilibyśmy się odrzec, że tak nie jest i że takiego celu sztuka nie może osiągnąć. Przykazania w dziełach sztuki są jak Boskie: zakazujące lub nakazujące. Zakazujące zła i brzydoty przenosić z jej obrębu do życia i faktów; nakazujące wielbić i wpro-

wadzać w życie piękno i dobro. Mistrz odbijający jakikolwiek z tych dwóch biegunów, nie powinien się taić i nie utai się ze swoją sympatją, — ta sympatja go zdradzi — i taż sympatja powinna być zawsze zgodną z potrzebami i wymaganiem ducha czasu, o jakim spomnieliśmy na początku tych uwag (\*) — i to jest co pomimo wszystkich wad szkoły szalonej francuskiej, tak trwałe jej jedna powodzenie.

Z tej to może przyczyny Spekulant, powieść pod względem układu i obrobienia do najpierwszych w naszym języku należąca, nie zyska z żalem wyznać musimy, serca czytelników, ileby ich zyskała gdyby była więcej zgodną z dążeniem wyzwolenia słusznych żądź ludzkiego ducha, od ciążących na nim odwiecznych praw niestuszności, — i o ileby wskazywała możliwość pogodzenia praw natury z prawami społecznego układu.

F. N. I.

(\*) Nader ważne uwagi do których się recenzent odwołuje, z prawdziwą dla Redakcji przykrością w druku usunionami być musiały.

## WYJĄTEK Z POWIEŚCI

p. n.

# TAK SIĘ DZIEJE

przez

*Paulinę z L. Wilkońskiej.*

Des Menschen Thun,  
Ist eine Aussaat von Verhängnissen,  
Gestreuet in der Zukunft dunkles Land,  
Den Schicksalsmächten hoffend übergeben,  
*Schiller.*



## I.

Pod wieczór pięknego dnia w miesiącu czerwcu, wyszły z pałacu w Radoszycach dwie małe dziewczynki.

— Do mamy!... do dobrej mamy! — wymówiła płaczliwie młodsza, sześćoletni jasnowłosa aniołek, i wskazała rączką, gdzie po za drzewami ogrodu świecił krzyż złożony, a rzęsiste łezki spływały z prześlicznych błękitnych ocząt po różanym jej licu.

— Nie płacz już, nie płacz Maniunio, bo cię główka zaboli — ozwała się o rok starsza siostrzyczka, i z niewystównem uczuciem, z uczuciem nad wiek swój, pochyliła się ku małej.

Niezwyčajny wyraz był wyryty w ładniuchnych rysach starszej, wyraz raniący serce, bo tak niewłaściwy na dziecięcej twarzyczce, nadający jej cechę przedwczesnego dojrzewania. Dziewczynka była blada i przy czarnych jak krucze skrzydło włosach i wielkich ciemnych oczach, jeszcze się bledszą być zdawała.

— O Celinko! Celinko! — zawołało jasnowłose dziecko — jakże nie płakać, kiedy zła mama tylko łaje i bije... A Bozia dobrą mamę zabrał... a tatka nas już nie kocha....

Celinka objęła drobniuchną postać siostrzyczki i obiedwie zapłakały.

— Do mamy! chodźmy gdzie dobrą mamę schowali — wymówiła znowu Mania.

Przebiegły szybko pomiędzy klombami zajazdu, wyszły z dziedzińca i udały się na smętarz, gdzie stał okazały grób rodziny Zawojnickich, dziedziców Radoszyc.

Budowa jego była w stylu gotyckim z szarego kamienia. Na czarnym marmurze frontonu umieszczono złożone wyobrażenie opatrności z napisem: *W Tobie nadzieja nasza!* — Z czarnego marmuru filary zdobiły wejście, u podnóża ich leżały tarcze herbowe — godła bardzo właściwe w tem miejscu ostatniego przybytku ziemskiej znikomości człowieka! — Szerokie kamienne stopnie prowadziły do wielkiej, połączanej kraty, za którą znajdował się pie-

kny posąg leżącej kobiety z karraryjskiego marmuru — u stóp jej także była oparta tarcza z dwoma połączonemi z sobą herbami, a w koło napis: *Celina z hrabiów Towałowskich Zawojnicka ur. 11 listopada 1798 r. zm. 15 czerwca 1826 r.*

Płaczące dziewczynki weszły po szerokich wschodach i usiadły przy złotonój kracie.

— Mamo! mamol—zawołała Mania, wyciągając rączki ku posągowi — mamol nam źle bez ciebie... tamta druga mama nas łaje i bije!...

— O weź nas do siebie mamol—wymówiła starsza błagalnie, i składając drobne dłonie wlepiła ciemne oczy w piękną twarz posągu.—My biedne sieroty... nikt nas nie kocha!

— Proś Bozi mamol, żebyśmy znowu były przy tobie!... Mamol, mamol nam tutaj tak tęskno bez ciebie!—Mania oparła główkę o kratę. Celinka mówiła «Ojcie nasz» — ale się biedaczka ciągle myliła, bo wszakżeż już matki nie miała, coby ją była nauczyła pacierza.

— Ty lepiej pamiętasz dobrą mamę, Celinko — ozwała się po chwili Mania — ale i ja ją pamiętam, choć już tak dawno umarła...

— Już podobno dwa lata!... O ja ją dobrze pamiętam!... Mama była taka ładna, jak obraz Świętej w kościele, miała śliczne złote warkocze...

— Białą sukienkę — wymówiła Mania — i zawsze się do nas uśmiechała i całowała nas... Czy ty pamiętasz Celinko? było lato i tak pięknie na dworze, siedziałyśmy z mamą nad rzeczką, Marysia przyniosła pełen koszyk polnych kwiatków, a mama wiała małeńkie wianeczki...

— O pamiętam, pamiętam! myśmy obrywały korzonki, a ziółka podawałyśmy mamie. To było na Boże-Ciało. Potem zaraz mama zachorowała...

— I potem leżała w czarnej trumnie, w takiej długiej białej sukni, dużo było kwiatów i świec, a mama wyglądała jak biały anioł...

— Chciałam pójść do niej, pocałować i obudzić ją... Ale wszyscy mówili, że się już nie obudzi, że umarła!.....

— Umarła! umarła! — zawołała z żałością Celinka, założyła rączki na małej piersi i łzy obfite z ciemnych jej oczu płynęły.

— I nie miałyśmy już dobrej mamy, i nikt nas nie kochał!... Potem tata gdzieś z domu pojechał, a kiedy powrócił to mówił, że nam mamę przywiózł.... Była to piękna pani, ale nie taka jak mama!... pocałowała nas, ale nie tak, jak dobra mama; dała nam cukierków, aleśmy ich nie jadły, żeby dobrej mamie w niebie markotno nie było... A teraz ta druga mama zawsze nas tylko łaje... O dobra mamó, weź nas do nieba!

Dziewczynki złożyły rączki jak do modlitwy i znowu się rozpłakały.

— Celinko! mnie główka bardzo boli — wymówiła po chwili Mania.

— Połóż ją na mojem łonie, połóż — i starsza dziewczynka przytuliła siostrzyczkę do siebie. Dziecię po niedługim czasie zasnęło, a Celinka to wpatrywała się w anielskie lica małej, ogniem gorączki zrumienione, to wzrok tęschny zwracała na pomnik matki — to spoglądała ku niebu, jakby z tamtąd jedynę przyzywając pomocy.

Cichy szmer w konarach drzew, otaczających grobowiec, zdawał się odpowiadać na tęschne wołanie w głębi duszy sierotki: dziewczynka słuchała, jak w ciemnych świerkach szumiało, słuchała lekkiego szelestu miękkich gałązek wierzby — mniemała, że ku niej wionęło wieszce tchnienie ukochanej matki... Senne marzenie ją owładło — zjawiała się piękna biała postać, uśmiechała się do płaczących dzieci, skinęła ręką... i Mania, jak niebieski aniołek, z wesołemi oczętami, ze skrzydełkami złotemi, owiana różanym obłoczkiem uniosła się ku pięknej, białej postaci...

— O mamol! mamol! więc mnie samą zostawisz!... — poszepnęła we śnie sierotka — a marzenie nasunęło jej inne zawiłe obrazy.

Słońce zaszło, wieśniacy powrócili do ubogich chatek, bydełko rykiem powitało strzechę — spokój zalegał wioskę, pola i lasy; już i ptastwo umilkło, a żyznych łąk trawy rosą skroplone tworzyły dla oddalonego oka jeziora i stawy, wróżąc pracowitemu rolnikowi pogodę na jutro. Zadzwoniono na *Anioł Pański* — szeroko, daleko rozległ się odgłos, wzywający na wieczorną modlitwę, sierotki ciągle jeszcze przy grobowcu matki siedziały, a w pałacu nikt nie uważał, że już od tak dawna wybiegły.

Pani Zawojnicka bynajmniej nie pytała o nie, a *mademoiselle Mercenaire*, ich bona, roztkliwiała się właśnie nad *Le solitaire par le comte d'Arincourt*.

— O dla Boga! dla Boga! kiedy też to paniątka jeszcze tu siedzą, — zbudziła wreszcie stara Jodrzejowa dziewczynki.

Pocziwa chłopka, bieląca płótno na murawie przy

smętarzu, widziała je wchodzące — nie był ten widok obcym dla niej, bo cała wieś wiedziała: że małe sierotki po nieboszczce jejmości często przychodzą do kapliczki, gdzie ją pochowano; że się z niemi macocha wcale źle obchodzi, a biedne aniołki matuli zapomnieć nie mogą.—Jędrzejka nie dostrzegła czyli dzieci już wyszły ze smętarza lub nie, i gdy zmrok zapadł, pobiegła zobaczyć co się z niemi zrobiło.

— Chodźcie paniątka do domu, ja was odprowadzę.

— Mnie tak główka boli! — narzekała Mania i chciała się podnieść, ale nagle przycisnęła rączki do czoła, przymrużyła nabrzmiałe powieki i znowu się położyła na kolanach siostrzyczki.

— Co niema boleć! wymówiła Jędrzejka, dotykając się jej główki — pali jak ogień..... Zaniosę panienkę do domu—i wzięła ją na rękę i do pałacu poniosła. Obok niej szła Celinka, powierzając chłopce senne marzenie, które miała, bo ona niemal jedyną była istotą, która sierotkom najwięcej okazywała współczucia.

*Mademoiselle Mercenaire* skończywszy czytać *Solitaire'a*, wyszła przed pałac i właśnie wołała z całego gardła: *Céline! Marie!* — gdy Jędrzejka z dziewczynkami nadeszła. Francuzka poczęła je łajać, ale gdy zobaczyła rozognioną twarzyczkę Mani, gdy rozumiała wyrazy chłopki: «panienka chora» — zamilkła i słabe dziecię sama do pokoju zaniosiła.

— Cóż u pana Boga, żeby też tak o paniątka nie dbać, jak ta Francuzica, a przecież jej za to piękny pieniądz płacą. A po co to takiego cudaka trzymać, kiedyby swoja lepij na powinność baczyła? — wy-



rzekła Jędrzejka do służącej Justyny, którą wychodząc z dziedzińca spotkała.

— Ba! po co ma dbać! wie dobrze że pani, jak zwyczajnie macocha, ani się spyta o dzieci; a ojciec, to żal się Boże! jemu wszystkiem druga żona, a co ona robi to święte! Mania stłukła tam jakiś stoik i dostała za to różgą, płakało biedastwo, jak gdyby mu serce pęknąć miało...

— I znowu obie ze starszą pobiegły do kapliczki, jak zazwyczaj.

— Boć też je matka kochała! Święty Jezu! nie skrzywiła się nigdy na nie, a zawsze pieściła i dogadzała temu, i to niby nie mają tego pamiętać!

— Ale, ba prawie! dobrze one pamiętają matkę... Boże zmiłuj się i ochroń każde dziecko od sieroctwa, bo lepiej gdyby nie żyło na świecie!

Nazajutrz leżała Mania w malignie, a trzeciego dnia stała Celinka przy jej łóżeczku, błada jak anioł śmierci, i trzymając złodowaciałą rączkę siostrzyczki, patrzyła nieruchomie, bezprzytomnie w martwe rysy malenki, która się już więcej do niej uśmiechnąć nie miała!

Manię pochowano obok mamy — Celinka niebezpieczną przeżyła chorobę.

## II.

Pan Ludwik Zawojnicki, człowiek słabego charakteru, próżny w całym znaczeniu tego wyrazu, który własną swoją osobę nad wszystko kochał, — po

śmierci pierwszej żony Celiny, aniła dobroci i piękności, zdawał się być boleśnie dotknięty tą stratą. Gdy jednakże w kilka miesięcy później znudzony samotnością w Radoszycach, i powiedziawszy sobie: «Jestem przystojnym, ba pięknym nawet, mam znaczny majątek, pocóż więc kwaśnieć, skoro inaczej z darów opatrności korzystać można!»—otrząsnął się z chwilowego żalu, zaczął w odleglejsze strony różne robić wycieczki, odwiedził Warszawę, i nakoniec zdjąwszy żałobę—której już oddawna w sercu nie było—rzucił się w świat rozrywek i zabaw. Dzieci tymczasem zostawały pod dozorem Francuzki, i pan Zawojnicki mało kiedy o nie zapytał: zmarła matka kochała je za siebie i za ojca, który w nich teraz widział tylko istoty, zapewniające mu całkowity dochód na czas pewien od znacznego na nie spadku po nieboszczce.

Piękna, zalotna i przebiegła panna Melanija Mrożeńska zakręlowała w sercu jego i umyśle, zanim się jeszcze od powierzchownych oznak wdowca był uwolnił, a w parę miesięcy po przebytych roku żałoby zajęła już miejsce Celiny i w Radoszycach, jako samowładna pani. Biedne sierotki, kochane namiętnie od anielskiej dobroci matki, rozpieszczone może z nadto, bo Celina należała do kobiet drażliwie czułych, a ubóstwiana od własnych rodziców, mieniąc ich być światem swoim, swoim Bogiem na ziemi, przelała i to uczucie następnie na dzieci, gdy w pierwszym roku po jej ślubie utraciła ojca a w krótko potem i matkę,—biedne sierotki dostały się teraz pod zarząd kobiety bez serca i bez litości.

Na czczości umysłowej i serca swojego męża poznała się nieboszczka Celina bardzo wcześnie, ale był

dla niej, dobrym, względnym, i w ogólności łagodnym w obejściu się. A mając Celinę, która już jako drobna dziecina najpiękniejsze rokowała nadzieje, i ślicznego aniołka Manię, pani Zawojnicka czuła się szczęśliwą — gdy nagle krótka choroba życiu jej koniec położyła.

Zawojnicki ożeniwszy się z Melanią, która go całkiem opanowała, mniej jeszcze dbał o córeczki zmarłej Celiny, i widzieliśmy w pierwszym rozdziale jakim był los sierotek. Jednakże po śmierci Mani więcej zwrócono uwagę na pozostałą dziewczynkę: oddalono *Mademoiselle Mercenaire*, i jakaś krewna Zawojnickiego przysłała w jej miejsce do Radoszyc panią Mlewińską, osobę pod każdym względem bardzo godną, ukształconą, ale za nadto egzaltowaną na nauczycielkę, na kobietę, której się wyłącznie wychowanie młodej dziewczyny powierza.

Pani Mlewińska utraciła męża przed kilkoma laty, a śmierć jego niemal ją do rozpacz przywiodła. Z tego związku miała córeczkę, która w krótko po ojcu umarła, — tak okropne ciosy zatrwały jej całe życie. Widok Celinki do łez ją rozrzewnił, bo jej zmarłe przypomniawszy dziecię, i od tej zaraz chwili pokochała lubą dziewczynkę, która także pod troskliwą opieką swojej nauczycielki innem odżyła tchnieniem. Zdolności jej umysłowe z dniem każdym więcej się rozwijały, tem bardziej, że poniósłszy tak okropną stratę, którą dziecina umiała ocenić, znacznie swój wiek uprzędziła, bo osierocenie jest to szkoła, która boleśnie wprowadzie, ale za to prędko kształci umysł i serce rozwija.

Gdy Celina dorastać zaczęła, przenieśli się państwo Zawojnicy do Warszawy, niby to dla dokończenia jej *edukacji*. Ale to raczej chęć zakosztowania wystawnego, przyjemnego życia w wielkiem mieście, skłoniła panią Melanię do uchwycenia się tego pozoru, do usprawiedliwienia się tym sposobem z czynów swoich przed światem, który bardzo surowym jest sędzią — a Melanija nie wniosła żadnego posagu, była zaś jak wiadomo mądrą i przebiegłą. Pani Zawojnicka pięknie zajęła mieszkanie, otworzyła dom, bywała wszędzie i po dwa razy w tydzień u siebie przyjmowała; — tymczasem odłączone od niej zupełnie Celina z panią Mlewińską, rzadko w jej salonie widzialne były. Dziewczynka z gorliwością korzystała z udzielanych jej nauk, i należy oddać sprawiedliwość Zawojnickim, że niczego — jako dla posażnej panny — nie szczędzono, ażeby jej jak najlepsze dać ukształcenie.

Wieczory spędzała zwykle z panią Mlewińską na czytaniu — było to dla niej najmilszą rozrywką, której się z prawdziwą namiętnością oddawała. Sama pani Mlewińska czytająca zwykle bardzo wiele, unosząca się aż do egzaltacyi nad każdym piękniejszym utworem, nie tamowała bynajmniej tego nieco szkodliwego zamiłowania w młodziuchnej dziewczynce, tem więcej szkodliwego, że nie zawsze stosowne dla jej wieku wybierała dzieła. Celina na pamięć umiała *Dziady* i inne pełne porywającego uroku poezje A. M.; z rozczuleniem, z zachwyceniem powtarzała każdy ustęp z *Maryi* Malczewskiego i t. d., a to wszystko było dla niej słodkim, ale odurzającym napojem.

Po trzechletnim pobycie w Warszawie powrócili

państwo Zawojnicy z Celiną, jako z dorosłą już panną do Radoszyc, ile że lekarze dla chorowitego synka, małego Zdzisława, wiejskie zalecili powietrze. Pani Melanija z żalem pożegnała miasto, gdy przeciwnie Celina z rokoszą powitała miejsce, gdzie spoczywała droga jej matka i ukochana siostrzyczka.

Rok jeden pozostała jeszcze pani Mlewińska przy Celinie, nie już jako nauczycielka, ochmistrzyni, ale jako towarzyszka, przyjaciółka, a potem oddalona przez Zawojnickich z powodu niekorzystnego, nieumyślnie w obec pani Melanii, wyrażenia się o wszystkich macochach,—zamieszkała w mieście i utrzymywała się z udzielania nauk dzieciom kilku rodzin. To rozłączenie się z osobą, którą tak silnie pokochała, która jej zastąpiła matkę, do której miłego towarzystwa całą duszą nawykła, było więc więcej aniżeli boleśnym dla Celinie — po jej odjeździe uczuła się znowu tak samotną i opuszczoną, jak w dziecięcym wieku po śmierci Mani.

Pani Zawojnicka mało udzielała się w sąsiedztwie, które, jak mniemała, nie odpowiadało jej w niczem, — z tąd też i mało osób bywało w Radoszycach. A jeżeli kto w gościnę zawitał, były to tylko osoby należące do *koterji* pani Melanii, spoglądające obojętnym okiem na Celinę.

Młoda więc dziewczyna, oddana sama sobie, z większym jeszcze zapałem rzuciła się do czytania, swojej jedynej rozrywki: książki stały się dla niej światem, w którym całą duszą żyła, skąd czerpała wszystkie swoje wyobrażenia i marzenia o przyszłości.

Ileż to razy po kilka godzin spędzała przy grobowcu matki, unosząc się młodą wyobraźnią po-za

obręb tego świata, co ją otaczał, tworząc sobie idealne zeświecie, wysnute z myśli czerpanych w cudownych utworach naszych wieszczów, albo w pełnych dziwnego uroku arcydziełach Szyllera. Przywozowała sobie w pamięci senne marzenia z lat dziecięcych, przepowiadające jej zgon Mani — i kiedy postyszała szmer listków wierzby, szum w konarach świerków; pragnęła złudzić samą siebie, że to głosy ukochanych duchów do niej przemawiają, i z tęschnem okiem oczekiwała znowujakiego wieszczego widzenia.

«Sniłam! śniłam!» — pisała razu jednego do pani Mlewińskiej — «i wrażenie, jakie mi sen ten w duszy pozostawił, pewno się nigdy nie zatrze. Byłam smutna, tęschna — i żywo się w pamięci mojej przedstawiła Mania i jej ostatnie zemną odwiedziny u grobu matki!.. W tém wpadłam w jakiś dziwny stan odurzenia, senności... Widziałam słońce w całym jaśniejącem blasku na pogodnym błękitcie — i tylko nademną czarona zawisła chmura. Ożywcze, ciepłe promienie każdy pieściły przedmiot — lecz *mnie* tylko nie dosięgały: wiatr północny pomiatał włosem moim, mroził czoło, zlodowacił łyzy, które z oczu płynęły, bo serce ciężka tłoczyła tęschnota... Biegłam przez piękny ogród, ozdobiony tysiącem różnobarwnych kwiatów — zdawały się uśmiechać do mnie, pochyłać ku mnie czarowne główki... Pragnęłam zerwać świeżo rozwitą różę, orzeźwić się jej zapachem — ale jej kolce boleśnie zadrasnęły mi rękę, wonne listki rozwiały się w powietrzu, a dla mnie pozostała się tylko łodyga!.. C hciałam uszczknąć nie-

zapominając, przytulić niebieski kwiatek do serca — ale zawiądnął w skrzepłej dłoni!... Po rozłożystych drzewach, wesoło śpiewały ptaszki — za zbliżeniem się mojem umilkły i głucha otoczyła mnie cisza!... Chodniki ogrodu były gładkie i czyste, a jednak kamyki i osty, niewidzialne dla oka, kaleczyły mi nogi. Wstąpiłam na trawnik, tak bujny, tak zielony, lecz za dotknięciem go stopą, usychała trawa, żółkła — zamieniała się w ciernie.... O wszystko! wszystko zamierało w około mnie!... Wyszłam z ogrodu — błądziłam po zaniwionych polach, po dzikich zaroślach, po górach piaszczystych — czarna chmura zawsze wisiała nademną, podmuch mroźnego wiatru wszędzie mnie ścigał — serce bóle przepaliły!... Dążyłam naprzód, naprzód! bez myśli! bez celu! bez nadziei!... Nagle ujrzałam jezioro — poznałam okolice Jedlina — miejsce urodzenia matki mojej!... Szybko szłam dalej i dalej — nogi niedotykały się ziemi — miałam cel mojej polotnej wędrówki!... Bez utrudzenia, wolną oddychając piersią, przebiegałam po stromym brzegu jeziora — wszystkie myśli moje, wszystkie życzenia sięgały błękitnawej, przezystej jak kryształ powierzchni, i zdala głos mnie dochodził: «Kto nie dozna czasem troski, nie umie chwil szczęścia ocenić, ale komu każda słodycz w piotun i truciznę się zamienia, po cóż nędzne przewłoczy istnienie!...» I szybciej jeszcze biegłam — przejrzysta woda miała mnie objąć w swoje ramiona — przytulić — stłumić ból serca — zagoić rany od cierniowych kolców zadane! Na dnie jeziora widziałam tysiąc razy piękniejsze kwiaty od tamtych w ogrodzie, słońca jaśniejsze świeciły — i dolatywał mnie śpiew

harmonijny, pociągający, jakoby głosy aniołów! Sta-  
nęłam na spadzistym brzegu— utopiłam wzrok w po-  
nętną przestrzeń—wyciągnęłam ręce... już—już mia-  
łam znaleźć przytułek — spokój!... W tém postysza-  
łam wołanie: «Celino! Celino!»..... był to głos matki  
mojej!... mojej matki!... przedarł się do głębi serca i  
w łonie zaległ na zawsze!... obwisły ręce — odwró-  
ciłam się nagle—dusza moja pobiegła za głosem mat-  
ki — zbudziłam się!...»

Piętno tych tęsnych dumań wryło się powoli  
na młodém licu Celiny, dodając niezwykłego uroku  
drobnym rysom. Wielkie ciemne oczy miały szcze-  
gólniej myślące spojrzenie, tak zgodne z bladą niemal  
zawsze cerą; — lecz gdy na świeżych, rumianych u-  
stach uśmiech osiadł, gdy za każdym i najmniejszym  
wzruszeniem lekko się zapłoniła, Celina była nad wszel-  
ki wyraz powabną, bo ta oznaka wesela więcej przy-  
padała do jej wieku. Średniego wzrostu, szczupła,  
wiotka, każdy ruch jej cechował wdzięk niezwycaj-  
ny, każde podniesienie ręki, schylenie głowy, nagię-  
cie się składnej postaci, we wszystkim nieokreślo-  
na była harmonija.

### III.

— Zmrok słaby letniego wieczora zaległ spokojną  
okolicę, Celina powstała od krosienek, otworzyła o-  
kno, by świeżem, wonném odetchnąć powietrzem, się-  
gnęła po *Wallensteina* Szyllera i poczęła ulubione  
odczytywać sceny, — gdy ją na herbatę do ogrodu



wezvano. Wiedziała że przybył jakiś krewny jój matczy, i niechętnie swój cichy opuściła pokoić.

Obok pani Zawojnickiej, jaśniejącej zdrowiem i pięknoscia, uśmiechając się do małego Zdzisia, bladego i kwaśnego, siedział młody mężczyzna, który za zbliżeniem się Celiiny nagle powstał i z szczególnym wyrazem uszanowania jój się uklonił.

— Celinko! mój kuzyn, pan Ryszard Żarnowski— wymówiła pani Zawojnicka.

Celina się lekko zapłoniła i wdzięcznym uśmiechem powitała gościa. Dziękując mu za podane sobie krzesło, pojrzała Celina po raz drugi na niego: był to wysoki, bardzo przystojny blondyn, cery świeżej, oczu niebieskich, mówiących, w których mniemała otwartość i szczerosc wyczytać; ust ozdobionych uśmiechem dobroci. Takim się przedstawił oczom młodej dziewczyny, której okazane jój uszanowanie pochlebiło, a uprzedzająca grzeczność zobowiązała. Bezstronny jednakże badacz, byłby w tych dużych jasnych oczach wyraz nieco obłudny a w uśmiechu jego lekką dostrzegł ironiją.

— Cóżeś robiła duszko? — zapytała pani Zawojnicka, która od pewnego czasu w sposobie pieśczołliwym do Celiiny przemawiać zaczęła.

— Czytałam właśnie, mamoo...

— Czy wolno zapytać, co pani czytałaś? — wymówił Ryszard z zajęciem.

— *Wallensteina* Szyllera.

— *Wallensteina!* czy w oryginalu?

— Tak jest. Osoba, której moje wychowanie zawdzięczałam posiadała dokładnie język niemiecki, i mnie go nauczyła.

— Zazdroszczę pani, tego choćby tylko dla samej przyjemności czytania Goethego i Szyllera w oryginale, a zwłaszcza też *Wallensteina*, bo jakież to jest utwór!

— Wielki i piękny!—poszępnęła Celina rumieniąc się.

— Monolog *Wallensteina*, opowiadanie snu, wszystkie sceny, w których Maks występuje i Tekla, owa poetyczna, owa luba, marząca postać dawnej Giermanii... A jej ostatnie wyrazy po zgonie Maksa!

— O jakież w nich cudowny, tajemniczy urok!—wymówiła z niezwykłą żywością Celina.—Są trzy poetyczne utwory, które jednakowo silne na mnie wywierają wrażenie...

— Do tych liczy pani zapewne i *Marjią Malczewskiego*!—zawołał Ryszard.

— O *Marja!* kogóż *Marja* nie zachwyca!

—« Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku

Młody Waclaw, i w pierwszym osadził go skoku;

Dosiadł bystrego konia, lecz spojrział wesoło

Stary miecznik, i w pędzie zawinął nim koło;

Za nimi brzmia puzany, za nimi, za nimi,

Zrywają się rycerze, jakby ptaki z ziemi;

Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara,

Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara,

Pancerni i usarze, za nimi kozaki,

I z spłoszonymi końmi harcują luzaki. »

— Cóż mi bardzo wpadasz w szal poetyczny mój kuzynku — ozwała się pani Zawojnicka.

— O, bo ja o tych boskich utworach bez uniesienia mówić nie mogę, porywa mnie mimowoli ich piękność... Umiem je na pamięć i bez wzruszenia powtórzyć ich nie mogę.

— Widzę, że przy was niemy tylko zostanę słuchaczem, bo Celiny życiem są te piękne utwory. Wi-

dzę, jak je będziecie czytywali pospołu, jak zamiana zdań waszych będzie z sobą zgodna.

— Niewystowniem uszczęśliwiony—wymówił Ryszard z uprzejmym wyrazem do Celiny — że w pani znajduję powinowatą myśli moich i marzeń: oboje ukochaliśmy piękne poezje trzech wielkich wieszczów... Ale ja za nadto sobie pochlebiam, unosząc się do pani... tyłem słyszał o pannie Celinie, że.....

— Od kogóż pan o mnie mogłeś posłyszeć?

— Od... od znajomych pani Mlewińskiej...

— Pani Mlewińskiej! tej dobrej, kochanej...

— O, jakaż to godna osoba! jaka zacna! jaka ukształcona i szlachetna!

— Pan ją poznałeś?

— Nie... ale... ale mi wiele o niej mówiono... Nieumiem wystawić mojego zachwytu—odwrócił Ryszard nagle mowę od pani Mlewińskiej — że i pani, że panna Celina zamiłowana właśnie w tych utworach, które całą moją duszę zajmują. Ale zapewne pani i Goszczyńskiego, i Bogdana Zalewskiego z wielkiem czytujesz zajęciem?

— *Sobotki, śliczne Rusalki...*

— «Święć się, święć się wieku młody

Snie na kwiatkach, śnie mój złoty!

Ideale wiary, cnoty!

— I miłości i swobody!»

— Ale pan wszystko na pamięć umiesz.

— A pani?

— O i ja!—wymówiła Celina płonąc się lekko— tyle razy to wszystko czytałam, i siedząc nad robotką albo marząc sobie czasem o szarej godzinie, powtarzam w myśli ulubione ustępy.

— I dla mnie niemasz przyjemniejszej chwili jak południowa, w której tak przyjemnie się duma.

— Jakżeż się wasze upodobania zgadzają!—zawołała z uśmiechem pani Zawojnicka.

Celina z pomieszaniem czoło schyliła, a gdy je po krótkiej chwili podniosła, spotkała na nią z zajęciem zwrócony wzrok Ryszarda, i nagły rumieniec oblał jej lica.

— Mówiono mi — ozwał się Ryszard w tę samą chwilę, wrywając ją z tego nieco drażliwego położenia, za co mu niezwyczajnie wdzięczną była, ile że się pani Zawojnicka ciągle uśmiechała—mówiono mi, że jeden z naszych poetów zajmuje się przekładem *Don Karlosa*, byłoby to dla polskiego piśmiennictwa wielce pożądaną rzeczą, bo jakkolwiek może *Wallenstein* jest znakomitszym utworem, to jednakże *Don Karlos*, owa cudna postać *Pozy*, ten zapal młodzińczy do wielkich czynów i...

— Mąż mój! — zawołała pani Zawojnicka, Celinie żał było, że rozmowa przerwana została—w tę chwilę nadszedł jej ojciec, wracający z konnej przejażdżki.

— Kochany Ludwisiu, przedstawiam ci mojego kuzyna Ryszarda, syna mojej drogiej ciotki, w której domu mnie poznałeś.

Pan Zawojnicki szczerze uściskał Ryszarda.

— Nie byłbym go nigdy poznał — wymówił — prawda, że to temu już lat pono dwanaście, a odtąd ciebie nie widziałem, kochany kuzynku. Wyrosteś na człowieka i to... ale nie chcę cię uczynić próżnym i nie dokonczę com miał powiedzieć.

Ryszard się rozśmiał.

— Dawnoś Litwę opuścił?

— Od trzech tygodni. Zabawiłem tylko czas krótki u siostry, a potem pospieszyłem w dom kochanych kuzynów.

— Dziękujemy ci kochanku! pocziwie chłopczyko! Cóż tam książę wujaszek porabia?

— Zdrów jest i zawsze dobrej myśli. Córkę za mąż wydał...

— Że cię to puścił od siebie? — wtrąciła pani Zawojnicka.

— Podąsał się na mnie, gdym odjeżdżał... chciał mnie na zawsze przy sobie zatrzymać, obiecywał zabezpieczyć los mój... Ale zmarnowałem przy nim już i tak lat parę bezczynnie, i potrzeba mi było dawniej już chwycić się czegoś innego, lecz mnie wujaszek od wszystkiego odciągał i tylko przy sobie zatrzymać pragnął. Nakoniec zbrzydziłem sobie to próżniacze życie, — wracam więc w moje strony, wezmę dzierżawę, na jaką moje fundusze wystarczą, i mam zamiar uprawiać rolę pospołu z pocziwemi chłopkami i wyjść na pracowitego ziemianina. A nie oglądając się na nikogo, niezależny, szczęśliwy przy pracy, wolniej odetchnę po nużącej wystawności i niegodnym próżniactwie w domu wujaszka.

— Dobrze, dobrze!

— Bardzo szlachetne rozumowanie! — dodała pani Zawojnicka — gdybyś też mógł w naszej okolicy jaką korzystną znaleźć dzierżawę.

— No, no, zobaczymy, pomyślimy.

Celina z wdzięcznością za te wyrazy na ojca spojrzała.

Mówiono następnie o latach pierwszej młodości Ryszarda, o chwili ciężkich niedoli, kiedy matka je-

go utraciła majątek. Pani Zawojnicka wspominała o świetnym odznaczeniu się wtedy młodziuchnego kuzynka — a Ryszard, jak gdyby nie chciał słyszeć tego, co mu zaszczyt przynosiło, nagle pochwycił przerwana nadejściem Zawojnickiego rozmowę z Celiną, i długo, długo jej prawił, a ona z zajęciem, z uniesieniem słuchała. I gdy później do swojej wróciła sypialni, spędziła jeszcze parę godzin przy otwartym oknie, powtarzając w myśli wyrazy Ryszarda. Jakież zgodne były ich zdania! jakżeż jednakowo czuli!.... Ryszard był pierwszym z pomiędzy wszystkich, którego znajomość tak przyjemne na niej sprawiła wrażenie. Ryszarda odznaczała wyższość umysłowa, wyższość uczuć, Ryszard pojmował wszystko ze szczytniejszego stanowiska — szlachetna duma tłała w jego młodzieńczej piersi: Ryszard chciał pracować na niezależny kawałek chleba, pyzeniósł niezawistą mierność nad wygody próżniaczego życia!

Nazajutrz zrana przechodziła się pani Zawojnicka po ogrodzie, gdy na skrócie ulicy od małego pawilonu wiodącej Ryszarda spotkała.

— A cóż kuzynek tak późno się ukazuje! My wszyscy, jak kto może, już oddawna czynni jesteśmy. Ale pan Ryszard nauczył się przy księciu wuju długiego używać wywczasu...

— Piękna kuzynka zamiast ganić, raczej mnie pochwali, gdy pani powiem, że się aż po północy uczył jakiegoś tam ustępu z *Wallenstein*a, tłumaczenia Kamińskiego.

Ryszard żartobliwie westchnął — pani Zawojnicka serdecznie się rozśmiała.

— Gorąco pragnę, ażeby się te ćwiczenia mo-

jéj biédnej pamięci co prędzéj skończyły, bo dają słowo, że nie wiem czyli będę miał cierpliwość wytrwać do końca, choć dziewczyna ładniuchna...

— I bogata!

— Otóż to właśnie!... Ale kuzyneczko, czyż nie dobrze odgrywałem wczoraj moją rolę?

— Doskonale! nie pozostawitesz nic do życzenia.

— Winienem to kochanej, łaskawéj kuzyneczce, która mnie uprzedzić raczyła o poetycznym szale naszej ładnej bohатыreczki.... *A' propos!* a moja *improwizacja* o wyrwaniu się z objęć księcia wuja (mówiąc nawiasem, starego, nieznośnego sknery) który mnie to niży chciał darami obsypać, i owa tyrada o chęci zapracowania na niezależność, podzielenia pracy z chłopami, nie byłyż *jenialnemi*?

— Nad wszelkie spodziewanie! i sprawiły znaczny efekt. Ależ ty i praca, kuzynku, jakiż to *kontrast!* — pani Zawojnicka głośno się rozśmiała.

— O! tylko mnie pani znowu za nadto źle nie uważaj, bo w dużym majątku, to potrafię być czynnym. Ale wyznam szczerze, że marnować życie na małej wioszczynie, dzierżawić, męczyć się z chłopstwem, nudzić się z dnia na dzień; widzieć przy małym dworku, w którym much pełno, zawsze jeden i ten sam ogródek, a w nim kilka pochytych grusz i wisien, pare krzaków porzeczek i agrestu, trochę marchwi, pietruszki i cebuli; spoglądać co dzień na jednostajne, nędzne chałupy, na szare sukmany chłopów, ogorzale, brudne chłopki i odarte ich dzieciaki, mierzyć okiem nudne, głuche pola,—o! to z rozpaczy chybabym sobie w łeb wypalił. Przyjdzie niedziela, to jazda do kościoła główną jest rozrywką.

Zatoczy się tam kilka staroświeckich kolas, powysiadają szlachcianki w odwiecznych kapeluszach, w nieświeżych rękawiczkach, z perkalowemi chustkami do nosa w ręku; panowie we frakach przedpotopowych, w kaszkiecikach,—do tego kościół zapchany pospółstwem, gorąco, duszno!... Potem zbierze się obywatelstwo u księdza proboszcza, zastawią śniadanie: wódeczkę chleb i masło — a przytém toczy się rozmowa, której słyszenie tylko raz jeden w życiu, dla głupoty swojej, zabawić może.....

— Kuzynek doskonałym jesteś malarzem z natury!—zawołała pani Zawojnicka z wyrazem szczerego ubawienia się.

— Są jeszcze i rozrywki, których w moim obrazie pominąć nie mogę: odwiedzimy w sąsiedztwo, gdzie panienki wyprężone, wymuszone, o niczem wyobrażenia niemające, w pstrych sukniach z czerwonymi przepaskami, bębnią po odstrojonym fortepianie, śpiewając fałszywie jaką zastarzałą ariję. Mama nalewa kawę, spoglądając z ukosa na mniemanego konkurenta coruni, a papka kłamie tymczasem o swoich zbiorach i poprawném gospodarstwie. Na dopełnienie zaś przyjemności lecą muchy w usta, w nos i w oczy. Przyjdzie popołować u jakiego młodego sąsiada, to tam się dopiero pozna *typ dandy*ch wiejskich, ich zdania, ich widzenie rzeczy.....

— Ależ to przynajmniej zabawi?

— Ujdzie jeszcze, byle tego nie było często. Lecz imieniny! imieniny u którego szlachcica, to dopiero jest koroną wszystkich zabaw! W dworku ciasno a zjedzie się masa różnych figur, a raczej karykatur. Jedzą, piją, krzyczą, podchmielają sobie, całują



się i płaczą z rozrzewnienia. Pannom potrzeba prawie grzeczności... umizgać się do gąsek wiejskich!... Ach to można spazmów dostać na samo wspomnienie! Każą nawet i tańczyć po nierównej posadzce, gdy Żydzi z miasteczka zarzępolą jakiego *angleza* z czasów księstwa Warszawskiego. — I ja bym miał takiemu poświęcić się życiu! *Dieu m'en préserve!* To raczej wrócę do księcia wuja i całe życie będę rezydentkę traktował: stół dobry, tytoniu pod dostatkiem i przecież ton inny! ludzie inni! —

— Staraj się tylko pozyskać serduszko naszej poetycznej Celiny, to w miejscu małej dzierżawy, będziesz miał duże dobra; w miejscu dworku z muchami, pałac, a w miejscu grusz pochyłych i wisien, ogród angielski, bo Jedlin piękną jest posiadłością. Wierzaj mi, żem ciebie nie napróżno wzywała, żem ją nie napróżno dla ciebie zachowała, strzegła, ażeby ktoś inny ciebie nie uprzedził....

— Wdzięcznym też za to kuzyneczce, wdzięczny na zawsze! — wymówił Ryszard, całując ręce pani Zawojnickiej — i gotowym nauczyć się jeszcze kilka kop wierszy, byle tylko dojść do upragnionego celu... do Jedlina!

— Oj nic dobrego! — pogroziła macocha Celiny — o Jedlinie marzysz a nie o pannie? — i z lekka uderzyła go w ramię parasolikiem.

— Kuzyneczko! Celinka ładna, ale Jedlin jednak ładniejszy. I czémżeż wdzięki najpiękniejszej dziewczyny przy szklance mleka i razowym chlebie? Ona ich w nektar i ambrosję nie przemieni! Gdy tymczasem taki Jedlin, i brzydką dziedziczkę pożądaną czyni istotą, — czyjaż przeto większa władza?

— Mędrzec dziewiętnastego wieku!—wymówiła pani Melanija z żartobliwem poruszeniem głowy.

— Ej, to są dawne maksymy, piękna kuzynko: tak rozumowali i rozumować będą.. Ale jakież jest *program* dzisiejszy? Cóż mam robić? jak się mam zaślugać?

— Teraz nasamprzód udaj się po za ten klomb z drzew dzikich, siedzi tam jakoby w gaiku nad strumykiem Celina i czyta...

— Już lecę!

— Poczekajże trzpiocie!... Jestto miejsce w którym matka Celiny lubiła siadywać...

— *Merci!* — Ryszard skłonił się ręką kuzynce i pobiegł w wskazaną stronę.

## IV.

W kilka tygodni po przybyciu Ryszarda do Radoszyc, wracali dnia jednego państwo Zwojniccy z niedalekiej przejażdżki. W pojeździe toczącym się wolno siedział Zdzisio, trzymając koszyk z owocem w ręku. Obok szli rodzice jego a naprzód Ryszard z Celiną.

Wieczór był nadzwyczaj piękny i wszyscy, oprócz Zdzisia, chętnie się na przedstawienie kuzynka zgodzili, ażeby niewielką przestrzeń od lasu do pałacu, piechotą przebyć.

— Czy może być coś więcej uroczego jak obraz wioski otoczonej spokojem wieczoru?—wymówił Ryszard do Celiny. Spójrzj pani na to cudnie zaru-

mienione niebo, na tę mgłę, unoszącą się zlekka po nad łąkami. Wierzchołki wysokich topoli jeszcze jaśnieją czerwonawem światłem od zachodu, złoci się jeszcze krzyż na wieży kościelnej, ale niskie chatki już siny zmrok pokrył. Od pola dolatuje nas dźwięczna piosnka wesołych dziewcząt i odgłos piszczałek młodzi wiejskiej.

— Dla mnie obraz ten bynajmniej nie jest nowym— odrzekła Celina—ale zawsze równie miłym, zawsze zarówno do serca przemawiającym.

— Nie pojmuję ludzi, którzy gwar kurz i wszelkie nieprzyjemności miejskie nad pobyt na wsi przenoszą...

— O masz pan słuszność! — zawołała Celina — życie w mieście nie może się życiem nazywać...

— Tak, bo tylko życie z naturą, zapatrywanie się na nią, wnikanie w jej najskrytsze tajniki, wynosi człowieka, zbliża go do bóstwa — wymówił Ryszard z udanem uczuciem, gdy tymczasem lekki wyraz ironii rysy jego przebiegł.

— Kto nigdy nie żył na wsi—mówiła Celina dalej—kto nigdy nie widział tych łąk kwiecistych, tych pól zbożem zasłanych, tych lasów gęstych, zielonych, kto nie oddychał wonnem powietrzem naszych wieczorów i poranków, nie mierzył okiem ogromu nieba, jakoby rozpostartego nad żyznemi niwami, ten nie może pojmować z taką wiarą wielkość wyższej Istności, jak my, co ją w każdej roślinie, w każdym ziarnku, w każdym stworzeniu widzimy...

— Na wsi człowiek więcej sam z sobą żyje, a więc myśl jego czystsze sobie tworzy wyobrażenia,

gdy przeciwnie gwar miejski, miejskie zatrudnienia i rozrywki tłumią głos duszy...

— Ja rozumiem, że na wsi tak łatwo występki zrodzić się nie mogą, że tak, jak spoglądający w niebo pierwszy pojął myśl wielką o Bogu, tak samo i wśród murów miasta pierwsza myśl zwątpienia i niewiary powstała!

— A na wsi tylko, jedynie na wsi! — zawołał Ryszard z zapalem dobrze udanym, — na wsi tylko znaleźć można istotę podobną do Maryi!... i powtórzycie z wieszczem te wyrazy:

„Gdym w stepowej i dzikszėj umysłu pustyni,  
Lubił błędzić, aż pomrok przedmioty zasini,  
Żadna mi wtedy gwiazda nie błyszczała w ślady,  
A koń bił się do domu przez wichę i grady;  
Tyś dla mnie zesła Maryo, i w brzasku mych myśli  
Świetną drogą twe światko ku niebiosom kryśli.“

Celiny serce zadrzało — uczuła że zbladła, a doznane wrażenie było tak wielkie, że przez długą chwilę nic mówić nie mogła.

Jakżeż będę szczęśliwym — wyrzekł następnie Ryszard, jak gdyby dalszą rozmową chciał stłumić nagłe wzruszenie — gdy osiadę na jakiej wioseczce: staraniem mojem będzie wpłynąć na ten lud, w którym tak zdrowe ziarno spoczywa, polepszyć byt ich, nie tylko materialny ale moralny.

— O zapewne! zapewne! — zawołała Celina z żywością — że to musi być wielką rozkoszą! A wszakżeż i w najszczerplejszym obrębie można rozpostrzeć działania swoje. Niepotrzeba wielkich włości, wszakżeż i w małym zakresie można być przykładem dla

innych, dla możniejszych, zawstydzić gnuśnych i za dobry przykład posłużyć.

— Będę się starał mieć nie wielki ale ładny księgozbiór i wszystkie nasze nowości literackie: żyć obok pracy i życiem umysłowem, wytchnąć przy książce po znużeniu...

W tę chwilę siedzący w pojeździe Zdzisio zawrzasnął, że go komary kęsają. Zawojnicki wysadził pieszczocha z powozu, znudzonego swoim chwilowem osamotnieniem i żądającego, ażeby go Celina prowadziła i odpędzała komary.

Młoda dziewczyna z wyrazem przychylności podała mu rękę, — Ryszard w duszy złorzeczył gagatkowi, bo wielce zajmująca go rozmowa, mająca zbyt ważny cel na teraz przerwana została. Chwalił wprawdzie dalej jeszcze życie na wsi, wyliczał przyjemności jego; wspominał o zabawach w dworcach wiejskich, o swobodzie, niewymuszonosci, która jest główną ich cechą i t. d.—ale nie mógł już tego wszystkiego powiedzieć, co sobie naprzód był ułożył.

— A co? — zapytała go na stronie pani Zawojnicka — i cóżes jej nagadał?

— Byłem na najlepszej drodze, ale Zdzisio nie w porę mi przerwał.

— Co się zwlecze, nie uciecze! Dziś jeszcze komedyjka z pierścionkiem, a jutro *tam!* — pani Zawojnicka wskazała w stronę smętarza, gdzie był grobowiec matki Celiny, i nagle umilkła, bo w tę chwilę zbliżył się do nich Zawojnicki.

Gdy Celina w parę godzin później z salonu przechodziła do swoich pokojów, zawołała idąca za nią garderobna pani Zawojnickiej:

— Chyba pani szpilkę upuściła, bo coś na podłodze przy pani błysnęło...

Celina się pochyliła — u stóp jej leżał pierścionek, podnosi go i poznaje obrączkę, którą Ryszard zwykle, jako drogą pamiątkę po matce, na palcu nosił. Zaćmiło jej się w oczach, krew do głowy uderzyła, chciała wrócić do macochy, oddać w jej ręce zgubę kuzyna, ale drzwi do sypialni pani Zawojniczkiej już były zamknięte, — i z obrączką w drżącej dłoni weszła do swojego pokoju.

Najdziwniejsze wzruszenia miotają sercem młodej dziewczyny: w jej duszy pozostał każdy wyraz rozmowy Ryszarda — jakieś nieznanne dotąd, błogie a zarazem i pełne niepokoju uczucie owładło całą jej istotę. «On mnie kocha!» — odzywało się w głębi jej łona — «on mnie kocha! Ryszard mnie kocha!» — i myśl ta, to przekonanie upajało ją niewysłownym urokiem. Stała w otwartym oknie — ten świat pełen cudów, to niebo czarujące miliardami gwiazd jasnych, te drzewa, te kwiaty... O wszystko! wszystko o ileż było w tę chwilę piękniejsze!... A ten pierścionek znaleziony! pierścionek tyle mu drogi, pamiątka po zmarłej matce!... To jak gdyby matka jego przeznaczała ją, Celinę, ukochanemu synowi!... Kiedy Bajronowi przyniesiono pierścionek matki w ziemi znaleziony, uważał to jako polecenie zmarłej, ażeby się zaślubił... Celinie przypomniawszy się ta wiara wielkiego wieszczka — zadrżała, spojrzawszy ku niebu, łzy załały jej oczy — i obrączkę matki Ryszarda z wyrazem wdzięczności do ust przycisnęła. Czuła się tak wielce szczęśliwą w tę chwilę, jak jeszcze nigdy; mniemała, że jej serce pęknie z przepelnionego uczucia; chciała pobiedz do grobu matki — jak gdyby się tém

zbliżyć mogła do zmarłej, bo instynktowo czuła że w tę chwilę duch opiekuńczy matki jest jej najpotrzebniejszym.

Uklękła przy oknie i wyciągając ręce ku niebiosom wołała:

«O mój Boże! wielki mój Boże!... O moja matko, moja matko—aniele! więc ja będę jeszcze szczęśliwą na tej ziemi, gdzie tak gorzko moje opłakałam sieroctwo!... O moja matko! moja ukochana matko pobłogosław twojemu dziecięciu!»—Celina dłońmi zakryła oczy, i łzy najpiękniejsze, łzy czyste jak kropelki rosy na lilii kwiecie, jak łzy anioła — bo łzy podziękowań dla Twórcy, łzy miłości dziecięcej, spłynęły po jej licu.

Jeszcze cicho było w pałacu, choć na wsi już gwaro, gdy Celina według zwyczaju wieniec z świeżych kwiatów, u stóp grobowca matki złożyła. Zmówiwszy poranną modlitwę usiadła na stopniach i zadumała się. W długiej białej sukni, podpierając głowę drobną ręką, na którą czarne spuszczały się warkocze, z oczami ku niebu zwróconymi, blada, nieruchoma, była podobną do cienia zstąpionego z krainy duchów, zwiedzającego chwilowo tylko ten przybytek smutku. Lecz na młodém jej licu nie osiadła dzisiaj taka smętność jak zwykle, a w oczach tlało uczucie tęskne wprawdzie, ale zarazem i błogie.

Po chwili dało się słyszyć lekkie stąpanie po rozszononej trawie i z po-za świerków Ryszard z wolna wyszedł.

— Przepraszam! — wymówił zeicha i twarz jego przybrała jakiś uroczysty wyraz.

— Pan przychodzisz po swój pierścionek — wymówiła Celina nieco drżącym głosem i zapłoniła się — Pan byłeś niespokojnym o niego... O ja to bardzo pojmuję — i podnásząc się wyciągnęła ku niemu rękę z obrączką.

Ryszard pochwycił rękę, ale pierścionek zostawił w jej palcach.

— Nie po niego przychodzę! — zawołał stłumionym głosem — przywiodła mnie tu nadzieja a zarazem i bolesny niepokój... Nie jestem panem uczuć moich!... tej niepewności dłużej znieść nie mogę, i tutaj, gdzie spoczywa cnót anielskich kobieta, pragnę mój wyrok usłyszyć!... Celino! oddawna musiałaś pani odgadnąć... Celino! ja ciebie kocham!... ciebie jednę! zawsze! wiecznie!

Ryszard upadł przed nią na kolano. Celina blada, drżąca, oparła się o kratę grobowca — spodziewała się tej chwili, a jednakże tak nadzwyczaj silnego doznała wzruszenia. W oświadczeniu Ryszarda — nieco na teatralną zakrawającego scenę — widziała niedoświadczona, miotana budzącem się mocnym uczuciem, miłość bez granic, miłość, którą tchnęły owe cudowne poezje tyle przez nią ulubione!... miłość, o jakiej nawet czysta jej dusza nigdy dotąd nie zamarzyła.

— Celino! milczysz! o nie zabijaj mnie twoim wyrokiem! zostaw nadzieję!... Ale nie! nie chcę złudzenia!... nie łudź mnie, jeśli sercu twojemu obojętny jestem!

Celiny oczy łyzy zalały, i z niewysłownym uczuciem wyciągnęła ku niemu rękę.

— O moja matko! — poszepnęła zcicha.



W tę chwilę zadzwoniono na mszę poranną.

Pan Zawojnicki niezupełnie był zadowolony z wyboru córki, bo z dumy świetniejszego dla niej pragnął związku. Ale żona jego, umiejąca zwykle podług woli swojej wszystkiem kierować, i tym razem bez oporu otrzymała dla młodej pary — której się opiekunką być mieniła — zezwolenie ojca.

Nieokreślone szczęście wstąpiło od tej chwili w serce młodej narzeczonej; zakwitła świeżym urokiem, lica zapłonily się zdrowiem, oczy szczęściem błyszcząły — a z ust rumianych płynęły wyrazy życzliwe dla wszystkich.

W tym czasie napisała do pani Mlewińskiej, donosząc jej o rychłej zmianie swojego losu.

«Utwierdziła się we mnie wiara, że duch matki mojej ciągle się mną opiekuje: czyliż mi się to w sennych nie objawiło marzeniach?... Czyliż sen mój ostatni nie przepowiedział mi bliskiego szczęścia?... Nie wyjawiałam tego wtedy, bo mi odwagi zabrakło, ale dzisiaj wyznaję, że gdym posłyszała wołanie matki: «Celino! Celino!» wstrzymała mnie zarazem i męska ręka od rzucenia się w pociągające mnie ku sobie, błękitnawe jezioro... Nie dojrzałam twarzy... ale to był Ryszard!... Ryszard, który sierotę, stęschnioną, smutną, samotną, ogołoconą ze wszystkich szczęśliwości życia, w swoje weźmie opiekę — i matkę do nieba powołaną, na ziemi jej zastąpi!... O ja wierzę! ja wierzę, że matka nie ma po za grobem spokoju, jeżeli sieroty jej na ziemi cierpią; że duch jej powraca do nich — otacza je — strzeże od złego... i widzę w tém wielkość bóstwa, które to uczucie w matczyne wlało serca!...»

«Jestem tak szczęśliwą, tak bardzo szczęśliwą, że aż się obawiam tego zbytku szczęścia! Nie mam nawet dosyć odwagi oddać się mu z całą duszą, ażeby nie wykroczyć przeciwko przeznaczeniu człowieka, które i do najwyższej rozkoszy zwykło kropelkę gorzkości domieszać!»

Piętnastego września odbył się ślub Celiny z Ryszardem.

W białej, śnieżnej sukni, w przejrzystej zastłonie oblubienicy, z wieńcem mirtowym na skroniach, przystąpiła młoda dziewczyna do ołtarza. Na jej czole była pogoda, na ustach spoczął wdzięczny, nieziemski uśmiech, w oczach błyszczała ufność i wiara. O! bo Celina wierzyła w cnotę i miłość swojego Ryszarda, ufała jemu całą duszą młodą, całym sercem, przepelnionem najczystszeim uczuciem.

Pod wieczór tego samego dnia wyjechali nowozaślubieni do Jedlina, dóbr dziedzicznych Celiny, odległych od Radoszyc mil ośnaście.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

## ŻYCIE UMYSŁOWE W CZECHACH.

(Przegląd z pierwszego półrocza 1846 r.)

przez

*Piotra Dubrowskiego.*



Dzisiejsza literatura Czeska powinna zwrócić na siebie naszą uwagę, nie tylko dla tego, że jej odrodzenie, pomimo nieprzychylnych okoliczności olbrzymim postępuje krokiem i śmiało się upomina o należne jej prawa samodzielności, lecz również i z tej przyczyny, że postęp umysłowy naszych pobratymców jest dla nas nader ważnym. Przejrzyjmy więc literackie płody, które się ukazały w pierwszym półroczu u Czechów.

*Początki poswątneho jazyka Słowanskeho* (\*). *Od Waczesława Hanky.* (Początki kościelnego Słowiańskiego

(\*) W braku liter czeskich używamy polskiej pisowni w tytułach dzieł.

go języka. Przez Wacława Hanke). Praga, 1846, w 12 str. 48. Toż samo dziełko wydał p. Hanka i po rosyjsku.

*Pomnienky na rok 1846* (Niezapominajki na rok 1846). Zawierają powieść: *Gra z własnej chęci*. Praga, 1846, w 32, str. 72.

*Laska a hrzich*. (Powidka) *Fraszka w noweli a nowela we fraszce* (*Wesoły obraz se smutnymi nástiny*). *Od Jarostawa Krzyczenského. Miłość i Grzech*. (Powiastka). *Fraszka w powieści a powieść we fraszce*. (Wesoły obraz ze smutnemi zarysami), przez Jarostawa Krzyczenského. Praga 1846 w 12, str. 160. Pisma czeskie wielkie oddają pochwały autorowi tych powieści.

*Obrazy swieta czili popsani rozlicznych narodů, jejich žiwota spůsobu, obyczajů, mrawu a t. d.*

(*Obrazy świata, czyli opis rozmaitych narodów, ich sposobu życia, zwyczajów, obyczajów i t. d.* *Wydawca Jan Sławomil Tomiczek*. zesz. I. Praga, 1846 w 12, str. 96, z dwoma rycinami na stali. Wydanie piękne pod każdym względem. Ten zeszyt zawiera następujące artykuły: O Algierze, Kreolowie w Luzyanie (powieść), Łowy na lwa i wspomnienia Rossyi *M. Gogola wybrane spisy*, (wybór dzieł M. Gogola). Przekład p. Zapa z dzieł znakomitego rosyjskiego powieściopisarza zesz. I. *Taras bulba*, Praga, 1846 w 12, str. 144.

*Starocześké powiesti, zpiewy, hry, obyczaji, slawnosti a napiewy*. (Staroczeskie powieści, śpiewy, gry, zwyczaję, święta i nuty).

*Pražsky poseł*. Sbirka užiteczného i kratachwilného czeni pro lid jazyka českého. (*Pragski Poseł*.

Zbiór pożytecznego i zajmującego czytania dla ludu języka czeskiego), wydawca O. K. Tyl, wyszły dwa zeszyty, imię autora ręczy, że wydanie tego zbiorowego pisma będzie niepospolitým zjawiskiem w czeskiej literaturze. W 17 zeszytcie między innymi artykułami umieszczone są dwie piękne powieści. *Tatarzy w Ołomuńcu* i *Sąd Boży*. *Wyjątki z różnych kronik* zawierają anegdoty z życia znakomitych mężów, i rozmaite historyczne wypadki. *Pragski Poseł* wychodzi w nieoznaczonym czasie poszytami.

*Promyślny Poseł* (Poseł przemysłu), wydanie Karóla Amerlinga, część I. *Chemia Rzemieślnicza* (oddz. II. zesz. 5.

*Mała Encyklopedie nauk* (Mała Encyklopedja nauk). Wydana kosztem Czeskiego Muzeum.

Oddział VI, *Jeografia Powszechna* K. W. Zapa, Praga, 1846 w 12, str. XII — 425.

*Basnie Bolesława Jablonského*, (Poezje Bolesława Jabłońskiego) (\*). Druga pomnożona edycja, Praga, 1846, autorem tych poezji jest ksiądz, obdarzony silnym poetyckim talentem. Główne źródło jego natchnienia są Czechy.

*Labyrint Sláwy* (Labirynt Slawy). Poemat *Wocela*, Praga, 1846 in 8, str. XIII — 266. Poemat ten uważają, jako znakomite i niepospolite zjawisko w literaturze czeskiej.

*Nowoczesná Biblioteka* (Biblioteka Nowoczeska), wydana kosztem Czeskiego Muzeum, oddz. VI. *Epoka pierwotnego człowieczeństwa*, przez Sławomira Tomiczka, Praga, 1846 in 8, str. 250, jest to już 21

(\*) Pseudonim.

działo wydane kosztem Czeskiego Muzeum, tego paladium dzisiejszych usiłowań Czechów.

*Archiw Czeski czyli staré pisemné památky czeské i morawské.* (Archiwum Czeskie czyli dawne pismienne pomniki czeskie i morawskie), zebrane w krajowych i zagranicznych archiwach i wydane przez Fr. Palackiego, oddz. IV. zesz. I, in 4, str. I—120. Jest to zbiór ciekawych i bogatych historycznych materiałów czyniący zaszczyt wydawcy.

*Národní bachorki a powiesti* (Narodowe gawędy i powieści), przez Rożanę Niemcową, zesz. III. Praga, 1846 in 16, str. 128.

*Půwodní vlastenské powidky, powiesti a báchorky* (Oryginalne ojczyste powiastki, powieści i gawędy), przez O. Erenberga, zesz. IV, znakomity utwór piśmiennictwa czeskiego nacechowany dowcipem i umiejętnością opisywania zwyczajów ludu.

*Ewropa w ohledu národopisnem* (Europa czyli opis narodów), krótki rys z ryciną, Praga, 1846 in 12, str. 45. W dziele tém szczególna uwaga zwrócona na ludy słowiańskie.

W Morawii professor *Suszyl* drukuje *Hymny kościelne*; p. *Lelek* zbiera Opawskie pieśni ludu; p. *Swo-bodu* przygotował do druku botanikę; doktor *Kratki* kończy rosyjsko-czesko-niemiecki słownik. Słychać że w Bernie (Brünn) lub w Ołomuńcu będzie wychodziło pismo literackie. Stany Morawskie także mają zamiar wydawać dla ludu pismo Czeskie.

Panna *Marya Zelinkowa* zamierza wydać na rok przyszły 1847 Almanach, złożony z dzieł samych kobiet.

P. *Boczek* historjograf i archiwista stanów Morawskich znajdował się w tym roku w Pradze, gdzie zbierał dodatkowe materiały do dziejów morawskich, które wkrótce wyda.

P. *Burian* drukuje w Wiedniu swoje dzieło: *Pravidla ćwiczeń wojskowych*. Tenże układa niemiecko-czeski i czesko-niemiecki zbiór wyrazów, używanych w sztuce wojennéj.

P. *Jungman* na nowo przerobił swoją historję literatury czeskiej, która wkrótce wydana będzie, kosztem Muzeum Czeskiego. Historia powszechna prof. Smetany także będzie wydana kosztem Muzeum w ciągu tego roku. Druk botaniki prof. Presla kończy się. P. Palacki już skończył pierwszy tom swojej czeskiej historii w języku Czeskim. Nie jest to bynajmniej przekład znanéj historii p. Palackiego z języka niemieckiego, lecz nowe, umyślnie dla Czechów napisane dzieło. P. *Nejman* napisał skróconą czeską historję i jeografię dla dzieci. P. Tomet zajmuje się historją uniwersytetu Pragskiego.

Dramatyczna czeska literatura także wzbogaca się. Wkrótce wyjdą nowe teatralne sztuki (*Nowe diwadlni Hry*) p. *Machaczka*, i drugi tom dzieł dramatycznych A. Wł. *Rirenszofa*. P. *Tyl* przygotował do druku tragedję: *Miecz i Lew*, opartą na podaniu narodowém. Tenże kończy dramat: *Stary komedjant*. P. *Erenberger* napisał piękną powieść dla młodzieży: *Tatarzy w Morawij* wyjętą z dziejów ojczystych. P. *Fialka* przetłómaczył z angielskiego *Dzwony cudowne* Dickens'a, p. *Piner* — *Ostatnie dni Pompei*.

Wyszło nowe wydanie znakomitego dzieła Komernskiego. *Orbis Pictus* w czterech językach: w czeskim,

niemieckim, łacińskim i francuzkim, Do tego dzieła dołączona także jest biografia Komenskigo (przez p. Palackiego) w języku czeskim. W Wiedniu, kosztem księgarza Wenedikta, drukuje się krótka wszechsłowiańska gramatyka, — praca kilku młodych słowiańskich lingwistów.

Nie przytaczam tu tytułów mnóstwa dzieł dla dzieci, które po większej części bardzo dobrze są napisane.

Perjodyczne pisma czeskie znajdują się w bardzo kwitnącym stanie.

*Czasopism Czeskiego Muzeum* z początkiem tego roku wychodzi poszytami co dwa miesiące. W I szym zeszytcie zasługują na uwagę następujące artykuły *Pierwotna ojczyzna pieśni słowiańskich* przez Rittera z Kittersberku. Jest to wyjątek z obszernego dzieła: o pieśniach słowiańskich. *Rzut oka na staroczeską topografię* przez p. Palackiego.

W II gim zeszytcie: *Krótki rzut oka na los języka czeskiego*, przez J. B. Małego. *Kilka słów o filozofii* przez W. Niebieskiego. Ze sprawozdania pisma perjodycznego *Matka czeska*, umieszczonego w tym zeszytcie pokazuje się, że w ciągu miesiąca stycznia b. r. zebrano 821 (3284 złp.) zł. reńskich przedpłaty.

W III cim zeszytcie godne są uwagi artykuły: *Tristram, wielki bohater*. Autor p. Niebieski, porównując czeskiego Tristrama do dawniejszych wzorów, usiłuje przywrócić właściwy jego typ, prócz tego trafnie rozbiera moralną ideę tego zmyślonego bohatera i wyprowadza jego początek. Przegląd historyczny czeskiego dziennikarstwa przez p. Wocela. O składaniu wyrazów za pośrednictwem podwojenia pier-



wiastków, — wyjątek z obszernego etymologicznego dzieła p. Szafarzyka.

Pismo czasowe: *Kwiaty* wychodzi trzy razy na tydzień, w półarkuszach. W tym roku jeszcze więcej jest zajmującym i rozmaitem. Wychodzi już od roku 1835 i ma 1500 prenumeratorów. W *Kwiatach* mieszczą się piękne powieści, wiadomości o literaturze, o teatrze i o życiu społecznem. Szczególniej ciekawe są listy z różnych miast czeskich, — żywy to obraz powszechnego budzenia się. W piśmie tém umieszczają się także listy z różnych krajów słowiańskich.

Zasługuje na uwagę artykuł: *Kopernik i Walthalla* (Kwiaty nr. 51, 58, 59 i 60). Zawiera mnóstwo nowych dowodów na korzyść słowiańskiego pochodzenia znakomitego Kopernika. Przytaczam dla ciekawości następujące miejsce z tego artykułu: Niemiec Romer, w dziele swoim: *Deutschlands Beruf in der Gegenwart und Zukunft*, nazywa naród niemiecki środkiem człowieczeństwa i całego ukształconego świata, narodem najwięcej od innych obdarzonym zdolnościami i talentami, narodem królewskim, który ma przeznaczenie przodkować i panować w części świata, nazywanój Europą, albowiem jest narodem najwięcej duchowym, najszlachetniejszym i najznakomitszym, najwięcej ukształconym pod każdym względem i najzdolniejszym w całej Europie!! (\*)

Przejdźmy do innych pism:

*Czasopism dla katolickiego duchowieństwa*. Cztery zeszyty na rok. Wychodzi już 12ty rok i ma tysiąc prenumeratorów. W piśmie tém zawierają się arty-

(\*) Swój swego chwali.

kuły zajmujące, nie tylko dla duchowieństwa, lecz w ogóle dla wszystkich stanów.

*Pielgrzym (Pautnik, w dawniej polszczyźnie: Pątnik).* Pismo to zaczęło wychodzić dopiero z początkiem b. r. w kwietniu, pod redakcją p. Zajer, miesięcznymi poszytami, składającymi się z 4ch arkuszy druku in 4to. Jest to więcéj *Revue Pittoresque*. Dołączają się do niego piękne ryciny na stali.

Główną treść tego pisma stanowią opisy znaczniejszych miast, tak krajowych jak zagranicznych, kościołów, zamków, krajów, obyczajów, zwyczajów, narodowych świąt i t. p.; tudzież podróże, powieści z życia narodowego i społecznego, w szczególności *słowińskiego*.

Przy końcu każdego zeszytu umieszczają się różne wiadomości o postępie nauk i sztuk, życia narodowego, przemysłu i handlu, głównie w Czechach i cesarstwie austriackim; o wynalazkach, nowych gmachach, kolejach żelaznych, o upiększeniu miast i wsi, o nowych szkołach i fabrykach i t. d.; o nowych dziełach, w ogóle o literaturze i sztukach.

W Iym zeszycie zastanawiają następujące artykuły: *Jeograficzne położenie Pragi*, (przez p. Zapa) i powieść: *Dwie sceny z życia czeskiego miasteczka*. W IIgim zeszycie: *Jarmark w czeskim miasteczku*. W IIIcim zeszycie: *Podróż z Pragi do czeskiego Belgradu* Dra Stańka.

*Pismo niedzielne dla rzemieślników (Niedielni List pro rzemeslniky)*, wydawany przez Towarzystwo przemysłu w Czechach, w języku czeskim i niemieckim. Wychodzi arkusami in 4to co trzy tygodnie. Treść jego jest następująca:

- 1) Krótkie wiadomości o czynnościach towarzy-

stwa przemysłu, szczególnie o jego szkołach i o sposobach wykładu nauk, tudzież ogłoszenia, dotyczące się rzemieślników.

2) Objasnienia wyrazów, mało znanych między ludem a znajdujących się w tém piśmie.

3) Krótkie prawidła i objaśnienia z mechaniki, fizyki i chemij, także wiadomości o towarach, handlu, i jeografij, w takim stopniu, w jakim mogą być ważne dla rzemieślników.

4) Opisy pożytecznych rzemieślniczych narzędzi i rozmaitych ulepszeń.

5) Opisy nowych znaczniejszych płodów i zdania o ich dobroci.

6) Opowiadania, t. j. znakomite wypadki i życiorysy znakomitych rzemieślników, czyli historia różnych wynalazków.

7) Tygodniowy kalendarz i ogłoszenia rozmaitych jarmarków.

8) Ogłoszenia, tyczące się kursu pieniężnego i t.p.

Redakcją tego pisma zajmują się pp. *Keler* i *Amerling*.

*Przyjaciel młodzieży (Przitel mládeže)*. Pismo dla szkół narodowych czeskich. Wychodzi poszytami co kwartał i wydawane jest przez królewegrodeckie biskupie konsistorium. Pismo to głównie przeznaczone jest dla nauczycieli i ma 26 współpracowników. Zawiera wiele pięknych artykułów pod względem pedagogicznym.

Tyle pocieszających nowości w literaturze czeskiej! Postęp jej jest widocznym. Niedawno powszechna Augsburska gazeta napisała: «W niemieckiej belletrystycznej literaturze w Pradze, panuje cichość, jak w mogile, lecz za to silniej objawia się życie w li-

teraturze czeskiej; szczególnież zasługują na głęboką uwagę liczne dzieła, wydawane przez Muzeum Czeskie. Liczba prenumeratorów na czeskie pisma nadzwyczaj wzrasta, w dzisiejszym roku już się ukazały dwa zbiorowe pisma: *Pielgrzym* i *Pragski poseł*. My Niemcy, z żalem musimy patrzeć na nędzne istnienie jedyne go beletrystycznego pisma w Pradze: *Ost und West*. Bynajmniej nie jest to winą szanownego redaktora p. Glaser; owszem niedbalstwo naszej niemieckiej publiczności dochodzi do takiego stopnia, że gdyby w Pradze wychodziło najlepsze niemieckie pismo, za ledwie mogłoby się utrzymać. Lecz z jakim wielkiem powodzeniem, naprzekór smutnemu temu zjawisku powstaje narodowa czeska literatura! Jój rozwinięcie się powinno mieć dla nas tém większą ważność, gdy pomyślimy, że Czesi mają tylko wiejskie i elementarne szkoły, że we wszystkich innych szkołach, we wszystkich rządowych biurach—wyłącznie panuje język niemiecki, i że nakoniec literatura czeska, bez szkół, bez opiekunów i mecenasów rozwija się na własnych siłach, z łona ludu.»

## Do Czytelnika.

## O PRZYGOTOWANYCH DO DRUKU PRACACH

**Jana Majorkiewicza.**

Jan Majorkiewicz zaszczytnie znany z artykułów umieszczanych w *Przeglądzie Naukowym*, przygotował do druku dzieło, które obejmować będzie rozprawy stanowiące jeden ciąg a mianowicie: *O literaturze powszechnej i polskiej*. W tomie pierwszym szanowny autor wyklada naprzód pojęcie o stosunku literatury do życia — w urywku napisanym w kształcie powieści (zamiast wstępu) p. t. *Nauka i życie* — dalej pisze o *literaturze i krytyce*, uważając wszystko ze stanowiska historycznego.

Za podstawę swoich badań naukowych kładzie *historję*, gdyż słusznie utrzymuje, że bez tego literatura i krytyka nie mają zasady, jak się to pokazuje w dziełach M. Grabowskiego.

Najobszerniejszą będzie rozprawa: *Pomysły do dziejów piśmiennictwa krajowego*. Przytaczamy to co autor umieścił na czele tej rozprawy.

### *Do Czytelnika.*

«W naszych czasach z jednej strony gotują się w przedmiocie dziejów literatury krajowej dzieła bibliograficznój i biograficznój treści np. Jochera, Skimborowicza i w. i., z drugiej, obok bibliografii widzimy wypisy, czyli materiały t. j. treść materiału surową w stanie rodzimym, co przedstawiają w wydanych już dziełach: Popliński, Wojcicki i tyłu wydawców pomników dziejowych, prawnych i t. p. Praca p. Wiszniewskiego, zadziwiająca na pierwszy rzut oka ogromem objętości i wymiarów, zresztą pisana bez ładu, bez systematu, obok bibliografii przenikać usiłuje w głąb przedmiotu; ale zbyt wiele surowych i obcych przyjmując w siebie żywiołów, nie ma artystycznój całości życia, bo nie ma jedności, nie ma zarodu rozwinięcia, tego warunku niezbędnego każdego organizmu a zatem i organizmu nauki. Obecne pierwiastki w skład *Historji Literatury Polskiej* wchodzące sprawiają, że dzieło M. Wiszniewskiego obejmuje wszystko niemal, co się wiąże z jego przedmiotem, sam zaś przedmiot najnieodkładniej często przedstawia: są tu przygotowania a nie ma najczęściej tego właśnie, o co rzecz idzie. Przy podobnym rozstrzeleniu się na wszystko i wycieczkach naukowo-literackich różnostronnych, p. Wiszniewski nie daleko zajść zdoła, a czy skończy czy

nie skończy nie tyle olbrzymiego co do objętości, ile potwornego (monstrualnego) w układzie dzieła swojego, zawsze zostanie żyjącym przykładem owej prawdy, w bajce Krasickiego:

«Gdzie mnóstwo przygotowań, tam nic z djalogu.»

Praca W. A. Maciejowskiego we względzie historii literatury polskiej znana już jest po części z urywków, umieszczanych po różnych pismach czasowych. Jest tu wiele postrzeżeń trafnych obok wiadomości bibliograficznych, które autor historii prawodawstw słowiańskich miał sposobność zebrać w swoich podróżach naukowych i śmiało rzec można, że pod względem bibliograficznym dzieło jego (znane mi poczęści w rękopiśmie) zasługuje na wielką uwagę, pokazuje bowiem jak są rozproszone materiały, do napisania prawdziwej historii literatury polskiej, odpowiedniej całemu znaczeniu i mocy tego wyrazu. Nim jednak materiały zebrane zostaną, pracować trzeba nad gotowcami, mając pod ręką tyle nieobrobionych dotąd, nieprzepracowanych, nieprzetrawionych ogniem krytyki faktów. Zapatrywanie się na dzieje literatury krajowej ze stanowiska naukowego, przedstawianie zjawisk nie tylko w porządku systematycznym zewnętrznym, ale i wewnętrznym t. j. uważając je za wyraz jednej całości organicznej, żywej, słowem przedstawienie przedmiotu w taki sposób, aby się jedne jego części wywijały z drugich i stanowiły razem nie mechaniczne skupienie faktów, ale całość nierozdzielalną i wynikłość rozwoju organicznego życia umysłowego—oto jest wymaganie wieku, potrzebą umysłu naszego: tego chcemy i wymagać powinniśmy od

historyka literatury, i w tym względzie rzucam obecnie kilka pomysłów.

Nie przedsięwzięję obszerniej w podobnym rodzaju pracy z wielu bardzo przyczyn, leżących częścią w piszącym, częścią w przedmiocie samym. Przedstawiam tylko rzuty *historyczno-filozoficzne* w tym względzie. Niech to będzie grosz wdowi na ołtarzu literatury naszej. Lekkie to pierwsze zarysy obrazu historycznego literatury, której dzieje, której zasady rozwijania się najżywiej nas obchodzić powinny.

Na tle piśmiennictwa naszego rozwija się barwa średniowiekowa i nowożytna literatury powszechnej a całość dziejów pokazuje się w związku z dziejami Europy i cywilizacją światową. W istocie nie było ani jednego pisarza znakomitego w dziejach literatury naszej, któryby nie wyrażał wieku swojego lub zwrotu znanego w Europie, zaczawszy od najdawniejszych aż do najnowszych czasów. Ś. Wojciech, zwrot uczuciowo-religijny, potem kierunek scholastyczny i w ogólności chorobliwe (anormalne) rozwijanie się literatury naszej w 17 i 18 wieku, normalny roskwit myśli i uczuć dziś i w 16 wieku, równie jak pseudo-filozofia i pseudo-klassycyzm, spótcześnie jeszcze t. j. gdy to piszemy, tlejący w zimnym popiele naukowości oderwanej od życia, są wyrazem z jednej strony czerstwości i świeżości sił a z drugiej obłądu uczucia lub myśli. Nie samą myślą ani samém uczuciem żyje człowiek i dla tego to raz nieznajdując żywiołu w odurzeniu się frazeologią i formułkami zimnej analizy badania, wyrzeka się rozumu i przywiązuje się do gorączkowej syntezy uczucia, a odrzuca światło, pod którego błogim wpływem dojrzewa uczucie,



dojrzeła wola, czyn, roskwita życie;—drugi raz znowu nie chce wiary, która go zaspokoić nie może i dla rozumu wyrzeka się uczucia, wyrzeka się ciepła życia dla światła, jak gdyby jedno bez drugiego ostać się mogło. Zasada ogólna, ludzka i myśl i uczucie przebija się obecnie w literaturze naszej.

Obraz literatury społecznej ledwie tknięty i to raczej w zasadach, napomknieniach, niż w faktach. Może te napomknienia doczekają się rozwinięcia w pismach rozleglejszego zakresu, obszerniejszej treści. Z całego toku rzeczy pokazuje się, że dla ocenienia zasadnie literatury naszej w ostatnich mianowicie czasach, nie dosyć ukształconego smaku, rozwiniętego że tak powiem instynktu czucia wartości utworów dzisiejszych; trzeba do tego nie tylko obeznac się z samym przedmiotem, ale nadto znać zasady filozofii, znać dzieje własne i obce, bo dzieje są najlepszym objaśnieniem stanu obecnego literatury, jeżeli wykształceni ile możności wszechstronnie, filozoficznie, chronić się będziemy jednostronności poglądu i zapatrywać się na rzeczy z wytrawnością, właściwą dojrzałemu sądowi. Zasady nasze wtenczas tylko uświęci przekonanie ogółu myślących, kiedy te wytłumaczą prosto i jasno zjawiska historii literatury czyli tak zwane *fakta* t. j. byty, czyny dziejowe.

Zwracałem głównie w pracy, którą poddaję pod sąd myślących, uwagę na treść, myśl rozwijania się historii literatury i dla tego śledząc za myślą i że tak rzekę za rozumem dziejów, nie mogłem opisywać dzieł bibliograficznie ani się zajmować tak zwaną krytyką niższą, zwłaszcza, że mamy już tyle dzieł poświęconych szczegółom bibliograficznym i biograficznym. Jak

kolwiek mocno przekonany jestem o konieczności obrabiania przedmiotu zewnątrznie, żywięj jeszcze czuję potrzebę nieodbitą opracowywania go wewnątrznie t. j. przejścia od formy do treści materiałów danych. Na pisarzów i dzieła ich zapatrywałem się jako na wyrazy tego lub owego zwrotu literatury; badałem więc tylko mających znaczenie organiczne, o naśladowcach wspominałem najczęściej tylko ogólnie. Ponieważ w badaniu szło głównie o treść dzieł, ich myśl, znaczenie, mniej przeto uważałem na dokładność chronologiczną i bibliograficzną, nie wszędzie przytaczałem lata i napisy dzieł z całą dokładnością a epokę istnienia pisarza umyślnie wyrażałem ogólnie, aby uwagi nie przywiązywać do szczegółostek, i nie odwracać jęj tym sposobem od głównej myśli.

Co do autorów łacińskich, ceniłem ich po większej części tak samo, jak pisarzy specjalnych, a zatem, chociaż podciągnąłem pod jedną całość dziejową, nie wypadało mi zajmować się ich rozbiorem szczegółowym, który, należy raczję do historii nauk specjalnych (szczęgółowych), niż do literatury właściwój, jak ją dziś pojmujemy. W całym ciągu pracy dawał mi się dotkliwie czuć brak dzieł, o których tylko bibliograficzne nieraz mamy wiadomości, a zresztą domyślać się chyba ich treści trzeba. Z drugiej znowu strony nie mogłem w sposób wyczerpujący rozwinąć przedmiotu, mając nawet źródłowych naszych pisarzy pod ręką, bo samo opracowanie historyków, prawników i t. p. niejednego roku wymagałoby pracy i swobodniejszej myśli i chwil wolniejszych. Pomysły te szkicami są tylko do obrazu historycznego literatury naszej i najpewniej na zawsze

w tym pozostaną zakresie, bo prace obowiązkowe, specjalne i inne ogólne prace naukowe nie pozwalają mi poświęcić się wyłącznie opracowaniu dzieł piśmiennictwa krajowego. Czuję mocno całą ważność przedmiotu, nad którym oddawna już pracowałem z pierwszym młodzieńczej duszy zapałem; ale przekonany jestem równie głęboko, że dziedzina badań historyczno-filozoficznych, literatury powszechnej i w ogóle naukowości, uważanej ze stanowiska dzisiejszego, leży u nas dotąd odłogiem i w tym zapuszczeniu dzieki tylko na niej rosną mniemań i urojeń osobistych kwiaty, a przecież literatura powszechna, historia, filozofia albo prawo i t. p. nauki, uważane ze stanowiska filozoficznego są to przedmioty równie ważne jak dzieje i literatura krajowa, opracowaniu więc ich równie poświęcać się potrzeba, jak uprawie rzeczy krajowych, bo inaczej nie dojrzeją na niwie naszej szlachetne szczepy ogólnego ludzkiego wykształcenia, co stanowi życie wszelkiej miejscowości i rodowości.

Kończąc rzecz obecną wyznaję, że bez zasobów jakich mi dostarczył piękny księgozbiór polski czciwego starożytnika i badacza naszego K. Wł. Wójcickiego, nie byłbym opracował krytycznie kilku ważnych tej całości ustępów np. o pieśniach, dramacie i t. d. Dramat np. Reja "o Józefie" dzieło nadzwyczajnie rzadkie, nastroczyło mi pomysł o związku naszych sztuk dramatycznych z dramatami nowożytnymi, i zarazem rzuciło światło na *Odprawę posłów* Kochanowskiego. Pisma bardzo ważne *Regenvolscius* (Węgierskiego) i Lubienieckiego, na które dotąd zwracano uwagę jedynie, jako źródła ważne pod względem bibliograficznym, z innego oceniałem stanowiska, charakteryzo-

wałem je wszakże z pamięci czytając przed kilku laty. Gdybym te dzieła, jak kilka innych bardzo ważnych miał pod ręką, nie omieszkałbym dać ich rozbioru szczegółowego, tymczasem zwracam tylko na nie baczną uwagę, jako na zjawiska nadzwyczaj ważne a dotąd jeszcze zasadnie i bezstronnie nie ocenione.

Jeżeli mi czas i okoliczności pozwolą, przedstawię w dalszym ciągu czyli raczej w rozwinięciu obecnych *pomysłów*, rozbiory niektórych pisarzy naszych; a wtedy rzecz się niewątpliwie wyjaśni, uwydatni, wykształtuje, dojrzeje.—Teraz pod sąd najsurowszy sprawiedliwej krytyki poddaję tylko pierwotne zarysy: przeciwne zdanie przyjmę z wdzięcznością, jeżeli będzie uzasadnione i lepiej rzecz objaśni, bo wtedy wpłynąć ono może na dalszą pracę przy obrobieniu szczegółowym, przy opracowaniu krytycznym faktów i przeprowadzeniu myśli ożywiającej obecne pismo wskrós rozbiórów dzieł, o których obecnie z lekka się tylko nieraz napomknęło. Zastosowanie zasady ogólnej do szczegółów przedstawić dopiero może obraz wykończony, światło i cienie rzuci na rysy szkicowane tu jakby od niechcienia, a jednak nie bez zamiaru, gdyż piszącemu szło więcej o myśl całości tj. zarys całego obrazu, niż o wykończenie szczegółów.

Przedstawiam tu trzy doby czyli zwroty, któreby okresami (perjodami, epokami) nazwać można chyba w znaczeniu przenośnym, właściwie bowiem nie mają one oznaczonych ram czasu i zachodzą za siebie, spływają jak barwy światła, jak fale wód albo bałwany obłoków. Zasada podziału, przeprowadzona

przez całe pismo, zasłużyć powinna z wielu względów na uwagę myślących i dlatego to obszerniej się nieco nad tym przedmiotem rozwodzę. Zdaje mi się, że to jest pomysł ważny, bo podaje najprostszy, i najnaturalniejszy sposób przedstawienia żywotnego rozwoju dziejów i najjaśniej nam tłumaczy zjawiska historyczne: zwrot religijny i racjonalny; czasy pseudo-klassycyzmu i pseudo-filozofii, mistycyzmu, wyobrażeń nareszcie zwietrzałych, odzywających się dotąd z całą komiką powagi po pismach które budzą w ogóle czytających niesmak, ekliwość a nawet wstręt i oburzenie, zgrozę mimowolną, chociaż się historycznie tłumaczą i nie są bez zwolenników,—nie ma bowiem zwrotu... nie ma głupstwa i złości największej bez wyznawców na świecie, gdzie tyle siodeł rozstawionych na słabość woli, równie jak na słabość i ograniczenie głowy, prostotę serca ludzkiego.

Od lat kilku powstawałem na ostateczność *wiary* i *niewiary* krzewiącej się po pismach naszych: tu więc szczególniej mi się rozszerzyć wypadało nad temi zwrotami, bo to są przeciwne bieguny, w których się zbierają dwie przeciwne elektryczności życia: myśl i wiara, rozum i uczucie spływające w środku życia, harmonizujące w duszy człowieka z sercem i głową, zobojętnione w ludziach bez czucia i myśli, w ludziach zimnych jak żelazo i których tylko siła potrzeb materialnych wstrząsnąć zdoła. Zakończenie rzeczy obecnej stanowi przejście do badań we względzie Historji, Literatury i Filozofii, tudzież rozbiórów krytycznych dzieł, gdzie się w zastosowaniu pokazywać powinny zasady tu przedstawione: rozbiórów, podług możliwości i sił podejmowanych dla upo-

wszechnienia wyobrażeń jasnych, prostych, czystych w dziedzinie literatury mianowicie naukowej, która u nas obecnie wymaga koniecznie uprawy tém mrozniejszej, im większe porosły ją chwasty, a pokrzywa, ciernie i dziko rosnące głogi przygłuszyły szlachetne szczepy, zwrot równie zbawienny dla nauki i życia.»

W dalszych tomach zamierza autor przedstawić literaturę starożytną, a mianowicie *hebrajską i grecką* w związku z historją starożytną, a następnie przejść do literatury nowożytnej.

O sposobie zapatrywania się autora na rzeczy, można mieć wyobrażenie z urywków: *Księga Job*; o *Szyllerze*; o *Kalderonie de la Barca*, — które czytaliśmy w Przeglądzie Naukowym.

Spodziewamy się nie bezzasadnie, że część tej powszechności naszej, która jest umniczą—sprawiedliwie oceni i dobrze przyjmie naukowe prace pana Majorkiewicza, a przeto nada autorowi należny popęd do większego zakresu jego pism znakomitej wartości.

W.

## ZDARZENIE Z ROKU 182....

Z POCZĄTKU SMUTNA PRZY KOŃCU WESOŁA RAMOTKA.



Są ludzie, którzy się w *czepku rodzą*, — wszystko czego się dotkną zamienia się dla nich w pomysłność; szczęście ani prozione ani marzone wali się do nich drzwiami i oknami, każdy zbieg okoliczności nową dla nich niesie korzyść; najprzyjemniejsze niespodzianki biegną ku nim na wyścigi; w życiu domowym wiecznego doznają zadowolenia; w podróży nigdy tym ulubieńcom losu ani koło nie pęknie, ani się oś nie złamie, ani koń niezakuleje; — błoto przed nimi wysycha, deszczyk w samo prawie przytłumi nieznośne kurzu tumany; w lecie słońce im w oczy

nie świeci, — w zimie mróz przed ich wyjazdem wolnieje; — wieczorem najpogodniejszy księżyc oświeca ich drogę; najśmielsze muchy, namiętnie naprzykrzone komary, nawet najenergiczniejsze pchły nieukąszą ich nigdy.

Są znów inni ludzie, którym się nic nigdy nie wiedzie, których wszelkiego rodzaju nieszczęścia na wszystkich drogach ścigają; którzy nieprzyjemne wypadki i przypadki za zwykłą, za powszednią uważają kolęj; którzy jednego nieuczynią kroku, żeby im jakie лихо drogi nie zaszło. Do tych innych ludzi i ja mam honor należyć. Nierzeknąć o nieszczęściach na wielką skalę, bo te mnie nigdy mijać nie zwykły, drażliwych nieprzyjemności mam zawsze najpełniejszą miarę, a cierpkich wypadków i niemiłych przypadków — aj! aj! rok rocznie na kopy liczyć mogę.

Dla tego gdy się w podróż wybieram, zawszem ciekawy, co tam nowego bies dla mnie zgotował.

Niekiedy z wiatru ukręci zaczepkę i wyraźnie strojąc sobie żarty, stawia mnie w położenie nietylko smutne, ale zarazem i komiczne; proszę posłuchać naprzykład co mi się przytrafiło w roku tysięcznym ośmsetnym dwudziestym piątym — czy szóstym — z pewnością zaręczyć nie mogę, — ale o rok mniejsza, nie jestem chronologicznym dziejopisarzem.

Wjeżdżając do bardzo lichego miasteczka (w Gallicji) uwiedziony zbyt nędzną powierzchownością domów, lub też z roztargnienia, pytam się jakiegoś w długiej zaszarganej kapocie waszecia: «jak się ta wieś nazywa?» Waszeć zamiast właściwej odpowiedzi, schwytał lejce naręcznego konia, przytrzymał i spytał:

— Masz jegomość paszport?...



— Mam — śmiało odrzekłem.

— Proszę do pana burmistrza.

Za późno spostrzegłem się w błędzie, rad nie rad wysiadłem z bryczki i w milczeniu udałem się za moim przewodnikiem.

Przed małym domkiem, na którego ścianach jaśkrawymi farbami winogrod był namalowany, siedziała jejmość około 50 lat wieku licząca, cerując okropnej wielkości skarpetkę; obok niej z pewnym uszanowaniem stał małomiejski młodzieniec czytając jakieś papiery.

— Proszę pani prezydentowej — ozwał się wiodący mnie waszeć, jestem dzisiaj na służbie i oto przyharesztowałem jakiegoś podejrzanego pana, który nie wiedział, że nasze miasto jest miastem, i mnie się spytał, «jak się ta wieś nazywa?..»

Pani, cerująca skarpetkę, wstrzymała nader dla swojego mężulka pożyteczną pracę — i gniewnie spozierając na mnie, wyrzekła do służbę czyniącego waszecia:

— Zaprowadzisz tego podróżnego człowieka do więzienia miasta naszego. Odwracając się zaś do młodzieńca: A pan panie pisarzu spiszesz protokół zeznania Wojciecha Gieruszki i zdejmiesz rysopis z tego człowieka, który nie wiedział, jak się nasze miasto nazywa.

Napróżno okazywałem paszport, wszelkie moje tłumaczenia były bezskutecznymi; — zgromadziło się kilku obywateli miasteczka, pisarz na wielkim arkuszu szarego papieru opisał mnie jak węża; — schwyciono mnie za kołnierz — otoczony jakby z ziemi wyrosłą zgrają chłopaków i co więcej żydów płci

obojęd, — o! bo żydów w naszych miastach i miasteczkach przyżadnym zdarzeniu nie braknie,—powędrowałem do kozy.

Niewinność wlewa w serca nasze niewystowny balsam pociechy, ale niewszędzie i nie zawsze, ówczesna moja niewinność była przyczyną mojego najwyższego gniewu; — ledwom nie pękł ze złości, że mnie jakiś waszeć w zaszarganej kapocie, w pilnej podróży zatrzymał, a szkarpetkę cerująca białogłowa areztować kazała.

— Gickste! jakie on ma małe oczy!... Gickste ma jelonkowych rękawiczków na ręce. Feiner Poritz... szwargotały żydziaki obiegające mnie w koło.

— A tobie kądłu co do moich oczu?... Chcesz abym rękawiczki nosił na nodze?—Niezasępuj mi drogi, bo cię pięścią w munsztuk uderzę.

Żydziaki się rozpierzchły, przestąpiłem próg budki drewnianej z żelazną u małego okienka kratą, Wojciech Gieruszka drzwi za mną zamknął na rygiel.

W mojem życiu, bynajmniej szkolnej kozy nielicząc, po kilka razy drzwi za mną zamykali, ostatni wyrok z roku 1832 był na lat 12, — ale nigdy tyle cierpkiego niedoznałem uczucia, jak gdym przezedrzwi posłyszał mówiącego Gieruszkę:

«Niech no pan prezydent powróci, to mu się *pewnikiem jesce* i pod surducik dostanie: jus ja mu na ruski miesiąc przysolę, zeby znał co wieś a co miasto!»

A kto wie, pomyślałem z rozpaczą, czyli mi prawem kaduka półkopy niesypną?... potem skarż, processuj się o gwałt, 77 wyroków nie zdejmie ci pierwszego namaszczenia. Otóż to są skutki niedosta-

tecznej znajomości kraju swojego. Niedarmo w mojej cenzurze szkolnej wyraźnie napisano:

»Postępy w Jeografii małe.»

Drodzy, stokroć sercu mojemu drodzy szkolni młodzieniaszkowie! jeżeli wam ta ramotka pod oczy podpadnie, — baczcie abyście się pilnie Jeografii uczyli.

Komórka do której mnie zamknął Gieruszka, była a w najściślejszem znaczeniu matematycznym, doskonałym sześcianem: wszere, wzdłuż i na wysokość ani mniej ani więcej nad łokci miary reńskiej 3 i  $\frac{3}{4}$ . Ściany, podłoga i górna podbitka były z grubych dębowych bali. Prócz kilku garści mocno przegniłej słomy i dzbanka z wodą, niczego więcej dostrzedz nie mogłem, — bo pajęczyny obficie po wszystkich kątach rozwieszonej i łupin od ziemniaków, które moi poprzednicy w tém miejscu niedoli pozostawili, do żadnych sprzętów, ani do wygod liczyć nie mogłem. Usiąść na podejrzanój słomie wcale niemając ochoty, króciótenkie stawiałem kroczyki i ciemne czyniłem sobie domysły, rychło li też pan burmistrz z powiatowego miasta powróci?... przypomniał mi się Jędrzej z bryczką i z końmi; nasunęła się obawa, aby mi rzeczy nie skradziono; rozważałem skutki z wstrzymania nadzwyczaj ważnej i pilnej podróży;—przyczem wszystkiem, zawsze mi się mimowolnie po głowie kręciła obrzydliwa groźba Wojciecha Gieruszki. Tymczasem zmierzchno się na dworze, ciemna noc zapadła, w miasteczku ucichł gwar żyjących ludzi,—tylko świstanie nocnego stróża, głębokie niekiedy przerywało milczenie. Rezygnacja! tyś tylko wielkich dusz udziałem: — o godzinie 12tej położyłem się na stęchłej

i przegniętej słomie, — napiłem się wody, i z czystym sumieniem, dzięki mojej poczciwej naturze, zasnąłem na twardo.

Wielu badaczy ludzkiego stnienia i wiedzy ducha naszego, utrzymuje, że sny są mniej więcej spomnieniem (lub przeczuciem) czynności jawu naszego,—i tak się też rzecz miała podczas tej mojej nocy więziennej. Śniłem, że niezliczone wojsko dzikich ludów opadło mnie do koła, że z najwściekleszą zaciętością kłują mnie na wszystkie boki, że piki, dziuryty i oszczepy więzną w ciele mojem... Po bardzo długiej a okropnej męczarni!... budzę się — słabe światło już owidniało moje postanie: komary, pchły, pluskwy, prusaki (rodzaj robactwa) karaluchy i t.d. czerniły się na mnie, jak bym był pokryty z czarnego sukna zasłoną, — ciało moje najdrażliwszy ból przejmował. Zrywam się jak szalony, aliści tu na szyderstwo mojego gniewu i wściekłości, *czarna krówka* w nos mnie *pasnęła*, a przez zakratowane okienko patrzy się na mnie z ulicy, wartujący żyd z halabardą w ręku.—Rzymianinie Regulusie! wiele cierpiełeś, ale w tę chwilę moje cierpienie było stokroć wyższem... o! bo cierpieć dla głupstwa ludzkiego, jest rzeczą najboleśniejszą.

Jeszcze nieochłonąłem z najdotkliwszego uczucia, gdy drzwi otworzono i Wojciech Gieruszka ciągle na służbie będący, popchnął ku mnie w łatanym odzieniu siwo-brodego starca żebraka,—i znów potężnym kluczem rygiel zasunął.

Pierwszy promień wschodzącego słońca jaskrawe rzucił światło na twarz nieszczęśliwego, w sercu mojem powstało niczem nie tamowane dla niego spó-

czucie; — żal mi bowiem było niemal nad grobem stojącego starca, którego najsmutniejszy los do więzienia popycha. O! bo niechaj siły męskie walczą z najtwardszemi przygodami życia, ale niechaj przynajmniej dzieci i zgrzybiałe starce wolnemi będą od jego żelaznych pocisków. — W rysach twarzy mojego towarzysza widoczném było, że jego dusza cierpiała, że jego boleść była myślową, boleść nie zwierzęca, ale boleść człowieka. Kiedy go do komórki wtrącono, nie spojrział na mnie, nie oglądał otaczających go przedmiotów, ale oczy wzniosł do góry i zdawało się, że całą duszą modli się do Boga. Długo nań w milczeniu patrzałem, lecz gdy się po jego licach ciężką zoranych starością dwie łzy stoczyły, — ujmując go za rękę, życzliwym wymówiłem głosem:

— Starcze! ziemskie cierpienia przeminą — zbytecznemu nie oddawaj się żalowi.

Przeciągłym wzrokiem popatrzył się starzec na mnie, a potem rzekł: «kto się nad cierpiącą starością lituje, niechaj będzie pewnym łaski przedwiecznego Boga.»

Te wyrazy wymówione z jakąś uroczystą godnością uprzedziły mnie, że ten starzec nie jest pospolitym żebrakiem; — ciekawość moja została zbudzoną, — wszczynając więc rozmowę starałem się taki jej nadać kierunek, abym starca do opowiadań swojego życia nakłonił, — co mi się też pokrótce z łatwością udało.

— Jak miarkuję — mówił starzec — radziłyście usłyszeć historję życia mojego. Zapewne jesteście godni mojej szczerości i mojego zaufania. Ja wam opowiem treść, bo do wszystkich szczegółów pamięci

nie starczy, — pasmo dni z burzliwego życia lat ośm dziesięciu, to morze zdarzeń i wypadków. Urodziłem się synem bardzo majątnych rodziców, było nas dzieci ośmioro, ja byłem najmłodszy. Ojciec mój piastował kilka obywatelskich urzędów; dom nasz był dniem i nocą otwarty, — gościnność moich rodziców była znaną nie tylko w województwie naszym ale na całej Wielko-Polsce.

— Ludziom przyharesztowanym nie wolno o takich rzeczy prowadzić rozmowy, — ozwał się z poza okienka wartujący żydek, — w przeciwnego razie ja będę wszystkiego opowiedział panu prezydentowi, jak on do domu powrucie.

— Żydku! stul jadaczkę i nie przeszkadzaj nam, lepiejbyś zmówił ranne modlitwy i Pana Boga za Messjaszem poprosił, bo go podobno w drodze Chińczyki przyaresztowali, a on wprost tutaj do was najpierwej przyjechać chciał.

Uśmiechnął się starzec, — żydek niedowierzając zupełnie, ażali w tak ważnym przedmiocie przypadkiem czego się nie dowie, wsunął twarz pomiędzy kraty okienka i bardzo delikatnym głosem zapytał:

— Gdzie to pan tego słyszał, że Messjasza przyharesztowali?...

— Jam tego nie słyszał, tylko czytałem w angielskich gazetach.

— Co to jest *angielskich gazetach*?...

— To są takie drukowane arkusze, z których się dowiedzieć można wszystkiego co Messjasz robi, gdzie się obraca, gdzie nocuje, i którą jedzie drogą...

— Co pan muwie?... to chyba tak nie jest prawdę?.....

— Chcesz-wierz, niechcesz-niewierz, mnie to ani grzeje ani ziębi, bo ja nie żyd, on do mnie nie przyjedzie.

— Ny, a nasze starszycznę tego nie mają wiedzieć?..

— Najstarsi to wiedzą, ale wam z małych miasteczek nie powiadają, bobyście wszyscy odbiegli handlu i wszelkiej roboty, i poszlibyście naprzeciwko Messjasza; — a coraz byłoby was więcej — i potem byłoby was bardzo wiele milionów, i byłby głód i jakbyście się wszyscy do kupy zeszli, to by wam nikt nie potrafił dostarczyć ani ryby na szabas, ani czosnku, ani kugla...

Po tych wyrazach żydek zniknął z okienka, ale jeszcześmy się ze starcem śmiać nie przestali, gdy rudo-włosey judaszek powrócił z osiwiąłym żydem i na nowo pytać począł:

— Gdeby pan tego potrafił nam udowodnić, że pan tego co mówił jest prawdę, to my moglibyśmy zrobić dla pana wlelgie przysługę i prezent darować...

— A jakżeż ja wam to mogę udowodnić, siedząc w kozie!

— Ny to frachy, jużby my zrobili coby pan burmistrz pana wypuścił, — i bez burmistrza może być tego. Czy pan tylko ma takiego gazetów, gdzie jest pisane, że Messjasz przyharezstowany na swojego do nas podróży.

— Mam, ale tylko kawałek.

Zaszwargotał młody do starego, a potem głębiej wsadziwszy nos przez kratę, mówił po cichu:

— Teraz już dzień, ale w nocy to my was będziemy puścili, jeżeli nam będziecie dać tego gazety.

— Nie dam, bom ja tylko pod sekretem pożyczyl, ale moge wam przeczytac.

Wyjmując z bocznej kieszeni wielkiego formatu *Journal des Debats* przed trzema laty drukowany, który do zapalania fajek w podróż zabrałem, — przed sam nos żydka pół głosem improwizować począłem:

«Dnia 4 października o godzinie 2giej po północy kiedy słońce oddaliło się od księżyca na 476,897 mil, a na ekliptyce rak w pannę się zamienił, Messjasz stanął w chińskim miasteczku Ki-ko-Koung—i wysiadł do bardzo nauczonego Ben-Dawida Fajgel Charabałdes.....

— Sztyl! — (Stille!) — zawołał żyd stary.

Od strony pomieszkania pani prezydentowej szedł pisarz pana burmistrza, za nim postępował garbaty żydek niskiego wzrostu z trzyłokciową halabardą i Wojciech Gieruszka, który niósł wielki dzban wody i bochen razowego chleba. Otworzono drzwi, pan pisarz burmistrza wejrzał do komórki, zapewne dla naocznego przeświadczenia się, czyli aresztowani nie uciekli; Wojciech Gieruszka dzbanki przemienił, dobył z kieszeni nóż składany, w żółtą kość oprawny, (kozików, cyganków, obywatele nie używają po miastach) rozerznął bochen chleba na dwoje, jedną połowę dziadkowi, drugą mnie doręczył;—na moje zapytanie, czyli pan burmistrz nie powrócił, ani jednego nieodpowiedział słowa,—drzwi zamknął, wartę zmieniono, i było cicho i głucho. Jeno z dała dochodził uszu naszych głos kobiecy: «maluś—maluś, niudy, niudy, — niudy, — niudyszki!...» — jakaś chrześcijańska niewiasta zwoływała nierogaciznę, którą na noc w żydowskie puściła ogródy.

Po chwili ozwał się dzwon kościelny. Starzec roz-



począł mówić pacierze; jam się przeżegnał i jałem razowy chleb zajadać. Wy coście w zniewieściałem życiu swoim, ani w polu, ani w obozie, ani w więzieniu razowego niekosztowali chleba, niemożecie wiedzieć, jak ten chleb ludu, jak ten brykacz żołnierski smakuje?... Może który z was, z mody, przy herbatce, cieniuteńką, omaśloną skibeczkę przekąsił? i mową Franków wybąkał: «*c'est fort bon*» ale żaden z was piecuchy nie wie, jakie to *bon* dla zgłodniałego żołądka, gdy się pót bochna źródlaną wodą popije i okruszyny pobiera. Biedne tualetowe lalki! nie litujcie się nademną, czytając, żem chleb razowy w tak znacznej obfitości zajadał, bo moje najdroższe marzenia, w ten czas by się dopiero ziściły, gdybym przez wszystkie żywot mój, chlebem razowym żywić się mógł w polu, w obozie, a w latach mojej starości—pośród ukochanego ludu wiejskiego. Wy to moje marzenie wszystkich życzeń moich nazwiecie sielanką, a zaprawdę jest to jedyne na ziemi pragnienie duszy mojej, serca mego... Wy tego lwiątka w glansowanych rękawiczkach, za stołami francuskich restauratorów—nawet myślą swoją doścignąć niemożecie,—dla was pieszczona zmysłowość jest życiem całego życia, —biedne! malutkie żyjątko!...

Pawętek nałóż mi fajkę. — Ciąg dalszy nastąpi.

Au: Wi:

ch. fl. k. n. k.

# PAMIĘTNIKI NIEZNAJOMEGO.

przez

*J. J. Kraszewskiego.*

(Tom I. 8vo str. 483 Warsz. 1846).



Pamiętniki Nieznajomego,—jeden z nowszych utworów najobfitszego naszego pisarza, — są powieścią w której intryga staje zupełnie podrzędnie, służy jedynie za tło i przynętę dla czytelnika, aby go pośród labiryntu egotycznych marzeń autorskich, przeprowadzić do końca książki. Z intrygi tej wypadają rozliczne sytuacje i charaktery, aby bohater, przedstawiciel owych marzeń, miał je o co owijać i z czego wysnuwać i aby w ten sposób mógł się ukazać ze wszystkich stron i we wszystkich możliwych przypadkach rozwoju życia.

Na pierwszej zaraz kartce napotykamy niby prolog czy program dążenia całego utworu, w tych zawarty wyrazach:

«Wielka i uroczyta tajemnica — życie — kto mi z was powie słowo tej zagadki, o którą od wieków pytają milczące Sfinksy i Piramidy w piaszczystych pustyniach i zielone mórz głębie i szumiące lasy nasze? Wszystko żyje, a a nikt nie wie, co życie. Każdy je tłumaczy ze swojego stanowiska, a zgodzić się dwóch nie może na jedno. Co to życie? co to życie?»

«A! jabym wam odpowiedział z głębi mojego serca, z wnętrzości duszy mojej:...

«Życie — to wielki hymn stworzenia dla stwórcy, to widok na ludzkość, na wieki, na ludy, na światy, z wierzchołka duchownej Himalai, życie — to cudowny słodki sen między zapomnianą przeszłością do której serce bije i wzdyma się.

«Czemuż, powiedzcie, złe i fałsz wmięsały się do tego hymnu, kontemplacji i szczęśliwego snu? Czemu? A! bośmy ciałem i ułomnością, bo... bo... (odpowiedź dostateczniejszą później napiszę.)»

Owa *dostateczniejsza odpowiedź*, ma się więc zawierać w kilkudziesięciu arkuszach pamiętników. Podwójny tu jest cel: wystawić naprzód co jest życie, czyli stosunek życia, indywidualnego, pospolitego, do świata; powtórę objawić walki i siły działające w życiu. Jednym słowem bierną i czynną jego stronę. Trafnie bardzo autor obrał do tego celu formę trudną i niewdzięczną napozór, formę pamiętników; myśli, marzenia, spostrzeżenia i rozumowania bohatera miały tu wyobrażać stronę bierną; intryga i wszystko po za indywidualizmem przytrafiające się, czynną, działającą stronę. Począwszy od tego ostatniego przypatrzmy się bliżej głównym momentom powieści.

Juliusz młody marzyciel, poeta, jakim jest prawie każdy dwudziestoletni młodzieniec, lecz z których bardzo wielu umie się lepiej zapatrywać na świat i ludzi i zręczniejsz spostrzeżenia swe wyrażać, spotyka przypadkiem Emmę, kobietę już dobiegającą schyłku młodości, i zdaje mu się, że w niej znalazł wymarzony, ukochany i oczekiwany ideał. Emma, wdo-

wa po jenerale, egzaltowana i podobnie polująca na ideały a ciągle rozczarowywana, zniechęceniem do życia, niewiarą w szczęście i spokój, kontrastem budzi współczucie w Juljuszu i wzajemnie ku niemu się skłania. Ten początek ich uczuć, możeby się rozwinął w zupełną i silną miłość gdyby na to pozwolił pan Wrzosek. Ten pan Wrzosek jest to poczciwy *sobie* stary gderacz, w palonych butach i szaraczkowym fraku, bardzo i bardzo uczony i głęboko doświadczony człowiek; czemu wszystkiemu musimy wierzyć na słowo autora, bo ani pstrokate maxymy pana Wrzoska, ani jego czynności o tém nas nieprzekonywają. Otóż tedy Wrzosek kochający Juljusza jak najlepszy ojciec, i prowadzący go niby mentor Telemaka po ciernistej ścieżce żywota, postrzega rodzącą się namiętność w głowie swego pupilla, do kobiety z podszarzaną sławą, która młodych ludzi prawie żywcem pożera; obawiając się aby wychowanca jego nie spotkał podobny los co jego własnego syna (który z miłości ku Emmie zastrzelił się) postanowił Juljusza uleczyć homeopatycznie — za pomocą drugiej miłości. Staje się też gwoli chęciom Wrzoska. Juljusz wprowadzony do pewnego ładnego domku z ogródkiem zastaje Marysię i *zakochiwa się* w niej. Marysia drugim jest typem kobiety, tej powieści. Młodziutka, głęboko i silnie poetyczna, śliczniutka, pokochała całą duszą Juljusza, stara mu się jednak, Bóg wie dla czego, tę miłość wyperswadować; niewierzy w doznawane uczucia i przezuwa że przeznaczenie, (owa religja całej powieści) miłość tę rozerwie. Juljusz wyjeżdża z Wilna do domu swjej matki. Jest to trzeci typ kobiety. Pamiętniki Juljana dla niej są przeznaczone, do niej adre-

sowane. Matka kierowała jego kształceniem duszy, więc tło ich myśli najwięcej do siebie zbliżone. Są to ciągle, na odwieczny temat warjacje, rozumowania o szczęściu, cnocie, poświęceniu i t. p.

Marja zmuszona okolicznościami majątkowymi, poświęca się dla rodziców przyjmując za męża, rywala Juljusza, jakiegoś starego kawalera, so-wietnika; z początku opowiadania karykaturę, w końcu może najrozsądniejszą ze wszystkich postaci. Nie pojmujemy dla czego Wrzosek który tę miłość stworzył, mając środki w ręku, nie przeszkodził jej rozzerwaniu — czy to było jakimś wyrachowaniem? jedna z zagadek nierozwikłanych. Juliusz rozpacza i w braku czego lepszego szeroko rozpacz na papier wylewa; matka i Wrzosek jak mogą pocieszają go. Najlepiej udaje się pocieszanie biednego Juljusza *Cesii* jego kuzynce, bogatęj i sąsiadce. *Cesia* nowy typ kobiety. Cicha dobra, niby prozaiczna, oddana gospodarstwu i pielęgnowaniu starego i chorego ojca, jest jedyną istotą z całej powieści która pociąga serce czytelnika. W niej jednej widać prawe uczucie kobiety; mniej rozprawia, więcej działa, mniej nas nudzi a więcej okazuje życia; jedna *Cesia* nie jest papierowa. Juliusz powraca do Wilna; Sowietnik gwałtem go wciąga do swego domu, łaby mu pocieszał chorą Marysię. Emma tymczasem poszła za mąż za *Jasienka*; Juliusz odwiedza ich. *Jasieniek*, pocziwiec *ev grege Epicuri*, tłusciutki, rumiany, je wykwintnie, pije estetycznie, trawi nawet teoretycznie, zgola według wszystkich zasad *używa* wszystkiego co się autorowi zdało jak najlepszem na tym bożym świecie — używając zaś szeroko o tem wszystkiem rozprawia, wszędzie do praktyki dołączając akademicką teorią.

Owa poetyczna Emma, widno nagle zrobiła *verte folium* czy też tylko zrzuciła maskę; to pozostaje dla czytelnika jedną z Sfinxowych zagadek w jakie obfitują pamiętniki; dość że Emma zdaje się zupełnie zadowoloną z nabycia tak kompletnego egzemplarza męża; cóż robić! trzeba temu wierzyć.

Bywa Juliusz i w domu Marysi, chce ją pocieszać, pomimo tego jednak, Marysia umiera, jak tego nieodzowność wyrezonowała dawniej w listach do Juliusza. Juliusz w rozpaczycy wraca na wieś. Cesia, matka i Wrzosek, pocieszają go tak jak mogą. Tu następuje przerwa w pamiętnikach; w czasie tej przerwy Juliusz poświęcał się usługom obywatelskim dla kraju. Po tej przerwie powraca znowu do domu i do dalszej litanji miłostek. Matka Juliusza nie żyje. Wrzosek umiera, kazawszy wprzód popalić swoje genialne prace naukowe, jak drugi Kamoens lub Wirgili. Niezmierniebyśmy tej straty dla postępu wiedzy żałowali, gdyby próbki talentów i nauki Wrzoska, jakie okazał w dysputach Faustowskich z Juliuszem niepocieszały nas iż na tém nauki nie takci to wiele musiały stracić. Juliusz kocha się w Cesi; Cesia przyznaje się że go też dawno, dawno kocha, od pierwszego widzenia się. Juliusz ma pojąć Cesię za żonę. Kiedy się tak prawie spokojny, zadowolony, przygotowuje do stanu małżeńskiego, na nieszczęście zjawia się pani Iza. Nowy typ, (ale tylko w tej powieści); pewien rodzaj dość w modzie będących, *virago* poetycznych. Naturalnym rzeczy porządkiem, Iza zakochiwa się w Juliuszu a Juliusz w Izie. Albowiem Juliusz przekonywa się, że nie kocha Cesi. Pomimo to następuje ślub z Cesią, Iza rozpacza i Juliusz rozpacza, pozostaje jednak wierny obowiązkom, wylecza się z rozpaczy—

zapisuje jeszcze kilkadziesiąt kart pamiętnika rozmaitej wartości i treści rezonowaniem—i umiera, jako przystoi na porządnego bohatera powieści, śmiercią naturalną. Nie pamiętam co się tam już stało z Emą, Jasieńkiem i Panią Izą. W tym ogólnym rysie, nie pomieściliśmy pomniejszych ustępów, z których niektóre osobne stanowią całości i jako-tako przewlekają ciekawość i rozrywają czytelnika; niektóre z nich są z prawdziwym i znanym talentem autora skreślone.

Przytoczywszy na początku, początek pamiętników, przytoczmy tu i koniec.

«Nic poważniejszego, surowszego nad życie, a kto je chce zbyć żartami, ten go nie pojął. Bądźcie zdrowi!...

«Tak skończył.

«Wiemy z góry, że wielu a wielu wyrzucać nam mogą jako grzech, monotonią tej powieści (jeśli je tak nazwać, można) i ze stanowiska sztuki, nieznajdą w niej co im się zdaje że tu być powinno. Podpisujem się na wszelki sąd jakkolwiek bąc, bodaj najsurowszy, mając nadzieję że się znajdzie także ktoś, jeden może przynajmniej, co powie po cichu składając książkę: jest to historia nie jednego życia i nie jednego Juliusza!»

Gdybyśmy nawet nie mieli tak formalnego pozwolenia na ścisłe rozpatrzenie się w pamiętnikach, to samo imię autora zdobiące je, zmusiłoby nas do tego: co się z uśmiechem zbywa u *Meviusa* to się na serio rozważa w *Horacym*. Ów względny stosunek czytelnika do autora i autora do czytelnika z obu stron winien być dochowany; a nadwreżona lekceważeniem godność jednego, wzajemnością się wypłaca.

Własne zdanie p. Kraszewskiego «iż kto chce życie zbyć żartami, ten go nie pojął»—rozciągamy bardziej dodając: iż kto chce życie przedstawić improvizowanej jednym ciągiem, powierzchownej i ciągle sprzecznej ze sobą gawędce, ten nie pojął jak się życie artystycznie przedstawia. Życie samo nie jest owym *widokiem na ludzkość* lecz ludzkością samą; nie jest *ową kontemplacją* lecz działaniem, poruszaniem się ludzkości. *Ow widok, kontemplacja*, są śmiercią—egoizmem, letargiem, nie życiem. *Ze stanowiska sztuki*, nie mieliśmy bynajmniej zamiaru uważać coby w pamiętnikach być powinno; szanujemy szranki jakie sam autor sobie zakreślił i niewolno nam wskazywać mu o czem ma pisać, ale upoważnieni jesteśmy patrzeć czy dotrzymał obietnic, czy dotrzymał warunków od których sztuka nikogo nieuwalnia.

Obiecał nam okazać życie—to jest ten odwieczny kalejdoskop, w którym jeden obraz już raz drugi się niepowtarza, który co chwila się zmienia i ukazuje tysiące nowych dla każdego postaci i rysów; zamiast tego ukazał nam tylko własne marzenia o życiu. Tym niewolniczym egotyzmem jak kataraktą powleka oczy wszystkich i odbierać usiłuje własny sąd i sposób własnego zapatrywania się. Nigdzie tam nie widać życia samego, lecz naśladowane obrazki, niezręcznie rysowane z odbić życia w wyobraźni autora. Ten brak wzniesienia się nad względność, wyjątkowość, zamienienie życia w warunkowość, podrzędność, pozbawiło życia cały utwór, i zrobiło z niego trupa papierowego, który nigdy nie żył.

Nie sądząc ze szczegółów, z pojedynczych myśli i ustępów, które bardzo często noszą cechę wielkiego talentu, lecz zapatrując się na duszę, czyli raczej



na brak jej w całym utworze, zdaje nam się, iż jedna wada nierozmyslna, nie doszła do uznania siebie, to jest błędne zapatrywanie się sprawiła, iż całe pamiętniki się nie udały. Wadą tą jest jak już spomnieliśmy, mimo pozornej religijności, przyjęcie owego *fatum*, *przeznaczenia*, za jedyną religiją. To odjęło wszystkim występującym osobom samodzielność i zamieniło je na recytujące słowa autora, marionetki; zrobiło je biernymi igraszkami ślepego losu.

I tak bohater powieści Juliusz.

Od pierwszej karty postrzegamy próżne silenie się autora na wyjście ze swęj indywidualności i przedmiotowe wystawienie pierwszej epoki *poetycznej* i *używającej* życia. Jednak nie widzimy tam nic oprócz wahającego się ciągle marzenia i czechyżnych deklamacji, uczuć sofizmujących i niewierzących w siebie — zupełny brak pewności i wiary cechującej tę epokę.

«Wszystko czegośmy, (powiada autor 476 k.) nie użyli, nie zużyli, wydaje nam się w całej glori i jasności swęj. Zyskujem ideały wszędzie.»

Tymczasem Juliusz niczego przeprowadzić, dokażać nie umie, nic nie używa i nie zużywa oprócz dużo papieru; żadnego on ideału nie wyczerpuje, a jednak go traci — bo zawczasu w niego nie wierzył — przekonywają nas o tem: jego brak wszelkiej namiętności i rozwlekłe rezonowania. Ciągłe zostaje biernym, nie spostrzegamy tam najmniejszego zadatku czynu — los tylko działa — nie mądra konieczność, ślepe przeznaczenie jest machiną.

Kiedy po pierwszych ciosach losu, traci niby wiarę w szczęście — której już dawniej nie miał, odzywa się:

«Wierzę jak wierzyłem w ludzi, w cnotę, ale nie wierzę w szczęście na ziemi. I lepiej: kto się niczego niespodziewa sobie, wiele może dla drugich (k. 249).

I znowu dalej:

«Powiedzmy sobie, powtórzmy sto razy, zapiszmy aby nam było przytomnem co chwila. Człowieka celem nie jest szczęście, człowieka celem jest cnota. Cnota która obejmuje sobą, spełnienie obowiązków, moralne wzniesienie się, udoskonalenie, ofiary, wszystko. Człowieka celem nie jest szczęście, a kto życie pojął fałszywie zapatrzywszy się na to, że jedne rzeczy go głaszczą, drugie kolą, ten tylko stękać potrafi etc.» (264 k.)

Myślałby kto, iż życie jego już przecie raz wzięło kierunek, iż przeszedłszy z epoki ideałów do wieku realizmu, rozwagi i działania, potrafi wyciągnąć jakąś naukę z życia, potrafi wyrobić sobie pojęcie stałe — i z owój fakirowskiej bezcelnej kontemplacji, stanie się działającym, postępującym czy w dziedzinie myśli, czy w dziedzinie czynu człowiekiem. Broń Boże! Juliusz w tém jednym jest stały, w swój bezwładności.

O parę kart dalej odzywa się znowu to wieczne wachadło:

— «Dwa głosy szemrzą w głębi duszy mojej. Jeden mówi mi o cnocie drugi o szczęściu zawsze, o tej bajce niańki, którą ludzi zwodzi, którą mnie zwiódł dawniej. (266 k.)

I tak jakim się okazał na pierwszej stronie wstępując w świat, takim na ostatniej z niego schodzi— ani na jotę mędrszy, ani na jotę lepszy.

Wartoż było pisać pamiętniki!

Jakżeby to smutną było rzeczą owo przekonanie,

że w walce z życiem człowiek na bezwładności poprzestać musi! Nie chrześcijańska to filozofia i literatura którą Juliusz tak *studował* i której mu jak powiada było *zamało*; lecz jakaś turecka filozofia, która mu w marzeniach i teorii wskazywała wyraźne cele życia, a w zastosowaniu marnowała toż życie na szukaniu tego co sam potępiał. Jakże piękne, jak prawdziwe miał chwile jasności myśli, przekonywa nas wiele ustępów, na których jak na oazach odżywia się czytelnik wśród tej pielgrzymki po pustyni urojeń i beczynności. Jeden tylko taki przytoczymy.

«Mieszkańcy na ziemi, której materialna uprawa zaniedbana, stoim obok ludzi, względem których najświętsze mamy obowiązki nauczycielstwa, opieki; żyjem w społeczeństwie na które skutecznie wpływać możemy; ostatecznie mamy przed sobą pole nieobejrzane okiem umiejętności, sztukę, rozmyślanie.

«Biada temu kto u nas pracować niechce, mówiąc, że praca niepodobieństwem. Nigdzie ona szerszego pola nie ma, większych nie obiecuje korzyści. Juliusz pojął, jak wielostronnie użytecznym być mógł i wziął się do roboty. Jedno zajęcie było mu wytechnieniem po drugim etc.»

Oto jest wszystko co wiemy o jego zajęciach się, których nie widzimy śladu. Dalej mowa:

«Wiara i sam rozum mówiły mu, że rozwinięcie człowieka, który z siebie doskonalszą czyni istotę, niżeli był w początku; że życie postępu nie może się kończyć nicością, zgonem. U wrót śmierci każdy jest tem, czem się uczynił przez życie; a kto nie powie w sercu swém: że zdobył stanowisko wyższe, kto nie może ani myślać, ani czynem usprawiedliwić swych

praw do innego żywotu, ten zapewne nieposiędzie go.» (k. 480).

Szkoda, że podobne, złote zdania nie są zbyt częste, i gdzie się trafią tam się wydają zupełnie czemś obcym, wysterkającym, bez żadnego organicznego połączenia z dalszemi marzeniami i życiem w kółko Juliusza. Z podobnej mieszaniny różnolitych zdań nie możemy wierzyć, aby ukształcenie Juliusza było tak porządne jak nam to sam opowiada.

W ogóle nudna to jest książka te pamiętniki! — zdziwiliśmy się niepomalu, iż zmusiły nas do uczynienia panu Kraszewskiemu tego nowego dla niego, jako pisarza prozą, zarzutu. Ale cóż począć przeciwko nudom! Ta gwałtem narzucana egotyczność bohatera była tego przyczyną. Nie trzeba wielkiego wtajemniczenia w mechanizm sztuki, aby ujrzeć iż całe pamiętniki nie kolejno postępowały z rozwojem psychicznym i talentowym Juliusza, lecz jednym rzutem odlane zostały przez autora Świata i Poety.

Na improwizacją zatrudna to jest forma.

Marny by był cel pamiętników, aby ktoś powiedział cicho, że to jest życie nie jednego Juliusza. — Bo przedstawienie żyć pospolitych przykładu, nauki i natchnienia dla czytelnika — przedstawienie gawędkowe z nieudatnym artyzmem myślenia — na co się przydadzą — *cui bono?* Nie zawsze egotyzm nudzi *monotonią*. Hamletowski egotyczny liryzm, ów *humour* zapatrywania się na życie, najpospolitszy typ do arcywzoru podnieść zdołają — przedstawienie, artyzm, nada im tendencją. Ale brak artyzmu i brak tendencji, samém tylko zapowiedzeniem ogromnego i niezgłębionego celu, nie da się pokryć. Gdzie niema prawdy artystycznej, tam się szumnemi sofizmami i choćby najdłuż-

szem rezonowaniem wiara i szacunek czytelnika nie wymoże.

Nie mamy tój do śmieszności posuniętej czci dla wszystkiego co swojskie, aby w podobnych powieściach nie widzieć wad, któreby nas w obcych od czytania ich odstręczyły. Chcielibyśmy stać cokolwiek bardziej na równi zresztą zagranicznego świata. Ta nie-szczęсна cudzoziemczyzna tak nam gust popsuta, że zasmakowawszy we wzorowych obyczajowych powieściach, jakiemy przepelnione są literatury Francji, Anglii i Niemiec, niepodobna nam zniżyć stanowiska do uważania naszych rodowych. Własna duma i pewność, że szkolarskie pobłażanie dla żadnego piśmiennictwa nic dobrego nie zdiąła, na to nie zezwalają. Przecież nie jesteśmy znowu tak ubodzy; mamy w literaturze naszej, choć nie w powieściowej, utwory którymi w obec całego świata pochlubić się godzi—dla czegoż i w tym oddziale, tak dziś potężny wpływ wywierającym, poprzestawać na kartach i nierozumieć ich dążenia.

Nie dziwilibyśmy się wcale słabości artyzmu w Pamiętnikach nieznanego, gdyby ich autor był młodzieniaszkiem, którego pali niewczesna żądza autorstwa, ale aby tak rozgłośny, prawdziwych zasług dla kraju pisarz rzucał niedbale, blade, nieprzejrzane (jesteśmy tego pewni) improwizacje—to smutną jest rzeczą.

Smutną! bo okazywałoby lekceważenie rodowej literatury przez autora, najgorliwiej o jej prawa niegdyś domagającego się. (\*) Trzeba sobie przypomnieć

(\*) Albowiem niepodobna przypościć aby ojcowskie przywiązanie do swego utworu mogło p. Kraszewskiego do tego stopnia olśnić iżby nie widział w swoich opowiadaniach wielu wad, które tak zdrowo i trafnie w cudzych spozstrzegać i wytykać umie.

w chwilach stagnacji, zapął do pismienstwa, który pierwszy pan Kraszewski swą żelazną wytrwałością obudził, zapął z jakim młodzi przyjęli zjawienie się małych niepretensjonalnych, a tak wielki talent zapowiadających Improwizacji do zapalania fajek,—p. Karola,—czterech wesel i t. d. Ów nowy styl poufały a tak giętki i poetyczny; owa świeżość i żywość działalna myśli, to dowcipne, humorystyczne zapatrywanie się, owo wyjście ze sztywnych form stylowych do braterskiego porozumiewania się—kogóż nie zachwycą? — Komuż nie zdawały się zadatkami po których można się było spodziewać chluby i epokę dla nas przynoszącego powieściopisarza?

Kilkanaście lat od tego czasu minęło, ulubiony autor kilkadziesiąt napisał powieści, a jeszcze jesteśmy w oczekiwaniu — dla wielu nieprzystał być dotąd tylko «*z nadziejami talentem powieściowym.*» Czy te nadzieje kiedy się ziszczą? Moglibyśmy wątpić, gdybyśmy nie mieli przed oczami *Pod Włoskiem Niebem*,—*Całe życie biednej* a przede wszystkim *Ulany!* gdybyśmy w każdej bez wyjątku powiastce p. Kraszewskiego nie napotykali ślicznych ustępów i szkiców dających rękojmiej niepospolitego talentu—a nakoniec, gdybyśmy wiedzieli, że *improwizowanie* weszło u tego pisarza w nałóg niedający się niczem wykorzenić.

Bo któż wątpi że p. Kraszewski, dobrze obmyślany, z rozwagą ułożony plan, rusztowanie powieści z tendencją, nie dla zabawki—zdoła wybornie obrobić pod wszelkiemi względami?

F. N. J.

Poezje W. Dłużniewskiego. Warszawa—rok 1846  
str. 146.

Jest to malenki zbiór przekładów i oryginalnych utworów; —pomiędzy ostatnimi znajduje się melodrama, w 3 aktach p. t. *Własta*, podług osnowy z historii czeskiej:

*Wojna dziewięć przeciw mężczyznom.*

W tej pierwszej niby poetyckiej próbie szanownego autora, od wieków znany a najoczywistszy napotykam dowód, że poetą potrzeba się urodzić, że najusilniejsza praca, najszlachetniejsze uczucia, niezastąpią boskiego namaszczenia. Poeta! prawdziwy poeta! to mędrzec! to jeniusz! to pochodnia, która na ogromną przestrzeń czasu przyświeca. Dla tego pod słońcem niemasz nic ckliwszego, jak to nigdy nieustające wierszowanie z pretensją poety.

Gdyby pan Dłużniewski na swój książeczce położył napis «Wiersze,» wdalibyśmy się w rozbiór szczegółowy mnogich usterek, ale gdy swoje prace ochrzcił nazwą poezje, nie mając słów do pisania recenzji, to tylko objawiamy, że autorowi *Własty* brak najzupełniejszy artyzmu.

W tłumaczeniach jest pan Dłużniewski szczęśliwszy, aniżeli w oryginalnej poezji — naprzykład przytaczamy następujący przekład z Wenera:

PRAWDA.

Żadnych fałszów! —niechaj prawda święta  
Przecuciem rozjaśnia zwątpień noc,  
Żadnych marzeń, bo nadludzka moc  
W ziemskim życiu zmysłem nieobjęta,

Żadnych złudzeń! dla igraszki tłumu,  
 Gdy zaletą jest ku drugim błąd,  
 Gdy miłości znika wszelki wzgląd,  
 Nie fantazji, tu trzeba rozumu!

Nie w ozdobałym, malownym widoku,  
 Ani w pięknej harmonijnej grze,  
 Nasz wzniosły cel, odsłonić tu chcę —  
 Prawdę pokazać odwyktemu oku,  
 Lecz zawołam w proroków imieniu,  
 Niechaj groby poruszy mój głos:  
 Póki błędu nieobali cios,  
 Nie przejrzycie w swoim zaślepieniu!

Choć to pięknie w *Charytynek* roju  
 Za roskoszą w Tempy niwach gnać,  
 Kwiat w pierwiastkach dla swych uczuć rwać  
 U czystego Pijerynek zdroju;

Choć to wzniosłe za Styksem zdobywać,  
 Drogę gadem pokrytą i mgłą,  
 Lub by olśnić wzrok swój wieczną ścią,  
 Jak mdły Fakir w słońce się wpatrywać;

Choć to słodko, w pobożności błogięj  
 Spojrzeć w obraz, i z roskoszą tam,  
 Przyłgnąć wi-rą do niebieskich bram,  
 By zdobywać słowami ich progi —  
 Uczynkiem zaś krwawić bratnie dłonie;  
 Obrządkami śmierzyć sądu strach,  
 Rozpromieniać czucie w zimnych skrach,  
 I w mar błędnych wzlatywać ustronie.

Choć to mądrze, chcieć w kamień mądrości,  
 Stopić mienie wrzucone na stos;  
 Odgadywać przyszłych czasów los,  
 Nie znając żądź rodzinnych swych włości;  
 Choć wygodnie jest miernika sztuką,  
 Myśleć, patrzeć bez głowy, bez oczu —  
 W tajnym nieba siódmego pomroczu  
 Wmieszać się swą cudowną nauką.

Ale wszystkie te niewczesne szwały,  
 Raczej dzieciom przystoją nie nam:  
 Dziecię przemknie po ścieszce róż tam,  
 Gdzie pewny krok stawia mąż dojrzały.



Z między wielu rzeczy teraz w bycie  
 Tylko jeden potrzebny jest krzew,  
 Ten nie wzrasta wśród Armidy drzew,  
 Lecz na prawdy granitowym szczycie.

Chcecież z niego owoce odbierać,  
 Porzucicie wasz urojony świat!  
 Patrzcie śmiało a ujrzycie kwiat,  
 W który się krzew zaczyna ubierać;  
 Tylko snowidz przewidzeniem snu,  
 Lub przesądu błędnym blaskiem ómiony.  
 Tylko zbytkiem rokoszności zwątlony,  
 Lub samolub nie ujrzą nic tu.

Mówcie! czemu niewinności łono  
 Przyrodzenia nie zachwyca was,  
 Czyliż poznać nie jest wreszcie czas,  
 Że ta wielkość co wam ulubioną,  
 Swém złudzeniem wprowadzając w błąd,  
 Tem bardziej was od celu oddala?  
 Tak łódź, gdy ją wabi bliski ład,  
 Na skalisty brzeg unosi fala!

Póki sami się nie przewyższycie,  
 Powołania uczujecie brak,  
 Was zatrwoży ocalenia znak,  
 Gdy nie przejdzie chęć godności w życie.  
 Uczcie się wprzód rządzić sami siebie.  
 Jak Faeton nie wiercie w swą dłoń:  
 W rękę dzieci zgubną jest ta broń,  
 Która starszym zbawienną w potrzebie.

Wróćcie znów z wysokości stromej,  
 Na przyrody niezatarty ślad,  
 Osiedlcie się w dolinach bez zwad,  
 Gdzie waszych sioł nie zatrwożą gromy:  
 Nie dochodźcie z gwiazd boskiego planu,  
 Bo praw boskich wyraźniejszy rys  
 W waszém sercu, jak niepewny spis  
 Eddy—talmudu—alkoranu!

Jeśli chcecie bóstwa objawienia,  
 Patrzcie na kwiat, jak powój się pnie,  
 Jak w miłości krzew do krzewu lgnie —  
 Czyż to jeszcze was nie rozplomienia?

Wam nadziei w nieśmiertelność trza,  
 Patrzcie motyl jak powierzchwią zmienia,  
 Chcecie czynu? wszak ziarno nasienia  
 W odrodzeniu trwałą bytność ma.

Nieśmiertelność z wiarą wam wslawiona,  
 Bo nagrody każdy tylko chce,  
 Czyż mniej piękną na spłowień tle  
 Cnota—jak bez stroju ulubiona?  
 Słodka wprawdzie uniesienia siła  
 Na łonie swęj kochanki czerpana;  
 Lecz za wierną jest i śmierć zadana  
 Kochankowi jak zbawienie miła.

Gdyby nadto pan Dłużniewski przy swoim naukowem usposobieniu, przy swoich wszędzie widocznych uczuciach najszlachetniejszych, zechciał pisać prozą, byłby zapewne wdzięcznie czytany autorem.

*Au: Wi:*

*Zapóźno, i Jeszcze dość wczesnie*, dwie powieści przez Paulinę z L. Wilkońską, tomów trzy, wyszły z pod prass drukarni *Hirszel* i spółka przy ulicy Miodowej, gdzie egzemplarzy po złp. 13 gr. 10 nabyć można, jak niemniej w redakcji *Dzwonu Literackiego*.

## KILKA UWAG O UŻYCIU WYRAZÓW:

# SPRAWIEDLIWOŚĆ I ODWET

### W PRAWIE KARNYM.



Wielka powszechnie zachodzi różnaitość między uczonymi kryminalistami w ustaleniu pojęcia *sprawiedliwości* w jej zastosowaniu do prawa karnego. Teorje nawet absolutne w różnaitém używają wyraz ten znaczeniu—tak różném, iż do stałego pojęcia sprowadzić się nie dają. Przyczynę tego może stanowi używanie wyrazu *sprawiedliwości*, w równém *co religja* lub też *ściste prawo* znaczeniu. I tak ograniczając się na główniejszych zastosowaniach, wyraz *sprawiedliwość* bywa używany:

1. *Podmiotowo*, jako pewne dążenie lub cnota, a to: a) taka, według której ustawy prawa zachowu-

jemy względem drugich, zgodnie zupełnie z rzymską wykładnią: *justitia est constans ac perpetua voluntas, jus suum cuique tribuendi*. W powszechném wszakże życiu, cnota ta częściej pod nazwą *uczciwości i prawości* występuje.

b) można także mówić podmiotowo o sprawiedliwości względem siebie,—choć pojęcie to dotąd na mały zaledwie względ filozofów zasłużyło.

2 *przedmiotowo*, zupełnie zgodnie z pierwotnym znaczeniem *prawa*, według którego sprawiedliwość oznacza zgodność czynu lub wyroku.

a z wyraźnemi przepisami prawa, a to:

aa tak względem czynu indywidualnego, jak,

bb względem wyroku sędziego. Jakkolwiek do oznaczenia takiego sprawiedliwego wyroku, najczęściej przymiotnik *prawny*, lub też bardziej jeszcze obojętny: *zgodny z prawem* się używa.

b zgodność kary i winy przestępcy, z pojęciami rozumowemi.

W pierwszym razie zależało na zgodności z wyrokiem *sędziego*, w drugim z postanowienia *prawodawcy*, które przestępca za swoje własne prawo, do którego stosować się musi, uznawać winien. Takie tylko ściśle oznaczone pojęcie sprawiedliwości może mieć zastosowanie do teorii absolutnych prawa karnego, i ono też właśnie ich wewnętrzną stanowi zasadę. Dobór wyrazów w zdaniu: «według *prawa i sprawiedliwości*» dostatecznie okazuje, iż oba dwa nie w jednakowém są użyte znaczeniu, gdyż *prawem* są wyraźne przepisy ustaw obowiązujących, *sprawiedliwością* zaś niekończenne ustawy rozumu o tém, co prawo stanowi.

(Nadto spostrzegać się daje, iż w zdaniu powyższem częstokroć *prawo* na ustawach cywilnych ograniczonem bywa, *sprawiedliwość* natomiast i do przepisów karnych, według pojęć rozumowego odwetu rozciągać się zwykła.)»

Gdy to ostatnie znaczenie (b) tak w zwyczajnem użyciu, jak i w dziełach znakomitych kryminalistów jest najpowszechniejszem, nie można przeto zwolennikom teorii absolutnej niejednostajności w używaniu wyrazu *sprawiedliwości* zarzucać. I pod tym też względem łatwo rozróżnić karę *prawną* od *sprawiedliwej*.

Powyższe powszechnie i ściśle oznaczone pojęcie *sprawiedliwości*, zupełnie wszakże zbacza z drogi prawdy, gdy jest mowa o tak zwaney *sprawiedliwości* stanu — *justice d'état*, *Staatsgerechtigkeit* — a mianowicie, gdy takowa główną zasadę naukowego systemu prawa karnego ma stanowić. Cóż bowiem pojęcie takie może oznaczać? Jedyne *sprawiedliwość*, która nietylko od niezależnych przepisów do zgodnej jedności dążącego rozumu, ale w wyrokowaniu nadto od ciągłej zmianie podlegających zasad i stosunków związku towarzyskiego zależy. Kara byłaby na wpół politycznym pojawem, — a wiemy przecież, iż wpływ taki na pewnych tylko rodzajach przewinień, i to w małym jedynie zakresie ograniczonym być może. A z resztą, wszak granice *sprawiedliwości* w oznaczeniu równowagi między przewinieniem a karą, jeszcze przed wszelkim związkiem towarzyskim istniały, jako polegające częścią na samychże granicach koniecznej natury ludzkiej — częścią na nieskończonych zasadach prawa kryminal-

nego, które w odwiecznej zawarte prawdzie, jeszcze przed stowarzyszeniami się ludzi w związki społeczne istniały, chociaż ich urzeczywistnienie dalszej przeznaczoném było przyszłości.

Co jest *odwet*? — Wymiar nagrody (dobrego) lub kary (złego), jako odpowiedniego zadosyć uczynienia za dobry lub zły czyn istoty rozumnej. Wolnym czynom takiej istoty nadaje się zwykle pewna *wartość*, której miarę zewnętrzną korzyść lub strata stanowi, a której, o ile można najbardziej, zbliżona druga wartość w nagrodzie lub karze zawarta, odpowiada. Natrafiamy wszakże częstokroć na zjawiska, które nie będąc skutkiem pomysłów ducha, ani wpływem działającej woli — żadnej do odwetu zasady podać nie są w stanie. Bez dobrej woli, — nie ma zasługi, bez złej — winy; bez winy — niema miejsca poczytanie, bez poczytania — niema odwetu. Ponieważ zaś zamiar i wina, jako treść wewnętrzna i duchowa, do stałych przepisów prawa stanowionego stosować się w zupełności nie mogą, przeto wszelki odwet w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, *moralny* akt tylko stanowić może. A nawet wszyscy uczeni kryminaliści, którzy *prawny* jedynie odwet przyznają, zapominają widocznie, iż odwet ten w innym jeszcze względzie z moralnych zasad wpływać musi; prawny bowiem względ, na którym ich odwet polega lub polegać się zdaje, działać tylko może na sposób i miarę kary, lecz za zasadę i cel wszelkich kar uważanym być nigdy nie może.

A jednakże tylu uczonych prawników wielokroć i od tak dawna o prawnym odwecie rozprawiają,

rozumiejąc pod tém wyrażeniem odwet, ktorego zasada jedynie do zewnętrznej nieprawności czynu się ściąga, i z tego powodu karę wymierza według rodzaju i wielkości obrazy prawa.

Wprawdzie i ten wymiar kary, ściśle uważany, odłączyć się nie da od względów moralnych, od rozumowych zasad stanowiących wewnętrzny stosunek i doskonałą zgodność zasługi lub winy z nagrodą lub karą; gdyż bez winy istoty rozumnej natrafiamy i tu na zjawiska zewnętrznej przyrody, do których żaden odwet zastosować się nie da. Żaden przeto prawny odwet, jako *odwet* tylko *prawnym* (ograniczonym na zewnętrznej obrazie prawa) być nie może. Wtedy tylko mógłby nim być, gdyby pod wyrażeniem odwetu prawnego, taki tylko rozumiano, który w granicach czystego prawa jest zawarty z zupełnem wyłączeniem wszelkiej moralnej winy. A jednakże pojęcie powyższe tak jest między kryminalistami upowszechnionem, iż z wielką zaledwie trudnością usunąć by się dało, mianowicie gdy pewnej cechy prawdy na sobie nosić nie przestaje, i w oznaczonych powyżej granicach, słusznie do *formalnego i materialnego* odwetu zastosowaniem być może, stosując się w pierwszym razie do miary, w drugim do rodzaju kary.

K. B.

# HELENA.

## SZKIC DO ROMANSU.



Biada ci, jeżeli chociaż mimowolną staniesz się przeszkodą spełnieniu zamiarów uikczemnie dumnej kobiety; — jej podłość żadnych nie zna granic, jej zbrodnia każdy obierze środek, który ją do celu prowadzi.

W wiejskiem ustroniu żyła wiekiem pochylona niewiasta, której całem słońcem ziemskiego bytu była rozkwitająca wnuczka, 17letnia Helena. Grób zawarł w swém łonie jej rodziców, jej męża i synów, co legli na polu chwały. Dla tej sędziwej niewiasty ziemia nie okrywała się kwiatem wiosny, owocem lata i jesieni, — dla niej śnieg i fijołek, wonią tchnące powietrze i poświst mroźnego wiatru, jednakową miały wartość; — w anielskich tylko usługach Heleny, w jej miłości dziecięcej widziała litościwą opatrność Boga, jawną łaskę Nieba; jedyną



słodycz życia ziemskiego. Helena była dla niej wszystkim, całym czuciem i całym uczuciem, — i przez jej obraz słała do Tronu Przedwiecznego wszystkie modły i wszystkie myśli swoje. Cztery chełmińskie włości ziemi, małeńki stanowiące folwarczek, tak nazwaną *częstkę szlachecką*, były dla pani Janowej źródłem potrzeb domowych, — a brat jej nieboszczyka męża, pan Wojciech, niegdyś towarzysz regimentu Madalińskiego, ośmdziesięcioletni ale krzepki jeszcze starzec, był jej wielkorządcą, doradcą i męską podporą. W długie wieczory lub w dni świąteczne, zwykle pani Janowa opowiadała wnuczce dawne dzieje rodziny swojej, a gdy się pamięcią znużyła, w ówczas pan Wojciech zaczynał z kolei i przed cierpliwą dziewczeczką gromił Turki, Szwedy i Tatary, opisywał ubiegłe radości i biedy Rzeczypospolitej, — i dopiero gdy przychodziło wyliczać zasługi wojenne nieboszczyka synowca a ojca Heleny, gdy się zbliżała w opowiadaniu ta chwila, w której pan Wojciech ze łzami w oku wymawiał: «pośród największego niebezpieczeństwa, on pierwszy zawołał:» «za mną bracia!» — spiął konia ostrogami i w mur bagnarów uderzył...» wówczas Helena klękała przed obrazem Chrystusa na krzyżu i ciche szeptała za duszę swojego ojca pacierze. W jednej z takich chwil, drzwi izby zaskrzyły i w progu ukazał się ze strzelbą na ramieniu młodzieniec ślicznej urody.

— Czylibym tutaj... dalsze słowa na ustach zawisły a oczy młodzieńca utkwily się w postać Heleny.....

Dziewica z kolan powstała.

— Niech będzie pochwalony.  
Czego waszmość pan żąda w naszym dworku?... zapytał pan Wojciech.

— Na wieki wieków — odrzekł pomieszany młodzieniec, — a oczy jego ciągle spoczywały na nadobnej postaci Heleny, — zbłądziłem na polowaniu i gdy do tój tu wioski zaszedł, widząc porządniejszą waszego domu powierzchowność, przychodzę prosić o chwilową gościnność i o najem koni.

— Konie nasze w podróży, lecz u sąsiada postarać się można; gościnności zaś jeszcześmy nikomu nieodmówili; — prosimy bliżej, co się doma znajdzie, będzie na usługi wasze.

— Prosimy dalej — wyrzekła pani Janowa, — a przede wszystkim niechaj pan broń złoży i usiądzie, bo z polowania to i ramiona i nogi odpoczynkowi rade.

Młodzieniec przestąpił próg izby, zdjął strzelbę z ramienia, postawił przy drzwiach i usiadł na podanym przez pana Wojciecha stołku.

— Helenko! niech no Jadwisia zawijane zrobi zrazy, i niech kaszki do tego ugotuje w rozsypkę; — tymczasem pan brat z łaski swojej napije się wódeczki do naszego gościa, — niewiem tylko czy jest jeszcze goździkowa?...

— Jest babuniu, — i Helena wybiegła do przyległej alkowy.

— Serdecznie wdzięczny pani jestem za rychłą pamięć o moim żołądku, ależ istotnie dopomina się tój łaski. — Państwo czy dzierżawą czy dziedzicznie posiadacie ten folwark, — zapytał gość pana Wojciecha, mieniając go być panem domu.

— Jest to ojcowizna mojej owdowiałej bratowej, — a jam tylko na rezydencji, pomagam jeść chleb i ile siły starczy, — na chleb pracować...

— Ta wieś nazywa się Rozwady?...

— Tak jest panie dobrodzieju, — Rozwady, szlacheczczyna, — trzynastu ma dziedziców, ale część pani bratowej jest największa, bo się kilka polanków z dawien dawna dokupiło, — chocia teraz toby i dawna dziedzina starczyła.

Za powracającą do pierwszej izby Heleną, wniosła na tacy małeńka dziewczynka flaszkę gwoździkowej wódeczki, chleb z masłem i krajaneczkę sera. Gracko pan Wojciech przechylił do młodego gościa, który także nie leniwo spełnił spory kieliszek i porządną skibką chleba zęby zatrudnił. Ale szybko się z przekąską uwinął i niebawem zawiązał z Heleną rozmowę.

— Ja panią zastałem klęczącą przed obrazem pana Jezusa, zapewne wieczorną przerwałem modlitwę?...

— To nie wieczorna modlitwa — odrzekła Helena, — i cień smutku okrył jej lica, — to modlitwa za duszę mojego ojca.

Pan Wojciech znalazł stosowném, aby młodemu gościowi opowiedzieć istotną tęj modlitwy przyczynę, a więc zaczął mu prawie i bardzo uważnego znalazł w nim słuchacza, — i właśnie kończył opisywanie walecznego zgonu swojego synowca, gdy dano wieczerzę. Pomimo silnego wrażenia, jakiego doznał młodzieniec, słysząc co dopiero opowiadanie starca wojaka, zmiótł jednakże cztery zawijane zrazy, śladu kaszki niepozostawił, i jeszcze chleb, masło i kra-

jankę sera czynnie pochwalił, — i dwa kufle piwa pociągnął. Jednym słowem: posilił się niezgorzėj, i było mu błogo fizycznie i moralnie, bo tėj gościnnosci towarzyszyła widoczna szczerosc i babki i wnuczki i starca wojaka.

Tymczasem na dworze powstała dżdżysta zamieć, o odjeździe gościa na noc tak ciemną pani Janowa i słyszyć nie chciała. Przeto po krótkiej jeszcze pogawędce, ze względu że myśliwy panicz jest utrudzonym, wniesiono postane łozko i dobrej nocy życzone. Za chwilę wszystko w dworku ncihło, a w sennych młodzieńca marzeniach, wczorajsze łowy myśliwskie szybko ustąpiły przed obrazem cudownie nadobnej Heleny.

Jnż słońce jasnemi promieniami zasało pierwszą izbę skromnego dworku, gdy się Władystaw obudził. Na stoliku spostrzegł swoję fajeczkę naładowaną i rzeczy oczyszczone, strzelba zaś była otartą z kurzu i zawieszona przy piecu. Powstał więc z łozka, ubrał się, zapalił fajeczkę i właśnie wdzięcznym uczuciem przebiegał szczegóły doznanej gościnnosci i podziwiał wzorową czystosc każdego sprzętu, gdy uchyliły się drzwi przybocznej alkowy i pan Wojciech z sumiastym a śnieżnym wąsem, rumianą a wesolą powitał go twarzą i tēm przyjaznym zapytaniem:

— Jakżeż się spało łaskawemu panu?...

— Z łaski waszėj bardzo dobrze.

— Ale moja pani bratowa jest w kłopotcie, nie wiedząc co pan dobrodziej pijasz na śniadanie, czy kawę, czy herbatę jak teraz modnie.

— Będę to pił, co u was jest zwyczajem.

— U nas zwyczaj poleweczka z piwa.

— A zatem proszę o poléweczkę.

— Wygrałeś łaskawy panie, bo nasza Helenka sławnie poléweczkę przyrządza.

Wrócił więc pan Wojciech do pani bratowej z doniesieniem, że gość poléweczce dał pierwszeństwo. — Niezadługo czysto ubrane wiejskie dziewczynki wyniosły łóżko, — a niebawem przybyła sędziwa gospodyni domu z Helenką.

— Podobno pan dobrze spałeś, — mówiła pani Janowa, — co nas szczerze cieszy, — ale ja przychodzę zapytać się, co się panu śniło, bo w obcém nam miejscu pierwszy sen, mówią że się zwykle wyśni.

— Dobroć serca pani dobrodziejki i uprzejmość panny Heleny, moim snem były.

— Wprost z kniei zabłądziłeś pan do nas, ale nie w kniei jesteś pan schowany, kiedyś łaskaw tak grzecznie a nie szczerze odpowiadać.

— W obec pani dobrodziejki, i w obec panny Heleny, niewiem czy można być nieszczerym.

Wdzięczny uśmiech na ustach sędziwej pani Janowej a szkarłatny rumieniec na licu Helenki, były odpowiedzią na tę gładką odpowiedź młodzieńca.

Przyniesiono poleweczkę i grzaneczki, — myśliwiec niezaprzeczone złożył świadectwo, że mu i polewka i grzaneczki przewybornie smakowały. Następnie śród żywej rozmowy zaczął Helenkę, prosząc o pozwolenie przejrzenia książek i papierów, które leżały na zgrabnej przy oknie półeczce.

— To stare książki, — odrzekła na nowo zarumieniona Helenka, pani Janowa zaś dodała: stare

książki, stary rozum, ale *dla kobiety pono lepszy od modnego, co to myśli koziołkami przewraca.*

Młodzieniec przybliżył się—i z zadziwieniem znalazł w niepozornym dworku szlacheckim, zbiór kronik i co najwyborniejsze dzieła naszych Zygmunto-wskich pisarzy.

— Czy pani byłaś na pensji?..... zapytał Heleny.

— Dom mój był dla Helenki pensją, a moja nieboszczka synowa była dla niej guwernantką, wyręczając wnuczkę, odpowiedziała pani Janowa.

— Pani dobrodziejka racz pozwolić, abym mógł się pannie Helenie przysłużyć najnowszymi utworami naszych pisarzy.

— Bardzo dziękuję za łaskawą obietnicę, — bo ja to już myślałam o tém, aby się dla Helenki o jakie nowsze postarać książki, tém więcej, że ma wielką do czytania ochotę;—ale proszę przebaczyć, że się zapytam komuż będziemy zawdzięczać tak miłą dla méj wnuczki przysługę.

— Darujcie panie memu roztargnieniu, zem aż do téj chwili nazwiska mojego nie wymienił:—jestem Władysław \*\*\* obywatel z Płockiego, od 3ch dni przybyłem w te strony do pana Adolfa \*\*\* zapewne znanego paniom sąsiada.

— W kościele tylko widujemy pana Adolfa, chociaż z ojcem jego, mój młodszy syn, ojciec Helenki, bardzo się przyjaźnił—i razem téż służyli wojskowo i w jednym dniu obydwoj polegli...

Umilkła pani Janowa, w oczach Helenki zabłysła przeczysta łza córki.

Przybycie pana Wojciecha zmieniło rozmowę;—

pan Władysław upraszał go o pomoc w najęciu furmanki.

— A jest tu piękna po pana dobrodzieja furmanka, bo dzielny ze stajni pana Adolfa \*\*\* wierzcho-wiec, z którym stangret całą noc szukał pana dobro-dzieja po wszystkich sąsiednich wioskach—i u nas nareszcie zapytał.

— A toćże pan brat każ dać obroku dla zmęczo-nych koni, na których całą noc szukano zguby, — a o dworskim człowieku niezapominajcie, bo i on pewnie po nocy w bliskie sąsiedztwo bez grosza wy-słany, suchotami służbę czyni.

Podziękował pan Władysław za ten nowy dowód gościnności, i poszedł rozmówić się z przybyłym Ignacym.

— Helenko! po wydaleniu się Władysława, ozwa-ła się babka, — potrzeba by pomyśleć i o drugim śniadaniu dla młodego panicza, a zdrów chłopiec bo dobry ma apetyt.

— Babuniu! ja posłałam do kumy Szarzyńskiej, czyliby nam nieodstąpiła dwóch kurcząt, bo nasze jeszcze za drobne.

— Dobrześ zrobiła moje złotko, — jak widnąć paniczek, to mu na smak kurczątka przypadną.

Już się południe zbliżało, kiedy Władysław \*\*\* złożywszy serdeczne pani domu podziękowanie za naj-laskawsze przyjęcie, i wdzięcznie uściskawszy szorstką rękę pana Wojciecha, pannę Helenę temi pożegnał słowy:

— I uprzejmość pani dla zbłąkanego myśliwca była tak szczerą i tak uroczą, że błogosławię tę chwi-

łę, w której do tego dworcu wstąpiłem,—moja przyszłość jest ściśle związana z chwilą obecną.

Rączy koń uniósł urodną postać młodzieńca, a w uszach babki i starca wojaka, długo jeszcze mile brzmiał głos grzecznego panicza, a w sercu Heleny ten głos zarył się głęboko, — i wir najlotniejszych myśli, długo, długo ją w miejscu pożegnania zatrzymał, aż babka dobrotliwem słowem wzywając wnuczkę do codziennych zatrudnień, dalsze marzenia przerwała.

## II.

W kilka miesięcy później, w Warszawie, w lśniących salonach nie wylegitymowanej hrabiny, matki Władysława, z drugiego męża pani Robaczkowskiej,—bal, wielki bal, już od godziny zapełnił serca i umysły licznie zgromadzonych gości. Moje plebejuszowskiego smaku — a jak słusznie dostojni krytycy jednoznacznie nazwali — szorstkie pióro, nie czuje się godnem do opisanie wielkiego balu, — gdzie za każdym krokiem napotkasz mężów bardzo wysoko położonych, ich żony bardzo bogato ubrane i młodzież *des manieres comme il faut* (jak potrzeba) bez żadnej dla starszych opozycji; zawsze grzeczną; zawsze do tańca gotową; zawsze ubraną z gustem; — jednym słowem: młodzież myślącą — aby się podobać; młodzież usiłującą zwyciężyć — na polu miłości; — słynąc imieniem młodzieży *de la caste*. Cóż bym ja mógł powiedzieć o wielkim balu?... że widziałem brązy i glansowane rękawiczki, świecące kamyczki i jaskrawe kwiatki,—że słyszałem do sytości szczebiotanie



francuszczyzną—i drobiazgowe plotki,—albo też zdania o febrę żółciową przyprawić mogące;— że wyraz *la canaille* także się obitł o uszy moje;— ale tego malowniczego opisu, jak Emil z Korynną w zamętym walcu tworzyli obraz godny pędzla Tycjana, jak w kontredansie Fillida z Korydonem sprawili widzom urok zachwycający, ku temu mojej poziomej zdolności niestarczy,— dla tego powtórzę tylko, że u pani Robaczkowskiej był wielki bal!—Jawno-skrytym celem tego balu był hołd dla hrabianki Eleonory Kraezyńskiej, która prócz milionowego posagu, była bardzo blisko spokrewniona z księżną X. z prezesem W. z jenerałem Y; jej zaś straszliwie ujemną stronę wdzięków nagrodziła *une éducation exoellente*; bo hrabianka mówiła po angielsku!... i napisała romans w języku francuskim, o którym to romansie młody książę G. powiadał, że robi *furore* w Paryżu!

Otóż pani Robaczkowska pragnęła, aby syn jej z pierwszego małżeństwa, prześlicznej urody Władysław \*\*\* tę najświetniejszą zrobił partją, to jest, aby w jej dom wprowadził:

1. wylegitymowaną hrabiankę;
2. milion posagu;
3. osobę mówiącą po angielsku! i autorkę francuskiego romansu, co podług zapewnienia ks. G. ma zrobić *furore* w Paryżu!...

Wprawdzie zamiar pani Robaczkowskiej był bardzo śmiały, ale nie był bezzasadny, bo hrabianka Eleonora objawiła swęj zaufanej przyjaciółce, że Władysław we wszystkich swoich turniurach przypomina jej młodzież paryzką;—innym zaś razem wyznała przed drugą zaufaną przyjaciółką, że Władysław jest inte-

ressujący,—i że ma piękne kształty. — Otóż była zasada.

Ależ troskliwa mamó! i wrażenna dziewico! nie czytałyście owego wiersza:

«Wróć myśliwczę do domu  
— z klatką nie czekaj sokoła!»

Wy nie wiecie, że Władysław przed trzema miesiącami w szlacheckiej zagrodzie poznał anielskiego oblicza Helenę,—że przed tygodniem złożył jej uroczystą, dobrowolną przysięgę wierności. Dla tego też na tym wielkim balu było mu duszno, nudno i tęskno. Śród najgłośniejszej zabawy opuścił salon i w oddalonym pokoju rzucił się na sofę i marzył. W tém przybiegł Adolf i woła:

— Władystawie! hrabianka Eleonora przez twoję mamę do kontredansa dla ciebie zamówiona, już trzeciemu z nas odmawia.

Władysław powstał, usta jego zbladły, powrócił do salonu i drżącym krokiem przybliżywszy się do hrabianki Eleonory, przywoicie ale najozięblej ją przeprosił, że dla nagłej słabości zdrowia tańczyć nie może.

Dostęsziała ostatnich wyrazów matka Władysława i modry rumieniec powlokł jej twarz całą. Ależ wyrazy Władysława postęszowało kilka innych jeszcze osób, stąd na poczcie salonowej rosły z każdą chwilą i przetwarzały się najdziwaczniej,—a w pięć minut pani radczyni A. — poszepnęła pani jenerałowej B. siedzącej w drugim pokoju przy preferansie, że Władysław prosił hrabiankę Eleonorę, aby zabiegów jego matki nie uważała za wyraz jego własnych zamiarów, bo on uczuć swoich za żadne w świecie pieniądze niesprzedada. Jenerałowa B. zaniemiała z przerażenia i pomi-

mo że z ręki naliczyła 7 *lew* w czwartym kolorze, jednakże tak wyborne karty złożyła i pobiegła do prezesowej C., której młody kuzynek w małym bu-  
duarze opowiadał o uroczystościach dworskich, któ-  
rych był świadkiem w Monachium, gdy tamże na pre-  
lekcje filozofii uczęszczał.

*Jenerałowa.* *Savez vous* co się stało w salonie?

*Prezesowa.* Że Władysław powiedział hrabiance, iż jest brzydszą od 7 grzechów śmiertelnych...

*Jenerałowa.* Ale kto słyszał taką prawdę w oczy przy świadkach ogłaszać;—i podobno oddał jej pierścionek, który dla niego wyprosiła matka, kiedy ko-  
leją żelazną jeździli do Grodziska.

*Prezesowa.* Więc oni już razem jeździli?... *e'est horrible!*..... biedna! zgubiona na zawsze!

W tę chwilę wbiegła pani szambelanowa z do-  
niesieniem, że widziała w oczach hrabianki Eleonory  
dwie łzy ogromne, dodając: «*ma foi jak moje perły*» (\*).

Ten wielki wypadek przeszedł i przez usta mę-  
skie,—zrobiło się więc tłumione ale powszechne za-  
mieszanie,—i wielki bal byłby pozostał doszczętnie  
sparaliżowany,—gdyby nie dowcipny syn rzeczywiste-  
go radcy stanu E\*\*\*, który zamiast kontredansa z swo-  
ją rodzoną siostrą, rozpoczął polkę z hrabianką Eleo-  
norą, i już bez odpoczynku z nią tańcował.

O drugiej z północy, zaraz po wystawnej wiecze-  
rzy, większa część gości wysunęła się po angielsku,  
bez pożegnania; reszta zaś przetańczywszy jednego  
jeszcze kontredansa, o godzinie 3ciój jawnie się roz-  
jechała.

(\*) Były to dętki paryzkie, wielkości cukrowego grochu.

— Andrzej! gdzie jest mój syn?... zapytała pani Robaczkowska,—poproś go do mnie.

— Jaśnie pan jeszcze podczas wieczerzy odjechał ekstrapocztą,—odrzekł jarzące światło gaszący lokaj.

— Odjechał?... ekstrapocztą odjechał?...

— Podobno jest list do jaśnie pani.

Silne dzwonięcie zwołało całą służbę,—a Franciszek doręczył jaśnie pani list w zapieczętowanej kopercie z napisem: *Wielmożnej Robaczkowskiej, mojej kochanej matce dobrodziejce.*

— Cóż to za treść być może?...

Dla czego opuścił „jaśnie” przecież ojciec jego a nieboszczyk pierwszy mąż mój był zastępcą podprefekta i odbywał lustrację podymnego w roku 1811; Robaczkowski zaś wprawdzie nie piastował urzędów, ale go zawsze tytułowano jaśnie wielmożnym, bo miał 3 wioski bez długu i pałac w Warszawie.

Te myśli poprzedziły rozłamanie pieczętki,—list zaś zawierał następujące wyrazy:

*Kochana Matko!*

We wsi Rozwadach w sąsiedztwie Adolfa \*\*\* poznałem Helenę Borzyńską,—matka odumarta ją przed 5 laty, ojciec jej służąc wojskowo zginął na polu chwały. Helena więc jest sierotą, a ośmdziesięcioletnia babka i również sędziwy stryjeczny dziadek zastępują jej miejsce najtroskliwszych rodziców. Wychowanie Heleny znajduję wzorowem;—w porównaniu z hrabianką Eleonorą naukowość jej jest bardzo ubogą, natomiast dusza jej jest skarbem najpiękniejszych cnót niewieścich: bogobojna, skromna, litościwa, łagodna w każdym wyrazie i w każdym uczuciu:—przez

domowników też i przez starce i kaleki, nazwana panią z nieba.—Powierzchowność jej więcej niż piękna, więcej niż zachwycająca:—kiedy mnie ostatni raz żegnała, ubraną była w niebieskie płócienko, a w bogatych splotach włosa, jeden tylko tkwił bławatek,—to było jej całym strojem;—a jednakże szczęśliwym byłby ten malarz, a dumnym każdy rzeźbiarz, któryby jej cudowną arcy piękność na płótnie czy w kamieniu uwieźć potrafił. Kochana matko moja, widziałem galerje obrazów we Włoszech, w Paryżu, w Monachium i w Dreźnie, widziałem tysiące kobiet jaśniejących pięknnością,—ale żadne arcy dzieło, ani żadna żyjąca kobieta nie zrównała piękności Heleny. Cnota więc w całym blasku niewinności dziewczęj, piękność w najwyższej świetności — istota z uczuciem anielskim, została przezemnie wybraną na twoją matko synową. — Oczekuję twój łaski, abys mnie osobiście o rękę Heleny oświadczyć raczyła. Oznacz dzień, na który po ciebie najukochańsza matko wraz z stryjem moim przyjechać mogę.—Okropny, krwawy zadałabyś życiu mojemu cios,—gdybyś widokami świętych związków i bogatych posagów wiedziona, wyborowi mojemu przeszkody czyniła. Ale nie! matka pragnąca szczęścia swojego syna, śmierci jego nie pragnie.

Ręce i nogi twoje całuję i czekam odpowiedzi przez mego Franciszka, którego na ten cel w Warszawie zostawiam.

Przebacz mojemu nagłemu wyjazdowi, ale z tego balowego odmetu, potrzeba mi było bez straty czasu na wolne wyjechać powietrze,—niemniej niechciałem narażać cię Mamo na to, iżbyś mi w pierwszej chwili

niestusne co do mojego z hrabianką Eleonorą obejścia czyniła wyrzuty. Widok téj dziewczyny prześląktéj wszystkimi błędami i wadami swéj kasty, pawiącéj się językiem angielskim, dumnej milionami, beczelnéj obwożeniem swójei brzydoty,—mógłby mi obieg krwi zamrozić. Najdroższa matko! chwila, w którój ujrzysz Helenę, będzie chwilą mojego szczęścia na całe życie, bo żadne ludzkie serce potędze cnot i wdzięków Heleny oprzeć się nie jest zdolne, i tylko nieznając Heleny, możnaby twierdzić, że nad nią jest jeszcze wyższy ideał cnoty i piękności, a więc szczęścia ziemskiego.

Do najrychlejszego widzenia najdroższa i najukochańsza Matko!... Raz jeszcze nogi i ręce twoje całuję, jako wdzięczny, posłuszny i najczuléj cię kochający syn.

*Władysław.*

### III.

List Władysława, któryśmy w poprzednim rozdziale czytali, przywiódł panią Robaczkowską do najwyższego gniewu, bo ani w jéj głowie, ani sercu pomieścić się nie mogło,—że przy zdrowych zmysłach jest podobieństwem, aby dla jakiejś cnotliwéj i pięknej szlachcianki zagrodowéj, porzucać milionową hrabiankę, po angielsku mówiącą!

Nazajutrz umyślny posłaniec wędrował do małego miasteczka Z\*\*\*, a w tydzień później sekretarz pana burmistrza z miasteczka Z\*\*\*, niegdyś były

pisarz prowentowy z dóbr pani Robaczkowskiej, — *Carl Grünwein*, siedział w pokoju pani Robaczkowskiej i *ambo meliores*, przed godziną rozpoczętą rozmowę kończyli:

— Jaśnie pani! Łatwoby mi przyszło spełnić życzenie jaśnie wielmożnej pani, — ale co mnie spotka, gdy się niewinność pana Władysława wykryje.

— To już panie Grünwein twoją rzeczą, abyś się zgrabnie wywinął; mnie idzie o to, aby syn mój osobistej na cały rok pozbawiony został wolności, za co ja ofiaruję panu 2,000 złp.

— Jaśnie pani! to za mało, ja muszę do tego interesu mieć spółników, a oni taką sumką kontentować się nie zechcą, — bo co do mnie, ja złamanego grosza od mojej matki chrzestnej, od mojej dobrodziejki nie pragnę i szczęśliwy będę, gdy potrafię jaśnie pani moję wdzięczność udowodnić.

— Co było to nie jest, jeżeli ci wówczas potrafiła być pomocną, uczyniłam to bez myśli, abyś mi miał dzisiaj bezpłatną czynić usługę, — wprawdzie trzy lata warownego więzienia zwałam z twojego karku, lecz o tém nie mówmy. Oto dam ci 3,000 złp., ale musisz wszystko zrobić podług mojej instrukcji.

— Jaśnie pani, niech będzie 4,000 złp: i zwrot kosztów nadzwyczajnych, bo jaśnie pani niewierzy, jak to trzeba ostrożnie interes cały prowadzić, aby się nie przyskrzynić. Wszakże bez zaliczenia przynajmniej połowy, nie mógłbym rozpoczynać.

Pani Robaczkowska wyjąwszy z biórka 2 listy zastawne po 1,000 złp. doręczyła je Grünweinowi, mówiąc:

Niezapominaj pan, że potrafiłabym każdy podstępny zawód surowo ukarać.

— Skutek mojego poświęcenia się będzie właściwszą odpowiedzią.

— A więc dobrze mój Karolu! jutro rano wyjedziesz, teraz oddal się stąd nieznacznie i dopiero po jedenastej wieczorem doręczę ci całą instrukcją na piśmie.

Carl Grünwein ukłonił się nisko a potem rękę pani Robaczkowskiej dwukrotnie pocałował!... i krętymi schodkami wymknął się do ogrodu, — skąd przez furtkę, do której klucz miał w kieszeni, powędrował na miasto.

Po południu pani Robaczkowska w odkrytym faetonie przejechała się do botanicznego ogrodu, odwiedziła hrabinę \*\*\*, matkę hrabianki Eleonory, i dopiero o 9tej wracając do siebie oświadczyła służbie, że nikogo nie przyjmuje.

Od 9tej do wpół do 11ej ciągle pisała, — potem w tem co napisała czyniła pomniejsze dodatki i poprawki, — o jedenastej zaś wyszła do ogrodu, — a gdy o godzinie 1ej do sypialni wróciła, na nowo zabrała się do pisania i o godzinie 2giej, po zniszczeniu kilku arkuszy, ukończyła list następujący:

*Kochany Władysławie!*

Twój nagły wyjazd zmartwił mnie z tej tylko przyczyny, że nie miałam sposobności zrobienia ci kilku uwag w twojem ważnem przedsięwzięciu. Wszakże serce matki nie może dla jedyne go dziecka niczego więcej pragnąć, jak szczęścia, — jeżeli



więc wybór serca ma ciebie uszczęśliwić, chętnie przychyłę się do twojej prośby.

Oczekuję twojego przyjazdu, a tymczasem ściskam cię po milion razy.

Przywiązana Matka

*Barbara.*

Warszawa 19 Czerwca 184...

#### IV.

Już od ośmiu tygodni w dworku pani Janowej żadnej od Władysława wiadomości nie było i Helena cichemu ale głębokiemu oddawała się smutkowi, gdy pewnego dnia, w samo południe, ukazała się we wrotach parokonna bryczka i po krótkiej chwili pan Wojciech wprowadził mężczyznę niskiego wzrostu z uprzejmym napozór, ale w istocie z nader nie miłym, z odrażającym spojrzeniem. — Był to znany nam nieco Carl Grünwein, który tutaj zamienił się na Kazimierza Rzepkiewicza obywatela z Lubelskiego. Po wymienieniu przybranego imienia i nazwiska, — bez względu na wiek pani Janowej i na łatwo przewidziane cierpienia Heleny, oznajmił, że naumyślnie przybywa, aby ostrzedz uwiedzioną rodzinę.

Po tym wstępie obwinił Władysława o pasmo najbrudniejszych czynów, pomiędzy innemi, że siostra jego, wzór cnoty i ideał piękności, stała się najnieszczęśliwszą ofiarą krzywoprzysięstwa podłego Władysława, i dla tego postanowił w miejscu jego nowych zabiegów występnych, nietylko wyrzucić mu

przed oczy najnikczemniejsze postępowanie, ale nadto, aczkolwiek od człowieka na każdej drodze obarzonego podłością, przedsięwziął żądać krwawego zadosyć uczynienia, — i oskarzyciel wskazał na rękojeść puginału — i marszcząc czoło, białą chustką oczy zasłonił.

Na tę okropną o Władysławie wiadomość, pani Janowa spoglądając na wnuczkę ciężko westchnęła, pan Wojciech zarumienił się gwałtownie, — wnuczka zaś Helena blada jak lilija ścięta, — z sinemi ustami, z jednym tylko wyrazem: «o Boże!» zachwiała się i bez czucia upadła na ziemię.

## V.

Ośm już mijało miesięcy od bytności Kazimierza Rzepkiewicza (Grünweina) w Rozwadach, a w dworcu pani Janowej ten sam smutek, ta sama boleść, i grobowe o Władysławie milczenie. Helena nikła na zdrowiu z dniem każdym, — i z dziewczyny, która przed rokiem jaśniała całym blaskiem wiosennych wdzięków, niepozostało tylko uosobione cierpienie, cień, blade widmo żyjące. Potrzebaby mieć serce dzikiego człowieka, aby we wszystkich stopniowaniach być zdolnym opisać tę przemianę, jakiej Helena uległa; anioł śmierci widomie na jej osiadł ustach. Helena aż do chwili poznania Władysława, żyła jedynie życiem babki swojej i dziadka Wojciecha; — zatrudnienia domowe, odwiedzanie chorych na wsi, kościółek parafialny, — i uwielbianie

w naturze dzieł Stwórcy wszechświata, widok wschodzącego słońca, kwiatami umajone łąki, przezrocze pobliskiego jeziora, — w pogodne nocy księżyc i w ciemnych sklepieniach nieba gwiazdy tonące, — to było światem jej myśli, światem marzeń i przecucia.

Od czasu dopiero poznania Władysława, w sercu jej zawrzała dotąd nieznaną burza, — a z chwilą, kiedy jej Władysław wyznał, że ją kocha nad życie, że ją zaślubić pragnie — z tą chwilą uczucie Heleny opasało ją olbrzymią siłą, najczystszej, bezwinniej, pierwszej miłości; — przybiegła pamięć widzianych ślubów w parafialnym kościółku; — marzyła więc że i ona pokrótce z przedślubnym na głowie wiankiem uklęknie przed najdroższą babką i ukochanym dziadkiem, że z ich ust postyszy wyrazy błogosławieństwa, — że się dla niej rozpocznie świat nowy, świat czarownego szczęścia... i że tym szczęściem uprzyjemni schyłek dni najdroższej babki i ukochanego dziadka, — i że w bogactwach Władysława znajdzie nieprzebrane źródło dobroczynności dla tych nieszczęśliwych, których dotąd małemi tylko podarkami wspierała. I marzyła o uprzedzającej dla niej dobroci Władysława, o pięknym księgozbiore, o pięknych ogrodach, — i często marzyła o wiejskiej szkółce dziewczynek, o szpitalu dla kalek i schorzątych starców — bo umysł i serce Heleny były zawsze pod wpływem cnotliwej dążności — w jej pierś spoczywało zawsze najszlachetniejsze uczucie, i tylko wyjątkowo marzyła czasem i o pięknym koczui o pięknych koniach, gdyż jej o tem żartobliwy dzia-

dek był wspomniał mówiąc: «może w ten czas asindzka nie spojrzysz już na dziadka Wojciecha.»

O spojrzę, spojrzę dziaduniu, odpowiadała Helena, bo babcia i dziadunio obok mnie w pięknym powozie siadywać będą.

Z takich to marzeń, z takiego szczęścia myśli, wyrwała ją skarga niktzemnego Grünweina. Od owej bytności podłego oszczercy, żadną literą Władysław o sobie wiedzieć nie dał,—i dopiero przed Bożem Narodzeniem dowiedział się pan Wojciech na jarmarku w sąsiedniem miasteczku, że Władysław \*\*\* w skutek politycznej denuncjacji jest aresztowany oddawna. Ale cóż już mogło pana Wojciecha obchodzić uwięzienie człowieka, o którego podłości pokrzywdzony obywatel Rzepkiewicz tak wiarogodne dał mu objaśnienie.—Wszakżeż tę wiadomość, że Władysław uwięziony, przyjęła Helena z zadziwieniem—i nagle powstał w jej sercu zaród ciemnej, nierozwiniętej myśli, że Władysław jest względem niej niewinny,—i ta myśl jakkolwiek w swém poczęciu, przyprawiła ją o najokropniejszą boleść, o wyrzuty, że przez łatwowierność stała się niewdzięczną, że podstępłą potwarz tak skwapliwie za prawdę podjęła.

*Helena.* Babko! droga babcio! ukochany dziadunio! Władysław jest niewinny — o Boże! a my byliśmy tak łatwowiernemi..... Dziaduniu! — jeżeli niechcesz aby mi serce pękło we dwoje, jeżeli mnie nie chcesz widzieć na marach, nie tracąc chwili czasu jedź do Warszawy, staraj się widzieć Władysława — i powiedz mu tylko, że Helena pozostanie mu wierną

do grobu. — I płacz głośny, rzewny, zappełnił dworek pani Janowej.

*Pani Janowa.* Panie bracie — Aniołowie nigdy nie objawją fałszu, — Helenka powiedziała, że Władysław jest niewinny. Przypomnijmy sobie wszystkie szczegóły: o Rzepkiewiczach w Lubelskiem, nikt z tamtych okolic nie słyszał; zarzut, jakoby Władysław miał wytoczony proces o kradzież, niezgadza się z tém cośmy o jego majątku, i o jego dobroczynności skąd innąd słyszeli, zapewne więc i zarzut jakoby miał uwieść siostrę tego jakiegoś Rzepkiewicza, podstępem tylko był zmyśleniem. Wszakże i kmiotkowie z dóbr Władysława, którzy w roku zeszłym do naszego ogródka owocowe drzewa i te piękne krzewy odwiezli, opowiadali przedemną, że na całą okolicę lepszego pana nieznają, — a przecież w ustach ludu jeno prawda się mieści.

*Pan Wojciech.* Wpadam na domysł smutnej rzeczywistości, ażali to dumna matka Władysława tak straszliwej nie rozciągnęła sieci; — bo ów list łatwego zezwolenia na związek bogatego syna z ubogą zagrodową szlachcianką, nigdy się w głowie mojej pomieścić nie mógł.

*Helena.* O! jam śniła, że on jest niewinny, że on jest wierny swojej niewymuszonej, dobrowolnej, uroczystej przysiędze, — ale ten zły człowiek tyle opowiedział szczegółów i wysłuchał tyle złorzeczeń na Władysława powtórzyli, że mi się nie ośmieliła objawić wam mojego powątpiewania, snów moich, — tłumionego głosu serca mojego.

*Pani Janowa.* A więc panie bracie bierz Waści 300 złp.

i spiesz do Warszawy, abys za łaską Boga lepszego pochwycił języka.

Jak pani Janowa wyrzekła, tak się stało.

Po powyższej rozmowie, w godzinę niespełna, — bo Helenka z najwyższym pośpiechem do podróży dziadka wszelkie poczyniła przybory, pan Wojciech rozważnie obejrzawszy taradajkę, upewniony, że osi omaszczone, — ucałował rękę pani bratowej, uściśnął i w czoło pocałował ręce jego całującą Helenkę, przyrzekł troskliwe badanie prawdy, rychłą o sobie wiadomość, — siadł na taradajkę, zrobił przed się i na wieś całą znak krzyża świętego, stłumionym głosem rozpoczął: «Kto się w opiekę odda Panu swemu» ruszył lejczą — i bez sługi, osmdziesięcioletni starzec, puścił się do Warszawy o mil z górą trzydzieści.

## VI.

Dzień był pogodny i upał lata doskwierał, wracałem z kąpieli, gdy do Mazowieckiego zajazdu przy ulicy Bednarskiej, wtoczyła się przed memi oczyma jednokonna na dwóch kołach taradajka; — kierował lejczą starzec w szaraczkowym na szerokich ramionach tołubie, czyli w płaszczu bez peleryny, — w białym kapeluszu na siwój jak gołąbek głowie.

Kurz gruby na pół cala okrywał cały zaprzęg i wszystko podróznego odzienie, — i widniejszą tylko była ogromnych rozmiarów rumiana twarz, ozdobna tym wąsem, co to urosł nie za piecem, ni też przed eleganckiem zwierciadłem, ale pod gołem niebem,

pośród trudów i zwojów Marsa, w tumanach jazdy rycerskiej, w dymie dział, przy kul poświęście. O! bo jest jawna różnica pomiędzy pielęgowanym włosem na kłamiwych wargach a pomiędzy wąsem żołnierskim, gdzie każdy włos najeżony i groźny, nierad nawet ręce swojego pana być posłusznym. Zdało mi się, jakobym w tym podróżnym starcu widział wojownika z ubiegłego stulecia — starodawnego szlachcica, rzadką już pamiątkę przeszłości, — i rzewna, smutna myśl pobiegła w dawno ubiegłe lata, — gdy w tém dyszel bardzo bogato wybronzowanego pojazdu o mało mnie nie potraćit i tylko szeroka pierś angliczowanego meklemburczyka poszturchnęła mnie na stronę, — a z powozu zawołał ktoś z wyrzutem: — ty! w czamarce! czego ty stoisz bez żadnego uwagi, pszecie można się usunąć do rynsztoku.

Mój Boże! — pomyślałem, — ten przyjechał w biednej taradajce jednym koniem, a mnie znów wędrowny bogacz, brudny, trędowaty lichwiarz do rynsztoku spycha; — i nie spojrzałem ku niebu, bo mi się w oczach ściemniło, a krew silnie zawrzała w piersi.

Nazajutrz byłem w kościele OO. Kapucynów: wchodząc do kaplicy Sobieskiego, spostrzegłem przy stopniach ołtarza krzyżem leżącego starca. Łzami pod jego twarzą zroszony kamień, i to najkorniejsze zniżenie ciała, jawnie świadczyły, że ten modlący się gorąco łaski nieba żebrze i że ciężkie dotknęło go nieszczęście, albo niezwyčajne, zbyt boleśne zagraża mu niebezpieczeństwo; — o! bo wśród szczęścia nie upadamy krzyżem na dziękczynienie, ale tylko wielka, nadzwyczajna boleść przygina karki nasze do

najkorniejszjej modlitwy. Z niewystownie cierpkim uczuciem patrzyłem na wiekiem ubielonego starca, którego los tarzał we łzach boleści — i myśl, czyli mu pomocnym być nie mogę, czyniła mnie niecierpliwym końca jego gorącej modlitwy. Ale jakiegoż doznałem wzruszenia, gdy w podnoszącym się z ziemi starcu, ujrzałem wczoraj do Warszawy przybyłego szlachcica. Patrzyłem się w niego z taką namiętnością serca, że i on mimo widocznie ciężkiego frasunku, oczy na mnie zatrzymał — i w tejże chwili jakiś uśmiech nadziei przebiegł jego rysy, — i z miłą ufnością zbliżył się do mnie — i przedewszystkiem uścisnął moją rękę, a potem wyrzekł, — «wszakżeż nie odmówisz pomocy starcowi?.....»

— Nieodmówię, — więcej wyrazów znaleźć nie mogłem.....

## VII.

Kiedy po mojem zapoznaniu się z starcem wojakiem, z panem Wojciechem Borzyńskim, po kłębku brudnych nici cierpkiej zaczęliśmy dochodzić w Warszawie prawdy, w Rozwadach nadzwyczajne zaszły wypadki.

Janowa bez poprzedniej choroby, podczas codziennych modlitew, spokojnie, cnotliwe zakończyła życie. Boleść Helenki granic nie znała, z załamaniem na krzyż rękami, przy śmiertelnych zwłokach wylewała zdrój łez najtkliwszej żałoby, a gdy po trzech dniach wystawy, domownicy przysli trumnę zabijać,



rzuciła się na ciało ukochanej babki,—sierotę z trupem zaledwie rozłączyć zdołano, i bezprzytomną zaniesiono na łóżko gwałtownej choroby.

W tydzień po pogrzebie babki młodzieńcze siły Heleny szczęśliwy skutek wywarły, — paroksyzmy kurczowe ustały, chora podniosła się z łóżka i pierwszy raz myśl jej zwróciła się do dziadka Wojciecha, gdy na podwórko wjechał czworokonny pojazd, a w téjże chwili weszła do izby, bogato ubrana, średniego wieku niewiasta.

Wrażenie na widok obcej osoby, na wskrós sierotę przeszyło, — paroksyzm kurczów powrócił. Bogato ubrana niewiasta poskoczyła do łóżka chorej.

— Nie lękaj się dziecię, z udaną troskliwością mówiła, — to ja matka twojego Władysława, przyjechałam cię pocieszyć i zabrać ze sobą, abys się stała aniołem zbawcą chorego syna mego.

Te wyrazy zaledwo przez Helenę dostłyszane rzuciły jednakże w jej serce gwałtowną iskrę elektryczną: nagle podnosząc głowę silnym zawołała głosem: babciu! babciu! Władysław żyje! Władysław chory... Jaskrawym wzrokiem powiodła w około, — i znów głowa jej na poduszkę bezsilnie upadła.

— Ona cierpi... ona go bardzo kocha — szepnęła pani Robaczkowska, — i odbierając z rąk miejscowej służącej z trzeźwiącemi kroplami flaszeczkę, połała cukier i w usta cierpiącej włożyła.

— O Boże!... gdzież jestem?... któż to lituje się nad biedną sierotą, któż mi powiedział, że Władysław żyje, że... on mnie kocha jeszcze... Więc dziadunio widziałeś... Kto pani jesteś?... matka Władysława?... matka!?...

— Tak jest moje dziecię, ja jestem matką Władysława, — przed trzema dniami dowiedziałam się, że jesteś sierotą, — nie zwłóczyłam więc ani jednej chwili — i oto pocztowemi końmi przyjeżdżam wziąć ciebie w dom mój, — i jak moję synowę do serca przytulić.

— A dziadunio?!... widziałaś go pani? mówiłaś pani z mym dziadkiem w Warszawie... czy on się przekonał, że Władysław jest niewinny... czy dziadunio zezwolił abym ja z panią jechała?... czy dziadunio pozwolił — abym ja była synową pani?!... i łzy oblały kredowej białości lica Heleny — i serce sieroty biło tak gwałtownie, że matka Władysława każde tętno słyszała.

Ale kobieta hjena niezna litości: — wierna, namiętna miłość Heleny, w piersi Robaczkowskiej tylko podwojony gniew wznieciła, tylko tém mocniej maskę fałszu na jej przycisnęła twarzy.

— Dziadunio dozwala, dziadunio mnie po ciebie przysyła, — bo i on jest chory i on twojej pomocy żąda i pragnie...

— Cudowna Marjo Częstochowska! dodaj mi siły, dozwól abym była w stanie wypełnić najświętszy na ziemi obowiązek. — I chora jakby istotnym cudem dotknięta, powstała z łóżka, ubrała się pospiesznie, — uklękawszy przed kobietą najnikczemniejszego fałszu i kłamstwa, całując jej kolana, mówiła: Jedźmy! jedźmy pani do Warszawy... tylko zaraz o pani! zaraz!... On jest ośmdziesięcioletnim starcem... każda godzina jest drogą... on nawykł do mojej o nim troskliwości... On zapewne co chwila moje imię wymawia... pani! w imię Boga jedźmy natychmiast!...

— Powstań moja synowo! to jest pierwsza prośba, którą w swém życiu do mnie zanosisz, — prośba wdzięczności i miłości wnuczki, — dziecię moje wypełnię ją najchętniej.

Ależ komu dom zostawisz?... i czy będziesz w stanie znieść podróż mił przeszło trzydziestu...

— O nie lękaj się pani, teraz mi sił do wszystkiego starczy... dom... dom powierzę opiece naszych poczciwych sąsiadów, — potrzebne dla mnie rzeczy, prędko, prędko zgromadzę. — I Helenka z chorobliwym rumieńcem na twarzy wybiegła na podwórko i posłała po najbliższego sąsiada i wracając do izby poczęła układać bieliznę; przedewszystkiem dla dziadka upakowała całą pościel, — potem dla siebie zrobiła małeńkie zawiniątko. Potem kładąc palec na czole mówiła: zabiorę dla dziadka obrazek Pana Jezusa; — jego obozową czarękę do polówki; — a jak ozdowieje, może mu będzie potrzebny racy-morowy żupan, — kontusz granatowy i pas Słucki.

Pani! pani! czy mogę dla dziadzi zabrać i damascenkę, — bo jakby mu wypadło ustroić się w Warszawie?...

— Co chcesz moje dziecię, wszystko zabieraj, mój powóz jest wielki, — dziesięć takich zawiniątek zmieścić można. Ale dla czegoż ty Helenko tak mało swoich bierzesz sukienek?...

— Ja po śmierci babki nie mogę się stroić, — i ja też nie mam tak wiele sukienek..... O Boże! babuniu! wszakżeż ty wszystko widzisz z nieba!..... wszak mi nieraz mówiłaś, że będziesz nad sierotą czuwała!...

— Helenko tylko się teraz nie rozczulaj — po twojej chorobie, w podróż tak odległą, umysł spokojny jest koniecznym.

— O pani nie uwierzy jak mnie jest dobrze na sercu, gdy z babką moją rozmawiam... Czy pan Władysław nie opowiadał pani, że babka moja była tak dobrą, jak anioł na niebie.

— Opowiadał mi moje dziecię, i bardzo żałuję żem babki twojej niepoznała.

— Ale!... któż pani w Warszawie doniósł, że babka moja umarła.

— Twój dziadek mi mówił...

— Więc on już wie o mojem sieroctwie, biedny dziadunio, jak on tam wiele ucierpiał—i teraz jest chory—a my tutaj na rozmowie czas tracimy!..... O! idzie sąsiad Szarzyński.

Wtoczył się do izby ogorzały a barczysty szlachcic,—wysłuchał tego wszystkiego co mu Helenka bez odetchnienia opowiedziała, zażył tabaki i wyrzekł: «a kiedy pan Wojciech chory, a jaśnie wielmożna pani łaskawa zabrać pannę Helenę do dziadka, to nie ma i co mówić, że jechać potrzeba, zwłaszcza, że tutaj na dom wasz bacznąść damy i o gospodarce będę pamiętał.—Niewiem tylko, jak to się porządzić, bo to już wielki czas,—nie wiem z wywózką mierzwy, czy na ogrody, czy...

— Dziadunio mówił, że tego roku na ogrody nie potrzeba, i że wszystko pójdzie pod pszenicę na bocianią rolę, począwszy od granicy aż do świdrowego kamienia...

— Więc ty Helenko pamiętasz i o rolném gospodarstwie?... zapytała pani Robaczkowska.

— Tyle ile koniecznie potrzeba.

— O! ho! jasnie wielmożna pani, szczęśliwy to będzie ten młodzieniec, który pannę Borzyńską pojmie za żonę.

Uśmiechnęła się bogato ubrana pani,—i była tak bezczelną, że ofiarę swój przewrotności, z kłamaną szczerością w czoło całując, do swojego ochydnego przycisnęła serca.—O niebiańskiej niewinności istoto! gdybyś była mogła odgadnąć, ile w danym tobie pocałunku, ile w tym uścisku mieściło się zdrady i najnikczemniejszej przewrotności, — byłabyś zapewne z przerażenia trupem w jej ręku zawisła.

W dwie godzin po przybyciu pani Robaczkowskiej do Rozwadów, plan w buduarze Warszawskim przez Karola Grünwein podany, (doniósł mu bowiem najspieszniej agent z sąsiedniego miasteczka, że pani Janowa nagle życie skończyła) na dwugodzinném posiedzeniu obmyślony, w wykonanie wprowadzonym został:— Helena wyjechała do Warszawy—do więzienia.

## VIII.

Już czwarty mijał tydzień pobytu pana Wojciecha w Warszawie, gdy czynione nam nadzieje uwolnienia Władysława, o którego prawości uczuć względem Heleny najwiarogodniejsze odkryliśmy świadectwa,—spełnionemi zostały.

15 sierpnia o 10 godzinie z rana Władysław wyszedł z więzienia. Żółto-blady a raczej niemal zielony na twarzy, szkielet żyjący—chwiejącym się kro-

kiem zbliżał się do pojazdu;—gdy ośmdziesięcioletni starzec łzami zalany drogę mu zastąpił i żelaznemi opasał ramiony. Pani Robaczkowska oczekująca w powozie na syna, z niecierpliwością patrząc na uściski Władysława z starcem mogącym jeszcze zniweczyć jej zamiary, mimowolnie wzdrygnęła się z odrazy—i odzywając się do syna: *«matka czeka na ciebie»* wszelkiej przeszkodziła rozmowie.

Władysław zdążył tylko wymówić: *«do widzenia, do najrychlejszego widzenia»*.

## IX.

— Jedyne, ukochane, najdroższe dziecko! synu mój! mówiła pani Robaczkowska, powróciwszy z Władysławem do swojego pomieszkania,—nigdy, nigdybym twoich uczuć mrozić niechciała, tém więcej w chwili, kiedy cię po tak długim czasie przedziała znów na mojem łonie oglądam, kiedy się najwyższem szczęściem raduję, szczęściem matki odzyskującej dziecko swoje jedyne,—ale twoja przyszłość całego życia jest dla mnie najświętszą powinnością. Uzbrój się w odwagę, niemogę odwłóczyć, bo mnie do tego okoliczności zmuszają. Przed uściskiem matki, czule cię kochającej matki, przycisnąłeś do swojej piersi tego starca, którego wnuczka, cel twoich myśli i uczuć—za kradzież do więzienia wtrąconą została—ty ją...

Dalszych słów matka Władysława kończyć nie mogła, bo ten Władysław, jej syn, z postyszeniem wyrazów: *«za kradzież do więzienia wtrąconą zosta-*

ła»—bielmem oczy wytrzeszczył, całą piersią jęknął, wstecz się potoczył i upadł na wznak, wyciągając rękę, jak gdyby na krzyżu tortury.—Jest to rzecz lekarzy nieść pomoc ludziom paraliżem ruszonym, ja raczej poprowadzę czytelnika do Heleny, do drugiej ofiary, którą równie dumna jak podła kobieta, sercem jejny poświęciła widokom ożenienia syna z milionową hrabianką, spokrewnioną z księżną S. i mówiącą po angielsku!... O! bo przewrotna kobieta niełatwo da się odstraszyć od planów, mających zadość uczynić jej dumie, jej chciwości znaczenia i blasku.

## X.

Równocześnie z powrotem pani Robaczkowskiej z Rozwadów, nad jej pomieszkaniem, na 2giem piętrze najął jeden pokój Carl Grünwein, mniemany kupiec z Włocławka, i zaraz nazajutrz po całym domu rozgłosił, że mu została skradzioną summa 4,000 złp. Wezwawszy komissarza policji, prosił o ściste śledztwo domowe, twierdząc, że kradzież popełnioną była w nocy, przy zamkniętej bramie, a więc przez ludzi miejscowych — przynajmniej z ich wiedzą i spółnictwem. W całym domu, łóżka, kufarki i skrytki wszystkich ludzi służących przeszukano najściślej, i już urzędnik policji miał swoją czynność ukończyć, — gdy uszkodzony, w którym Helena z śmiertelną obawą znanego jej Rzepkiewicza poznała, zmienionym głosem objawił: że gdy wieczorem do swego pomieszkania powracał, też samą dziewczynę (wymawiając

te wyrazy wskazał na Helenę) spostrzegł czającą się na kurytarzu 2go piętra,—a zatem prosił panią Robaczkowską, aby oświadczyła czyli za tę osobę poręcza.

— Od dwóch dni poznałam pannę Borzyńską—odrzekła pani Robaczkowska,—a w tak drażliwym przedmiocie, jak jest spełnienie kradzieży, za nikogo ręczyć nie zwykłam.

Helena uszom swoim nie dowierzając, nie mogła pojąć czy śni, czy jest na jawie?... komissarz policji uczynił ję kilka zapytań, następnie przystąpił do przejrzenia ję zawinięcia,—i z podziwem wszystkich obecnych, znalazł w sukience zawinięty wytrych i paczkę bankowych biletów.

— Toś ty złodziejka!—wrzasnęła matka Władysława. Helena obłąkanym wzrokiem powiodła do koła, potem w górę spojrzała i słabnącym wymówiła głosem:

— Ja nie wiem, ja nie pojmuję co się to znaczy... jestem niewinną! pani mnie niesprawiedliwie złodziejką nazwałaś, jam niewidziała tych pieniędzy!

— Więc koteczko po ciemku popełniłaś tę kradzież?—ozwał się Carl Grünwein.

— Tak samo jest to prawdą, jak oskarżenie pańskie, że Władysław był złodziejem...

— Milcz ty podła dziewczyno! panie komissarzu, niech ją pan do więzienia odprowadzi —z gniewem wyrzekła pani domu. Wówczas Helena położyła jedną rękę na sercu, krwawy ból tamując, drugą wyciągnęła ku urzędnikowi policji, mówiąc:

— Odprowadź mnie pan do więzienia, bo tam



mogę mieć nadzieję, tutaj jestem bez żadnej nadziei...  
i lzy po jej licach obfitym spłynęły potokiem.

Działo się to na trzy dni przed uwolnieniem  
Władysława.

## XI.

Jestto jednem z tych wielkich znamion Opatrzności Boga, że we wszystkich sprawach ludzkich niewinność i prawdę otacza promienny urok niepojętego, jakoby z nieba zesłanego świadectwa, którego zwalczyć najsztuczniejszy fałsz nie zdoła.

Kiedy Helena w sądzie policji poprawczej na wszystkie dotykalne dowody, zarzut kradzieży popierające, cichym ale pewnym głosem odpowiedziała: «nie wiem kto te pieniądze w moje rzeczy położył, ja jestem niewinną,»—badający asessor człowiek cnotliwego uczucia, moralnie przekonany został, że oskarżona prawdę wyrzekła,—uwierzył w jej niewinność; ależ moralne przekonanie niestarczyło tutaj. Potrzeba było materialnego zniszczenia dowodów zarzutu, aby oskarżoną uwolnić.

Dla tego od chwili uwięzienia nieszczęśliwej dziewczyny, badał ją codziennie z najdrobniejszych szczegółów jej życia, spisywał wszystkie okoliczności jej krótkiego w Warszawie pobytu,—i dopiero gdy cały obraz najprzenikliwszą objął pamięcią, wyznaczył skarżącemu termin na dzień następny. Grünwein nie stawiał się na pierwsze wezwanie, odbioru zaś drugiego wezwania wyjazdem z Warszawy uniknął. Ba-

dający utwierdził się w swoim moralnym przekonaniu o niewinności Heleny, z najgorliwszą więc usilnością użył wszystkich w mocy prawa będących środków, i w 14 dni po powtórnym wezwaniu, wynalazł Karola Grünwein i zmusił go do stawiennictwa. Z początku przebiegły łotr z najwyższą odpowiadał przytomnością, ale gdy go asesor zapytał: z jakich powodów przed rokiem z Grünweina na Rzepkiewicza się przemieniał? — jak wielką odebrał w tej sprawie nagrodę, za najemne usługi dla pani Robaczkowskiej;—gdy mu oświadczył, że właściwą uwiadomi władzę, o jego fałszywej denuncjacji przeciwko Władysławowi, przed rokiem uczynionej; gdy mu na oczy pokazał akta w sprawie kryminalnej o kradzież przeciw niemu przed trzema laty spisane, gdzie dla braku dowodów tymczasowo tylko uwolniony był, i gdy zapytał od kogo i za co zyskał te 4,000 złp., które w zawiniątku Heleny znaleziono,—Carl Grünwein każdym wyrazem płatać się począł i nakoniec drżąc z przestachu, zeznał całe pasmo i kolęj najbrudniejszych występków i zbrodni.

## XII.

Z listem w ręku do zameżnej siostry assessora, Helena przed chwilą z więzienia uwolniona, chwiałym krokiem na ulicę Bielańską wchodziła, gdy ją zbliżający się orszak pogrzebowy zatrzymał. Czworokonny, pochodniami otoczony karawan poprzedzały dwa bardzo długie szeregi zakonów i świeckiego

duchowieństwa. Za trumną postępowało liczne grono osób, pomiędzy któremi kobieta w czarnej sukni, widocznie okropną trapiąca boleścią, i atletycznej postawy starzec w polskim stroju, szczegółową na siebie zwracali uwagę.—Helena jednym rzutem oka poznała matkę Władysława i swojego dziadka Wojciecha.

Dziewczyna, której całe życie było łagodnym tchnieniem anioła, w tę chwilę tracąc zmysły, pobiegła przed matkę zmarłego, uchwyciła ją za suknię i głosem wysilonym z dziką zawołała rozpaczą:

— Dzieciobójczyni! ja nie jestem złodziejką!..... on mnie zaślubi... tam!... w niebie!... —i wyciągając ręce do biegnącego ku niej starca, twarzą na bruk upadła.

W cztery tygodnie po tem zdarzeniu, wracając z powąskowskiego smętarza, gdzie starca wojaka, Wojciecha Borzyńskiego garścią piasku pożegnał, — pojechałem do szpitala *Dzieciątka Jezus*, i uzyskawszy potrzebne pozwolenie, udałem się do celi Heleny Borzyńskiej. — Od chwili gdy Władysław pierwszy raz dworek pani Janowej odwiedził, jakąż przemiana w postaci dziewczyny, o której syn pisał do matki:» szczęśliwym byłby ten malarz, a dumnym rzeźbiarz, któryby jej cudowną arcypiękność na płótnie czy w kamieniu uwieźć potrafił.» — Z iskrzącym się wzrokiem, z pomarszczonym licem, z głową krótko ostrzyżoną, na twarzy i szyi woskowo żółta, wypukłością pleców zgarbiona, w czarnym kaftanie z długimi rękawami, stała przy oknie opatrzonem w żelazną kratę. Gdy

mnie wchodzącego spostrzegła, podniosła rękaw do góry i gniewnie postąpiła ku mnie, lecz wstrzymała się na środku izby i okropnie się zaśmiała. Potem nagle stawając przedemną, zaledwo dostłyszonym wymówiła głosem:

— Dzieciobójczyni!

— Heleno! on ciebie oczekuje, — *tam* będziesz szczęśliwą!

— A na ziemi?

Usta moje boleśń zamknęła.

*Au: Wi:*

## ZYGMUNTOWSKIE CZASY

**Powieść z roku 1573.**

przez

*J. I. Kraszewskiego.*

Tomów cztery. Warszawa nakładem i drukiem

S. Orgelbranda. 1847.



Wdzięczną myśl powziął pan Kraszewski napisania powieści z czasów ostatniego Jagiellończyka: myśl rozwinięcia w niej obrazów przeszłości i przedstawienia figur:—lub zupełnie niewprowadzonych dotąd w żadną powieść, albo dotkniętych tylko lekko i mimochodem.

Jak autor spełnił to piękne a bynajmniej niełatwe zadanie, sumiennie zdamy sprawę naszym czytelnikom.

Znane są nieszczęśliwe próbki historycznych powieści: *Dwa ostatnie lata panowania Zygmunta III*; *Kościół Sto Michalski w Wilnie*; — *Stańczykowa Kronika*; i *Ostatnia Księżniczka Stucka*; — pokazał w nich autor całą nieudolność swoją; nie umiał nigdy ani schwycić kolorytu wieku, ani charakterów; słowem: były to fantazje, jako fantazje nie bez talentu, ale nie zalecające się pod żadnym względem prawdą historyczną: a biedna przeszłość dziejowa przedstawiała swoje oblicze w zeszkaradzonych nieraz a zawsze w przekrzywionych rysach.

Winą to zawsze niemąłą w pisarzach niepośledniego nawet talentu, gdy z niedostatecznym zasobem nieodzownych wiadomości, porywają się na przedmiot, któremu podołać nie mogą. Do napisania historycznej powieści, oprócz wprawy pisarskiej i zdolności pisania wielu tomów, potrzeba dokładnej znajomości dziejów swego kraju w najrozciąglejszym znaczeniu tego wyrazu, pojęcia przeszłości dziesięcio-wiekowej, poważnej i godnej cześci, której tchnienie powiewa i przechodzi w przyszłość na drodze rozwijającego się ducha.

Nie rozumie przeszłości ani ten, co tylko zbiera z niej kał i brudy, i temi rzuca w oczy narodowi, ani ten co wzdycha za jezuitami i w nich widzi zbawienie, ani ten co płacze za upadkiem już bezpowrotnem panków, handlarzy koroną w czasie elekcji i sprzedających się lepiej płacącemu, — ni wspierający konieczność kast uprzywilejowanych: ci wszyscy szpecą obrazy świętej przeszłości, która stawiona przed surowy sąd sumienia i prawdy, wyjdzie z poczciwą sławą i stanie jako wielka księga

pełna nauki dla potomności. Ta kronika dziesięciowieczna jest otwarta dla każdego, trzeba ją umieć tylko czytać z uwagą i z sercem a pracą. Mało ją czytało niestety! mniej jeszcze rozumiało: a przecież bez jej pojęcia nikt nie potrafi sumiennie skreślić historycznej powieści: bo taka powieść, ma być wiernym zwierciadłem wybranej przez autora doby historycznej.

*Zygmuntowski* czasy nie są bez niektórych zalet, jak niemal każda powieść p. Kraszewskiego, lubo znać w niej że pisana z pośpiechem, zamaszysto, i z wyrachowaniem na ilość czterech tomów. Pierwsze rozdziały są nieco pilniej opracowane. Żacy Krakowscy i ich zwyczaje, jak *otrzesiny*, *walka kogutów*, *zbor dziadów*, mimo licznych usterków językowych i braku zupełnej znajomości najpiękniejszego wieku dla polszczyzny, są jedyną ozdobą całej powieści. Gdyby autor mniej po swojemu obrobił pomniki, które musiał mieć przed oczyma, dosadniejsze nad podane mielibyśmy wizerunki, któreby i z miny i czupryny przypominały więcej wprowadzone do powieści figury. Tu się też w pierwszym tomie cała wartość historycznej powieści kończy, a odświeża nieco w opisie (lubo zbyt długim) tatarskiej niewoli, i samą tę dziczy, która tyle łez i krwi z Polski haraczem naszej niedbałości brała.

Obok tych zalet w pierwszych rozdziałach, odbija zarazem nieznajomość miejscowości. Rzecz rozpoczyna autor przybyciem sieroty do Krakowa — a jakież opis tego starożytnego grodu podaje w czasach dłań najświetniejszych? Nieobwiniamy go, że w nim sam nie był, ale przy tylu opisach dawniej stolicy Polskiej, mógł ją w wyraźniejszych rysach nam po-

dać. Znać jak z niezwykłą niezgrabnością ogólnikami p. Kraszewski zbywa swego czytelnika—i za prawdę wyrzuciwszy nazwisko grodu, to opis Krakowa jaki nam podał, jest tego rodzaju, że się przyda do każdego miasta, co ma rynek i kilka kościołów. Powieść byłaby wiele zyskała i niebyłaby tak bezbarwną, tak czczą w tych właśnie ustępach, których całą zaletą mogła być miejscowość wiernie zrysowana. Czytelnik niewie że wchodzi do tego potężnego grodu, co go drugim Rzymem Włosi nazywali, że stąpa tam, gdzie każdy krok niemal liczne obudza wspomnienia,—że nad tēmi miastem panuje zamek w którym śpią snem wieczystym polscy królowie, a nad tą katedrą pamiątek dzwon Zygmuntowski poważnym odgłosem głosi chwile uroczyste do modlitwy, czy godziny dla lenników do złożenia hołdów, czy dla powitania zwycięzców, czy wtorując żałobnej pieśni, co głosiła przejście króla z tronu do grobowej ciszy.

Napróżno tam szukasz choć lekkiego wspomnienia Krakowa, zdaje się jakbyśmy czytali opis Piotrkowa, albo Łowicza w czasie zjazdu, tylko zawsze niedokładny, w ogólnikach. Weźmy np. ten opis z II rozdziału str. 25.

«W XVI wieku gdy się nasza powieść zaczyna, Kraków był jeszcze prawdziwą stolicą Polski, dożywał on dni swoich i przeczuwając jakby, że wkrótce utraci ważność, którą młode na Mazowszu odziedziczy po nim miasto, wesole, raźnie kończył swoją epokę wielkości i blasku. Wszystko tu w ówczas było życiem: liczny dwór, bogate mieszczaństwo, znakomite duchowieństwo, pierwsza w kraju szkoła,



utrzymywały w nim to życie. Bogate dwory panów polskich, litewskich, ruskich, mieniały się tutaj otaczając większy i wspanialszy od innych dwór królewski. O każdej dnia, o każdej nocy godzinie wrzały i szumiały ulice; zalewał je lud, zalewały ozdobne poczty panów, wspaniałe pochody uroczystości religijnych, lub smutne pogrzebowe kondukta; po rynkach ożywiało miasto handel, po placach rozstawione stragany, budki, szałas, ławki, stołki, przyciągały i dworaków i mieszczanstwo i służbę wielkich panów. Gdzieś się obrócił, wszędzie natłok, pisk, wrzawa wesoła, śmiechy i śpiewy. Na końcach nawet stolicy, z których zwykle życie ucieka, aby się skupić w ognisku, żydostwo w nieustannym ruchu i zajęciu, utrzymywało się dniem i nocą.»

Przystaję na przywiedzeniu tego wyjątku, opuszczając początek powieści, gdzie Kraków okazuje wieże białe (!) i czarne dachy nastrzępione kominami, chorągiewki (!) i gotyckie facjatki kamienic (!!)- Czytelnik sam osądzi, z jaką niedbałością obrobił p. Kraszewski w historycznej powieści obraz dawnej stolicy polskiej; zaprawdę grzech to niemały, bo gdyby wziął jeden z licznych nietylko opisów szczegółowych tego grodu, ale ostatnie W. A. Maciejowskiego *Polska aż do pierwszej połowy XVII wieku*, znalazłby w nim wyborny opis rynku krakowskiego, coby go mógł użyć jako ciekawy materiał do swojego opowiadania.

Przystąpię teraz do samejże treści.

Kieźniczka Anna, młoda, bogata, została wydana dla widoków majątkowych za księcia Sołomereckiego, który na wyprawie przeciw Tatarom ginie; dla bliskiego krewiństwa ślub był dany potajemnie, a

wysłano księdza Haussera do Rzymu o wyjednanie dyspensy i potwierdzenie małżeństwa. Zanim ksiądz przybył do Rzymu, Sołomerecki umarł, Anna owdowiła i po śmierci męża rodzi syna, Stanisława. Stryj straciwszy cały majątek za granicą, przybywszy do kraju nieuznaje księżnej Anny za bratową, ani dziecięcia za prawego potomka zmarłego brata. Postanawia go porwać: jakoż, to za pomocą najemnych dworzan, to dziada żebraka Lagasa, i żyda, porywa go kilkakroć a zawsze sierota szczęśliwie uchodzi z rąk swych nieprzyjaciół.

Kiedy księżna Anna była dziewczęciem podobał jej się, i jak się zdaje zajął jej serce, młody szlachcic, który dostaje się na wyprawie przeciw Tatarom do niewoli, skąd uchodząc — po długich cierpieniach spotyka się przypadkiem na galerze z księdzem Hasser: dostaje papiery o których ważności nie wiedział, i przynosi je do Krakowa. Rzecz się wyjaśnia, papiery dowodzą prawości rodu młodego Stanisława: szlachcic ten zabija stryja w pojedynku: księżna uszczęśliwiona ofiaruje swoją rękę Czuryłe (tak się zwał on szlachcic), — ale ten jako niegodny księżnej, (?) jako niższego urodzenia (!?) odrzucił dar, który mógł cierpieniami zatrutą młodość teraz osłodzić: sam idzie w świat, księżna do zakonu wstępuje. — Ta treść główna niewystarczyłaby p. Kraszewskiemu do napisania czterech tomów, dla tego wiele rzeczy ubocznych wciśnięto w tę powieść, które albo z nią żadnego związku nie mają, jak np. cały rozdział w tomie III od str. 78 do 110 z herbärza Paprockiego wypisany p. n. *Jan z Tęczyna w Hiszpanii*, pod żadnym względem

nie zasługujący na uwagę; albo kilka rozdziałów poświęconych Tatarom i niewoli młodego Czuryły, które tylko kwoli objętości tomów napisane zostały. Rzecz do podziwienia, że p. Kraszewski w tych ustępach o Tatarach dokładniejszym jest malarzem przeszłości niż we wszystkich innych gdzie Polskę i Polaków przedstawia. Aby niezbywać ogólnikami, jak p. Kraszewski często się niemi ratuje, po szczególe zwrócimy uwagę tak na błędy jako i piękności *Zygmuntowskich czasów*. Powiada p. Kraszewski (Tom I str. 32) że żacy oprócz uważania za nieprzyjaciół żydów, mieli również nieprzyjaciół w heretykach.

«Duchowieństwo (mówi) przez szpary patrzyło na prześladowanie protestantów, a młodzież nieraz okrutnych dopuszczała się gwałtów na domostwach jeźli nie na osobach nowowierców; ona reprezentowała w ówczas oburzenia opinii ludu.»

Zapytujemy autora, gdzie te wiadomości wyczytał w czasach panowania Zygmunta Augusta? — gdy właśnie jezuita byli tak maluczkiemi, a fanatyzm ich nie skalał jeszcze kart dziejów naszych?

Trafnie natomiast określił liczne drużyny ubogich żaków krakowskich.

«Mało młodości potrzeba, bo żyje nadzieją. przyszłością i sama sobą. Żebrząc chleba, tułając się biednie, żacy byli szczęśliwsi od wielu a pieśń pobożna, wesoła, dyjalog świąteczny. powinszowanie, oracja, co z ich ust wychodziły, wylewały się swobodnie, malując dusze pełne stoickiej na terazniejszość obojętności, pełne nadziei w jutrze. I nie jeden, nie jeden z tych wesołych dzieci ulic, wyszedł na znakomitego człowieka, na użytecznego krajowi

i na chlubę ubogiej swojej rodziny; nie jeden chodził potem w szkarłacie i złotym łańcuchu.»

P. Muczkowski, czcigodny nasz badacz dziejowy, dał nam ciekawą wiadomość o obrzędzie *Otrząsin* i o Beanusach (Beanus est animal nesciens vitam studiosorum). Wiadomość ta tak wielce się spodobała belletrystom, że aż dwóch z niej od razu i współcześnie do powieści skorzystało. P. Szyrmer w *Katapultyku* i p. Kraszewski w *Zygmuntowskich czasach*. Ostatni nadał piękny temu obrzędowi obrot w przemowie Depozitora:

«Niewiecie jeszcze co to wszystko znaczyło, jak wielka nauka i symbolum w tem się wszystkiem ukrywa? O Beanowie prawdziwi! Tak jako my was dziś chwilę, tak długie lata potem bezduszny świat szarpać was będzie, naigrawać się, bić, przerabiać po swojemu, rogi przywiązywać i rogi obcinać, mydlić i golić. I każę wam pisać bez atramentu i czytać gdzie nienapisano. A wszystko światu będzie źle, aż póki się nie pokłonicie mu i nie zrzucicie woli swój i dumy. Na progu życia ta małeńka próba, zwiastunka niektórych i cięższych, to jedno nic w miarę tego co was czeka. Walka z nędzą walka z nauką, walka z dumą ludzką, z zawiścią człowieczą, z losem, z namiętnościami, z przykłady, walka wszędzie, walka zawsze! A to tylko chwilka próby. A kto ze wszystkiej walki wyjdzie zwycięzcą, temu wieniec na skronie, łańcuch złoty na szyję (!) i sława i cześć. Ale z tysiąca wojujących jeden zwycięzca a 999 poległych. Podziękujcież za próbę i pojmijcie ją, idźcie w świat a pamiętajcie, żebyście do walki wszelkiej stawali odważnie gotowi, bez łez

i strachu, i stokroć pobici, stokroć podnosili się odważniejsi.» Przywiedziem tu jeszcze przemowę kończącą obrzęd otrzęsin.

«Stajecie się bracią naszą, wcielcież się w ciało nasze nie jako wrzody paskudne, ale jako żywa krew, jako zdrowe ciało. Sprawa jednego, niech będzie sprawą wszystkich. Żeby cię warzono i smażono w smole, nie powiadaj co się dzieje w szkole. Za jednego wszyscy jeden za wszystkich, niech będzie gotów cierpieć, a choćby i zginąć. Ostatnim chleba kąskim się podzielić, ostatnią dla brata rozedrzyć opończę. Kochajmy się jak bracia, wspomagajmy jak bracia, bądźmy jednym ciałem i jedną massą, bośmy biedni, inaczej zginiemy. A walcząc z biedą, nędzą i nauką, dobijaj się przeszłości, lżej iść razem wszystkim niż każdemu pojedynczo. Zdrajca nie postanie między nami, i wyjmiemy go z między siebie, jako wrzód wyjmują z ciała, jako kąkol z pszenicy.»

Owoż co najpiękniejszego wyczytaliśmy w tej powieści: do obrazków zasługujących na wspomnienie policzamy Wizerunek Plebana (tom II str. 25); Tatarska niewola, pobyt i cierpienia w niej młodego Czuryły (tom III i IV). Obraz Krassowskiego kapłana w czasie pomoru w Wilnie.

Obok tego nie możemy milczeniem pokryć usterek, a nawet co boleśniej wyznać, że p. Kraszewski najmniejszego pojęcia niema o tych czasach, które w swój powieści obrazuje.

To co mówi o *reformacji*, o *zborach* innowierców,—wszystko jest nieprawdą. Obraz zaś Predykanta (tom III str. 21-22) jaki nam przedstawia, jest w tak ochydnym rysach oddany, że zdaje się, jakby go jaki z pó-

zniejszych czasów fanatyk nakreślił. Co za cel miał w tym autor, niepojmuję, bo właśnie była to doba w której i katolicy, i innowiercy, odznaczyli się głęboką nauką, dzielną wymową, wielkimi talentami: tego dowodzą dzieje nasze i pomniki literatury współczesnej. Karykatura przeto predykanta urojona, nigdy w rzeczywistości nie istniejąca, stawia dowód, jak powierzchownie przedmioty historyczne p. Kraszewski traktuje. Niemasz równie prawdy w obrazkach rybałtów, ani w charakterze księcia Sołomereckiego, stryja i prześladowcy głównego bohatera powieści. Cały plan powieści naciągany, nienaturalny a ztąd brak ciągu i zajęcia w całości.

Obraz Kryszyna a w nim dogorywającego Zygmunta Augusta otoczonego nierządnicami i dworzanami, którzy go okradli, daleko dosadniejszy mamy współczesnym pomniku, jaki nam, naoczny świadek, Orzełski zostawił.

Nie nadał on żadnej barwy historyczności powieści, raz dla tego, że niezręcznie obrobiony, powtórę, że smutny, godny pożałowania stan Zygmunta Augusta, był wyłączną szczególnością w dziejach, niezwiązaną żadną nitką z narodem. Tytuł powieści za nadto obiecywał; a musim wyznać, niczem swemu zadaniu jako *Zygmuntowskie czasy* nieodpowiedział. Ze smutkiem dostrzegamy, coraz gorszą polszczyznę, coraz większe zaniedbanie w stylu: dialog niezręczny przy wszystkich wadach stylu i kaleczenia rodowego języka.

Niemając powieść p. Kraszewskiego żadnej wartości historycznej, żadnej natury pod względem zryśowania miejscowości, gdzie się główna akcja odby-

wa; prawie żadnej co do języka,—cóż może być jej zaletą? Oto kilka ustępów, maluczkich zaprawdę w stosunku jej obszerności. Dodamy, że niemogliśmy dojrzeć celu pisania tak licznych tomów. Czy zagrzewała autora chęć okazania w powieściowym kroju prawdy historycznej?... Musimy odpowiedzieć—nie.— Czy przeprowadzenia myśli społecznej, postępowej. I to nie — bo (prócz może Ulany) żaden utwór p. Kraśzewskiego nie odznaczył się taką dożnością. A gdy jeszcze raz zapytamy, gdzie cel i jaki?—odpowiedź i rozwiązanie naszego pytania, musimy czytelnikom tej powieści i autorowi zostawić.

Z. W. J.

## ŁUŻYCY SZERBOWIE I ICH PIRSMI

Łużycy Szerbowie i ich Pirsmi. W tym dziele autor przedstawia historię i obyczajność Łużycy Szerbowie, którzy należą do grupy ludności, która zamieszkuje południową część prowincji Łużyckiej. W tym dziele autor przedstawia historię i obyczajność Łużycy Szerbowie, którzy należą do grupy ludności, która zamieszkuje południową część prowincji Łużyckiej. W tym dziele autor przedstawia historię i obyczajność Łużycy Szerbowie, którzy należą do grupy ludności, która zamieszkuje południową część prowincji Łużyckiej.

wa prawie kładzie co do języka—coż może być jej  
 kładzie? Oto kilka ustępów, w których kładzie w sto-  
 sunku jej obywateli. Dodamy, że niemożliwy jest  
 taki, aby pisać tak niezgodnie z prawem. Tak kładzie  
 wsta autora chce okazać w powieściowym kładzie  
 prawdy historycznej... Musimy odpowiedzieć—nie—  
 czy przyprowadzając myśl społeczną, postępową. To  
 nie—po (proszę może) kładzie (Lany) kładzie (Lany) kładzie  
 zawiązanego nie odnosić się tak do historii. A gdy  
 kładzie tak kładzie, gdzie jest i jaki—odpowiedź  
 i rozważanie naszego pytania, musimy odpowiedzieć  
 jej powieści i autorowi zostawić.

# ŁUŻYCCY SERBOWIE I ICH PIĘŚNI.



Łużyccy Serbowie, których język niegdyś był roz-  
 szerzonym od Sali przez Labę aż do Odry, zajmują  
 teraz niewielki kraj górnych i dolnych Łużyc (po  
 niem: *Lausitz*), z ludnością 142,000. Język ich dzieli  
 się na dwa główne narzecza: górno i dolno-łużyckie.

Górno-Łużyczanie zamieszkują obwody *Budyniń-  
 ski, Wojerecki i Mużakowski*, granicząc od północy  
 z *dolno-Łużyczanami*, z innych zaś stron wszędzie oto-  
 czeni są Niemcami, również z niemi pomieszani i  
 wewnątrz kraju, Liczy się ich 98,000 (88,000 pro-  
 testantów i 10,000 katolików). *Dolno-Łużyczanie* za-  
 mieszkują obwody: *Choteburski, Kulawski, Grodecki i*



*Zorawski*, liczy się ich 44,000; wszyscy są protestanci; na południe stykają się z górno-Łużyczanami, z innych zaś stron w około otaczają ich Niemcy (\*).

Ta to kraina mała, za naszych czasów zwróciła na siebie szczególną uwagę wszystkich miłośników Słowiańszczyzny, bo język ludu, zachował w sobie wiele szacownych znamion wspólnej starożytności; bo jego pieśni tak bogate i piękne, zaiste zadziwiają każdego badacza, bo nakoniec sam lud, który, można powiedzieć, cudownym sposobem ocalał wpośród wstrząśnień i zmian historycznych, ujmując swoją prostotę starowieczną, swojemi zwyczajami i obyczajami.

O życiu umysłowem w Łużycach, które teraz się obudza staraniem gorliwych i świątłych mężów, już nie raz z panem *Smoler* wspominaliśmy: teraz zwracamy uwagę na bardzo ważne wydanie pieśni ludu łużycko-serbskiego, przez p.p. *Haupta* i *Smolerja* (\*\*).

Tom I. zawiera pieśni górno-łużyckich Serbów. Składa się z 392 stronnic, do każdej pieśni dołączony jest dosłowny, niemiecki przekład i melodia. Tom II zawiera pieśni dolno-łużyckich Serbów, i mieści w sobie także klechdy, legiendy, przysłowia, nakoniec opis sposobu życia, zwyczajów i obyczajów.

(\*) Ob. *Słowansky narodopis* p. Szafarzyka.

(\*\*) Tytuł zbioru tych pieśni, w językach łacińsko-serbskim i niemieckim jest następujący: „*Pejsnichi hornych a delnych lužickich Serbow i t. d. wudate wot Leopolda Haupta a Jana Ernsta Smolerja*. (Volklieder der Wenden in der Ober- und Nieder-Lausitz, herausgegeben von Leopold Haupt und Johann Ernst Schmalzer. Grimma 1841 w 4-ce.

Wydanie jest piękne i bardzo staranne. Do zeszytu 3go dołączono dokładną i wyborną mapę górnych i dolnych Łużyc, ułożoną przez p. Smolerja.

Nasamprzód przytaczam, z niektórymi skróceniami, ciekawą przedmowę do zbioru tych pieśni, która blisko obznajmia z ludem łużycko-serbskim.

Pieśni ludu przez uczonych i oświeconych ludzi długi czas mało cenione, zwróciły za dni naszych słusznie powszechną na siebie uwagę i zjednały sobie względy wielu czytelników i miłośników śpiewu. Estetyk przekonał się, że w tych pieśniach, które można rzec, same przez się powstały i wzrosły i pośród ludu zabrzmiały, więcej prawdziwej znajduje się poezji, aniżeli w tysiącu podług prawideł utworzonych i składanych, gładzonych i wychuchanych wierszach z dawnych i nowych czasów. Antropolog poznał w nich czyste i młodzieńcze, często tajemnicze i głębokich uczuć, pełne dźwięki natury ludzkiej, jeszcze nieskalanej i niezepsutej przez sztukę; proste leśne i polne kwiaty, których barwa i woń u przyjemnia przykrą pasterza i rolnika drogę; poznał błyszczące kryształy, które na powszedniej kamienistości ludzkiego bytu, dążenia i działania, utworzywszy się zaświadcniają, że duch twórczy wszędzie ma swoje pracownię. Podróżnik, który sobie założył poznać i opisać ludy w ich właściwej, odrębnej postaci, zachował je w swoim dzienniku, jako wierny obraz charakteru, obyczajów i zwyczajów mieszkańców kraju. Z radością ujrzał przyjaciół starożytności, w niektórych pieśniach zachowany obraz stanu dawno minionego czasu, z radością znalazł tu badacz dziejów

jeszcze ślady takich zdarzeń, o których żadna kronika nie wspomina, żaden pomnik wiadomości nie daje; samemu nawet lingwiście zajaśniało niespodzianie światło, wyświecające nie jeden ciemny źródłosłów albo formę; pierwsze gramatyki i słowniki narzeczy wcale jeszcze nie wyrobionych i w literaturze nieznanych, powstały z zbiorów pieśni ludu. A ileżto im winna nowsza muzyka? Któż nie wie o tém, że najlepsi kompozytorowie z tych świeżych, silnych śpiewów do swych utworów melodje czerpali? Komuż to niewiadomo, że najupodobańsi kompozytorowie oper i piosnek w nowszych czasach z gorliwością i zamiętowaniem zajmowali i zajmują się zgłębieniem pieśni ludu?

Skoro wielostronną wartość tych przedtém lekceważonych i zaniedbanych pieśni ludu poznano, zaczęto wszędzie spisywać je i zgromadzać z podań ludu.

Niemcy starają się, w każdej krainie uchwycić świeże piosnki i dźwięki i zebrawszy je w mniejszych i większych zbiorach, już to z nutami, już to bez nich podają do publicznej wiadomości. Pokolenia słowiańskie nie pozostały w tém za nimi, owszem w części ich wyprzedzili. Rosjanie, Rusini, Polacy, Słowacy, Illiryjczycy, Czesi mają już wyborne zbiory pieśni.

Tylko te kilkaset pieśni ludu, które żyją w ustach tych Słowian, którzy składając niegdyś liczne pokolenie, mieli swe siedliska w okolicach między Czechami, Sałą, Elbą i Odrą, a teraz tylko małe szczątki śród Niemców w obudwóch Łużycach mieszkają, nie były dotychczas dokładnie spisane i zebrane. Tu i owdzie zebrał wprawdzie niejedyn kilka pieśni: ale poczęści opuszczono melodje, po części pieśni

same nie były całkowite, po części niedostawało zastosowania potrzebnej krytyki. W końcu zeszłego wieku saski porucznik Büнау, spisał kilkanaście dolno-łużyckich piosnek z podania łużyckich wojaków pod jego dowództwem zostających. Panu Anton, autorowi dzieła: *Erste Linien eines Versuches ueber der alter Slawen Ursprung, Sitten, Gebräuche, Meinungen und Kenntnisse* (Lipsk 1783. 8) podał ten zbiór, s. p. Böttige ówczesny rektor gimnazjum w Guben, a nam udzielił go przez dobroć swoją p. Lubenski z Budziszyna, który go nabył. Anton przepisał te pieśni, jednak bez melodji przez zbieracza dodanych i wypracował do nich słowniczek. Wszystko to znajduje się w bibliotece górno-łużyckiego towarzystwa umiejętności. Niżej podpisany sekretarz rzeczzonego towarzystwa, już od kilku lat zwrócił swą uwagę na ten rękopism i udzielił go swemu przyjacielowi, pastrowi Bronisz w Jeweni, który z łaski swój poprawił tekst bardzo zepsuty, przyłączył do niego dosłowny przekład, a zarazem spisał wiele innych pieśni z tamecznej okolicy wraz z melodją i do tego zbioru dodał. Tłumacząc miarowym wierszem na język niemiecki te przyrodne poezje wspomniany współwydawca, coraz większe znajdował w nich upodobanie i dla tego starał się wszelkimi sposobami pobudzić do ich spisywania i zgromadzenia. Niektóre z nich umieścił w wydawanym przez siebie Nowołużyckim Magazynie. W r. 1836 wyznaczyło też górnołużyckie towarzystwo umiejętności nagrodę 50 talarów za najlepszy zbiór pieśni ludu i podwoiło ją jeszcze w r. 1837. Nadesłano cztery rozmaite zbiory, zawierające razem przeszło 200 piosnek. Żaden atoli nie mógł

otrzymać nagrody, ponieważ wymaganych warunków żaden z ubiegających się całkiem nie dopełnił, a nadesłane zbiorki mogły tylko posłużyć za materiał do takiego zbioru, jaki zamierzono.

Trzem lepszym jednak przyznano accessit, którego jeden z ubiegających się nie przyjął, uważając je za zbyt małe wynagrodzenie, inny zaś 'Sławista pan Jordan w Pradze przyjął je i zato swój zbiór towarzystwu odstąpił. Współwydawca tego zbioru, połączył się później z sekretarzem, który podając zbiór dolnołużyckich piosnek, również o nagrodę się ubiegał, dla wydania tego, co po większej części sam z podań ludu dokładnie i starannie spisał, co sekretarz zebrał i usłudźni nadesłali przyjaciele. Liczba tak zebranych pieśni wynosi z górą 400, z tych blisko 300 jest górno a 150 dolnołużyckich. Tylko małej liczbie brak oryginalnych melodji. Pierwsza część zbioru zawierać będzie pieśni górno, a druga dolnołużyckie, Nazwiska śpiewaków i śpiewaczek, z których ust pieśni słyszane i spisane zostały, są gdzie nam były znane, wszędzie a na czele położone, lecz zawsze wymieniona okolica, w której są swojskimi. Potrzebne uwagi dodane będą do pieśni i zawierać będą tak grammatyczne, jak i historyczne objaśnienia licznie napotykanne warjanty, nadto porównania z podobnymi pieśniami u Niemców i Słowiańskich pokoleń. Nadto dołączona będzie osobna rozprawa, o niektórych zajmujących właściwościach, o zwyczajach i obyczajach Wendów z rycinami, gdzie tego zajdzie potrzeba. Opiszemy tu dokładnie i zrozumiale ich odznaczający się strój, wieczór w izbie przedziałnej, kąpiel, wesele, chrzciny, pogrzeb, ich tańce,

muzyczne narzędzia i to wszystko, co dla swej osobliwości godnem jest wspomnienia. Prócz tego ma być jeszcze zbiór ich klechd, legend, i przysłowiów dołączony.

Aby jednak już naprzód pozyskać przychylnosc naszych czytelników, dla tego uprzejmego i wesołego ludu, w pośród którego tyle brzmi pieśni na niwach, polach i błoniach, po domach i dworach i przy każdej sposobności, przytaczamy zaraz niektóre szczegóły o jego pochodzeniu, nazwaniu, o jego dziejach liczbie, postaci i mowie, o jego charakterze i sposobie życia.

Należąc do północnozachodniego plemienia daleko rozpostartego ludu, który sobie nadaje miano już to Słowian (co jak niektórzy sądzą pochodzą od wyrazu «słowo» a zatem ludzie wystawiający się mówiący), już to Sławian (od wyrazu sława, a zatem sławni, sławieni), mianując przeciwnie swych wiecznych sąsiadów, którzy siebie Deutsche nazywają, Niemcami (od niemy) nazywa siebie w górnych Łużycach Serbami, a w dolnych Serskami albo Sarskimi. Nazwiska *Serb* albo *Srb* jeszcze nikt dostatecznie nie wyjaśnił, tylko to pewna, że to jest dobry i prawdziwie słowiański wyraz, lecz z wyrazem *sierp* w żadnym nie zostaje związku. Tylko cudzoziemcy nazywają ich Wendami (Vendi, Vinidi, Hindi, Indi (?)) również Sorabi, Surbi, Serbii i t. d. Historyczne podania wspominają, że w r. 528 składając liczne, silne i niezależne plemię obsadzili siedziby przez Hermundurow i Turyngów opuszczone, a później rozciągnęli swe panowanie w Wschodnim kraju (Osterland), Misnii, Anhaltskim, w byłym obwodzie elektorskim

i w południowej części Zgorzeleckich (Brandeburskich) powiatów. Od 9go do początku 12go wieku przez Niemców po wielu ciężkich bitwach pokonani, kraj ich został podzielony na powiaty, do nich zaś wprowadzono nowy lud z obcą mową i innymi obyczajami.

Przy tem wszystkiem długo jeszcze wszędzie utrzymał się ich język — w Lipsku dopiero w r. 1827 zaprzestali mieszkańcy mówić po serbsku, — a nawet tam, gdzie teraz po niemiecku mówią, zostawili Słowianie ślady swego dawniejszego pobytu w budowie domów i wsi, w nazwie miejsc, ról i błoni i we wszelkiej właściwości obyczajów i sposobu życia. Za dni naszych kraina, w której jeszcze po serbsku mówią, jest bardzo małą i zmniejsza się co rok, ponieważ wszędzie po szkołach tylko po niemiecku uczą, a władza wszelkimi siłami dąży do ukończenia zniemczenia tych małych i odosobnionych szczątków Słowiańskich. Ich liczba wynosi jeszcze około 245,000 dusz, z których 50,000 zostaje pod rządem króla Saskiego — w Budyszyńskim obwodzie i w dodanych do niego Misońskich wsiach, 195,000 zaś żyje pod pruskiem panowaniem, w górnołużyckich obwodach: Gorlice, Rotenburg, Wojerzec, i w dolnołużyckich obwodach Żarów, Gubin, Lubin, Kaława-Hrodek i Khocebe. Między temi jest 8—10,000 katolików, inni są Protestanci Augsburskiego wyznania.

Przodkowie Serbów wystawiani byli przez pisarzy, jako ludzie silnej budowy ciała, jasnych włosów i brunatnej cery twarzy. Oni jeszcze podziśdzień są podobni do tego obrazu, nawet tam, gdzie ich potomkowie już od dawna nie mówią ich językiem, wy-

jąwszy te obwody, gdzie niepłodność ziemi przyczyną jest zbyt nędznego sposobu życia, albo gdzie jad rozpalonego piekielnego napoju wytepił świeżą życia siłę a opilstwo zrodziło inne wycieńczające grzechy. Gdzie te smutne zdrożności miejsca nie mają, tam wszędzie napotykamy silnych, rumianych i wysmukłych ludzi. W szeregach królewsko-saskiej i pruskiej gwardji przybocznej widzieć można niejednego rosnącego serbskiego młodzieńca, a dawniejszy piękny i waleczny saski pułk Dragonów Królewicza Jana składał się prawie z samych synów Serbskiej krainy; Serbskich poszukują mamek a od r. 1750 niejedno niemieckie dziecko winno tymże swoje życie i swoją dzielność.

Język górno łużyckich Serbów ma największe podobieństwo do czeskiego, a dolnołużyckich do polskiego a ich różnica jest tak wielka, że nieukształceni górno i dolno Łużycanie tylko z trudnością zrozumieć się mogą. Pod względem samogłosek zachodzi godne uwagi pokrewieństwo narzecza tak górno, jak i dolno-łużyckiego z rosyjskim. Również starostawiańskie formy grammatyczne, jak je np. w króloworskim rękopismie znajdujemy, zachowały się tu dokładnie i czystiej niż w większej części innych sławiańskich języków. Obadwa narzecza jednak, osobliwie na pograniczu Niemiec i w pobliżu miast, zniemczały cokolwiek, atoli dolnołużyckie narzecze więcej niż górnołużyckie pomieszane jest z niemieckimi wyrazami. Najczystiej mówi lud, jak to nasze pieśni okazują. Toż zniemczenie okazuje się także w pisowni, która bardzo się różni i jest niepewna,

Dolnołużycanie piszą inaczej, jak Górnołużycza-



nie i u nich ewangelicy różnią się od katolików. Wszędzie zaś mniej lub więcej stosowano się do niemieckiego języka, a przez to duchowi swojskiej mowy uszczerbek zrobiono. Zarzuciliśmy przeto zwykłą piśmownią i utworzyliśmy sobie nową stosowniejszą dla języka sławiańskiego. Nie sądzim, aby nas kto za to ganił, jednak chętnie poddajemy się pod sąd znawców, czyśmy w wyborze środków byli szczęśliwi.

Nowa serbska pisownia dla obudwóch narzeczy mieści w sobie 23 głosek: a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, r, s, t, u, w, y, z, i trzy dyakryczne znaki, ı, v, l, któremi wyraża 49—50 brzmień języka serbskiego.

W końcu jeszcze wspomnieć należy, że tak przedmowa jako i pieśni górnołużyckie, narzeczem budyzińskim są pisane, ponieważ górni Łużyczanie to narzeczę za język piśmienny sobie obrali; później umieścimy porównanie czterech szczegółowych narzeczy, któremi w górnych Łużycach mówią.

Nie możemy tu pominąć jednej uwagi, którą już wielu uczonych robiło, to jest tej, że język łużyckich Serbów, równie jak wszystkie słowiańskie, ma w pojedynczych wyrazach uderzające podobieństwo z starożytnym Indyjskim językiem. Takie powinowactwo nie może być rzeczą przypadkową, lecz wskazuje nam istniejące dawniej z odległym wschodem stosunki. Charakter Serbów łużyckich nie ubliża bynajmniej temu pochodzeniu. Odznaczają się oni bowiem bogobojnością, która nie tylko w ścisłym wykonywaniu przepisów kościoła, lecz i w wielu zwyczajach, w ich powitaniach i sposobach mówienia się objawia. Rzadko się trafia widzieć Serba łużyckiego pracującego

w niedzielę, którą tak od niedziatania nazywają. Jakakolwiek jest pogoda, gromadami idą w święto do kościoła. Powracających z domu Bożego, witają tem ładnem pozdrowieniem: «Z Bożego słowa witajcie» a niejeden gospodarz siada po obiedzie ze swojemi i opowiada im wyjątki z kazania. Przed obiadem i po obiedzie mówi gospodarz ze swemi domownikami głośno modlitwę, a gdy w południe lub wieczorem odezwie się dzwonek, ustaje natychmiast wszelka praca lub zabawa: mężczyźni odkrywają pokornie głowy, a wszyscy złożywszy ręce odmawiają ciche modły. We wszystkich swoich pozdrowieniach przywodzą na pamięć Boga. Przy spotkaniu się lub przy odwiedzinach mówią: «Wspomóż Boże!» a odpowiadają. Najwyższy pomoże, albo, daj to Boże! a potem: Witajcie! Odwiedzający dziękuje znowu słowami: Najwyższy niech pomoże! Przy pożegnaniu mówi odchodzący: Bądźcie tu z Bogiem! Na co mu odpowiadają. Idźcie z Bogiem! wieczorem zaś: Niech Bóg prowadzi! Zasiewając pole, albo niosąc do domu co nowego, kaźden mówi: Pobłogostaw Boże. W te odzywają się również słowa do kumów i weselnych gości, na co oni odpowiadają: Daj to Boże! Jeżeli co jest nadzwyczaj pięknem, dodaje Serb łużycki te słowa: z łaski Bożej. Podczas biesiady mówi jeden pijąc: Piję do ciebie! na co drugi: W imię Boże, a po wypiciu mówi tamten: Błogostaw Boże! na co odpowiadają: Pobłogostaw Boże!

W wielu właściwych sposobach mówienia wspominają o Bogu. Tak mówi Serb łużycki: «Boże słoneczko wschodzi; słońce idzie do Boga; Boży deszczyk dżdży, Boża chmura nadciąga, Boże łany są piękne»,

a nawet ubogi zebrze o kawałek chleba Bożego. Jeżeli kto umarł paralizem ruszony, mówią: Boska ręka go dotknęła. Zaiste, nie masz niemylniejszego świadectwa o bogobojności narodu, nad to, jeżeli sam język nią się znamionuje, albowiem w nim przebija się wewnętrzne narodu życie.

Pogańskich przodków pobożność zaświadcza liczne miejsca ofiarne, gdzie popiół, węgle, szczątki naczyń i kości, wykonywanie przez nich służby Bożej pokazują, świadczą imiona mnóstwa bóstw, które nam historia zachowała, świadczy bój krwawy toczony za wiarę przodków przeciw wciskającemu się, jeszcze niezrozumiałemu dla nich chrześcijaństwu, które będąc im narzucone, zaraz z początku miłem być nie mogło. W pieśniach nie wiele znajduje się wspomnień o dawniej ich wierze, więcej śladów o niej napotykamy w ich zwyczajach.

Ślad pobożności oddawanej przez Serbów łużyckich umarłym, widocznym był w uroczystości, która jeszcze w końcu zeszłego wieku, powszechnie była obchodzona i nawet się tam utrzymała, gdzie oddawna po serbsku mówić zapomniano. Mówimy tu o Zaduszkach, obchodzonych przez wszystkich Słowian na początku nowego roku, który z wiosną rozpoczynali, skąd niedziela *Laetare*, na którą za czasów chrześcijańskich je przeniesiono, jeszcze dotąd *śmiertną* się nazywa. Uroczystość ta zależała z początku na tem, że gromada niosąc bożyszczę i śpiewając, postępowała z pochodniami aż do końca wioski, gdzie zwykle umarłych palono, i tam na ich pamiętkę ofiary składała.

W chrześcijańskich czasach, figurka słomiana zastąpiła miejsce bożyszczę a znaczenie uroczystości zmie-

niono; nazwano ją wypędzeniem śmierci, w Czechach palono figurkę z wosku, a w Łużycach wrzucano do wody. Nakoniec cały ten obrząd zamienił się w igraszkę dziecinną.

W Kinshajmie pod Gorlicami starzy i młodzi w niedzielę laetare wychodzili z pochodniami ze wsi do sławnego śmiertnego kamienia, który zapewne był pogańskiem miejscem ofiarnem, zapalali tam pochodnie i śpiewając rozchodzili się do domów, nieustannie powtarzając te słowa: Śmierć wypędziliśmy, lato przyprowadzamy. W taki sposób odprawiano tę uroczystość jeszcze na początku 18go wieku: później ją zniesiono.

Wiara rodzi odwagę; bogobojność jest matką wytrwałości, która jak wszystkich Słowian tak i Serbów Łużyckich ozdobi. Świadectwo o niej za dawnych czasów dają długoletnie niesnaski Pomorskie z Duńczykami, a w głębi kraju z Niemcami. W nowszych czasach Łużycanie okazali się dobrymi wojakami. Wyż wymieniony pułk saskich dragonów, pozyskał od Francuzów przydomek saskich rzeźników (bouchers Saxons).

Jednakowoż waleczność Serbów Łużyckich była przedtém zwykle więcéj odporna niż zaczepna. Opowiadają, że w czasach prześladowania, w tajnych kątach zwinąwszy się w kłęb, prawie niepodobni do postaci ludzkiej, po całych godzinach nieporuszeni czyhali dla upatrzenia stosownej pory do zadania nieprzyjacielowi ciosu, a nawet po całych dniach leżeli nieruchomi w wodzie z trzcina w ustach dla oddychania. O ich zahartowaniu, wytrwałości i zręczności cuda opowiadają, gdy zmuszeni do prowadzenia

wojny, swych spokojnych wyrzec się musieli zatrudnień. Ale sami przez się nigdy nie mieli w wojnie upodobania: dzieje nie wystawiają ich nam nigdy ludem zdobywczym. Pokój i ciche jego zatrudnienia, zawsze przekładali nad szcęk oręża. Ten piękny rys ich przywiązania do pokoju, znamionuje dotąd Serbów łużyckich. Zwykle żyją w zgodzie ze swymi sąsiadami; a jak w pojedynczych rodzinach, tak w całych gromadach panuje spokój i zgoda.

Dobrze przez nich uprawna ziemia dowodzi ich pracowitości. Urodzajne grunta wydają im obfite plony, ale nawet piaszczyste miejsca, gdzie się tylko tartarka udaje, użyznia niezmordowana ich praca. Należą oni do najusilniejszych i do najwytrwalszych gospodarzy. Rzadko się daje widzieć, żeby sobie Serbowie, gdy przyjdą do pewnej zamożności, takie wygody robili jak Niemcy. Nawet bogaci dają przykład pracy swym domownikom. Jeżeli nie potrzebują wszystkich dzieci do swego gospodarstwa, oddają je na pastuchów lub poganiaczy, aby za młodu przywykły do regularnej pracy. Gospodarz zawsze przewodniczy gospodarstwu, dopóki mu tylko siły pozwalają i nie każe dzieciom za siebie pracować. Gdy jeszcze obciążano ich zbyt ciężką pańszczyzną i mało im czasu zostawiano do uprawy swojej roli, wtedy częstożona zastępowała w robotach męża, a on powróciwszy z pańszczyzny do późnej nocy własne pole uprawiał.

Dalej autor przedmowy zastanawia się nad tém, że między ludem łużyckim, rzadko daje się spostrzedz kradzież; że nakoniec lud ten jest poczciwym, go-

ścinnym, uprzejmym i wesołym. Potem przechodzi do podziału pieśni łużycko-serbskich w następujący sposób:

I. *Pszespólna*, t. j. polowe pieśni. Wyraz ten składa się z *przez* i *pole*. Są to pieśni, które śpiewają gdy idą w pole (*carmina peragraria*). Są to romantyczne i elegiczne, po większej części długie i śpiewane bywają przez pasterzy i pasterki, albo kiedy parobki wracają z karczmy do domu. Podług ich treści i formy możnaby nazwać je *romansami* i *elegiami*.

II. *Rónczka*, zdrobniale od *rono*, okres (*periodus*). Jest zwyczaj, że każdy z należących do tańczących koła, w miarę tego, czy długo, czy krótko trwa taniec, mniej lub więcej każe za swoje pieniądze grać muzyce. Wprzód, nim kto zacznie drugi rej, powinien swojemu dziewczęciu podać kufel piwa, przyprowadzić ją do muzykantów i kazać grać *rónczko*. Inni parobcy przystępują parami i śpiewają pieśń, którą grają muzykanci. Po skończonym śpiewie dziewczica pije do swojego parobka i do muzykantów, którzy też piją, inny znów parobek zaczyna potem taniec.

III. *Reje*, są pieśni, przy których się tańczy (*rejwa*).

IV. *Ważeńenja*, pieśni, które się śpiewają w towarzystwie młodych ludzi i dziewcz, gdzie wszyscy po kolei dodają do pieśni imiona kochanków, i takim sposobem towarzystwo obydwóch *żeni* (*ważeni*).

V. *Kwasne spjewy* (pieśni weselne), które w czasie drogi do ślubu i przy powrocie od ślubu bywają śpiewane przed domem, gdzie jest wesele.

VI. *Stonanje*, pieśni proszące, właściwie, *stękania*.

Jeżeli na wsi ktokolwiek upiecze chleb lub zarznie świnię, zazwyczaj w wieczór przychodzi pod okna deputacja i śpiewa pieśń, za którą otrzymuje chleb lub kilka kiełbas. Ilość chleba lub kiełbas, jaka wtedy ma być daną, oznaczona jest podług przyjętego zwyczaju, zresztą każdy może ofiarować ile mu się podoba. W niektórych wsiach zwyczaj ten zupełnie już wyszedł z użycia.

VII. *Podkhyrlusze*. Wyraz ten składa się z przyimka *pod* i (κυριε ελειδον) *khyrlusz*, t. j. śpiew, który się podczas nabożeństwa śpiewa, więc *podkhyrlusz* jest pieśń treści nabożnej—legiendą, która się śpiewa;—są także legiendy, które się opowiadają i takie mają nazwę: *bamżiczka*.

Co się tyczy melodji, możemy śmiało umieścić je obok najlepszych niemieckich narodowych śpiewów. Niektóre z nich śpiewane są zupełnie po starocerkiewnemu, i wskazują nam dawne czasy, przy tém po większej części, wszystkie noszą na sobie piętno pieśni słowiańskich; inne zbliżają się do niemieckich śpiewów, bo powstały w czasie późniejszym. Szczególnie podobieństwo mają one do melodji wielko-czeskich pieśni i podobnie do nich, wyjąwszy pieśni taneczne śpiewają się bardzo powolnie. Zawsze towarzyszy temu głos tremolo i częste użycie tryłów. Tryle te przynajmniej używają się zawsze na początku każdego taktu, przy pierwszej nótce i na końcu w ostatnim takcie. Zupełnie są podobne do pieśni kozackich i innych szczególniejszych wschodnich słowiańskich plemion. Osobliwy jest zwyczaj, że Serbowie, w każdym swoim śpiewie bardzo często używają *ha* i *hale*. Każdą swą pieśń zaczynają od jednego z tych wyrazów, nawet

dodają je często do taktu, tam, gdzie brakuje zgłoszek, bez względu na sens, po większej części między przymiotnikiem i rzeczownikiem. Katolicy Serbowie wtrącają nawet te wyrazy do pieśni kościelnych, co sprawia szczególne wrażenie, niepozbawione jednak przyjemności. Przeciwnie ewangelickie kościelne śpiewy, więcej są zniemczone i po większej części towarzyszą im organy, przy których takie między tony wzięte z pieśni ludu, nie mogą mieć miejsca. Własność ta wspólna jest Serbom z Mało-Rusami, u których pieśni ludu także się zaczynają od *hoj* lub *ha*. U Wielko-Rusów także znajdujemy coś podobnego. Znaczna część ich pieśni w każdym wierszu zaczyna się od *ach* (\*). W niemieckich pieśniach ludu, w podobny sposób dosyć często używa się *und* i *aber*, na opuszczeniu których, sens wiersza nic by nie utracił.

Oto niektóre górno-łużyckie serbskie pieśni, szczególnie mające styczność z polskimi w tłumaczeniu polskiemi, z bardzo małemi odmianami. Dodają do nich także uwagi, zrobione przez wydawców w końcu Igo tomu.

## 1.

### ZWYCIĘZTWA SERBÓW.

Serbowie na Germanów wyprawę czynili,

Ale po niemiecku słówka nie mówili.

(\*) Także i od *hoj*. Przyp. D.



Swoje konie osiodłali,  
Swe ostrogi przypinali.

Już i miecze przypasali,  
I na polu się zebrali.

Na wojenkę wtedy pierwszy raz pobiegli,  
A z powrotem mnóstwo łupów z sobą wiedli.

Książę (\*) o tém się dowiedział,  
Wszystkim kazał przyjść do siebie.

Nową suknią wszystkich obdarzył chłopaków,  
I przyjął wszystkich jako wojaków.

Po raz drugi znów pobiegli,  
Łupów mnóstwo znów przywiedli.

Książę o tém się dowiedział,  
Wszystkim kazał przyjść do siebie.

I w nagrodę męstwa, sławy,  
W szkarłat ich ubrał jaskrawy.

Na wojenkę raz trzeci pobiegli,  
Łupów mnóstwo z sobą znów przywiedli.

Książę o tém się dowiedział,  
Wszystkim kazał przyjść do siebie.

Na podwórzcu zamku swego,  
Każdemu dał konia rudego.

Każdemu dał konia rudego,  
I miecz jasny dla ozdoby.

(\*) W oryginale *Król i Książę*.

Pieśń ta ze swoją powszechnie ulubioną nutą,—melodją marszu i tańca, w tak nazwanym doryckim tonie, oczywiście jest bardzo dawną, może najdawniejszą w całym zbiorze, i jest jedyną wojenną pieśnią przez nas znaną. Bez wątpienia przypomina wojnę Serbów z Niemcami, może za czasów Bolesława Chrobrego, którego pod imieniem króla i księcia (*Kral i Fjerst*) rozumieć by było można: Obcą jest tutaj tylko niemiecka nazwa *Fjersta*, która wskazywałaby wiek późniejszy, lecz przypuścić wypada, że obce wyrażenie przyjętem zostało później.

## 2.

Wszyscy panowie z wojny ciągną,  
Ho hej!  
Z wojny ciągną.

Pan nasz konia prowadzi,  
Ho hej!  
Konia prowadzi.

Na tym koniu siodło leży,  
Ho hej!  
Siodło leży.

Na tym siodle pani siedzi,  
Ho hej!  
Pani siedzi.

Ma ta pani złoty pierścień,  
Ho hej!  
Złoty pierścień!

Ma ten pierścień modre oko,  
 Ho hej!  
 Modre oko.

Przez to oko woda płynie,  
 Ho hej!  
 Woda płynie.

Na tój wodzie trawa rośnie,  
 Ho hej!  
 Trawa rośnie.

Po tój trawie pawie chodzą,  
 Ho hej!  
 Pawie chodzą.

Piękna pani pawie pasie,  
 Ho hej!  
 Pawie pasie.

Jeszcze przy tём jedwab przędzie,  
 Ho hej!  
 Jedwab przędzie.

A z jedwabiu wianki plecie,  
 Ho hej!  
 Wianki plecie.

Zawiał wietrzyk z cicha,  
 Ho hej!  
 Wietrzyk z cicha.

Wpędził wianek do karczmy,  
 Ho hej!  
 Do karczmy.

Gdzie parobki w kości grali,

Ho hej!

W kości grali.

O wieniec rzuca kości trzech braci,

Ho hej!

Haj trzech braci!

Młodszy wieniec kładzie na głowę,

Ho hej!

Kładzie na głowę.

Podobną pieśń śpiewają i dolno-łużyccy Serbowie także inne słowiańskie plemiona.

Polacy śpiewają (*Wojcichi, I. No*):

Tam na morzu czerwonym,

Rybacy siatki rzucają i t. d.

W śpiewach krakowskich (*P. ludu krakowskiego str. 92*).

Hej nam hej pawikowie lecą,

Złote piórka ronia i t. d.

W Galicji (*Pauli, polsk. str. 60*):

. . . . Dziewczyna

Puściła pierścionek

Po bystrym Dunaju i t. d.

W Morawii; (*Czelakowski, II. 49*);

W szjrem poli na podolj

Hruszka stoi, i t. d.

W Czechach (*Czalakowski I, 9*);

Stoji hruszka w szirém poli;

Pod tau hruszkau kámen biły i t. d.

Pieśń ruska brzmi (*Pauli*, Rusk. str. 3):

Oj u sadońku  
Pawońky chodjat' i t. d.

## 3.

**ZBIEG**

Przyszedł z Miszna młody pan,  
Z polskim królem w kości grał.

Przegrał dobra i pieniądze,  
Trzydzieści wozów wojskowych.

Trzydzieści koni wierzchowych,  
A na każdym koniu młodzian,

Który jasnym mieczem igra;  
Dwóch jednakże z nich uciekło.

Tam pod górą karczma stoi,  
A w tej karczmie jest karczmarka.

Dwaj młodzieńcy tam przychodzą,  
I siadają wnet przy stole.

„Hej, karczmarko, dawaj no tu,  
Piwa, wina podostatkiem!“

„Idźcie precz ztąd, wy nędznicy,  
Grosza nawet wiem nie macie!“

Młodzian wskoczył i podskoczył,  
Trzysta mu w kieszeni brzękło.

„Powiedz no nam, karczmarczko,  
Ze młodzieńcom grosza brak!“

Karczmarczka zadziwiona,  
Skąd młodziany pieniądz wzięli.

„Stójcie, woła, wy nędznicy,  
Pewno pieniądz to kradziony.“

„Zastrzeliliśmy jeleni,  
Także kilka młodych sarnek.

„Za nich wzięliśmy pieniądze,  
Byśmy mogli pić i grać!“

Pan z Miszna i król Polski razem grają w kostki!—czy to weźmiemy w znaczeniu właściwem, czy w przenośnem pod postacią, jakoby tu była mowa o losie bitw, o wojnie, którą z sobą prowadzili, zawsze okoliczności te zdają się odnosić do czasu, który daleko za historyczno-znany sięga. W każdym razie pieśń, ta należy do najdawniejszych w tym zbiorze.

Na zakończenie przytaczam tu dawną polską pieśń podobną do górno łużyckiej (ob. zbiór pp. Smolerja i Haupta tom I., str. 219, pod Nrem CCXXV), którą dostarczył wydawcy p. Warnacz z Wittichenau, podług dawnego rękopismu.

Słuchaj! jakie wnet są ciężkie lata,  
Ktore tłoczą ludzi tego świata!  
Niejest gorszo żadnemu mężowi,  
Jak też wszędzie chudemu chłopowi.

Chudoba jest wielka podle ludzi,  
 Która z głodom często mnogich truży,  
 Miali jedno soli dość a chleba,  
 Sera a maślanki a ziela.

Mleka jagły te są nazbyt rzadko,  
 Bulwy, mąka każdy dzień są wnetko,  
 Jaja, mięso, a kluski  
 K jedzi ledwej święty dzień są wielki.

Czeladź mruży, gdy jest więcej dziełać,  
 Kto się niemusiałby przy tém gniewać;  
 Ten żold musę ja ji cały dodać,  
 Choć musiałbym we dnie, w noce orać.

Gdy mam syna, co ma piękna długość,  
 A wszech swoich członeków ma zdrowość,  
 Bierzą z mocu jego do rekrutów,  
 Choć chowałem jego do wszech kątów.

Przy państwie nie będzie sobie myślił,  
 Że ten szafarz będzie nieco śpuszcził,  
 Podateki, Czynse musi złożyć,  
 Choć musiałby z nieba na dół pożyczyć.

Nieda ci on wszystko, co się żąda,  
 Z chudem chłopem nazbyt źle wygląda,  
 Exekucyom, ciemnica; póki,  
 Take okół uszów szumią muchy.

My tak chcemy troski dalej nosyć.  
 My z ufaniem chcemy Boga prosić,  
 Że nam dałby on po naszym krzyżu,  
 Wszęgo dość w niebieskim paradyżu.

Podobna pieśń jest u Niemców *Kretschmer*, II,  
543 Bauern Elend. Z Szwajcarji:

Isch das nit es böses Leben  
Um en arme Burestand,  
Oeb mer sölt de Name träge,  
Lieber ging mer uns dem Land.

'S heisst nur: Buur schaff, Buur bring die  
Straf!

Buur zahl baar us, süss kumscht üm's Huus!  
Buur schaff Zins! lueg wo du'st nimmst.

U Kretschmera znajduje się jeszcze inna podobna  
pieśń (I, 254), która się zaczyna:

Ka' Bauer waer ich nie bleibe  
'S komm schon wie es will i t. d.

*P. Dubrowski.*



## Kataleptyk

*Powieść nieboszczyka Pantofla. Wydanie  
Adama Zawadzkiego. Wilno, r. 1846 8vo  
Tom I. str. 278. T. II. str. 228.*

z godłem:

Akoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,  
I zgianie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

*Kochanowski.*



Dostawszy nową powieść pana Pantofla, tak dawno zapowiadzaną, zdziwiliśmy się że o niej samą bardzo i bardzo mało powiedzieć będziemy mogli.

Aby skutecznie sumienny i szczegółowy rozbiór Kataleptyka, aby wyświecić przestarzałe dążenie autora; aby wykazać ubóstwo jego wyobraźni i dowcipu, a zatem niepodobienstwo wyrobienia tej niedołążnej klejonki

w jaką-taką harmonijną, artystyczną całość; aby przecie dowieść autorowi znaną prawdę, że forma z treścią są nierozdzielne; aby wreszcie wykazać wszystkie dziesiąte jawne lub utajone źródła, z których autor tak nieudolnie wypisywał swoją tantedną erudycją; zgoła aby ze wszystkich stron oświecić, nie mówię pochodnią krytyki lecz zdrowego rozsądku całą nicosć Kataleptyka,—na to trzebaby większe od samej powieści dwa tomy napisać. W końcu jednak podobnie mozolna praca byłaby niepotrzebną. Czytelnicy dzieł podobnego rodzaju dzielą się na dwie kategorie. Pierwsza część czytelników rzuca powieść nie doczytawszy jej do końca; druga poczciwa, i niestety liczniejsza część czytelników syllabizuje i wielbi na zabój jak wszelkie drukowane książki w duchu życiorysów owych cudownych tyrolskich dziewcząt, jaśnowidzącej z Prevost i t. p. chorobliwej i nierządnej wyobraźni dziwołagi. I ci jednakże nie zostawią Pantofla bez zarzutu; ów przepych erudycji i głęboka nauka będzie im niezrozumiałą. Nauka ta i erudycja, powie może nie jeden zaiste, tanim muszą być kosztem nabyte, kiedy je autor tak marnotrawi; miał żeby się obawiać ażali w mniej niesmacznej formie dostaną się w ręce ludzi poznających co błyszczący szych a co złoto szczerę? We wszelkich przypadkach Kataleptyk na szczegółowy rozbiór niezasługuje. Aby jednak cośkolwiek znaleźć do bliższego określenia dumań autora, starać się będziemy rozwiązać zagadkę, skąd się wzięły i jak powstały te dwa tomiki.

Na pierwszy rzut oka zagadka ta zdawać się może trudniejszą do odgadnienia od wszelkich sfinxów

jakich niebraknie literaturze naszej, nie jest jednak niepodobną po bliższem rospatrzeniu się *w szkicowym i ogromnie śmiałym talencie* pana Pantofla, na który *dziś jeszcze*, uchwaj nas Boże, abyśmy się targnąć odważyli. Ktokolwiek czytał we *Frenofagiuszu* sarkazmy na filozofią, na indywidualne bohaterstwo serca lub myśli ludzkiej, kto czytał *Duszę w suchotach*;—*Błogosławieństwo matki*, ten domyśli się łącno, jak nie miłe na Pantoflu robić muszą wrażenie prawdziwego, wielkiego talentu i najszlachetniejszych dążeń nowe utwory Sanda, Sue'a, a z tych najwyraźniej *Żyd wieczny tułacz*. Pojmujemy oburzenie wywołane tym ostatnim romansem, którego wymowne i jaskrawe improwizacje odbiły się w całym świecie czytającym, wpłynęły w nerwy ogółu obojętnego nawet na gienialne ale z niewybitnem dążeniem dzieła. Na owę to truciznę jak niegdyś na *Kandyda*, *Zadiga*, *Listy perskie* i t. p. wielu upartych literatów wnet po ich zjawieniu się preparuje pracowicie antydotu. Znakomitszym takim antydotem miał być *Kalaleptyk*, lecz że i w tém nawet znaczeniu chybia swego celu, zapewne nie uwierzy autor. Lekarstwo każde powinno być obmyślane zimno, bez zapалу i uniesień, bo śmieszny byłby doktor, któryby się uczuć tylko swoich radził pisząc receptę. Z tego względu nie można nic zarzucić panu Pantoflowi; ani *in dosi refractu* nikt tam uczucia nie znajdzie. Wszystko zimno obmyślane, zimno, nieubłagane napisane. Katalepsja, sen od pierwszej do ostatniej karty czuć się dają pochłaniając w sobie czytelnika; jeżeliby taki był cel autora, przyznalibyśmy iż zupełnym zwycięzcą go dostąpił.

W formie fantastyczność jest głównym przemaga-

jącym żywiołem, grzechy więc przeciwko niej, nie są jednymi z najmniejszych.

Fantastyczność kto wie czy nie trudniejszą jest do naśladowania, do pisania na zimno, od samej humorystyki; do fantastyczności trzeba koniecznie, bezwarunkowo wrodzonego talentu i usposobienia. Myli się bardzo ten kto opisawszy proste brednie, wyborne do opowiadania przy kądzieli o duchach i upiorach lub malignowe marzenia chorego, sądzi że został pisarzem fantastycznym. W naszym wieku realizmu, dążności do prawdy, prawdy w użyciu, w historii, w sztuce, fałsz stał się nieznośniejszym, nieawistniejszym, bo wybija się z każdym dniem, Bogu niech będą dzięki, coraz bezczelniej, coraz jawniej. Fantastyczność na palcach tylko stojąca na rzeczywistej ziemi a rozszerzająca ramiona i skrzydła w światy nie wszystkim uczuwalne, ale także nie bezrozumne i dla rozumu choć w krańcach dostępne, ta fantastyczność nie zbratała się z ludźmi dzisiejszemi, bo quietyzm nie mógł zostać religią gdzie zbiegowiska i gwar rynkowy i jęki i śpiewy nikomu z sercem drzymać nie pozwalają. Fantastyczność przeżyła się i tylko indywidualną małej liczby dusz zbyt poetycznych jest ulubioną; zaklina w sposób nieszczerzy, przez ludzi bez namaszczenia i poezji, eteryczna kochanka na szyderstwo w swoje miejsce zsyła ulicznice niezgrabnie młupujące piękność, i cnotę i poezją.

W niniejszej powieści brak wszelkiej twórczości, ubóstwo wyobraźni autora tak dalece jest zuchwałem, że proste baśnie podawane za mistycyzm i fantazją rodową, okraszane są pomysłami żywcem branemi ze wszystkich literatur.

Bez żadnego porównania lepszą jest potężna wię-  
złością, mocą i czuciem legienda Schuberta, tak jak  
jest, aniżeli rozwałkowana na kart kilkadziesiąt wę-  
drówka żyda wiecznego przez czas i przestrzeń; albo  
ów niepospolity obfitością i poetyzmem myśli poemat  
Quinet'a. A jednakże przedmiot taki nigdy nie może  
być wyczerpanym; nawet z tego niby historycznego  
stanowiska, jakie pole miał autor wystawienia owej  
olbrzymiej wędrówki nieubłaganego doświadczenia  
i prawdy wśród ludów i wieków i rospaczy Tantalo-  
wego pragnienia serca ludzkiego. Sam Sue o ileż poe-  
tyczniej życie takie poją!

W ustępach nawet, fantastyczność muzyki u Hoff-  
mana w *Don Juanie*, w pamiętnikach dyrektora mu-  
zyki i t. d. jest wzorem, którego błady i niezrozu-  
miany tylko cień widzimy w *Kataleptyku*. A i w dro-  
biazgowych opisach zemsty zdradzonego męża, któ-  
ry kochanka żony w kryjówce gubi, jakaż niezgra-  
bna pożyczka z efektownej w swoim rodzaju po-  
wiastki Balzaca. A historie duchów, o ileż lepiej,  
bo naturalniej, z przejęciem się wiarą, po prostu  
tysiąc już razy opisane w przeszłego wieku niezli-  
czonych niemieckich *Ritter und Gespenster-Geschi-  
chten*. Zgoła ze wszystkich stron cisnąc i obraca-  
jąc *Kataleptyka* nie możemy znaleźć nic coby na-  
wet poważnej krytyce na chwilę śmiało czoło sta-  
wiło.

Fałsz w sztuce jest bóstwem, któremu autor hoł-  
duje. Na nic się tu nie przyda żadna powaga misty-  
ków wskrzeszających na przekor prawej naszej re-  
ligii i ludziom dobrze widzącym upiory, których nikt  
nie widzi. Upiorami teraz są tylko niewiara w cnotę

człowieka i jego swobodną wolę. Apoteoza bezwładności jest bluźnierstwem przeciw Bogu—ludziom żywym i umarłym. Przeciwno tej to katalepsji walczyć trzeba a wtedy gdzie będzie serce poczciwe i wiara w zbawienie tam dzieła sztuki obejdą się bez marnych sztuczek—znajdzie się i twórczość i natchnienie, bez łataniny erudycją i cudzemi pomysłami.

Styl w *Kataleptyku* nie wszędzie czysty, szczególnież raziło nas kilka zwrotów mowy cudzoziemskiej; w opisach znać autora wytrawnego doświadczeniem, subtelnego postrzegacza i jeśli się nie mylimy usiłującego nieraz ukryć, że pisze wbrew przekonaniu. Gdyby ten autor szedł za potrzebami naszego piśmiennictwa, jesteśmy pewni, iżby go nam tylko wielbić za talent i dziękować za pracę wypadało.

F. N. J.

## CECYLIA RENATA AUSTRYACZKA.

WŁADYSŁAWA IV PIERWSZA MAŁŻONKA.

Cecylia Renata arcy księżniczka austriacka młodszą córką Ferdynanda II cesarza niemieckiego i Anny księżniczki bawarskiej, urodziła się w mieście Grac dnia 6 lipca 1611 r. (1) nim jeszcze ten monarcha po bezpotomnem zejściu Macieja cesarza w roku 1619, cesarską koronę otrzymał. Wzrastały w niej z laty znakomite cnoty, łagodność i dobroć, a przyrodzoną zdolność staranne wychowanie kształciło.

Bliskie powinowactwo z dwóch poprzednich królowych, domu austriackiego z panującym w Polsce rodem Wazów, ułatwiło różne stosunki, wzajemne porozumienie się obydwóch dworów, a stugębna sła-

wa aż do Warszawy pochwały rzezonęj arcy księżniczki zaniosta. Siedzący w ówczas na tronie polskim od roku 1633, Władysław IV, syn Zygmunta III i Anny austryaczki rodzonej siostry wspomnionego wyżej Ferdynanda II cesarza niemieckiego, pogromca Tatarów i Turków, widział potrzebę zawarcia związków małżeńskich, gdy świeży zgon dwóch jego braci Aleksandra i Jana Alberta, poświęcenie się stanowi duchownemu Karola Ferdynanda, i mała chęć żenienia się Jana Kazimierza królewicza, wygaśnięciem imienia Wazów groziły, — do tego lat czterdzieści wieku nakazywały nieodwlekanie zamiaru. Wahał się atoli w wyborze gdy mu jedni Elżbietę, córkę Ferdynanda elektora wojewody Renu, drudzy jedną z księżniczek francuskich, inni zas Annę Wiszniowieckę z Reginy Mohilanki gospodarownej wołoskiej urodzoną, lub rzezoną arcy księżniczkę austryacką stręczyli. Otworzył król myśl swoją licznie zgromadzonemu senatowi w Warszawie, okazując swą skłonność do Elżbiety córki wojewody Renu. Lecz gdy różność w wierze tej księżniczki niezwyciężone przeszkody stawiała, musiał więc na ten raz zamiaru swego zaniechać (2). Niezadługo jednak powtórnie pod rozwałę senatu rzecz o małżeństwie swoim przez nowo mianowanego kanclerza Gembickiego wprowadził, zawsze swe chęci ku Elżbiecie kierując, ale ją i tą razą senatorowie zupełnie odrzucili.

Baczni na te wszystkie obroty stronnicy dworu wiedeńskiego, tyle umieli względem każdej innęj księżniczki trudności nagromadzić, iż nietylko zdołali umysł królewski od córki wojewody Renu i od innych odprowadzać, ale nieustannie rozmaite przeszkody



dy wynajdując, sztucznie go do związków z Austryją namawiali (3).

Jednak król bąc niezupełnie chętny dworowi wiedeńskiemu, bąc że nie nagle rozpocząć nie lubił, do sposobniejszej pory rzecz tę odłożył.

Tymczasem na samym końcu roku, przez Gdańsk i Królewiec do Wilna wyjechał, gdzie za nim królewicz Jan Kazimierz świeżo z Włoch przybyły, jako też nie mało panów, senatorów, posłów zagranicznych, i różnych znakomitych osób tak Polaków jak i cudzoziemców pospieszyło.

Lubo sprawa o małżeństwie królewskim tajemnie w senacie polskim roztrząsaną była, jednak powiernicy cesarza Ferdynanda II. niezanieśli go jak najspieszniej o tych wszystkich układach zawiadomić. Miłemi zawsze były dworowi austryackiemu związki z monarchami polskimi, nie opuszczając cesarz i tej sposobności, wysłał do Polski księdza Walerjana Magui, kapucyna, rodem Włocha, człowieka bywałego po świecie, świadomego zabiegów dworskich i nader do kierowania spraw tajemnych wprawnego, aby ten w pokornej ubogiego zakonnika postaci, pod pozorem rozkrzewienia w Polsce swego zakonu, przez wstęp skryty do pierwszych panów—względy i zaufanie królewskie posiadających, starał się skojarzyć w mowie będące z arcyksiężniczką Cecylią Renatą małżeństwo.

W czasie pobytu króla w Wilnie zjawił się ten szczególnego rodzaju dziewostąb, obeznał się w krótkce ze znaczeniem, związkami i słabością panów, używając zręcznie każdego namiętności do zamierzonego celu,—i niebawnie sobie wolny wstęp do podwoi królewskich otworzył.

Z zadziwieniem przyjął król tajemnego posłannika oświadczenie, i za ledwie chciał wierzyć oczom swoim acz oczywistemi dowodami przekonany, a kształtnemi słowy mnicha, z wystawieniem wielkich i niespodziewanych korzyści ze strony Austrii zniewolony, do tego nie chcąc okazać się pogardzającym cesarza wuja swego ofiarami, zaczął z nim wchodzić w układy.

Jerzy Ossoliński wielkorządca ziem pruskich, podstoli koronny, wojewoda sandomierski w poselstwie do Ratyzbony na sejm rzeszy niemieckiej wyprawiony (4), podawał królowi łatwą sposobność przekonania się o rzeczywistości zapewnień kapucyna; napisał więc do Ossolińskiego, aby rozpoczął rokowanie w tej mierze z cesarzem, lecz jakby z niechcenia i niespiesznie rzecz popierając, położył tak twarde warunki, któreby wątpliwym skutek czyniły, to jest: aby cesarz księstwa Opolskie i Raciborskie na Szląsku prawem dziedzicznem dla synów z tego małżeństwa urodzić się mających nadał; (5) nadto, aby posagi dwóch żon Zygmunta III, Anny i Konstancji dotąd nie oddane uiściła posag przyszłej małżonki królewskiej natychmiast wypłacić kazał. Nareszcie, aby znaczne summy pożyczone cesarzowi od króla Zygmunta i królowej Konstancji wraz z prowizjami były wrócone, lub dobra jakie znaczne przy granicy polskiej w zastawę wypuszczono, a to w sposób nieograniczający w niczem rozrządzania się króla we wszystkich tych ziemiach jako pana samowładnego. Aliści cesarz nadspodziewanie na te wszystkie warunki bez żadnej zwłoki i trudności zezwolił, a przyrzeczenie urzędowe ręką własną cesarską podpisane, kapucyn Magui niebawnie królowi w Wilnie dostawił. Wciągniony

tym sposobem Władysław, nie miał nic więcej bez obrażenia cesarza zarzucić kapucynowi, rzecz całą do rozwagi i zezwolenia stanów rzeczy pospolitęj na przyszłym sejmie zostawił, nie wydając na jaw tajemnych swych układów, owszem wcale w inne strony chęci swe pozornie obrócił.

Śmierć Ferdynanda II cesarza, ojca arcyksiężniczki w Wiedniu dnia 21 lutego 1637 r. przypadła (6), bieg tej toczącej się sprawy nieco zwolniła. Na sejmie Warszawskim nie stanowczego względem małżeństwa królewskiego nieuchwalono. Jednak król dotrzymując poprzedniej umowy, do następcy na cesarstwo, do Ferdynanda III, do Wiednia Maksymiliana Przerembskiego kasztelana sieradzkiego zaraz po sejmie z niemałym zadziwieniem tych, którym tajemne umowy wiadomemi nie były, w miesiącu czerwcu wyprawił.

Wzajemnie do Warszawy w tymże samym celu przy był od dworu austriackiego hrabia Magui, brat owego kapucyna, w poselstwie dla spiesznego ułatwienia wszelkich trudności i wątpliwości zająć mogących. Przerembski w Wiedniu żądał od cesarza zapewnienia względem warunków przez zmarłego ojca przyrzeczonych, lecz cesarz nader obojętnie w tej mierze odpowiedział, rostrząśnienie dalsze do narażenia się z posłami przybyć z Polski mającemi zostawiając (7). Pomimo tego Przerembski pewnie stosując się do zleceń danych sobie od swego dworu, zawarł niezwłocznie przy zaręczynach przedślubną ugodę, i o skutku swego poselstwa pana swojego zawiadomił.

Dnia 23 lipca nadzwyczajni posłowie polscy Kac-

per Donhof wojewoda sieradzki, ksiądz Jan Lipski biskup chełmiński, a w trzy dni później królewicz Jan Kazimierz z licznym orszakiem młodych paniąt polskich, świetnym rycerstwem i przepysznym dworem do Wiednia przyjechali. Piotr Szyszkowski kasztelan wojnicki, Michał Stanisław Tarnowski, Karol Noskowski starosta dobrzyński przy królewiczu, a Jan Franciszek z Walewic Walewski stolnik sieradzki, przy wojewodzie sieradzkim znajdowali się w tym gronie.

Zajął poselstwo polskie w Wiedniu pałac Eggenbergski, gdzie z wysadzonemi na to od dworu austriackiego hrabią Trautmansdorfem arcybiskupem wiedeńskim i podkanclerzym Matiasem Brickelmair rokowania względem rzeczonych warunków rozpoczęto. Zaraz na wstępie oświadczyli pełnomocnicy cesarscy, że podług zasad państwa nie wolno jest domowi austriackiemu żadnych prowincji dziedzicznych od całości kraju odrywać; oczywistém więc było, że skoro umowę przedślubną zawarto i zaręczyny dopełnione zostały, nie mieli polscy nic więcej do czynienia jak uznać i przywitać nową oblubienicę za swoją królowę. Jednakże niechcąc cesarz zrazić Władysława zupełnem wszystkiego odmówieniem, nadał mu na posag nowo zaręczonej arcyksiężniczki, jako i za dawne po królowych summy, dobra Wittingau, niedaleko od Wiednia leżące, które były po Rosenbergu szlachcicu czeskim na skarb austriacki zabrane.

W ciągu tych układów posłano do Inspruku po arcyksiężnę Klaudję Florentynę z domu Medyceuszów arcyksięcia tyrolskiego Leopolda małżonkę, mającą podług woli cesarza, narzeczoną do Polski odprowa-

dzie. Nim ona nadjechała, mieli posłowie polscy na-  
przód u cesarza a w trzy dni później u niedoszłej swęj  
królowej uroczyste publiczne posłuchania, na których  
biskup chełmiński, bardzo gładką łaciną w obszernęj  
mowie cel swego poselstwa, chęci Władysława króla,  
i jego wysokie przymioty wystawił. Arcy księżniczka  
doskonale ten język posiadająca, w krótkich wyra-  
zach grzecznie i z przyzwoitą powagą odpowiedziała.  
Nadjechała tymczasem arcy księżna Klaudja dnia 6  
sierpnia, naprzeciw której cała rodzina cesarska i  
królewicz Jan Kazimierz za Wiedeń wyjechali. W krót-  
ce przybyła także cesarzowa matka, po Ferdynandzie  
II pozostała wdowa, dla pożegnania, i pobłogosta-  
wienia odjeżdżającej swęj córki.

Za nadeszłem pozwoleniem papieża Urbana VIII  
(bo jak to już wiadomo król Władysław był swęj  
narzeczonej cioteczno-rodzonym bratem) dnia 9 sier-  
pnia spisano urzędownie przez Przyrembskiego za-  
wartą wprzódę przedślubną umowę, mocą której ce-  
sarz jegomość sto tysięcy złotych reńskich siostrze  
naznacza, a arcy księżniczka zrzekła się wszelkich  
praw do dziedzicznych państw austryackich. Podpi-  
sali je ze strony cesarza wspomnieni arcybiskup Traut-  
mansdorf i podkanclerzy Jan Matias Brickelmair a  
z polskiej ksiądz Lipski biskup chełmiński, i Kacper  
Danhof (8) wojewoda sieradzki, poczem w godzinach  
po południowych odbył się ślub w kościele księży  
Augustjanów. Dawał go w obecności cesarza, całej  
jego dostojnej rodziny, wielu niemieckich i polskich  
panów, tenże sam ksiądz biskup chełmiński, któremu  
na ten raz, jako gościowi arcybiskup miejscowy swo-

jego prawa ustąpił,—a osobę nowożeńca królewicz Jan Kazimierz zastępował.

Cesarz jegomość chcąc tém więcej uczcić poselstwo polskie, i okazać członkom onego zadowolenie swoje, Donhofa ksiązęciem, a Lipskiego z całym rodem hrabią państwa rzymskiego mianował. Trzy dni trwały gody weselne, na których całą wystawność i przepych dworu wiedeńskiego starano się okazać.

Po skończonych uroczystościach wyjechała królowa Cecylia z Wiednia otoczona Polakami, którą cesarz więcej trzech mil aż za Wallunsdorf, książe Ditrichsztein do granic państwa, a arcy księżna Klau-dja z księdzem biskupem Jawaryńskim, Jerzym Traszowiczem aż do Warszawy odprowadzili.

Skoro królowa dnia 24 sierpnia na ziemi polskiej stanęła, zastała rozbity kosztowny namiot przed którym imci ksiądz Jakób Zaduk, biskup krakowski, Jerzy Ossoliński wojewoda sandomierski, z licznym orszakiem panów i rycerstwa polskiego, a na czele pani Tęczyńska matka wojewody krakowskiego, pani wielce powagą i roztropnością słynąca, czekali (9).

Tam po stosownych do okoliczności mowach i odpowiedziach, królowa dwór swój niemiecki do Wiednia odesłała, a do przygotowanej kosztownej karety królewskiej wsiadłszy, w dalszą się podróż puściła.

Miasto Kraków przyjmowało nową królowę z niesłychaną okazałością, wjeżdżała przez łuki tryumfalne, w których to od panów, to od duchowieństwa, to od akademii i mieszczan rozmaitemi mowami witana była. Ciekawy lud zbiegał się widzieć nowo-przybyłą panią, służba królewska starała się ciżbę oddalać, co spostrzegłszy królowa łagodnie rze-

kła: dajcież im pokój, niech każdy do nas wolno przystępuje, wszak mnie nie dla niektórych tylko osób, ale dla wszystkich stanów za królowę obrano (10).

Dni cztery zabawiwszy w Krakowie wyjechała ku Warszawie na Pińczów, tam ją margrabia Myszkowski dziedzic miejscowy, na granicy dóbr swych spotkawszy, do domu zaprosił i wspaniale podejmował.

Dnia 6 września przyjechała do Iłży, tam w tym samym zamku, w ówczas wspaniałem i obronnem biskupów krakowskich mieszkaniu, którego dzisiaj same gruzy widzimy, pierwszy raz się oboje królestwo spotkali,—tam Władysław niecierpliwy, by swą małżonkę jak najprędzej oglądać, opuścił tajemnie w małym poczcie osób Warszawę, by mile swą niespodzianą obecnością królowę zadziwił i powitał. — Ujęła go zaraz jej łagodność, skromność i ta dobroć, która się na twarzy malowała. Z przykrością przyszło mu oddalać się od Iłży, by w stolicy przygotowania do jej wjazdu poczynić. Dopiero 10 września stanęła królowa w pałacu Ujazdowskim pod Warszawą, kędy ją królowna Anna i królówicze Karol Ferdynad imieniem królewskim przyjmowali.

Trzeciego dnia, 12 września, jak się wyraża naczynny świadek Albrecht Stanisław Radziwiłł, kanclerz wielkiego księstwa litewskiego w pamiętnikach w rękopismie zostawionych, a któren tu co dosłownie wypisujemy: «nadszedł dzień sławny wjazdu królowej do Warszawy około godziny 12tej. Królowna do Ujazdowa pojechała, którą tam przeprowadzili wojewoda miński (Mikołaj Sapieha) i podkanclerzy wielkiego księstwa litewskiego (Stefan Pac), którzy mandat od króla wzięli, aby tam na przyjęcie jego ocze-

kiwali, i żądę królewskie i radość z przybycia królowej przełożyli. Wysłał zaś król tylko senatorów litewskich, aby wynagrodził ich urazę, że w poselstwie do Wiednia, i na spotkanie jej na granicy ich nie użył.

Król w polu między Ujazdowem a Warszawą, kazał być rozpiąć trzy namioty, dokąd z zamku około godziny 2giej prowadzona była karetą. Trafiła się tu kontrawersja o procedencji karet wojewody wileńskiego i marszałka wielkiego księstwa litewskiego, obudwu Radziwiłłów. Zwyczaj dawny niesie, że marszałkowska karetka idzie przed królewską, byli przytomni wszyscy czterej marszałkowie, w karecie podkanclerzego koronnego Gembickiego obadwaj marszałkowie koronni siedzieli; w karecie zaś marszałka wiel. księstwa litewskiego marszałek nadworny (Aleksander Ludwik Radziwiłł) i ja (to jest Albrecht Radziwiłł) jechaliśmy z zamku. Tak jechaliśmy że po nas bezpośrednio szła karetka marszałków koronnych. Gdy tak postępujemy nadjechał wojewoda wileński (Krzysztof Radziwiłł) który prosi, abyśmy do jego karety przesiedli, czego gdy marszałek wielkiego księstwa litewskiego niechciał uczynić, wojewoda chciał po nas jechać, czego marszałek nie dopuszczał, i tak wozy zastanowiły się, co widząc marszałkowie koronni kazali zaciąć konie i nas minęli. My też równym biegiem z kareką wojewody pospieszyliśmy się. Pobudziła ta rzecz ludzi do śmiechu i podziwienia, że z rodziny tego imienia taką mają między sobą sprzeczkę w takowych okolicznościach. Znaleźli się też niektórzy Polacy, którzy cieszyli się z zwady litewskiej. Przeciągnęła się ta kontrawersja niemal na godzinę,



co bardzo niemiło było królowi, do którego marszałek wysłał, aby powagą królewską tę sprzeczkę uspokoił. Król kazał wojewodzie naprzód jechać, i tak lubo się gniewał wojewoda, musiał uporu swego ustąpić. Potém zaś o tém ni słówka nie mówiono, milczeniem to pokryto, dawszy amnestją słów, ale nie wiem czy nankoru.

Przybywszy król do namiotu tam królowej oczekiwał, byli tamże przytomni arcybiskup gnieźnieński (Węzyk) i inni biskupi, senatorowie i urzędnicy. Nadchodzą w krótce posłowie od królowej wojewoda miński i podkanclerzy w. ks. litewskiego, którzy oznajmują królowi o wyjeździe królowej z Ujazdowa, która się wnet będzie prezentowała królowi. Około 4tej przybyła królowa, na którą król oczekiwał w pierwszym namiocie, a niziuteńko do nóg padłszy rękę pocałowała królewską. Podkanclerzy koronny krótką perorą królowę przywitał, wyrażając radość królewską, że przyszedł ten czas od Boga ordynowany, w którym z pożądanego przyjaciela cieszyć się może. Odpowiedział kanclerz królowej, biskup Węgrzyn, wzajemną radość królowej wynurzając z konjunkcji z takim królem, który sławą imienia swego i zwycięstwami świat napełnił. Arcybiskup też gnieźnieński imieniem stanów rzeczypospolitej winszował szczęśliwego związku odnowionego z austryackim domem, który przedtém wielki pożytek narodowi naszemu przyniósł, życząc podobnych sukcesów i najdłuższego z królem panowania.

Po tych aplauzach ruszyły się porządnie pułki koronne, senatorów słudzy, po nich panowie, senatorowie, ministrowie, dwaj marszałkowie (bo drudzy

dwaj pospieszyli się byli do kościoła na rumacją (pospólstwa) po nich król na białym koniu jechał, przy boku królewskim nieco niżej królewicz Kazimierz. Tedy królowa w ośm koni białych jechała z arcyksiężną Klaudją, z infantką i biskupem wrocławskim; po drodze 24 działa zatoczone tryumfalnie huczały; dwie bramy tryumfalne na przedmieściu wystawione, różnemi instrumentami muzykantów wdzięcznie brzmiały. Piechota, której było na dwa tysiące, ręczną strzelbą na tryumf ognia dawała. O szóstej do kościoła Śgo Jana weszli prosto do ołtarza wielkiego idąc, gdzie arcybiskup z innemi biskupami w biskupim ubiorze i w infułach czekali. Przed słubem arcybiskup piękną i wielce duchowną miał perorę, przekładając błogosławieństwo boskie spływające z nieba na królów świętobliwie i według Boga żyjących nie dyssymulując też kary boskiej na tych panów, którzy przeciwko prawom świętego małżeństwa sprawują się. Potem zalecał królowi naród polski litewski i królowę siostrę, aby jej był staraniem i afektem ojcem, który jest urodzeniem bratem. Nakoniec życzeniem hojnego z Nieba błogosławieństwa mowę swą zakończył. Po ślubie *Te Deum Laudamus* zgadzającemi się głosy z muzyką wszyscy śpiewali. Odprowadziwszy królestwo do zamku cała się rozeszła pompa. Wieczera prywatnie się odprawiła.

13 *Września* nim po południu koronacja królowej się zaczęła, przełożone były pretensje posła duńskiego królowi, który się uskarżał, że na wczorajsze ceremonie niebył zaproszony. Snać opowiadał on, że jego assistencji król nie potrzebuje, przeto niepożytecznemu posłowi raczejby przynależało do domu

się wrócić, powtóre jeśli król go zechce mieć na objedzie, u stołu swego gdzie mu miejsce dadzą. Król duński własnego syna już dezygnowanego, wysłał na spotkanie Korfa kasztelana wendeńskiego, posła królewskiego i jego u stołu przed synem swoim posadził. Słuszna rzecz powiadał, aby tąż ludzkością był traktowany poseł króla duńskiego. Oświadczał się tedy że samemu tylko posłowi cesarskiemu chce miejsca ustąpić, którym jest królewicz Kazimierz, z resztą ani posłowi papieskiemu, ani królewiczowi Karolowi biskupowi wrocławskiemu. Długo go oczekiwano aż wreszcie stęskniwszy się król wysłał do niego Rakowskiego wojewodę witebskiego, aby mu wyperswadował przyjsie na koronację królowej. Długo z nim certował, aż wreszcie dał się namówić tą racją, iż wczorajszy dzień był tylko ceremonjalny, assystencja każdego dobrowolną była. We względzie miejsca zgodzili się na to, aby poseł duński zaraz po królewiczu Kazimierzu zasiadł, a królewicz Karol, z drugiej strony po królowie siedział. Przyszedł tedy o pierwszej po południu. O drugiej godzinie ruszyła się pompa zwyczajną drogą do kościoła postępując: koronę niósł wojewoda poznański (Opaliński), berło wojewoda wileński (Radziwiłł) jabłko złote wojewoda sandomierski (Tenczyński), w zakrystji król po królewsku ubrawszy się na tronie zasiadł. Przed ewangieliją arcybiskup gnieźnieński zwyczajną ceremonią koronę na głowę królowej włożył. Na *ofertorjum* oboje królestwo w koronach na głowie szło. Ku końcowi mszy po wziętej świętej komunii królowa na tron odprowadzona. Muzyka na 20 chórów rozłożona wdzięcznemi brzmia-

ła głośy. Nabożeństwo i ceremonia koronacji zakończona śpiewaniem *Te Deum*. O czwartej z kościoła wyszli. Pawiment zasłany był czerwonym suknem aż do wschodów zamkowych. Pieniądze złote i srebrne sypano na pospólstwo. Nim dano do stołu dwie się trafiły konkurencje: pierwsza, podstoli w. k. litewskiego Tyszkiewicz nalegał u króla, aby mógł pomagać funkcji podstolemu koronnemu Gębickiemu, lecz król nie dał się namówić, lubośmy i my litwini słuszną jego pretensją uznawali. Druga, gdy już królowa z pokoju swego szła do stołu, dają znać królowi, że poseł brandeburski prawą rękę trzyma królowej, nie dopuściwszy do niej królewicza Kazimierza. Niechciał znieść tego król, aby wazał pierwszeństwo przed królewiczem trzymał; przeto posła król wzywa do siebie i każe mu iść razem z marszałkami jako szedł i poseł siedmiogrodzki, i tak sam jeden prowadził królowę królewicz Karol. Zasiadli stół tym porządkiem: Król siedział we środku, po prawej jego ręce siedział królewicz Kazimierz, po nim poseł siedmiogrodzki, po lewej ręce króla królowa, arcy księżna Klaudja królowna, królewicz Karol. Arcybiskup gnieźnieński, lubo był postem papieżkim, nie był u stołu będąc zfatygowany pracą i tak długiem ze mszą oczekiwaniem. Krajczowie i podczasi tak króla jako i królowej funkcje swoje odprawowali. Osobliwy krajezy postów Daniłowicz im potrawy rozdawał.

Marszałek koronny przełożył królowi niezgodę niewiast, chciał bowiem król aby ochmistrzyni królowej i infantki między senatorkami miały miejsce. Jakoż ochmistrzyni królowej i innym jej pannom,

z ochotą senatorki dały między sobą miejsce, ale ochmistryni królowej, że była Polka kuchmistrza koronnego żona, żadną miarą nie pozwoliły przed sobą usiąść, ale kontentować się kazały miejscem według urzędu męża swojego.

Cztery były ze wszystkiem stoły: jeden królewski, drugi senatorski, trzeci niewiast, czwarty ministrów i innych gości. Słudzy królowej i arcy księżnej posadzeni są u stołu senatorskiego, my u czwartego stołu siedzieliśmy; a że stół niewiast przykrótszy był, niektóre panny królowej i królowej do naszego stołu są zagarnione.

Tepoli szlachcic Wenecki, który z osobliwszego afektu ku królowi na wesele jego przyjechał, u naszego stołu siedział. Przeciągnął się bankiet aż do północy, król przepił do postów i do niektórych senatorów, królowa zaś przepiła do biskupa chełmińskiego (Jan Lipski) i do mnie z woli królewskiej. Po północy tańce trwały aż do drugiej, ale skromnie, król, królewicz Kazimierz i postowie okęcili się kilka razy z królową i z infantką, poczem wczasować się poszli.

14 *Września*. Dawniej od króla będąc jaznaczony na oddanie podarków nowej królowej dziś to po południu wykonałem. Sześciu kasztelanów niosło bogate prezenty, to jest: klejnoty, perły, łańcuszki nieoszacowanej ceny i wagi, to jest kasztelan sandomierski (Mikołaj Wolski), żmudzki (Jan Lacki), międzyrzycki, małogowski, sochaczewski, gostyński. Skrzynkę i zwierciadło oboje srebrne czterech dworskich dźwigało. Gdy tedy królowa ze swoją assistencją wyszła, stanęła we środku, między królewiczem Ka-

zimierzem i infantką i mnie łaskawą dała audjencją. Jam zaś przygotowaną łacińskim językiem oracją powiedział, której i król zastąpiwszy się drzwiami, chciał być słuchaczem.

Biskup Węgrzyn zakończył funkcją swoją dziękując imieniem królowej za drogi prezent królowi, mnie zaś za perorę i fatygę, oświadczając królowej nieśmiertelny afekt i miłość ku panu swojemu.

Królewicz Kazimierz imieniem cesarza krótkim conceptem klejnot oddał, imieniem zaś Kazimierza jego marszałek kasztelan Żarnowski polską perorą prezent djamentowy królowej ofiarował. Imieniem królowej jej kanclerz Trzebicki wymową i nauką znaczny, który z podkomorzego lwowskiego po śmierci żony duchownym został, drogą różę nie w ogrodzie rosłą w ręce królowej oddał. Potem nastąpili posłowie duński i brandeburski, prezentując dary od pryncypałów swoich po niemiecku perorowali; siedmiogrodzki po łacinie piękny komplement uczynił, przy oddaniu prezentu. Elektora zaś bawarskiego sekretarz prywatnie potem winszował nowej koligacji nie z prózną przybywszy ręką.

Siedli potem do stołu porządkiem wczorajszym, ale nie tą obfitością zastawionego, bo nie tak niedostatek, jako raczej zła ordynacja wstyd naszemu narodowi czyniła. Słyszałem mówiących że 40,000 kur; kapłonów 20,000; gęsi kilkaset, wołów i wszelkiego rodzaju ptastwa i zwierzyny moc niezmierna wydana była, a Bóg wie gdzie się to podziało, gdyż u naszego stołu ledwie z dziesięć potraw było; po stole, tańce trwały aż do północy.

15. Września dzień szczodroty senatorskiej zająśniał: po południu biskupi, senatorowie, a na końcu ministrowie, przez swoich przyjaciół, a najwięcej przez duchownych na to uproszonych, albo przez swoich sekretarzy dary królowej prezentowali. Najznaczniejsze prezenta były biskupa warmińskiego Szyszkowskiego, wojewody wileńskiego i dwóch ministrów, bankietu tego dnia żadnego nie było.

16. Września król sekretną miał radę z 32 senatorami.

17. Września miasta koronne i litewskie pani i królowej swojej *homagium* z podarkami przez posłów swoich oddały. Podarki ich na 200,000 szacowano.

18. Września cicho było w zamku; powiadają iż król pierwszej nocy królowej darował sumę wynoszącą na 200,000 czerwonych złotych pochodzącą z zatrzymania pensji Neapolitańskiej.

19. Września wyprowadzone były przed zamek różne bestye, jako to niedźwiedzie, dzikie konie, bawoły, świnie dzikie, byki, lecz nic osobliwego nie było.

23. Września wieczorem komedja włoska *recitativo* nazwana, odprawiła się o Stęj Cecylii z wielkiem oczu ukontentowaniem, osobliwie szybką odmianą scen, gdy teatr już w pałac, już w pokoik ś. Cecylii na organach grającej, już w morze, już w piekło, już w niebo się odmienił. Salt także gladjatorów dziwnie sztuczny wyprawiony, do podziwienia wszystkich na to patrzących pobudził. 25. Około 9 wieczorem baniera albo salty żołnierskie się odprawowały, i wozy posrebrzane spektakel czyniły; lecz nie tak się podobały

ako komedja o Stój Cécylji, lubo te 35,000 kosztowały a komedja tylko 15,000 doszła.»

Póty jest wypis pamiętników wyżej wspomnianych.

Wszystko się dobrze wspaniale i szczęśliwie odbyło, jedynie zaraz w pierwszym dniu sztuczne ognie chybiły, gdyż nietylko się fajerwerk nieudał, ale nawet ogniomistrz oparzywszy się, o mało życia niepostradał (11) Lud Warszawski dzielił zadowolenie monarchy, czego radośnemi okrzyki i powszechną wesołością dowodził.

Przytomni na tych uroczystościach posłowie cudzoziemscy znajdowali się: nuncjusz apostolski Filonardi; poseł cesarski hrabia Magni; francuski kawaler de Rose; duński baron Todt; tokański della Staffa; brandeburski Zygmunt de Brandenburg,—takoz siedmiogrodzki jako się to wyżej wspomniało.

Po zakończonych tych wszystkich uroczystościach arcy księżna Klaudja dopełniwszy zlecenia, i powierzoną sobie królowę w ręce małżonka oddawszy, uczczona, hojnie obdarzona, równie jako wszyscy orszak jej składający, 26 Września w podróż się z powrotem do Wiednia puściła. Oboje królestwo Imśc z rodziną, królewiczem i infantką; z licznym dworem odprowadzili ją do Radziejowic, dóbr wojewody łęczyckiego, gdzie wszystkich przybyłych gości oho-czy gospodarz szumno i wspaniale przyjmował. Przez cały dzień następny wesoło się tańcami bawiono, i aż trzeciego dnia królestwo Imość do stolicy wrócili.

Że się koronacja królowej nie w Krakowie, ale w Warszawie odbyła, skąd ozdoby królewskie zwo-



zić musiano, co było rzeczą niezwyčajną sprzeciwiającą się zwyczajom i ustawom.

Ta więc dawna królów stolica uważała ten wypadek za ujmę praw swoich, i tyle przez posłów województwa naleganiami swemi wymogła, iż konstytucją na sejmie 1638 r. zastrzeżono, aby (12) na przyszłość nigdzie indziej tylko w Krakowie królowe Polskie koronowanemi nie były.

Niemniej także rzecz o sprawie królowej narobiła sporów na tym sejmie, przemogła jednak trudności zachodzące, znaczniejsza królewskich przyjaciół liczba. Zapisano królowej 100,000 złp. wiana i tyleż przywianku. A to na Niepołomnicach, Kryszyńcu, Krzeczowie, Stanisławowie, Kamieńcu mazowieckim z Zawiszynem, Jadowem, Tykocinie, Surażu, Wiszniowie, Kampinosie z Młodzieszynem, Kazaniem, Ujściem, Piłą, dalej Brodnicy, Gołubiu, Tucholi w koronie a na Bobrujsku z wszystkiemi przyległościami; na Jurkosku z nową Wołą, Sokółce z leśnictwy Hodarowce, Kamienniej z leśnictwy Przerosli, Szemnie, Metellach w w. ks. litewskim z dodatkiem upominku ślubnego 2,000 czerwonych złotych mającego się corocznie z żup Wielickich pobierać, z tém jednak zastrzeżeniem, że rzeczpospolita tych summ nikomu wracać nie będzie. Służyć tylko mają do śmierci królowej (13). Niedługo po tym sejmie zszedł z tego świata sędziwy arcybiskup gnieźnieński, Wężyk. Wielu było o tę godność starających się biskupów. Królowa biskupa chełmińskiego Lipskiego, tego samego co po nią do Wiednia jeździł usilnie zalecała, miłym jej był ten pasterz nie tylko z swęj pobożności, nauki, biegłości w języku niemieckim, gdy był i w łacińskim: niepoślednim mówcą,

ale więcej że był stale domowi Rakuskiemu przychylnym. Król lubo nie lubił aby mu się żona do spraw publicznych wtrącała, nie chcąc jej jednak w początkach małżeństwa odmówieniem obrazić, rzeźzonego prałata mitrą arcybiskupią ozdobił.

Pomimo przyjemności i szczęścia jakiego król z dobrą i miłą żoną używał, nie było jednak życie jego wolne od trosków i ciężkich zmartwień. Kozacy zaczęli burzyć wewnętrzną kraju spokojność. Brat jego królewicz Kazimierz płynąc do Hiszpanii dla odwiedzenia pokrewnego swego Filipa IV. wpadł w ręce będących w wojnie z tym monarchą Francuzów, którzy go jak zbrodnia stanu z pogwałceniem prawa narodów więzili, gdzie aż do roku 1640 przesiedział. Opór Gdańszczan względem postanowienia cła morskiego także nie mało dni jego zasmucił. Te wszystkie zgryzoty, połączone z trudami wojennemi za młodych lat ponoszonemi nadwątlały zdrowie monarchy. Za radą lekarzy chcąc takowe poratować, udać się do kąpieli do Baden leżących pod Wiedniem umyślił. Woli królewskiej spieszne przygotowania odpowiedziały. Odradzali jednak niektórzy senatorowie ten zamysł, jako bez dołożenia się stanów przedsiębrany, jakoż później na sejmie wyrzuty ostre iż samowolnie kraj opuścił znosić musiał. Puścił się więc w tę podróż z Warszawy w miesiącu lipcu w towarzystwie królowej swjej żony, królowej Anny swjej siostry, tudzież wielu panów i pań polskich, którzy sobie trudy i koszt znaczny podróży przyjemnością spodziewanych zabaw i widzeniem obcych krajów wynagrodzić obiecywali. Składali to liczne grono Adam Kazanowski kasztelan sandomierski, Przerembski Maksymilian marszałek królowej Imości, Przyjemski mar-

szątek nadworny z żonami, ksiądz Piotr Gębicki kanclerz koronny, Kacper Donhof wojewoda sieradzki, książe Sapiecha, Stefan Pac kanclerz wielki litewski. Jerzy Ossoliński podkanclerzy koronny, Piotr Daniłowicz krajczy wielki koronny, Gębicki stolnik wielki koronny, ksiądz Mikołaj Gniewosz sekretarz wielki koronny i kanclerz królowej Imości, Zatorski podczaszy koronny, Mniszek kuchmistrz wielki koronny, Skarszewski podstoli sandomierski i rejent kancelarji mniejszej, Krzysztof korwin Gosiewski pisarz wielki litewski. Dalej z pokojowych królewskich Samuel Rylski starosta rabsztyński, Aleksander Żyromski podczaszy w. litewski, Feliks Pac, Platemberg koniuszy królewski, Teodor Madel, Bandis i Jan Donhof straży przybocznej dowódzca, pułkownicy: Leszterwant podpułkownik, tudzież ksiądz Stanisław Pstrokoński jezuita spowiednik, ks. Maciej Sarbiewski kaznodzieja królewski, ksiądz Marek jezuita spowiednik i kaznodzieja królowej, ks. Markwart jezuita spowiednik królowej, Jan Kacper Kraft lekarz nadworny króla, Jan Temberg chirurg i Ditrych Wigbort pomocnik, Maciej Letów lekarz i Jan Lanberg chirurg królowej, Hans Merten aptekarz, Nagola kassjer nadworny podróżny, Jerzy Karliński podkoniuszy, Daniel Kirszer pisarz oboczny, Dalewski piwniczny, Milanowski stanowniczy i trzech karłów, oprócz wielu pacholików, woźnic, i różnej dworskiej czeladzi.

Podróż do Baden zabrała dni 28, gdyż tak licznemu dworowi ani gospód, ani koni nie można było razem dostarczyć.

Na miejscu przeznaczenia stanawszy, cały miesiąc używał król kąpieli, a uczyty, bale z wielką oka-

załością i przepychem dawane, zabierały resztę pozostałego czasu. W połowie września opuścił król polski Baden, gdzie mu się może więcej rozrywki niż skutek wody, do polepszenia zdrowia przyłożył.

Wszędy króla po monarchicznemu przyjmowano, królowej miło było oglądać swą rodzinną ziemię, w Luxemburgu widziała się z cesarzową matką i całą swoją rodziną. Cesarz umyślnie z Pragi popieszył do Nikolsburga aby dostojnego gościa osobiście powitał. Bawili się z sobą dwa dni w tém miasteczku, które ich orszaki zaledwie pomieścić mogło. Dwór wiedeński chciał się tam z całą swą wystawnością i przepychem popisać, lecz choć w podróży—okazałość Polaków wszystko zaćmiła. Po miłem królowej i króla z cesarzem pożegnaniu, rozjechali się monarchowie, kaźden w swoją drogę. Władysław po trzydziesto sześcio-dniowej podróży, aż w październiku do Warszawy przyjechał, gdzie w krótce ciężko na podagrę zapadł (15).

Za polepszeniem zdrowia monarchy, zaraz z początkiem roku następnego wyjechali oboje królestwo ichmość do Wilna, na całoroczne w tej litewskiej stolicy mieszkanie. W przejeździe przez Grodno zastali czekającego umyślnie przybyłego z uszanowaniem elektora brandenburgskiego, który mile od królestwa przyjęty, przez trzy dni hojnie był częstowany. Ucieszeni panowie litewscy przyjazdem najjaśniejszych państwa do Wilna, przesadzali się w wynajdowaniu różnych zabaw i uczt dostojnym gościom. Lecz nie same rozrywki zajmowały w tém mieście Władysława, przyjmował tam uroczyście hołd Jakóba Ketlera

książęcia kurlandzkiego, wielu trudnościom w warunkach swoich podlegający, niebyłby je młody książę zwyciężył, lecz ująwszy sobie datkiem trzydziestu tysięcy talarów i obietnicą postawienia w Goldyndze i Nitawie z przywoitęm opatrzeniem kościołów katolickich królowę, ta mu u monarchy wszelakie ułatwienie wyprosiła.

Po odjeździe książęcia kurlandzkiego przyszła wiadomość o zgonie Przerembskiego wojewody tęczyckiego, marszałka dworu królowej; urząd ten lubo nienadawał żadnego znaczenia w stanach rzeczypospolitej, niemniej był jednak zazdrości godnym,— otwierał bowiem łatwą drogę do starostw, i ułatwiał wpływ do publicznych tajemnych spraw dworu. Wielu senatorów było zabiegało o tę godność, nie wiedząc że król już w czasie podróży do Baden nocując w Knyszynie u Kacpra Donhofa wojewody sieradzkiego, na wieść że Przerembski śmiertelnie chory, onemu takową obiecał. Wezwany listem królewskim Donhof stawił się niezwłocznie w Wilnie dla objęcia swego marszałkostwa. Lecz królowa nie lubiła wojewody sieradzkiego podburzona na niego od swoich panien, że podczas bytności królewskiej w Knyszynie nie razem z senatorkami i znaczniejszemi obywatelkami do stołu je zasadził, oraz że był przychylnym Kazanowskiemu i Gębickiemu nieprzyjaciołom głównym królowej, którzy ją za to nienawidzili, że często uproszeniem łask u króla, pozbawiała ich korzyści, jakieby mogli swém pośrednictwem pozyskać, i że na niechętnego im Jerzego Ossolińskiego i Gniewosza swego kanclerza była łaskawą. Rozgniewana więc że ten senator mimo jej

woli i wiedzy narzucał się na ten urząd, nie chciała o tem słyszeć, ale owszem żądała podania innych osób do wyboru swojego. Radził już nawet Ossoliński, aby wojewoda sieradzki zaniechał swojej sprawy popierać, lecz ten wsparty powagą króla zuchwale odpowiedział, że trzeba słuchać monarchy.

W rzeczy samej Władysław wziął się, upór w tej mierze żony swojej przełamać, wezwał ją do siebie i zalecał aby koniecznie Donhofa za marszałka przyjęła, królowa błagała małżonka swego, aby jej do tego nie przymuszał, mówiąc, że ma ważne odmówienia powody.

Zniecierpliwiony król odmieniwszy twarz, surowiej rzecze: «jam jest głową, posłuszeństwa wymagam a wrazie dalszego uporu woli mojej niezgodę w pożyciu uznam, co do rozłączenia małżeństwa otwiera drogę.»—Wiem dobrze, odpowiedziała wzruszona królowa, do czego jestem przysięgą obowiązana, ale w tej sprawie bardziejbym była posłuszną nieprzyjaciołom moim, którzy pana poduszczają do gniewu aby niesnaski między nami posiawszy, węzeł małżeński rozstrzygli. Marszałkowski urząd domu mego mnie jest własny, którym rozporządzenia, za co mi król broni gwałtownym sposobem? Żoną jestem królewską nie służebnicą, cesarskiego nie służebniczego urodzenia, przeto bardzo upraszam króla abym na pośmiewisko nieprzyjaciołom moim nie była podana. Na każde skinienie na wszystko jestem królowi gotowa, lecz tego uczynić niemogę, upewniwszy w tem drugiego. To wyrzekłszy łzami się zalała. Nic to jednak niepomogło, póty król zagniewaną twarz okazywał, i od małżonki stronił, póki królowa za

namową Ossolińskiego zadosyć woli jego nieuczyniła. Została więc przy królu powaga, przy królowej uleganie, a przy Dönhofie niesmak odzierzenia urzędu tak nieprzyzwoitym sposobem.

W ciągu bawienia się w Wilnie często oboje najjaśniejsi państwo zwiedzali powabne miasta tego okolicy, pobyt ich w folwarku do akademii należącym Łukiszki zwanym, płodny ówczesny rymotwórca ksiądz Jan Chądzyński jezuita mazur, wierszem pod tytułem *Floræ Lukiscancæ amœnitas* wdzięcznie opisał (16).

Król znowu na podagrę cierpieć zaczął, ale przyszedłszy nieco do zdrowia do Warszawy powrócić postanowił. Wyjechali w późnej jesieni oboje królestwo z Wilna, po drodze król w kraju zapuszczańskim po lewej stronie Niemna łowami się zabawiał, a łącząc rozrywki z pożytkiem, korzystne dla handlu upatrzywszy miejsce, miasto Władysławów, od imienia swego założył.

Odwiedził potem elektora brandeburskiego w Onxelsburgu, którego najjaśniejszych państwa z wielką czcią i poszanowaniem przyjmował i łowami na różne zwierze zabawiał. —

Następnie przybyli królestwo do Ossolińskiego 15 lipca i tam bawili do 25 t. m. 1639 r.

Za przybyciem do stolicy ogłoszona ciąża królowej napełniła serce monarchy i kraj cały radością, tém mocniej, że długa jej niepłodność, odejmowała potomstwa pożądaną nadzieję.

Dnia 1 kwietnia przed świtaniem, powiła królowa szczęśliwie syna, o czém gdy znać dano królowi, rzekł: niespodziewajcie się, ani mi winszujcie pociech,

bo wszystko mi się widzi, że nas ten syn zwiedzie i uczyni nam *prima aprilis* (17).

18 tego miesiąca ochrzcił nowo narodzonego arcybiskup Lipski nadając Zygmunt Kazimierz imiona. Rodzicami chrzestnymi byli cesarz Ferdynand z dostojną małżonką swoją, których królewicz Karol Ferdynand z królowną Anną zastępowali. Obrządek odbywał się publicznie w obecności wielu senatorów i panów polskich, ale żadnych uroczystości, ani bałów nie było, z powodu ciągłej króla na podagrę choroby (18).

Tomasz Dolabella malarz Wenecjanin pięknym pędzlem oddał urodziny królewicza, obok którego stały dwa inne obrazy, jeden wjazd drugi koronacją królowej wystawiający. Poezja przyszła w pomoc malarstwu, na uczczenie tych miłych narodowi wypadków, Jan Cynerski, Rachmatowicz wierszem łacińskim pod tytułem *Icones amenissimae serenissimae Ceciliae Renatae* u Cesarego w Krakowie 1641 r. opisał (19).

Sejm dnia 19 kwietnia rozpoczęty pod laską Jana Stanisława Jabłonowskiego podczaszego królowej imci, na który chorego monarchę z łóżkiem do izby obrad publicznych przynoszono, dla rozgłoszonej wieści o wojnie tureckiej zapłatę wojsku obmyślił, co cały czas sejmowania zabrało (20). W czasie trwającego sejmu, po dwuletnim wysiedzianem we Francji więzieniu, królewicz Jan Kazimierz do ojczyzny powrócił, a przybyły umyślnie poseł francuzki baron d'Avancourt przed zgromadzonymi stanami nieprzyjemności królewiczowi wyrządzone wymawiał. Przyjechał także tajemny posłannik dworu wiedeńskiego,



włoch augustjanin, od arcy księżnej tyrolskiej Klaudji po arcy księciu Leopoldzie pozostałej wdowie, dla darcia ułożonego między królową Cecylią a rzeczona arcy księżną w czasie podróży do Baden zamysłu—ożenienia jej syna z królowną polską Anną Katarzyną. Lecz ta największy wstręt do tego związku okazała, a gdy jej ani namowy króla ani proźby królowej skłonić nie mogły, grzecznie się wiekiem zbyt młodym arcyksiążęcia wymówiono.

W następującym roku na sejmie 20 sierpnia zaczęty, Adam Grodziecki kasztelan międzyrzecki, wniósł iż król za zgwałcenie ustawy krajowej i wyjechanie do Baden bez opowiedzi stanów—odpadać od korony powinien (21); wielkie spory wszczęły się z tego powodu, które dopiero umieszczeniem w konstytucji, iż bez zezwolenia wyraźnego wszech stanów rzeczypospolitej, za granice państwa wyjeżdżać królowi polskiemu niewolno (22) uspokojonemi zostały.—Przy końcu sejmu nadszedł do Warszawy elektor brandeburski, dla złożenia hołdu królowi. Dnia 7 października zasiadł monarcha na tronie, przed bramą zamku warszawskiego w ubiorze koronacyjnym, młody elektor Fryderyk Wilhelm otoczony licznym dworem na koniu tamże przyjechał, powitał króla mową po łacinie, przykleknąwszy za rotą czytaną przez kanclerza, przysięgę zwyczajną wykonał, i dyploma na lenność Prus odebrał, po czem go król na krzesła podle siebie posadził. Po tym całym obrzędzie król do swoich a elektor do królewicza Jana Kazimierza pokojów zaprowadzony został, gdzie go królowa z całym dworem spotkała i uprzejmie powitała a bankiet wspaniały dzień ten świetny zakończył.

Nazajutrz oboje królestwo ichmość wzajemnie byli na uczcie u elektora brandeburskiego, któren im w pałacu Ujazdowskim dla siebie na mieszkanie przeznaczonym wyprawił.—Przed wyjazdem elektor króla, królowę, królowę Annę, senatorów i innych panów obdarzył. Był to ostatni raz oddawany hołd książąt pruskich. W późniejszych nieszczęśliwościach Polski, umiał się elektor od wszelkiej podległości rzeczypospolitej wyłamać i potęgę swęj nowęj monarchii na gruzach Polski założyć.

W miesiącu styczniu 1642 r. ucieszył się król pomnożeniem potomstwa swego, królowa powiła córkę, której dano imie Marjanna, odłożywszy chrzest do przybycia posta hiszpańskiego, swego monarchę w tym obrzędku mającego zastąpić.

Druga pomyślność dla dworu panującego nastąpiła: książę Filip neuburski, syn książęcia Wolfanga Wilhelma wojewody Renu w celu starania się o rękę infantki polskiej królownej Anny do Warszawy przyjechał. Wysoka rodowitość z piękną urodą, kształtną postacią, polorem, naukami, i obyczajnością, w osobie młodego książęcia połączone, podobały się królownie. Zaręczyny dnia 4 kwietnia, a ślub 3 czerwca dostojnej pary, były dla dworu i stolicy wesołych zabaw powodem, a zgromadzeni na sejm w tym czasie senatorowie nader ludną i świetną Warszawę zrobili.

Hojnie król siostrę uposażył, gdy jęj w różnych summach więcj dwóch milionów talarów oprócz klejnotów i bogatej wyprawy wyznaczył. Dnia 29 czerwca odjechali nowożeńcy do Neuburga dokąd ich królewicz Jan Kazimierz, a sam król do Częstoch-

wy odprowadził. Pierwszy nocleg był w Radziejowicach, gdzie oboje królestwo z licznym dworem hojnie podejmowani byli. Król dopiero 25 lipca do stolicy powrócił.

Na tém zszedł rok bieżący, w którym jednak mimo tylu powodzeń, śmierć przedwczesna nowo-narodzonej córeczki Marjanny królestwo ichmość zasmuciła. Nagromadziły się prócz tego na króla różne dolegliwości, choroba kamienia i podagra dręczyły ciało a umysł z wstąpienia do Jezuitów królewicza Jana Kazimierza w Rzymie, niemałym zmartwieniom podlegał; do tego ogromne długi dla zbytnej przyrodzonej hojności zaciągnięte zatruwały spokojność króla i często go na największy niedostatek wystawiały. To jedno złe nadspodziewanie z łatwością usunięte zostało, gdy sejm pod laską Jerzego Lubomirskiego, dnia 12 lutego rozpoczęty a 27 maja 1640 r. ukończony, wszystkie te długi zapłacił (23).

Po ukończonym sejmie wyjechali oboje królestwo ichmość 9 sierpnia do Litwy dla przyjmowania znakomitego i sławnego z późniejszych nieszczęść swych gościa, młodszego syna króla duńskiego, księcia Waldemara, do Moskwy dla ożenienia się z Eudoksją carówną, przejeżdżającego. Młodzieniec ten przez pobyt dwutygodniowy w Wilnie wielkich względów od obojga królestwa doznawał; bawiony łowami, częstowany, szanowany, przez całą Litwę kosztem królewskim podejmowany—przejęty był wdzięcznością. Po jego odjeździe 22 grudnia oboje królestwo z całym dworem odprawili krótką przejażdżkę do Żyrowic, a 2 stycznia 1644 r. z tamtąd do Różanny pięknej majątności Kazimierza Pawła Sapiechy marszałka w. litewskiego,

którego król osobiście szacując, dom jego wraz z królową, kilkodniową bytnością swoją zaszczycił (24),— a zatmożny gospodarz hojnie i wspaniale monarchę swego przyjmował. Za powrotem do Wilna odebrał król nader przyjemną wiadomość o przeważnych nad Tatarami pod Ochmatowem przez Koniecpolskiego Stanisława kasztelana krakowskiego hetmana w. koronnego, i pod Sinemi Wodami przez Łaszcza odniesionych zwycięztwach. Lecz ta radość krótko trwała była, owszem zamieniła się w najokropniejszy smutek, gdy serce monarchy zgonem królowej Cecylii boleśnie dotkniętém zostało, tém żałośniej że mocne jęj zdrowie i silna budowa ciała, dłuższe od chorowitego Władysława wróżyć kazała życie. Przyczyna śmierci była wstrząśnienie się i przełęknienie gwałtowne gdy się znajdowała z królem w okolicach Wilna na polowaniu. Wtedy będąc trzeci raz ciężarną płód nieżywy porodziwszy po dziewięcio dniowej chorobie 24 marca 1644 r. w wielki czwartek przed południem życie swe cnotliwe i bogobojne zakończyła. Umierając, przed skonaniem, w przekonaniu że dusza jęj bez zmazy i grzechu na wieczne mieszkanie sprawiedliwych do niebios przechodzi, powtarzała: O świecie nieczysty, nic z tobą nigdy wspólnego nie miałam (25).

Oblał król rzewnemi łzami tę stratę, a żałobną szatą smutek swój po ukochanęj małżonce okazywał, która lubo urody nie była powabnej, ale cierpliwością, łagodnością, dobrocią, i innemi przymiotami hojnie to nagradzając, potrafiła i króla serce i miłość powszechną narodu dla siebie pozyskać.

Od najdawniejszych bowiem czasów dom austrja-

cki starał się swe arcy-księżniczki obok królów polskich na tronie osadzać, a to w celu zyskiwania przez nie wpływu do spraw rzeczypospolitej, i aby potem za sposobną upatrzoną porą któremu z książąt swego rodu koronę polską zapewnić. Francja zazdrośna wszelkich Austrii pomyślności, niezanieczywała nigdy oddalania i zrywania takowych związków, starając się z swjej strony inne nasuwać. Ale nie zawsze te arcy-księżniczki odpowiadały widokom wiedeńskiej polityki, z tych liczby była Cecylia Renata, obdarzona zdrowym rozsądkiem, zachowująca się ściśle w przyzwoitych płci swojej przepisanych granicach, posiadająca wszystkie cnoty osobę jej stanu i urodzenia zdobiące, starała się być dobrą żoną, troskliwą o dzieci matką, szanującą spokojność króla i swoją, niewdawała się w sprawy państwa zostawując mądrości męża takowych bezpośredni kierunek.

Dwór polski za jej przybyciem nowym blaskiem zajaśniał, odnowiło się w nim zaniedbane w czasie wdowieństwa Zygmunta III i bezzennych lat Władysława—wesele i przyjemne towarzyskie życie; królewiczowie, królowna siostra królewska podniecali zabawy, a król dla przypodobania się młodej małżonce, chętnie się do takowych przykładał. Każde zapusty, świetne bale, sceniczne widowiska, gonitwy rycerskie, szcwalnie rozmaitych dzikich zwierząt, uprzyjemniały krajowcom i cudzoziemcom pobyt w stolicy. Towarzyszyły te zabawy wszędy gdzie się tylko królestwo ichmość z dworem swoim udali, bo zamożność panów polskich przesadzała się w przepychu

okazałości, wystawności i guście, aby godnie uczcić i rozweselić swych dostojnych gości.

Komedje włoskie *recitativo* weszły wówczas w modę, taką księżę Radziwił zwyż wspomniony, pięknymi kolorami maluje, mówiąc: «Komedja włoska *recitativo* o świętej Cecylii 23 września 1637 r. w Warszawie z wybornie urządzonemi dekoracjami wystawiona,—osobliwie zadziwiały szybkie odmiany scen, gdy teatr już to w pałac, już w grotę, już w pokoić świętej Cecylii na organach grającej, już w morze, już w piekło, już w niebo się przeistaczał. Poczém balet nazwany saltem gladjatorów widowisko zakończył. We dwa dni później powtórzone były zabawy zwane salty żołnierskie. Najprzyjemniejsze zabawy bywały bale maskowe, które nazywano *Wurtzhaus*; odbywały się one w ten sposób: naprzód popisano kartki, na których były wyrażone różnego stanu, kraju i urzędów osoby. Te król, królowa, królewiczowie, księżęta i panowie wybierali, a kaźden jaką mu los rolę przeznaczył, taką przyjąć był obowiązany; to tylko było szczególnością, że zawsze kartkę gospodarza nigdy mniej zamoźny, lecz zawsze szczodry i zasobny w dostatki bogacz wyciągał. I tak w roku 1642 gdy podawał powód wesołości przybyły do Warszawy starający się o rękę królewny księżę neuburski, 27 lutego był wielki bal maskowy, w którym z kartek losem wyciągniętych gospodarzem był Stanisław Koniecpolski kasztelan Krakowski, pierwszy senator królestwa,—kupcem Jakób Sobieski wojewoda ruski, co ich nie mało kosztowało pieniędzy, które pierwszy na bankiet, drugi na towary, oczywiście darmo damom ofiarowane wydać musieli. Król zo-

stał murzynem, królowa służebną, królowna żoną kupca, Albrecht Radziwił kanclerz w. księstwa litewskiego pasterzem, a jego żona żołnierką, i tym podobnie. Każden z pań i z panów rozmaity urząd w tej wesołej zabawie uzyskał. Także w roku 1644 król z królową zapustowali w Wilnie, wystawiono komedję pocieszną Pantaleona, poczem rozdawano kartki: na drugi już *Wurtzhaus* gospodarzem został książę Aleksander Radziwił, marszałek w. księstwa litewskiego,—król dostał kartkę chłopca francuskiego, królowa jego żoną się znalazła, Albrecht Radziwił kanclerz w. litewski sługą do stołu, Sapiecha marszałek nadworny litewski chłopem węgierskim,—kanclerzyna Radziwiłowa jego żoną i t. d.

Pomimo tych zabaw i wesołości nieraz serce królowej boleśnie dotkniętém było i niemając przyciśnione zmartwieniem. Sprawa o marszałkostwo jej dworu Donhofa, jako się wyżej opisało, nie mało jej dokuczyła: jadąc 1639 r. w miesiącu lipcu z Wilna wraz z królem, gdy jej król ostro przyjęcie Donhofa zalecił, królowa smutna z zapłakanemi oczyma osobno się przez Niemen z królowną przeprawiła,—król lubo ją napotkał na pagórku, kędy się dla obejrzenia dwudziestu i kilku dział dziwnej wielkości na Moskwie Sekinowi zabranych był udał, przeszedł koło niej obojętnie słowa nieprzemówiwszy. Dotknięta takim obejściem królowa zemdląła i ledwie ją kanclerzyny Radziwiłowej i panny Eckerin do zmysłów przywróciły starania. Taż sama panna Eckerin padła ofiarą zazdrości i intryg dworskich. Była to ze wszech miar zacna, godna panienska, razem z królową wy-

chowana mająca jej zupełne zaufanie, często w różnych pocieszała zgryzotach, atoli zazdrośni przychylności królowej starali się ulubioną od boku pani odsunąć i do tego stopnia rzecz doprowadzili, że za wolą królewską pomimo też królowej, do Wiednia panienkę, wyliczywszy na podróż 10,000 talarów i 10,000 złotych pensji rocznej zapewniwszy, odesłano.

Umiała muza Sarmacka czcić cnoty Cecylii Renaty. Florjan Lepiecki, akademik krakowski, panegiryk weselny pod tytułem: *Felicitas Poloniae* (26) podobny panagiryk Kacper Gelazyusz Lwowczyk (27) Stanisław Osędski także akademik krakowski *Cythara Nowodworsciana in Adventu Cracoviae Vladislai IV, et Cecyliae Renatae nomine scholarum* w Krakowie u Cezarego (28), Joachim Speronowicz również akademik krakowski *Charitae Lechiae* powinszowanie małżeństwa, Jan Rywocki jezuita *Jcon Votorum Vladislai IV, Regis et Ceciliae Renatae Austriacae* (29) i Jakób Vitelliusz wiersz weselny pisali. Urodziny królewicza Zygmunt Piotr Ciswicki scholastyk poznański, włoskim, wierszem wystawiał (30), a zgon jej Mikołaj Żabicki (*Mortalis Occasus in terris immortalis ortus in Coetis Cecyliae Renatae Reg. Polon. 1644 Varsaviae*) (31) a za nim wyżej już wspomniony, co jej wesele sławił, Florjan Lepiecki, siedm elegii pod tytułem *Lampas*.....  
..... Jan Rucki kanonik Krakowski (wiersz wyborny) pod tytułem: *Depositum mortalitatis* opiewali. Lecz łązy ubogich i sierot, które ona hojnie jałmużną wspierała były dla niej najpiękniejszą pochwałą. Ciało królowej przy czterech do tego wyznaczo-



nych senatorach z Wilna do Warszawy przewieziono, gdzie w zamku aż do miesiąca czerwca zostawało, W tym miesiącu, dnia 20, w Krakowie przywiezione zwłoki w grobach królów pochowano. Rodzeństwo jej było Ferdynand III. cesarz, Marya Anna elektorka bawarska i arcyksiążę Leopold. (32)

*Wojciech Dobięcki.*

#### PRZYPISY

(1) Geschichte der Osterreichischen Monarschi v. Fr. Michel Reiser pag. 235 Tom III. (2) Dzieje narodu polskiego za panowania Władysława IV. Kwiatkowski str. 124 do 139. (3) Pauli Piasecii Chronica Gestarum in Europa Singularium pag. 574. (4) Życie Jerzego Ossolińskiego wyd. Mostow. str. 210 (5) Kwiatkowski str. 130. (6) Reisen str. idem. (7) Piasecki str. 588. (8) Codex diplomaticus Doyeil Tom I. str. 307. (9) Kwiatkowski str. 162. (10) Ks. Szymon Naruszewicz kazanie pogrzebowe C. 12. (11) Lauterbach Polnische Chronica pag. 584. (12) Volumen Legum III. str. 945. (13) Idem 926. (14) Kwiatkowski str. 206, 221, 230. (15) Piasecki str. 599. (16) Siarczyński obraz wieku Zygmunta III. Tom I. str. 73. (17) Ambroży Grabowski przypowieści dawnych Polaków str. 113. (18) Kwiatkowski str. 241. (19) Juszyński Dykcjonarz poetów polskich Tom I. str. 51. (20) De Jur..... Regnandi Fundament..... in Regno Poloniae David Braun pag. 59. (21) Siarczyński str. 165. (22) Vol. Leg Tom IV. str. 4. (23) Idem str. 50. (24) Kwiatkowski str. 279. (25) . . . . . pag. 226. (26) Sołtykowicz ostatnie akadem. krakow str. 483 (27) Juszyński str. 94. (28) Idem Tom II str. 27, 100. (29) Niesiecki korona polska Tom III. str. 927. (30) Bandkie Histor. drukarń. w kr. pol. Tom III. str. 183. (31) Niesiecki Tom IV. str. 628. (32) Reiser idem.

## KILKA SŁÓW

# O KOMEDJACH SHAKESPEARA.



Zamierzając podać kilka uwag o komedjach Shakespearu, a mianowicie wykazać charakter i stosunek tychże do komiki w ogólności, musimy przede wszystkim zwrócić uwagę na różnicę i stosunek komedji starożytnej do nowożytnej, która z innych żywiołów złożona, na innych oparcia szukać winna posadach.

W przeciwieństwie do świata starożytnego, nowa chrześcijańska epoka zajęła się czynnie wykształceniem indywidualności i stosunków pojedynczego człowieka do rodziny. Duchowo obyczajowa treść, wewnętrzne znaczenie człowieka, znajdowało w starożytności tam

tylko punkt przełomu, gdzie interes publiczny miał miejsce, i dla tego też najwznioślejsze dzieła starożytniej poezji, wewnętrznym węzłem ze stosunkami państwa się łączą. Ponieważ zaś w nowszych czasach stosunki rodzinne tego są rodzaju, iż w nich siła i istotna wartość indywidualności pojawiać się może—dzisiaj zatem nie potrzeba się już zwracać do życia publicznego dla wzniesienia się w sferę idealnego ducha. Przyczynę tego zasadniczego przeistoczenia wewnętrznych i zewnętrznych stosunków szukać przedewszystkiem należy w religii, która przenikając wszystkie żywioły rzeczywistego świata, nową duchową utworzyła całość. Chrześcijaństwo wznosząc sztandar niezależności wszystkich indywidualuów, zniósło tem samem na zawsze różnicę panów od niewolników, tak jak stosunek ten do owego istniał czasu.

Dla tej samej przyczyny niepozostały nadal kobiety—dla tego że są słabsze, podległą mężczyźnie płcią, ale natomiast zyskały nieznaną starożytności cześć i uszanowanie. A skoro niewiasta mogła znaleźć pole do okazania szlachetności swego umysłu, wdzięku i uroku prawdziwie pięknej duszy,—i miłość mężczyzny musiała przybrać postać odmienną od dotychczasowych kształtów. Z tak oczyszczonem po większej części uczuciem od surowych zmysłowych żywiołów,—z namiętnością sięgającą aż do głębi duszy, mogło się już w rzeczywistości pojawiać wszystko co pierś nasza najszlachetniejszego i najwznioślejszego w sobie zawiera.

Koniecznym było następstwem ażeby to wewnętrzne przekształcenie społecznego życia wpływ swój

wywarło na nowo tworzącą się *komedią*, powstałą na gruzach komedji greckiej, lecz obfitszą i bogatszą od niej w treść, wspanialszą i świetniejszą w kształtach. Naprzód napotykamy w działających charakterach większą rozmaitość, tém spowodowaną, iż każdy stan w właściwej sobie występuje postaci. Ponieważ ziemianie, wojskowi, mieszczenie, uczeni, urzędnicy, wyższa i niższa szlachta do nowożytnej wchodzi komedji, musi przeto przy zewnętrznym ruchu większe nastąpić przeciwieństwo, a tém samém i większy interes — silniejszy węzeł dramatyczny. Nierównie zaś wyżej wznosi się wewnętrzna poezja komedji przeto, iż niewiasta może przecież żyć wdziękiem i naiwnością i życie to urzeczywistniać. Gdy zaś niewiasta nierównie lepiej intrygą kierować zdolna a niżeli mężczyzna, charektery przeto kobiece winny właśnie najwięcej wpływać na węzeł dramatyczny, tak ażeby interes nie był ani na chwilę przerwany. To przynajmniej pewna, iż bez charakterów kobiecych, — bez tego życia, które się wszystkim momentom akcji udziela, nowa romantyczna komedja utraciłaby znamienitą część istotnej swój piękności.

Głównym węzłem większej liczby komedji, jest miłość, a zakończeniem zwykle *małżeństwo*, z którem się poczyna proza życia. Pod tym przeto względem starożytna i romantyczna komedja tę samą mają treść; zachodzi tylko różnica w sposobie jej obrobienia. Tam nawet gdzie w greckiej i rzymskiej komedji namiętność wznosi się do pewnej powagi, zachowuje wszakże bardzo ograniczoną i zależną postać — i nie jest

w stanie wszystkie w umyśle drzemiące siły do życia powołać.

W romantycznej dopiero komedji dostrzedz to możemy. W niej bowiem — ponieważ towarzyskie stosunki pozwalają grze namiętności we wszystkich oddziaływać kierunkach—sfera przeto ta, która dotąd zwyczajny, poziomy charakter na sobie nosiła, musi się zmienić w świat poetyczno-idealny. Oprócz tego romantyczna komedja pojmuje w ogólności życie indywidualne—z istotniejszej strony—ze stanowiska jakiego ono do całości zajmuje. Gdy bowiem poeta wołę i humor—w których się charakter pojawia—nie w odosobnionym uważa względzie, ale raczej pozorną przypadkowość z wewnętrzną naturą człowieka łączy, musi przeto—wola i konieczność—charakter i przeznaczenie, w ścisłą wejść z sobą styczność, a ztąd i filozofia życia w wesołej okazywać się grze. Z téjże samej wszakże przyczyny, przedstawienie namiętności w prawdziwej komedji nie jest jej ostatecznym, rzeczywistym celem;—miłość bowiem podaje tylko poecie powód do przedstawienia tajemnic życia, i do wzniesienia zasłony, która w zwyczajnym świecie istotę rzeczy zakrywa.

Stanowisko to nowożytnéj komedji rozległe otwiera pole indywidualności poety, i dla tego téż komedję w rozmaitych różnych od siebie wykształciło postaciach. Dwa są w ogólności główne kształty które komedja przybiera. Albo świat w ogólności komicznie bywa przedstawionym, albo téż poeta — w bardziej oznaczonych stosunkach, w pojedynczych charakterach i położeniach komiczność wykazuje. W komedji greckiej i rzymskiej różnica ta jest bardzo znamienitą,

jakkolwiek nie w tej samej wyrazistości oba powyższe kształty pojawiają się. Duch nową kierujący sztuką—bardziej wykształcony, śmielszym jest nierównie w łączeniu ostateczności, i dla tego też różnice sprzeczności i przeciwieństwa nie mogą dziś tak jednostronnie i wyraziście jak w starożytności się objawiać. Przechodząc główne postacie nowożytniej komedji, następujące uczynić możemy różnice.

Poeta przedstawia rzeczywistość w ogólności w duchu chrześcijańskiego światowego zapatrywania się, to jest: *humorystycznie*. Pojęcie to nie przeszkadza bynajmniej ażeby zarazem zadość stać się nie mogło istotnym warunkom prawdziwego dramatu, który wymaga gruntownego rozwinięcia pojedynczych charakterów i akcji—do pewnego dążącej celu. To przynajmniej pewna, iż *Shakespeare* w wielu komedjach za równo humorystyczne jak i rzeczywiście dramatyczne zaspokaja względy.

Bywa wszakże częstokroć, iż poeta oddając się zupełnie temu co humorystyka mu podaje, porzuca czystą formę dramatu, i w żadne karty nieujętej się oddaje fantazji,—jak to widzimy w romantycznych komedjach *Tiecka*. Częściej jednakże od tej gry ze światem w ogólności, poeta, któremu istotnie brakuje na fantastycznym polocie do właściwego humoru, wynajduje komiczność w sposobie starcia się z sobą charakterów i zawikłania akcji. Przy takim postępowaniu, znów dwa rodzaje komedji rozróżnić należy. Albo poeta ma na celu akcją tak powiązać i intrygą powikłać, iż przy rozwiązaniu, pojawia się niezmierna bystrość poetycznej djalektyki, (Hiszpanie

mistrzami są w tym względzie, mianowicie w wynalezieniu intrygi, szczególnie zaś *Moreto* i *Calderon* albo też poeta zwraca szczególną uwagę na indywidualność i przedewszystkiem stara się ażeby niedorzeczność i błędy pojedynczych osób jawnie i wybitnie okazały się w śmieszność wzbudzających położeniach i wesołych zarysach charakterów. Na tej drodze wykształca się komedia charakterystyczna (*Molière*).

Przechodzimy do właściwego założenia naszego.

Komedje Shakespeara należą niezaprzeczenie do *humorystycznych κατ' ἐξοχήν*, w których ze stanowiska samejże idei życie w najrozlicniejszych pojętém bywa kształtach, i wszystko na sobie ogólny nosi charakter. Wprawdzie akcja częstokroć ogranicza się na życiu rodzinném, lecz z idei wychodzące światło łączy nawet wszelką pojedynczą drobnostkowość wewnętrznym węzłem z tém co stanowisko absolutnego ducha stanowi, okazuje w społecznych stosunkach prawdę pojedynczym charakterom właściwą. Gdy zatem żadne tamy polotu fantazji nieograniczają i interes indywidualny właśnie w idei się rozwiązuje, humorystyczne przeto komedje należą do swobodnego świata poezji.

Podobnie do Arystofanesa niezanie dbuje Shakespeare w swych komedjach negacyjnego momentu, i częstokroć wykazuje jak idealna natura—ową wyższą istotą człowieka z łatwością w czczy pozór przechodzi i w śmieszność się przekształca. Widzimy niekiedy jak niedorzeczność, ograniczoność, łącznie ze słabościami serca, uporem i egoizmem, w bliskim zostając z właściwem złem pokrewieństwie, wdzie-

rają się w świat towarzyski i obyczajowy. Ale również z drugiej strony napotykamy w tych komedjach bezpośrednio na to co rzeczywistość najpiękniejszego i najwznioślejszego przedstawia. Poeta miał połączyć z przemijającymi światowemi pozorami i błędami — ową głębokość uczucia, — ową szlachetność ducha i poświęcającą się miłość, która dopiero w nowszym chrześcijańsko-romantycznym świecie objawiać się począła. Dla tego też komedja Shakespeara nie przedstawia nam nigdy samych tylko niedorzeczności, błędów i zgorzenia. Lecz jak z jednej strony natrafiamy tu i owdzie na rysy istotnie złego, a częściej wahaających się w słabości dążeń, widzimy natomiast z drugiej szlachetne charaktery, które, jakby reprezentanci prawdy obyczajowej, zawsze umysł do wyższych wznosić będą celów. I dla tego też zbyt ostre różnice komedji greckiej łagodzą się w romantycznym dramacie. Śmiała ironja, swawola w wielkich rozmiarach, dawniej komedji właściwa, nieznika i tutaj, lecz wyśmianie świata przechodzi w szczerzy uśmiech, w wesołą rozrywkę, jako znak pojednania wewnętrznej prawdy z przedmiotowością. Z tej również przyczyny gdy oznaki tego wesołego życia w postępie z dramatu same się pojawiają, przeto i osobna, od akcji zupełnie oddzielna liryczność, zbyteczną byłaby tylko ozdobą. Lecz jak w poważnych Shakespeara dramatach filozoficzne rozmyślenia i uwagi działających charakterów częstokroć znaczenie chórów dawniej tragedji przypominają, tak też i ów szat wesoły pieśni Arystofanesa z życiem dramatycznem komedji Shakespeara nierozdzielnie jest złączonym.

Co się układu pojedynczych komedji Shakespeara



ra tycze, na zbyt wielką natrafiamy rozmaitość, ażeby pewny system, choć w różnych kształtach powtarzających się pojęć za zasadę położyć było można. W ogólności wszakże na dwie klasy podzielić się dają. W pierwszych bez zamiaru odsłonięcia istotnych tajemnic życia, pokazuje poeta jak życie nasze powierzchownie się tylko urzeczywistnia i w wesołej objawia czczości. Do téj klasy należą: *merry wives of Windsor* (wesołe kobiety Windsor), *two gentlemen of Verona* (dwaj panowie z Werony), *comedy of errors*, — *all's well that ends well* (koniec wieńczy dzieło),—i *taming of the skrew* (upór poskromiony). Jakkolwiek dramata powyższe z pomiędzy innych komedji Shakespeara najbardziej w kształcie się zbliżają do komedji charakterystycznych i intrygowych,—wznoszą się jednakże nad sferę w której zwykła kołuje komedja. Stanowisko bowiem z którego w nich poeta na świat spogląda jest zupełnie ogólne, niezależne od jednostronnych moralnych lub psychologicznych względów. Wspomnijmy tylko na «upór poskromiony», gdzie uparta i prawie zupełnie dzika dziewczyna przez silną wolę i stałość mężczyzny jakby zmienioną zostaje; tak iż z początku niczem nieprzekonana, pohamować się nie dająca śmiała dziewica—następnie jako powolna, zupełnie mężowi poświęcająca się i posłuszna żona się okazuje. Podług założenia zatem i wykonania téj komedji wraz z poetycznym, musi zarazem i psychologiczny interes być zaspokojonym. A jednakże «upór poskromiony» nie przedstawia charakterystyki w zwyczajnem tego wyrazu znaczeniu, lecz raczej wznosi widza na niezależne poetyczne stanowisko. Cel ten osiąga poeta naprzód przez śmiałe żarty i ową peł-

ność dowcipu, którą pojedyncze części dramatu jakby były przepełnione, a potem, przez to, iż przekształcenie Katarzyny nie jest jedyną treścią komedji. Przez staranie się bowiem trzech zalotników o Biankę i ztąd wynikające intrygi, utworzona druga połowa dramatu, przeszkadza widzowi do powzięcia jakiegokolwiek szczegółowego interesu, sprzeciwiającego się czysto dramatycznym względom.

Do drugiej klasy należą komedje w których w przeciwieństwie do wesołego świata pozorów i ułudzeń, do życia na wewnętrznych ograniczonego względach, występują grupy bezpośrednią odziane powagą, okazujące prawdziwe życia znaczenie. Do tej klasy policzymy następujące komedje: *twelfth night, or what you will* (przez Johna of Dycalp pod niewłaściwym tytułem «północna godzina» przetłumaczona) (\*), *love's labour's lost* (próżne zabiegi miłosne), *as you like it* (jak ci się podoba), *much about nothing* (wiele hałasu o nic), — i *merchant of Venice* (kupiec z Wenecji).

I tak wspomnijmy na «północną godzinę». W komedji tej charaktery pierwszą stanowiącą grupę tego są rodzaju, iż według zwyczajnego rozumienia żadnej w sobie nie zawierają konieczności, i raczej zbliżają się do tak zwanych idealnych postaci. Do nich należą: posepny w swęj miłości dla Olivii książę, żałująca śmierci brata Olivia, i Viola nawet w męskim przebraniu nie tracąca szlachetności i uroku niewieściego. W sprzeczności do tych poważnych charakterów widzimy jako reprezentantów właściwej śmieszności, — pedanta Malvolio, pijaka Tobjaśza i niedołęznego gnuśnego Andrzeja.

(\*) *Twelfth night* istotnie znaczy; noc trzech króli.

Nakoniec błazen w pośrodku obudwu stojący grupp i dowcipem swym raz jednych, raz drugich rażący, i zarazem postawiony w możności siebie samego i cały świat sparodiować, jest jednym z najgieniałniejszych utworów na humorystycznej niwie.

Mogłoby się na pierwsze wejrzenie zdawać, iż przez wprowadzenie do tych komedji — obok śmieszności światowych, tak zwanych idealnych charakterów, komiczność słabnąc musi, ustępując miejsca właściwej powadze. Lecz jakkolwiek komedje te w pojedynczych swych częściach składowych, częstokroć ścisłą mają styczność z przeciwnym sobie w charakterze i formie dramatem, stanowisko wszakże światowe i społeczne, które im za zasadę służy, cechy istotnej konieczności bynajmniej nie utracą. Życie albowiem, w każdym rysie z tej pojętém jest strony, która do wesołej gry pole otwiera, i na tej drodze w rozwiązaniu prawdziwą rodzi powagę. Powaga zatém w komedjach Shakespeara zawarta, nie jest zupełnie rozwiniętą, to jest rozwinięcie jej nie jest samoistne, lecz o tyle tylko się okazuje, o ile rzeczywista wesołość istotną zasadę życia społecznego oświeca.

Gdyby zaś dramata powyższe nie zawierały w sobie poważnych postaci, treść ich nie mogłaby być tak obfitą i bogatą, — ani byłaby w stanie wykazać prawdy rzeczywistego świata. W prawdzie, gdyby owe poważno-idealne grupy dla siebie tylko istniały, bez wewnętrznego związku ze światem śmieszności, dramata powyższe nie mogłyby na sobie nosić cechy prawdziwych komedji. Powaga i wesołość, jakkolwiek w jednym zawarte dramacie, byłyby zupełnie

odosobnione, — co ilekroć się zdarza jest znakiem estetycznej niedojrzałości. Lecz takie obrobienie przedmiotu nie leży w charakterze Shakespeara, i sprzeciwia się najwyraźniej właściwej mu ironii.

Poeta nasz umie kontrastujące o dramacie grupy w ścisły z sobą sprowadzić związek, tak iż części powagą oznaczone muszą wydać się podobnemi do tych, które bezpośrednio jako śmieszne występują; jak równie i świat śmieszności spokrewnionym się być zdaje z tém co istotną powagę stanowi. I tak, widzimy w przytoczonej już «północnej godzinie» iż nawet owa miłość, w idealnej zawarta sferze—z łaćtwością z jednego do drugiego przechodzi przedmiotu, kaprysem i przypadkiem rządzoną bywa. Jakże nietrwałą jest namiętność, którą posepny książę ku hrabinie Olivii pała, gdy z taką łaćtwością od niej odstępuje, i zapał swój przebranęj za mężczyznę Violi poświęca. A nawet namiętność hrabiny dla mniemane go Cezaria okazuje się zupełnie zależna od przypadku,— a gdy się wyświeca iż Oliwią z bratem Violi którego pierwszy raz widzi, nie zaś z Cezario śluby złączyły — jakże prędko zdziwienie jej niknie i następuje zupełne pojednanie się z tém co się przytrafiło. Nie można zaprzeczyć iż dość nieszczęśliwie wyszedł w tym dramacie margrabia Malvolio, który dla pozyskania miłości hrabiny podwiązki na krzyż wiąże, żółte pończochy wkłada, i z wszelką przynależną powagą usta w uśmiech stroi. Lecz czyż on jeden w nadziejach swych się zawiódł? Czyż czuła—romansowa—hrabina, i rzewny, ponury książę nie omylili się wielce w ożeniamin własnych namiętności, które całą ich istotę zajmować miały? czyż

te tak zwane poważne haraktery niebyły poddane rzeczywiście komicznej grze przypadku i humoru?

Oile zaś komedje Shakespeara z jednej strony wykazują, iż świat idealny ścisłą ma styczność z komicznością, o tyle z drugiej, świat śmieszności, w ostrych i wydatnych wystawiony rysach, nie przechodzi nigdy w próżną czczość. Nie można dość podziwiać Shakespeara za sposób z jakim tenże najwyższy stopień ograniczenia i głupoty w chłopach, pasterzach, rzemieślnikach i starych sługach sądowych wykazuje. Moznaby powiedzieć, iż mianowicie przez wprowadzenie w życie kilku powyższych postaci wystawił Shakespeare taki wzór głupstwa iż w indywiduach rzeczywistego świata częstokroć widzieć nam się zdaje tylko wierne naśladownictwo owego pierwotnego typu—niezartem przez poetę nacechowanego<sup>o</sup> rysami. A jednakże haraktery te, niezostawiają po sobie samych tylko wrażeń głupstwa lub znękanego życia, gdyż kształty rzeczzone zachowują w sobie pomimo to wewnętrzną istotę ludzkiej natury, i częstokroć nawet przy całej swęj ograniczoności, są jednak obdarzone owym szczególnym darem szczęśliwego znalezienia się i trafnych odpowiedzi.

Stanowisko Shakespeara—wzniesione nad zwyczajne następstwa świata prozaicznego—prowadząc do najśmielszych obrazów poetycznej komiki, w rozwinięciu swém musi w sobie i *fantastyczne* objąć żywioły. Widzimy to w następujących komedjach: *Mindsummer night's dream* (sen w wigilią Sgo Jana), *tempert* (Burza), i *Winter's tale* (powiastka zimowa). Z tēj przyczyny komedje te, jakkolwiek do drugiego

należące oddziału, szczególny, sobie właściwy noszą charakter, i pod innemi też względami uważane być winny. Na pierwsze wejrzenie zdawać by się mogło, iż w nich poeta zupełnie chce pominąć granice prawdy rzeczywistych stosunków. Otwiera przed naszemni oczyma magiczny świat snów i baśni, łącząc do dziwnych częstokroć przerażających cudów, i urocze obrazy.

Jak z jednéj strony wchodzą na scenę Elfy i Gnomy, a raz nawet jakieś pośrednie między złym duchem, zwierzęciem, a człowiekiem stworzenie,—tak z drugiejj również, czasy i narody w fantastycznym pomieszane są nieładzie. Osoby północnych baśni, Oberon i Tytania i zależne od nich duchy schodzą się w «śnie w wigilię Sgo Jana» z bohaterami Grecji z Tezeuszem i królową amazonek Hippolitą. W «powiastce zimowėj» natomiast, gdzie tak wiele scen przypomina życie dworskie nowszych czasów, gdzie jest wzmianka o cesarzach, o Juliuszu Romano, i t. d., wchodzi również i wyrocznia delficka, a osoby działające przenoszą się z Sycylii do Czech, jak gdyby państwa te, jeden morzem otoczony kraj stanowiły. Lecz nie tylko te i tym podobne, zewnętrzne, zmysłami łatwo pojąć się dające fantastyczne rysy, przypominają nam żeśmy odstąpili od rzeczywistej prawdy i zwyczajnego biegu rzeczy. Odstąpienie to bowiem od naturalnych następstw przyczyn i skutków, okazuje się i w tém, iż władza możniejszych od człowieka istot i wpływ cudownych okoliczności, sprawić dopiero może harmonią w fantastycznym nieładzie rozrzuconych żywiołów. Wesołe i pomyślne zakończenie *powiastki zimowėj*, pomimo

szalonego pośpiechu; z jakim Leontas działa, przypisać tylko można zewnętrznemu wpływowi opiekunczego przeznaczenia. Również i w *Burzy*, Prospero jedynie tylko za pomocą czarów kieruje wszystkiemi i udaremnia szkodliwe przedsięwzięcia i złośliwe zamiary.

Jakkolwiek jednak w przytoczonych trzech komedjach, świat śmieszności w baśni przyodzianym występuje kształcie, istota wszakże człowieka według tego, jak się we wszystkich stopniach rozwinięcia i w najróżnorodniejszych pojawia stosunkach, zawsze treść poematu stanowi. Spada zupełnie zaślona najskrytszych sprężyn działania, tajnej gry pospolitych i szlachetnych namiętności wreszcie swawoli, która już to jako słabość, już też jako istotna złość się okazuje. Na tej drodze fantastyczna komedia Shakespeara czyni na nas w ogólności w prawdzie szczególne, lecz nigdy nie harmonijne, uczuciowe wrażenie. Poznajemy z jednej strony w rzeczywistym życiu, tożsamość natury ludzkiej, we wszystkich zarówno pojawiającej się wiekach, z drugiej natomiast widzimy w poetycznym świecie kształty, w zupełnym będące przeciwieństwie z otaczającą nas rzeczywistością. Lecz dalecy od uważania żywiołów tych za obce, szkodliwe i zbyteczne, widzimy raczej jak są ściśle złączone węzłem z owem samem przecuciem, od którego umysł nasz uwolnić się nie zdoła. Sztuka poety rozwiązuje zupełnie i jednoczy sprzeczności, i wznosi nas do stanowiska w którym baśń i rzeczywistość, z chęcią i wiarą widziany cud i prawda życia pospolitego jedną harmonijną stanowią całość.

Z komedji fantastycznych Shakespeara *Sen w Wigilię Sgo Jana* ma w sobie najwięcej wdzięku i prawdziwie komicznej wesołości, i dla tego też zasługuje na głębszy rozbiór treści swój i znaczenia.

Poeta prowadzi nas do Aten na dwór Tezeusza, który z utęsknieniem oczekuje czwartego dnia, wyznaczonego na ślub z Hipolitą królową amazonek. Egeusz oskarża przed Tezeuszem Lizandra, iż tenże przez pochlebstwa pozyskał serce córki jego Hermii, która z tego powodu wzbrania się oddać swą rękę Demetrjuszowi, wybranemu przez niego na małżonka. W skutku tego oskarżenia, Tezeusz grozi Hermii, iż jeżeli w przeciągu dni czterech nie będzie posłuszną woli ojca, — stosownie do praw ateńskich, albo śmiercią ukaraną zostanie, albo też osadzona w klasztorze, na zawsze towarzystwa mężczyzn wyrzec się będzie musiała. Lizander i Hermia, dla uniknienia srogości tego wyroku i uwolnienia się od prawa w Atenach obowiązującego, postanawiają tajemnie udać się za granicę ateńską, niedaleko położoną, i tam dopełnić ślubu u wujenki Lizandra. W tym celu kochankowie przeznaczają miejsce w pobliskim gaju na schadzkę nocną. Z zamiarem swym zwiernają się Helenie, przyjaciółce Hermii. Ta zaś poprzednio narzeczona Demetrjusza, kocha go jeszcze z całą gwałtownością nieuskromioną namiętności, i zdradzając zaufanie przyjaciół, wydaje przed nim zamierzoną ucieczkę. A tak w następnej nocy, nietylko Lizander i Hermia, ale nadto Demetrjusz i Helena dążą na wyznaczoną w gaju schadzkę, Demetrjusz w nadziei ujrzenia tam Hermii, Helena spodziewając się być razem z ukochanym przez siebie Demetrjuszem.



Oberon, znajdując się w tymże samym czasie w gaju ateńskim, przez litość nad piękną i nieszczęśliwą Heleną, nakazuje podwładnemu sobie duchowi *Piukom*, za pomocą cudownego ziółka śpiącego Demetrjusza do tego doprowadzić stanu, ażeby za przebudzeniem gwałtowną ku Helenie poczuł miłość. *Puk* tymczasem omylony jednakową odzieżą ateńskiej młodzieży, bierze Lizandra za Demetrjusza. Pierwszy ujrzawszy za przebudzeniem Helenę, porzuca w pobliżności spoczywającą Hermję, i w nieuskromionym szale ściga uciekającą przed nim Helenę. Oberon wszakże poznawszy w krótkce iż *Puk* zamiast niewiernego kochanka do pierwotnej wrócić miłości i opuszczoną pocieszyć, dwa wierne sobie serca rozłączył, za pomocą tychże samych czarów sprawia, iż Demetrjusz silną ku Helenie przejmuje się miłością. Tak tedy Lizander i Demetrjusz dotąd w Hermii zakochani, poczynają się znów razem o rękę Heleny ubiegać. Ta zaś w nagle pojawiającej się namiętności ku niej obudwuch młodzieńców, widząc tylko nągrawanie się, z całą drażliwością niewieściej zazdrości i obrażonej miłości własnej, zwraca się do Hermii, oskarżając ją o znowę dla wysmiania i wyszydzenia dawniej przyjaciółki. Hermja zaś niepojawiając nagłej zmiany w postępowaniu Lizandra, obrażona wreszcie wyrzutami i żartami Heleny z jej urody i małego wzrostu, poczyną się również gniewać.

Gdy kobiety w słowach tylko boleść i gniew swój okazują, zazdrość mężczyzn natomiast dochodzi do tego stopnia szału, iż z bronią w ręku chcą na siebie napaść, i tylko z powodu fałszywego szelestu i udanego wołania *Puka*, spotkać się z sobą niemogą.

Skoro zaś następnie sen siły zmęczonych pokrzepia, *Puk* uwalnia Lizandra od czarów, które go do Heleny wiodły. Za przebudzeniem czuje się tenże znów zakochany w Hermii; Demetrjusz zaś ciągle pod wpływem uroku, zostaje wiernym Helenie, z którą wprzód już był zaręczonym. Gdy zaś Demetrjusz chętnie odstępuje od ręki Hermii, ojciec jej przeto zgodnie z wolą Tezeusza, skłania się do życzeń kochanków, i postanawia w tymże samym dniu, przy ślubie księcia, i dwa drugie małżeństwa pobłogostawić. Tak tedy kończy się komedja skojarzeniem trzech szczęśliwych par kochanków.

Los i szczęście ich jednakże nie stanowi jedynęj treści komedji. Poeta odsłania nam jeszcze świat elfów i wieszczek, i wystawia spór między królem Oberonem i żoną jego Tytanią, wynikły z powodu małego indyjskiego chłopczyka, którego Tytania po śmierci matki do siebie wzięła. Ponieważ Tytania chłopczyka tego nie chce oddać do orszaku Oberona, przeto para królewska żyje ze sobą oddawna w niezgodzie i rozłączeniu, i jedynie tylko mające się odbyć wesele Tezeusza z Hippolitą jest powodem ich spotkania w gaju ateńskim. Przy spotkaniu tém Tytania trwa w swym uporze, i giermka, którego król duchów znów żąda, wydać nie chce. Oberon wysyła *Puka* po kwiat, z którego wyciśnięty sok, gdy się powiek śpiącego dotknie, taki urok sprawia, iż przebudzony najgorętszą przejęty staje się namiętnością do pierwszego żyjącego stworzenia, które się jego oczom ukaze. Tytania ulega temu oczarowaniu. *Puk* zaś przez swawolę przemienia głowę tkacza *Wątka*, jednego z rzemieślników, którzy dla wyuczenia się

szuki na uroczystość ślubu Tezeusza w gaju ateńskim przebywają, w głowę oślą, gęstym porośłą włosem. A jakkolwiek towarzysze Wątka uciekają przed nim, jako obrzydliwym potworem — królowa duchów wszakże, w której działa siła czarów, oddaje się z najgorętszą namiętnością dziwnemu pociągowi ku niemu. Rozmawia z rubasznym rzemieślnikiem jak najczuliej, i rozkazuje nadpowietrznym duchom (*Pobikwiat, Pajęczyna, Mól, Ziarnko—musztardy*) służyć mu we wszystkiem. Ponieważ Tytania cała jest zajęta dziwnym uczuciem i zmysły jej oczarowane, z ławością przeto przychodzi Oberonowi wziąć do swego orszaku na giermka, owego chłopca indyjskiego, który stanowił przedmiot sporu. Przejęty zaś litością dla swjej żony, uwalnia ją w czasie snu od działających na nią czarów. Przebudzona królowa dziwi się niezmiernie, iż tak szkaradny potwór serce jej choć przez chwilę zająć był w stanie, a jakkolwiek nie bez wstępu, jeszcze raz Wątka z oślą głową spostrzega, znika wszakże wszelki gniew i niechęć, które ją od męża dzieliły. Tak więc Oberon i Tytania w miłości złączeni, idą się weselić wspólnie na uroczystościach i zabawach duchów nieśmiertelnych.

Jak poeta w powyższych scenach przywodzi całą wdzięk i urok romantyczności, w przeciwieństwie do niej Wątek i inni rzemieślnicy, którzy na uroczystość ślubu Tezeusza uczą się wzruszającej tragedji: *Pyram i Tisbe* którą, przedstawiają w nadzwyczaj wesołych rysach i śmieszności ach, z usunięciem wszelkiej powagi. I w rzeczy samej sprzeczność eterycznej miłości, której królowa duchów ulega, do

wzmagają i potrzeb życia zmysłowego, nie może być widoczniej wykazaną, jak w scenie aktu IIIgo, gdy Tytania pieści Wątkę z osłą głową. A jakkolwiek czuły ten osioł podoba sobie w towarzystwie nadpowietrznych istot, pomimo to jednak, żąda naprzód grochu i siana na pożywienie. Szczęściem jednakże i dla jego towarzyszy i dla mającego być danego przedstawienia trajedji Pyram i Tisbe, wraca Wątek do naturalnej postaci, uwolniony z oczarowania, łączy się z radośnemi towarzyszami, i przedstawienie trajedji na weselu Tezeusza ma istotnie miejsce.

Według zwyczaju Shakespeara, który zarówno w poważnych jak i w komicznych dramatach, urozmaica akcją przeciwstawieniem kontrastujących z sobą grupp,—*Sen w wigilię Sgo Jana* złożony jest także z kilku różnorodnych wydarzeń, jednym połączonych węzłem. I zarówno też w nim podziwiać należy piękność pojedynczych składowych części, jak i sztukę poety, który z najróżnorodniejszych żywiotów jedną harmonijną całość buduje. Uroczystość weselna Tezeusza z Hippolitą, stanowi tylko zewnętrzny pokład do rozwinięcia akcji potrzebny. Na nim krzyżują się i łączą trzy działające grupy. Jedną część komedji opiewa miłosne dzieje Lizandra i Hermii, Demetrjusza i Heleny, przed skojarzeniem obudwu par. Druga otwiera przed nami świat duchów i wieszczek, i wykazuje jak spór Oberona z Tytanią harmonijne ma zakończenie. Trzecią nakoniec część komedji składają rzemieślnicy, którzy przygotowują się do scenicznego przedstawienia, i na weselu Tezeusza trajedją *Pyram i Tisbe* istotnie przedstawiają.

Allegorja — w zwyczajnym tego wyrazu znaczeniu, —

tam ma miejsce, gdzie rzeczywistość w swym zewnętrznym kształcie żadnego niema znaczenia, ale pojawiające się momenta, zaród wyższych nieureczywistnionych pojęć w sobie zawierają. W tym znaczeniu *Sen w wigilią ś. Jana*, gdzie przedstawiona akcja taką jest, jaką się istotnie objawia, allegorją być nie może; w wyższym wszakże rozumieniu, o ile wszystkie składowe części w bezpośredniej znajdują się z ogólną ideą życia styczności, dramat ten nazwę allegorycznego poematu bez zaprzeczenia na sobie nosić winien. Widzimy tu życie podległe działaniu miłości,—według upodobania, jakby zaślepionym przez nią człowiekiem rządzącej. Sposób, w jaki namiętność ta nagle się pojawia bez wewnętrznego związku, któryby wymagania rozsądku mógł zaspokoić, jedno indywidua łączy — drugie już złęczone rozdziela, przypomina świat snów i marzeń, w którym, niezależne od rzeczywistych względów, wola najróżnorodniejsze łączy żywioły. W śnie mamy i uczucie i uznanie, ale nie rzeczywistą świadomość; z odnaczeniem wszelkiego logicznego i czasowego porządku, polot wyobraźni naszej niczem powściągnąć się nie daje, i rozsądek wszelkiej przy należnej mu prawdy pozbawia. Na tej drodze—przez usunięcie rzeczywistego uznania, zbliża się sen do szaleństwa, które w tym się pojawia, iż indywiduum przy czuwaniu i pozorniej świadomości—czczych—mimo wolnie duszę i umysł zajmujących wyobrażeń, od prawdziwych rozumowych myśli rozróżnić nie jest w stanie. Z drugiej wszakże strony, świat snów i marzeń, w którym immaginacja nad zwyczajną doświadczalną wznosi się sferę, i sama z siebie niebo wywołuje i stwarza, ściśłą ma styczność z tworam i wzniosłej poe-

zji; co więcej, urok snu okazuje, iż nawet w tych, którzy są dalecy przy czuwaniu od idealno-poetyckich wyobrażeń, mimowolnie pewna siła się objawia, w niejkiej z twórczością będąca analogii. Tak więc poecie zdaje się, iż uważać musi za sen życie w ogólności—o ile miłość nad nim panuje i rządzi, i człowieka w najdziwniejsze, a nawet za niepodobne zwykle uważane położenia przenosi. Lecz są sny smutne i wesołe,—rzeczywiste też życie raz jedno raz drugie przypomina. W obecnej komedji jest mowa o śnie, jaki najnaturalniej w nocy letniej z wnętrza człowieka wypływa, i w którego uroku cudowność częstokroć okropna, wdzięczną wesołość przechodzi.

Na dwóch kochających się parach, Lizandrze i Hermii, Demetrjuszu i Helenie, widzimy naprzód, jak miłość całe ich zajmuje jestestwo, a przytém, jak upór i fantazja kieruje namiętnością, wzruszającą głębię ich duszy, tak iż bliską jest chwila, w której dwaj przeciwnicy w srogim gniewie, życie sobie nawzajem chcą odebrać. Ratunek w tej drażliwej chwili, a zarazem wesołe zakończenie całości, sprowadza to, co w zwyczajnem życiu zowiemy *przypadkiem*. Zewnętrzny ten moment, który zwykle większy wpływ na życie nasze wywiera, aniżeli o tém jesteśmy świadomi,—wystawia poeta w kształcie wyższego przeznaczenia, które Oberon i podwładne mu duchy reprezentują. Wprawdzie, przeznaczenie to pojawia się tu jako zabawna igraszka, lecz duchowi obecnej komedji i jej wewnętrzznemu znaczeniu zupełnie jest właściwem, iż przez istotne czary, zamięszanie z początku jeszcze bardziej wzrasta, nim przez te same czary rozwiązaniem zostanie.

Poeta, rozwinięciem akcji, przypominając sen no cy letniej, nader szczęśliwie wprowadza na scenę duchy i wieszczki; przez to tylko wprowadzenie bowiem możnaby osiągnąć ów cudowny wdzięk, który wszystkie części poematu przejmuje. Zimny rozsądek może wyrzec, iż duchy te są tylko, senne widziadła lub wymysły wyobraźni. Jeżeli wszakże cudowność w fantazji człowieka, w czasie pięknej nocy księżycowej, zawartą, lub w miłosnej grze uczuć wykazującą się, napotykamy również i w dziedzinie poezji, dla czegoż niemielibyśmy przyjąć i zrozumieć kształtów, jakie Shakespeare w obecnej przedstawia komedji? To przynajmniej pewna, iż w eterycznych tych istotach urzeczywistnia poeta najdelikatniejsze i najskrytsze wewnętrzne wzruszenia i uczucia. Gdyby zatem z poematu tego usunąć wypadło świat duchów i wieszczek, nie popadłby on wprawdzie w prozę życia pospolitego, ale znikłyby istotne piękności, wzruszające najtajniejsze strony uczuć wewnętrznych. Ażeby duchy te, nietylko zewnętrznym nas miały kształtem, lecz i rzeczywisty wzbudzały interes, potrzeba było, aby jakkolwiek delikatniejszemi od człowieka skreślone rysami, spokrewnionemi się wszakże wykazały z nim, z popędem jego uczuć i działań.

Dla tego też widzimy jak i w nadzmysłowym świecie powstaje spór między Oberonem i Tytanią, szkodliwie na całą zewnętrzną działający przyrodę.

Jak z jednej strony zazdrość przyczynę sporu stanowi, tak z drugiej, kaprys i upór w siłę go wzmagają. I tu nawet czary wpływać muszą, za których działaniem Tytania potworną kochać poczyna istotę, nim nastąpi pojednanie królewskiego stadła. Ponie-

waż zaś to, co się w nadprzyrodzonej wydarza sferze, nader jest spokrewnionem z rzeczywistą historją dwóch par miłosnych na ziemi, z łatwością przeto przyszło poecie obie części komedji w jedną harmonijną złączyć całość. Oberon i Tytania błogosławiąc wszystkie trzy wesela w jednym odbywane dniu, nie mało się przyczyniają do ukończenia akcji i sprawiają, iż ogarnia widza nieokreślona wesołość, w której wszelkie utrapienie i smutek—jak w rokosznym znika śnie.

Mogłoby się na pierwsze wejrzenie zdawać, iż przez wprowadzenie na scenę rzemieślników, rozerwie się owa cienka tkanka z której obecnie fantastycznie upleciona jest komedja, i że ów poetyczno-idealny świat przygnębnym zostanie przez rubasznosc życia społecznego. Prawdziwe wszakże natchnienie przemogło i tu, i było w stanie to, co w zwyczajnym nawet życiu, jako surowy, nieokrzesany żywioł występuje, czeczym ubarwić pozorem i w idealną przenieść sferę. Wzbudzając w prozaicznych i rubasznym rzemieślnikach zamiłowanie sztuki, otworzył sobie poeta drogę do pojednania zabawnych a częstokroć nawet niedorzecznych śmieszności, z uroczym wdziękiem poezji. Zresztą, wybór trajedji *Pyram i Tisbe* do przedstawienia na weselu Tezeusza nie jest wcale przypadkowym. Treść jej stanowi również miłość przypominającą Lizandra i Hermję, a dla przełamania trudności kochającym przez rodziców czynionych, umawiają się ciż na schadzke w polu przy świetle księżyca. Omyleni przypadkowym nieporozumieniem, przez nieszczęśliwy pośpiech, Pyram i Tisbe giną samobójczą rażeni dłonią. Nieszczęście ich wszak-



że znów w żart i śmieszność przechodzi przez sposób, w jaki *Wątek* i jego towarzysze trajedją przedstawiają.

Wszystko bowiem, co w życiu tragiczną na sobie nosi cechę, przenoszą one w świat rzeczywistej komiki, a tak epizod ten pojawia się również jako konieczny w całości moment i w zgodnej z nią rozwiązuje się harmonii.

K. B.

# JORDAN

## FANTAZIA DRAMATYCZNA,

przez

*Antoniego Sowe.*

Wilno. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego: 1846.



*Pan Jakób.* Mała to książeczka, b o z przedmową i ze spisem rzeczy ani 200 stronic nie zawiera. Autor nieznany, jakiś Antoni Sowa, może człowiek miejskiej kondycji, to też i prenumeratorów nie ośmielił się zbierać. Ten pan Jordan, to niby ma być bohaterem całej książeczki, — zaraz na wstępie prawi w stanie somnabulistycznym, jakiś przedmiot zagmatwany, niezrozumiały, nie jasny....

*Pani Edwardowa.* Proszę pana Jakóba, co to jest stan som-sym-na-bu-li-sta-tyczny?....

*Pan Jakób.* To jest pani dobrodziejko z osnowy medycyny i przyznam się pani dobrodziejce, że to trudno damom objaśnić.

*Pani Edwardowa.*—*Fidonc*, może jakie głupstwo.)

*Pan Jakób* (uśmiechając się ze znaczeniem): Tro-  
szeczkę;—ależ wracam do rzeczy: ledwo pan Jordan  
kilkanaście wierszy przedeklamował, aliści zaczyna  
śpiewać:

„O chciałbym mieć ducha władzę

Wiosennego słońca ciepło!

Niech rozkwitnie co zasadzę,

Niech odżyje to co skrzepło.

Gdybym tam gdzie myśl dobieży,

Mógł czynami ślad w ślad zdążyć,

Duszą świat cały okrążyć,

I wśród skalistych wybrzeży

Jak strumień wezbrany płynąć

Myśl nieba odbić w mém łonie

Rozlać szeroko me tonie

Wylać się z brzegów i zginąć!..

*Pani Edwardowa.* Śliczne mi żądanie: zginąć!

*Panna Anastazja.* Wiersz ładny, ale sensu żadne-  
go nie ma.

*Pan Jakób.* I wtem odzywają się jakieś duchy  
bratnie:

„Utonąć w łonie wieczności,

Zginąć w jednostce a ożyć w całości!

*Pani Wincentowa* Jaka pamięć lokalna!

*Pan Telesfor.* Naśladowanie Lamartina...(?!?!?!)

*Panna Anastazja.* I pan masz pamięć lokalną!

*Pan Telesfor.* Gubię ją gdy na panią patrzę.....  
(panna Anastazja się rumieni i oczki spuszcza na  
dół;—pani Wincentowa się uśmiecha, pan Telesfor  
nachyla się i szepcze pannie Anastazji wyjątki z La-  
martina).

*Pan Jakób.* Potem chór djabłów się zjawia; po-

tém Aniela; potem jakieś monologi, potem salon marszałka Ćwika, w którym kilka osób *de la caste* bawi się w preferansa i dyskurują; potem jakiś Walerzy kuzynek Anieli; potem jakaś scena w jaskini, gdzie się kilku bandytów naradza; potem rodzice Anieli; potem monolog Jordana...

*Pani Wincentowa.* Pan Jakób ma *lokalną* pamięć!

*Pan Jakób.* Już to ja jak książkę przeczytam, to żeby mi się autor w myślą jamę z myślami schował, ja każdą myśl wynajdę i spamiętam.—Dalej jest jakieś obywatelskie posiedzenie; potem to, potem owo; w końcu chóry złych duchów, dobrych duchów, potem jacyś patronowie czy adwokaci i wszystko zamyka się wierszykami:

„Gdy pierś *taką* zagrmi wołą,

Gdy się chęci *tak* zespola

Ja chcę!—powiesz ty do siebie,

A Bóg—stań się—powie w niebie!

Lecz ma Boskie być twe chcenie.

Kiedy pragniesz doznać cudu!“

i potem jest poprzeczna kreska i jednym wierszem niżej wydrukowano:

KONIEC.

*Kilka głosów razem.* Istotnie że *lokalna* pamięć.

*Pan Jakób* (z uśmiechem zadowolenia). Już to mam we zwyczaju z każdej książki wierszami pisaną, nauczyć się kilka ustępów na pamięć, aby być *au fait* tego co się dzieje w poezji. Ale w tym *Jordanie* mądry kto dojdzie ładu i składu, ja sam nie wiem, czego on chciał rzeczywiście.

*Pan Grzegorz.* To też powszechnie mówią, że ten cały Jordan nie ma sensu ani za trzy grosze.

*Pan Wojciech.* Na co mu było stwarzać jakieś fantazje dramatyczne, kiedy obecnie nasi czytelnicy przywykli sobie do powieści i w powieściach wyłącznie gustują. Pan Sowa chciał w zakochanym Jórdanie stworzyć jakiś ideał rodowej cnoty i świętego uczucia,—w Anieli pewną rozsądną pannę nie dającą się uwieść poszeptom serca,—miłości, ale na cóż tu wprowadzać duchy?... Było zawiązać rozległą intrygę, zbudzić interes sztucznem opisaniem przeszkód niezwalczonych, odmalowaniem jakiej romantycznej miejscowości, podzielić rzecz na rozdziały, opowiedzieć stylem pięknym, romans kochanków przeprowadzić przez 4 albo przez 6 tomów, z pewnym taktem, z pewną rutyną powieściopisarską; bo jest i treść do romansu, ten jakiś ubogi Jordan—bogaty hrabia Fioli—matka kalkulantka, Walery figlarz,—dałoby się jeszcze wprowadzić ciotkę, wuja, przebiegłą subretkę—to byłoby i przyzwoicie i zrozumiałoby każdy i podobałoby się, i możnaby i po obiedzie i wieczorem przeczytać bez łamigłówek, bez najmniejszego znużenia.

*Pan Paweł.* Ja jednakże moim panom powiem, że pan Sowa ma zdolność, ale jest to zdolność początkująca, są tam zarody wielkiego *piękna*, myśli niekiedy bardzo szczytne, np.

„Na gwiazdach i słońcach  
I w rąbkach kwiatów  
Na biegunów końcach,  
I w tle strumieni  
I w tle szkarłatów  
Jutrzenki ranniej  
I w mgle porannej

I w rosy szkle  
 I w trawki źdźble  
 I wszędzie wszędzie  
 Jest był i będzie!“

*Panna Anastazja.* Jak mamę kocham to bardzo piękne, żeby też pan Telesfor był łaskaw przepisać mi te strofy, które pan Paweł raczył nam deklamować.

*Pani Edwardowa.* Czyliby pan Telesfor nie był tak grzeczny i nie wystarał się dla mnie o tego *Jordana*.

*Pan Telesfor.* Nie wiem, czy już jest w czytelnicy, ale owszem z największą przyjemnością, ja się znam z panem Rykaczyńskim, on kupuje wszystkie nowe książki, a gdyby nie miał, to poproszę pana Orgielbranda aby mi sprowadził wszystkie dzieła *Jordana*.

*Pan Jakób.* *Jordan* to tytuł tytko, bo autor nazywa się *Sowa*.

*Pan Piotr do pana Pawła.* A przecie pomimo kilku takich cudownych odcieni, nie jest to *sztuka dla sztuki*, a właśnie *sztuka dla sztuki* jest potrzebą naszego wieku (\*).

*Pan Paweł.* Zgadzam się z panem Piotrem, że w całym tym dramacie niemasz prawidłowości a stąd konsekwencji;—i jeżeli pan *Sowa* nie weźmie się do prawideł, zginie niepoznany.

*Pan Józef.* Żeby on to był *Marją Malczewskiego* napisał.

*Pan Ignacy.* Albo takiego *Fausta* jak Goethe.

*Pan Filip.* Albo *Sonety* Adama.

*Pan Grzegorz.* Albo w tym rodzaju jak *Kataleptyk*.

*Au: Wi:* Albo żeby was dwunożne zwierzęta wier-

(\*) O! ten dopiero pojął przeznaczenie literatury i potrzebę wieku:—niech ci kochanku główeczkę pozłocę.

szem miarowym opisał — toby się dopiero ludzie ubawili nad taką facecją. Słuchajcie panowie! ja pomówię z księgarzami na Nowowiniarskiej ulicy, aby dla was odtłoczyli powtórne wydanie *Klementyny; Adjutanta; Tajemnice Warszawy*; nawet i nieśmiertelnych *Kwiatów fantastycznych* i tej *Krainy wesołości*, którą autor-wieszcz temi rozpoczyna słowy:

„Wieczór był nieciemny,  
Słońce zachodziło  
Wiatr chodził przyjemny  
Bardzo było miło.“

i jeszcze drugie wydanie trzech tomów podobnego towaru belletrystyczności, to dla was najwłaściwsza karma,—tego wam potrzeba, ale nie Jordana.

*Pan Filip.* Pan zdajesz się niegrzecznością bronić *swojego Jordana* i bardzo słusznie, bo autor Jordana także niezaleca się grzecznością, a grzeczność jest każdego człowieka dobrze edukowanego obowiązkiem i powinnością; i jak pan Sowa grubijańskiego użył wyrażenia, pisząc że hr. Fioli jest do małpy podobnym, tak pan również *zdajesz się* nam ubliżać—nazywając nas zwierzętami dwunożnemi; — a gdybyśmy i byli dwunożnemi zwierzętami—co panu do tego? mówić to komu w oczy, jest zawsze cechą bardzo złej edukacji. Zresztą, mam honor panu oświadczyć, że nie tylko my, których pan dwunożnemi nazywasz, ale i ludzie dystyngwowani oświadczyli się przeciw Jordanowi, i znajdują się tacy, którzy kogo uproszą, aby pana Sowę w gazetach skrytykował — i pokozą panu, że głos opinii publicznej znaczy coś więcej, jak pańskie widzi-mi-się.

*Pani Edwardowa.* Że też to panowie nigdy bez kłótni obejść się nie możecie.

(na stronie) *Monsieur Au:* Wi: *faites moi ce plaisir,* nie sprzecziej się pan z panem Filipem: ten człowiek mógłby ci zaszkodzić.

*Andrzej lokaj.*

Zupa na stole!

. . . . .  
 . . . raki . . . . . polędwica . . . . .  
 mostek barani : . . . . . trufile i rydze . . . . .  
 . . . . . krem . . . . . daktyle i figi . . . . . lody . . . . .

Są ludzie dla których świat taki, jaki jest, zdaje się być koniecznością niezmienną — i dogodną, którzy odrodzenie skalanego zmysłowością ducha i jego postęp, uważają albo za śmieszne urojenie, albo za obłąd gorączkowy, — dla tych to ludzi *Jordan* jest utworem nudnym, jałowym i niesmacznym.

Co do nas: z rozkoszą witamy czcijnajgodniejszego Sowę w literackim kole — naznaczamy mu miejsce pomiędzy pierwszymi — oczekujemy na jego dalsze prace.

Aby czytelników Dzwonu z Sową zapoznać, przytaczamy ustęp o małżeństwie opartem na widokach pieniężnych i świetności, i cały oddział III.

O, jak wszystkie węzły święte

Człowiek dziwnie spodlić umie!

Niech się śmieją nikczemnicy,

Niechaj płacze, kto zrozumie:

Bo ta prawda upomina,

Że narodu treść, początek,

Jak szczep wielki z dźbła i z rostka,



Są zamknięte w każdej parze,  
 Jako w tysiącach secina,  
 Jako w secinie dziesiątek,  
 Jako w dziesiątku jednostka!  
 Ze przed ludzkości ołtarze  
 Klęknąć mają wszystkie pary!  
 I że w ilu par miljonie  
 Żyje święta i miłości,  
 Tyle żyje święta w łonie  
 I narodu i ludzkości!

A kto swoje serce przeda  
 Dla widoków lub pieniędzy,  
 Został uczuć tandeciarzem,  
 Ten w bogatej żyje nędzy,  
 Ten duchowym jest Łazarzem,  
 Co pierś swoją dał na zgniecie!  
 Co się wyparł Boga w sobie!  
 W najpodlejszym złożył grobie,  
 W złotym grobie podle stęka.  
 O! nie przyjdzie pańska ręka  
 Upodłone wskrzesić życie!

Bo co w trumnie egoizmu  
 Raz złożone, nie powstanie.  
 Śród spodlenia, heroizmu,  
 Wszystkie dzieci takich związków,  
 Jak robactwo w gnojnój ranie,  
 Toczą łono społeczności!  
 Stoczą prawa obowiązków!  
 Ach! bo w grzechu są poczęte,  
 Bo są dziećmi sprzedajności!  
 Gdzie stargane węzły święte!

I wy nędzni mówić chcecie,  
 W piersi miłość że żywicie —

W nienawiści wzięte życie,  
 Wy ostatni brud na świecie!  
 Jakąż dacie cnót rękojmię?  
 Kto najczystszą część istoty  
 Swojej sprzedał, pojmieź cnoty?  
 Ten sprzedajnik miłość pojmie?  
 Jakąż miłość? świata! ludu!  
 Komedjanci, głupiuteńcy —  
 O! przepraszam — lecz żal trudu,  
 I nie powiem nic już więcej.  
 Niech domówią reszty dzieje,  
 Skąd są zdrajcy i złodzieje?...

---

Tu widocznie był poeta  
 W paroksyzmie swój warjacji;  
 Lecz co do mnie, nie miał racji  
 Na co tyle budzić krzyków!

Jeszcze dodał w swém szaleństwie,  
 Może temu nie wierzycie,  
 Jak robactwo legnie w trupie?  
 Nie wierzycie, to spojrzycie  
 Na tych panów sprzedajników  
 I na pańskie dzieci..... (1).

---

Gdzie nie wyschły uczuć zdroje,  
 Bracia moi, siostry moje,

(1) Myliłby się, ktoby chciał sądzić, iż w tym ustępie autor technie wyobrażeniami jakiegokolwiek partji. Na czasy dzisiejsze byłaby to zawiłka nędza. Lecz nędza moralna, ma niewątpliwie głębokie znaczenie w naturze zawieranych związków. Te zagadki już rozwiązała wyższa Medycyna na koniecznych prawach fizjologii.

Którym jeszcze nie zdołano  
 Zabić serca pozłacaną  
 Kłamstw mamoną i próżnością,  
 Zapytajcie ze szczerością  
 Starszych siostr swych i rówiennic,  
 Tych zmienników i tych zmiennic,  
 Co kupili piekło w domu!  
 W których piersi pokryjomu  
 Bolą serca tajemnice —  
 Gdzie sakrament obrażony —  
 To nie męże, to nie żony,  
 Ale to są nałożnice!

---

To salonów cudne czary,  
 Piękne sale i kinkiety,  
 Adamaszki i parkiety,  
 I cudowne buduary,  
 Kandelabry—złoto—złoto—  
 Ale w piersiach—błoto—błoto!

---

To niepięknie, to niegrzecznie,  
 Grubijaństwo takie słowa;  
 Lecz raz jeden musiał Sowa,  
 Ten ptak nocy, piąć niegrzecznie.

---

Ja Sowa jestem, ja latam w ciemności,  
 Lecz, gdy dzień wszędzie, ja schowam się w cienie  
 Zostawię życie ptakom jasności,  
 I głos mój stłumię, aby Sowy pienie  
 Nie przerażało pienia jasných ptaków,  
 Lepszych od Sowy, choć Sowy rodaków.

Ach umarli i warjaci  
 Wspólnie życie pogrzebali;  
 Lecz z tych, którzy pozostali,  
 Niech im każdy swój dług spłaci:  
 Bo umarłych wola święta!

Jeszcze króciutkie fragmenta,  
 Choć ich zdania nie podzielam.  
 Że muszę wyrzec, więc się ośmielam.  
 To przedśmiertne słowa Sowy,  
 W których obraz salonowy.

\* \* \*

Snuje się pełno postaci strojonych,  
 Na wzór osóbek modnego żurnalu;  
 Lecz tylko sztuką krawieckiego kroju  
 Są modni, nowi; a czasów minionych  
 I wytchłych dawno pożyczyli stroju  
 Na ubiór głów swych. Niemożna bez żalu  
 Patrzeć na nędzę ich serca i głowy!  
 O, jaki biedny nasz świat salonowy!  
 Na świecie nowym jest on tem, czém wiosną  
 Dachy zbutwiałe, kiedy mchem porosną!

Ludzkość się wiecznie jak wiosna odradza;  
 A każde pokolenie, każdy wiek zasadza  
 Świeżą latorośl do ludzkiego łona,  
 Jak rolnik ziarno. Szarańcza nasiona  
 Napadnie, zniszczy i wydrze plon ziemi.  
 I jeśli rolnik gadu nie wypleni,  
 Spocznij spokojnie!—gdy jesień nadbieży,  
 Szarańcza czuwa i zasiewy zbierze!

A wyż to przecie, wy w środki bogaci,  
 Powinniście w duchowej krainie

Zamieszkać, wzrastać w umyśle dziedzinie,  
 I krzepić wzrost i siły ubogich swych braci!  
 I cóż stąd, żeście wy bardziej pieniężni,  
 Gdyście słabi umysłem, mali, niedołęzni?  
 Wy wierzycie w materją, bo nie macie ducha;  
 I pierś, jak kufer, sztabą zamknęliście twardą.  
 Wszystko, co jest szlachetne, wita was z pogardą;  
 Tylko podłość płaszcząca w próżność waszą dmucha.  
 Lecz taż zgraja, co przy was wzrośnie na kradzieży,  
 Jutro wam mniej pieniężnym, pogardę wymierzy—  
 Waszą barwę i postać wdzieją nowiejusze,  
 Aby świat ich nie poznał, że to parwenjusz!

Tu już koniec jest fragmentu.  
 Chwała Bogu! Wyznam szczerze,  
 Choć przyjaciół jestem Sowy,  
 Lecz się cieszę z tego mętu,  
 Który wpłynął mu do głowy  
 I ją zwichnął: bo nie wierzę,  
 Ani dzielę Sowich zdań,  
 Aby tyle pięknych Pań,  
 Tylu grzecznych, objeć płci,  
 Byli tak wytchli i zli!  
 Bo czyż dowód złości, tchlizny,  
 Te frezesa francuzczyzny!  
 To rzecz strasznie oklepana!  
 O której bębnią odwiecznie;  
 Przedmiot śmiechu warty, błahy.

.....  
 .....  
 Język własny niema sprzeczki;  
 Jest coś gruby nakształt sieczki!  
 Ani uczuć namiętniejszych,  
 Ani myśli, ni piękniejszych

Słów grzeczności, tak się skupi,  
A szczególnie, gdy kto głupi!

Na toż przecię wychowanie,  
Żeby można skryć starannie  
Natury małe schybieńia!

Wieszcz nasz nie wiedział niestety,  
Że tajniki toalety.....  
Zbyt liczne mają odcienia.....

Słowa francuskie, to tęcze,  
Gra farb na tłach allegorji!  
A *żurnale* i *obręcze*.....

To własność *polnej cykorji*.  
Piękne kwiaty!—lecz niestety!  
Dmchniesz—zostaną skielety!

To nie sztuka, nie ułuda,  
To kultury tylko cuda!

Duch ludzkości upiękniony,  
I w najświeższej barwie świeci.  
Najwonnejsze wieku dzieci,  
Wiwat! niech żyją salony!

### III.

Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy,  
nauczy was wszelkiej prawdy. Bo nie sam  
od siebie mówić będzie, ale cokolwiek  
usłyszysz, mówić będzie; i co przyjdzie ma,  
oznajmi wam.

*Ewang. według Ś. Jana. XVI. 13.*



*Noc miesięczna, majowa. Wierzchołek urwistej góry.  
Za górą smętarz, dalej kaplica.*

### JORDAN.

O, przestrzeń niezmierną otchłani bezdennych  
W krótkich młodości przeżyłem godzinach!  
Ach! i w tak zbudowanych mych pałacach sennych  
Ocknąłem się, ażebym przejrzał się w ruinach!

Ach trzebaż było, w młodości rozkwicie,  
Kędy przyszłością tak serce ciężarne,  
Trzebaż ją spotkać, pokochać nad życie,  
I trzebaż było spotkać serce marne!

I na cóż ona taka była mała.....  
 I na cóż brała ducha mego szaty!  
 Na cóż się tak stroiła w uczuć moich kwiaty!  
 I na cóż się nieszczęsna innemu sprzedała!

(*Pauza*)

I trzebaż było w przyjaźni objęciach  
 Wyuczyć się smutnego uczucia litości!  
 I trzebaż było w młodzińczych pojęciach  
 Ujrzeć starość szyderczą na pogrzeb młodości!

(*Pauza*).

Lecz nie!—na wieki jam zrzucił kajdany,  
 Które ludziom narzuca smutne doświadczenie;  
 I przyłożyłem do serdecznej rany  
 Ofiarnika Golgoty—Boskie przebaczenie!

Czyż młodość ducha doświadczenie ściera?  
 Wszakże on wiecznie młody, jak Bóg wiekuisty!  
 O, tylko samolubstwo młodość nam odbiera,  
 Tylko duch stary w piersiach egoisty!

O jakże stara pierś ludów dzisiejszych!  
 Czyż idą do zaguby, czy do chwil piękniejszych?

(*Staje u wierzchołka góry, nad przepaścią, gdzie u podnóża  
 smętarz i kaplica.*)

Umarli! tu śród waszój obszernej stolicy  
 Ja samotny, żyjący na przeszłości tronie,  
 Z całą życia boleścią, zamkniętą w mém łonie—  
 Przeszłości panorama świeci méj źrenicy!

Życia tchnień wielkich chwytam mym oddechem,  
 I serca wielkie bicia dziś dzielę z grobami;  
 Waszego szczęścia upajam się echem,  
 I nad waszą spuścizną zalewam się łzami!



O, gorzka pozostała po was dań żywota!  
 Smutny posąg dziedzictwa—została srebrnota  
 Wspomnień szczęścia zbiegłego, obecnej niedoli,  
 I pamięć cnót i grzechów—stał i serce boi.

Lecz duch szczęścia zbiegłego powstał ze smętarzy  
 Szukał serc nieczbrudzonych, niespodlonych twarzy,  
 I uściski serdeczne na dusze zarzucił,  
 Płakał, i jęczał żalem i pieśń wielką nucił—

Pieśń wielkości, żałoby: wszystkie ducha struny  
 Zlał w jeden akord, i jakby w tonów całuny  
 Swojej pieśni pogrzebnej nam piersi obleka—  
 Piers w czyścica cień złożona wybawienia czeka!

Patrzę dziś w dzieje—człowieczeństwa słowo  
 Dziwnie rozdarte na jąkań sylaby!  
 Świat zająkliwy? lub czyli zastaby,  
 By zdołał odrodzenia wdziąć szatę gotłową!

O święte dzieje wielkich chwil tych ludów,  
 Gdzie pierś człowiecza, jako Boża księga,  
 Odbija dzieje wszechmocnością cudów,  
 Gdzie Bóg i ludzkość jeden łańcuch sprzęga!

O czyliż człowiek w okropnym rozejmie  
 BOGA w swęj piersi już żywicię nie zdoła,  
 Aż Bóg mu obraz swęj Boskości zdejmie,  
 I strąci jego, jak strącił anioła?

*(Usiada nad urwiskiem).*

Pozłacane prawdy słowo  
 Wzięli w usta—i daremnie:  
 Bo nie z serca—w sereu, ciemnie,  
 Nad głowami złe, grobowe!

I chrzest wzięli, krzyża znamie,  
 Krew i żywot—męki pańskie,  
 I obrzędy chrześcijańskie!  
 Ale głos ich sercom kłamie!

Umęczony Bóg na krzyżu  
 Powstał oczom na obrazku  
 Z farb, i z drzewa, i ze ściżu;  
 Lecz samotny jest na krzyżu,  
 I samotny w cnót odblasku!

Powstał z grobu, umęczony,  
 I króluje tam, na niebie!  
 Lecz w człowieka Bóg wcielony,  
 A on Boga w sobie grzebie  
 I na niecnót krzyżu męczy!

Z znamionami chrztu, poganie!  
 Kiedyż w piersiach waszych wstanie,  
 Jak wstał z grobu, i uwieńczy  
 Życie wasze tą błogością,  
 I tym szczęściem, dla którego  
 Bóg żył, umarł, z tą miłością,  
 Co przekazał dla bliźniego?

---

Wstańcie, wstańcie, jasne zorze,  
 Zapadłe w piersi głąb' ciemną!  
 Myśli Boża! zstąp nademną!  
 Niech dnia bramę ja otworzę,  
 A zaświta dzień jasności,  
 I z ich piersi mroki spadną,  
 Przejrzą światło, i odgadną  
 Jedno szczęście swe w miłości.

DUCH ZŁY (*zjawia się*).

Czego ty żądasz? Jam jest ziemi władcą.  
Zdajesz się przyjacielem być ludzi i ziemi —  
To bardzo pięknie. Ja ci zostanę doradzcą.  
W nagrodę wesprę radami mojemu.  
Ale, jak widzę, jesteś na złej drodze—

JORDAN.

Jam rad się kształcić, rad złego odchodzę.

ZŁY DUCH.

Chwalebna bardzo jest taka gotowość.  
To daje myślom i czuciom poprawność.  
Warteś słów moich; więc w zakład przyjaźni  
Dowiedz się, że w twych myślach jest wielka jałowość.  
Twoich celów i dążeń zaszła ziemską dawność.  
Chcesz pić z pustej oddawna czary wyobraźni,  
Ty chcesz miłością świat cały zespolić,  
Chcesz go uzdrowić, nakarmić, napoić;  
A przecież to dziejowych już jest prawd produkcją,  
Że nie jedne miłością zapierzchły się usta,  
Że miłość w sercach obudza obstrukcją;  
Nakoniec różne są na świecie gusta,  
I każdy zjada podług apetytu,  
A o to chodzi, by podjadł do sytu!  
Tyle straw innych, które serce żywią!  
Trzeba się kuchennego wyrzec fanatyzmu,  
Sądzić rozsądnie, bez obskurantyzmu,  
A wszyscy ludzie wnet się uszczęśliwią!  
Wy chcecie tylko prawdę w starym znać mundurze.  
Już się mundur ten podarł na Golgoty górze,  
Już słowo, które przyszło i stało się ciałem,  
Powieszono oddawna—ja sam pomagałem.  
Już niema Słowa Ciała; tylko krzyż widzicie;  
Lecz i on pada—patrz, na krzyża szczycie

Struś siedzi i swym dziobem dziobie bez litości,  
 Tuż przy Strusiu chłop dzielnie siekierą go wali;  
 A tuż ognisty strumień z podstawą go pali.  
 Przestanież głupcy wierzyć! bo pękne ze złości!  
 Bóg żyje tylko w duchu najświeższej ludzkości.

### CHÓR DUCHÓW NAJSWIEŻSZYCH

*(obwiany eterem i wonią)*

W naszych piersiach Pan Bóg mieszka,  
 I odkryta szczęścia ścieżka.  
 W piersiach naszych niebo mamy,  
 Śpiewamy, tańczymy i gramy!

O, nam dosyć rękawiczek  
 Glasowanych, mankietów,  
 Wieczorynek — i twarzyczek.  
 Przy szaleście ich trzewików,  
 Śród migotu białych ząbków,  
 Śród błyskawic jasnych oczek,  
 Śród wiejących sukien rąbków,  
 Życie całe jak obłoczek  
 Na woskowej płynie sali!

Kędy światła błysk promyczek,  
 Do Edenu! do Walhalli!

I mamy mały słowniczek  
 Grzecznych pachnących słów treści,  
 Ile mała główka zmieści.

To tak białe ząbki bawi!  
 Wzrok w uśmiechach ich się pławi,  
 Rozpostrzenia się w głąb? łona  
 Wszystko cieszy, wszystko dziwi.  
 I my żyjemy tak szczęśliwi:  
 Bo ludzkości my korona!

## ZŁY DUCH.

O! to życie boskie! cudne!  
 Lecz wam przestroga jest dana za gońca,  
 Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca.  
 Inaczéj życie i smutne i nudne.  
 Trzeba się będzie zmienić w mizantropa,  
 I rozrywką jedyną będzie: dusić chłopa!

## CHÓR DUCHÓW STARSZYCH.

*(tęj saméj natury, oblaných eterem i wonią)*

Myśmy życie przetańczyli,  
 I przegrali, i przepili;  
 I nie możemy złapać wątków  
 Szczęścia, co nam rychło pierzchnęło.  
 Mamy niestrawność żołądków,  
 I tak w oczach wszystko zmierzchnęło —  
 Nic nie czujemy! nic nie widzimy!  
 Aż się samych siebie wstydzimy!

## ZŁY DUCH.

Lecz wam przestroga już dana za gońca,  
 Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca.  
 Wszakże ja tyle tylko rozumu wam dałem,  
 Ile się mogło zmieścić w waszój małej główce.  
 Wy go jak grosz zdawkowy trzymacie w gotówce,  
 I chcecie Rotszyldami być z tym kapitałem!

## WIDMO OBRZYDLIWYCH FORM.

Ach! jam tak podły! każda myśl ma chora!  
 Nim się urodzi, już w zarodku zgniła.  
 A czaszka moja, to myśli mogiła.  
 W ustach mych zgniłe są tchnienia upióra!  
 Bo słowo moje z móm sercem zamarło,  
 Łzy z moich oczu spodlenie otarło!

Jam duch strącony tych wesołych twarzy,  
 Których rdzeń życia w ich okrągłych brzuchach.  
 My szydzim z wiary, z nadziei ołtarzy:  
 Skomlim wesoło, jak psy na łańcuchach!  
 Każda myśl lepsza, ten złodziej pokoju,  
 Każde uczucie, które się wylęga  
 Z tęsknoty, bólu, zapału, nadziei,  
 Jest wrogiem naszym! i grot je nasz sięga!  
 My, jak ząb węża, lub naksztalt ós roju,  
 Lub jak ogary rozpuszczone w kniei,  
 Szczwamy, polujem to zwierzę nadziei,  
 To zwierzę uczuć i zwierzę myślenia;  
 Potęgą naszą, potęgą spodlenia;  
 A złoto, szczeblem naszego znaczenia!

Dzień jeszcze cały wesoło nam płynie:  
 Bo ducha topim w bachaljach i winie!  
 Lecz gdy dzień minie, o północnej porze,  
 Z obrzydłem cielskiem nie chcąc łoża dzielić,  
 Lecę czarem szczęśliwszych wspomnień się weselić—  
 I znowu wracać w brudne ciała łoża.

JORDAN.

Czyż duch twój wolnym nie może już zostać?

WIDMO.

Tajemnym sądom Bożym nie zdoła nikt sprostać.  
 Straszne! lecz sprawiedliwe!

Rozjaśń przeszłości pochodnię—  
 Ujrzysz widomie wszystkie nasze zbrodnie,  
 Dla których i Bóg nie da rozgrzeszenia,  
 Aż się cnotą wykupią w przetopach cierpienia!

JORDAN.

Jakie widmo okropne!

ZŁY DUCH.

To piękna figura!  
Ale ich jeszcze spłynie cała chmura!

DRUGIE WIDMO. (*rubinowego koloru*).

Ja piłem ciągle wyborne wina,  
Bo były smaczne i w modzie;  
I piłem codziennie blisko tuzina,  
Potem musiałem przestać na wodzie.  
Nie mogąc przeżyć moralnego bólu,  
Napiałem się witryolu! —

ZŁY DUCH.

Wszak była rada dana za gońca,  
Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca!

WIDMO TRZECIE.

Ja byłem człowiek rozsądny;  
Ceniąc sam władzę, umiałem jej użyć,  
I nie robiłem żadnych nadużyć;  
I byłem tylko tak jak każdy rządny,  
Nigdy nie byłem tyranem,  
I zawsze z pewnym karałem planem.

Choć o zabójstwo oskarżał głos gminny,  
Lecz nie jedno mi śledztwo  
Posłuży za świadectwo,  
Ze byłem niewinny!

Pijaństwo, hultajstwo chciałem pokonać;  
Chciałem, by chłopstwo miało też chleb;  
Tymczasem jeden jak palnął mię w łeb,  
Niechcąc pod kijem musiałem skonać.

ZŁY DUCH.

To było proste chłopskie grubijaństwo.

Trzeba to przyznać wychowaniu złemu:  
 Bo kij do czoła przykładac bliźniemu,  
 Iżby miał skonać, wzbrania chrześcijaństwo,  
 Co zakazuje dobrem za złe płać.

#### WIDMO NOWE.

Ja też to właśnie, chąc szérzyć oświatę,  
 Miałem potrzebę imienia;  
 Jam literacką chciał robić karierę.  
 Lecz szło wszystko jak z kamienia!

Ja traciłem młodość, cerę;  
 Jam mozolił moję głowę,  
 Pisał książki tandetowe,  
 I niemałom zniósł katuszy;  
 Sięgał po wieńce laurowe,  
 A dostałem ośle uszy!

O małom był nie zawitał  
 Aż na Parnas!—cios fatalny!  
 Jakiś warjat mię zapytał:  
 Jaki pism twych *sens moralny*?

Mimo moję chwalec liczne,  
 Po których się na szczyt dałem,  
 To pytanie satyryczne  
 Zabiło mię—i umarłem!

#### ZŁY DUCH.

O! jaki biedak! Żal mi każdego pisarza,  
 Czyją skroń zamiast laurów coś innego wieńczy!  
 Lecz to wszystko zależy wprost od kałamarza,  
 Co siedzi w więzach żebrowych obręczy,  
 A ma swój korek pod sklepieniem czaszki.  
 I każdy pisarz podobny do flaszki.  
 Lecz każdyż z flaszą swą zrobić jest w stanie,  
 To co w Rzymie Twardowski? lub co Chrystus w Kanie?



O, tacy mistrze, co te robią cudy,  
 Ich papier jest historia, a ich zgłoski, ludy—  
 Choć się zgadzam z Frydrykiem, że wielcy pisarze  
 Trzymają większe berła, niż świata mocarze!

Lecz to w djablém sumieniu wznieca nawet burzę.  
 Dobryby wynalazek był i dla szatana  
 Ten homeopatyczny system Hanemana,  
 Co tak dziwnie panuje dziś w literaturze,  
 Gdzie z drobniuchnej prószynki mozgowej essencji  
 Robią solucją aż setnej potencji!  
 Zamknięte w małym mózgu malutkie atomy  
 Solwują w atramencie w niezliczone tomy!  
 A sawanci, sawantki, wszystko wypić muszą!  
 Dzisiejsi literaci cały świat zaduszają!  
 A cóż my będziemy robić? Złość mię bierze wściekła!  
 Wszystkich tych mości panów zaproszę do piekła!  
 Bo straszna pycha! małe flakoniki  
 Chcą by im wielkie stawiano pomniki!

DJABEL. *(niby się ocykając, z łagodnym uśmiechem)*

Dobrzy ludzie! ja radzę, szczerze się poprawcie,  
 Nie czytajcie, ni myślcie — nam tę rzecz zostawcie!

J O R D A N.

Zły duchu!

ZŁY DUCH. *(przerywając z dobrotliwą ironją).*

Chcesz kłąć?—Bądź wyrozumiałym!  
 Mam i ja swe słabości. Dzisiaj sercem całym  
 Chcę się tobie otworzyć. Przed niejednym wiekiem,  
 Tak jak wy wszyscy, ja byłem człowiekiem;  
 Lecz zostałem strącony, tak jak wy dziś wszyscy;  
 I więcej niż sądzicie dziś z sobąśmy bliscy!  
 My już dziś nie jesteśmy te djabły z rogami,  
 Co u was w tradycyjnej dotąd tkwią pamięci,

Ani tak obrzydliwi, ani tak zawzięci —  
O! my pierś naszą karmim waszemi piersiami!

Samolubstwa waszego otwartemi wroty  
Wchodzim do piersi waszój, i stajem u progu,  
I zbieramy to liche pół-cnoty,  
Która się nie zda ni światu ni Bogu;  
I zabieramy liche pół-miłości:  
Oprawę egoizmu sztucznie pozłacaną,  
Pod którym duszę widzimy miedzianą.  
To najsmaczniejsze są nasze słodkości,  
To najśłodsze jagody z egoizmu drzewa!

Ileż nam jagód najśłodszych dojrzewa!  
Ach w każdym waszém kłamaném uczuciu,  
Ach czyż jedną niewinność na ołtarz zepsuciu  
Poświęćcie, by sobie roskosz przysposobić?  
Cóż piękniejszego mogą djabli robić?

Tylko sumienie poszlijcie swe w zwiady,  
A w piersiach waszych tyle znajdziecie szkarady,  
Ze w nich tyle co w piekle jest djabłom biesiady.

(Przyjmując grzeczne salonowe formy).

Może jestem *à charge*? widząc żeś znużony,  
Nie chcę być *mauvais genre*. Zwiedzałem salony—  
Umiem być grzecznym, *et par consequent*!  
Zegnam cię!—A widzisz, że *tres complaisant*!

(Znika).

(JORDAN w najwyższém wysileniu pada nad brzegiem  
urwiska góry).

CHÓR DUCHÓW.

Do piersi w bólów zawiei  
Trzeba wlać kielich rospaczy

I zamknąć bramę nadziei—  
Wstanie i będzie myślał inaczej!

W myśli jego wlać zwątpienie,  
I w zmysłów wykapać puchu,  
I duchowych mar sklepienie  
W zmysłów uwięzić łańcuchu.

To jeden z ziemskich tytanów  
Duchowe rozdyma żagle.  
Trzeba jego zdusić nagle,  
Aby nie sztychł z szatanów.

#### GHÓR DRUGI.

Przez męczeństwo i ofiary  
Na świętej górze Kalwarji,  
Przez boleści Świętej Marji,  
I przez święte ducha dary,  
I przez łaskę świętą Pana  
U miłosierdzia podwoi,  
Niechaj serca ciężka rana  
W balsamicznym ducha zdroju  
Ciężkie boleści ukoi;  
I niech w duchowym pokoju  
Nad smutków i łez żałobą  
Płynię przeznaczeń swych szlakiem;  
Niechaj zawsze będzie sobą,  
Zawsze niebieskim rodakiem!

#### DUCH KOBIECY.

Jak leciałam, tak i lecę,  
W nieprzejrzaną lecę stronę.  
Na tonącej w łzach powiece  
Niosłam serce zakrwawione!  
I w gonitwach tak bolesnych  
Odgłos jęków w ucho dzwonił,

Z bólów serca i cielesnych  
Umęczoną głowę skłonił!...

O! nie patrzcie! zda się, w łonie  
Niema serca, tylko rana!  
To ból, ach ból siadł na tronie!  
Urząd króla i kapłana  
Spełnia razem w swoim łonie!

O, królewska i kapłańska  
Przenajświęciej zespolona  
Boleść święta—chrześcijańska,  
I krwią świętą namaszczona!

Ach jak z burzy, ach jak z gromów  
Dzionek letni się wylega;  
Jak wszechmocnych sił potęga  
Zlewa w światy pył atomów;

O tak z burzy, tak z boleści  
W mojem sercu, tak jest w wiosnie,  
Cudny dzionek w sercu rośnie!  
Słowik ducha go obwieści!

#### ANIOŁ STRÓŻ.

Straszne przeszłości ciężą nad nią grzechy!  
Ale straszniejsze ciążyły nad światem!  
Lecz z wysokości Syn Boży na ziemię  
Zstąpił, człowieka aby został bratem,  
I tonące ludzkości w ciężkich grzechach plemię  
Z piekielnej wywołał strzechy!  
I wyuczył sił ducha, i wyuczył cudu!  
Trudna nauka!—bezbożni się śmieli—  
Lecz mądrość Boska w czyją pierś się wcieli,  
Pierś zabrzmi słowem, i stanie wśród ludu,  
I cud się stanie: przeniosą się góry,

Rzeki zmieniają koryta, słońca wstaną z chmury.

Słońce ducha pierś rozmroczy,

Ku zbawieniu przejrzą oczy!

Bo wśród grzechów największych, wśród twojego grona,

Więcej jak jeden Noe, przy korabiu cnoty,

Dźwigał arkę, męczeńsko tuląc ją do łona,

I unosił duch braci nad zgbune potopy!

#### PATRON ZIEMI.

Duchy przeczyste wleciały śród kraju,

Choć w piersi kraju jeszcze nędza wielka;

Boskiej przyszłości obwiały kraj tchnieniem—

I z łona ducha rosy spłynęła kropelka!

I kraj, szczęśliwy wróżbą urodzaju,

Roztworzył pierś swą, i uczucia pory

Ku niebieskim żywiącym pokarmom otworzył.

Duch przeszłości zaklęty w sercu braci ożył,

I stanął oczyszczony w sukience pokory.

Bóg zna dzieje każdego kwiatu i robaka —

To Jego dzieci — lecz jego i ludy.

Wśród dziejów ludów, zna przeszłość..... ot taka!.....

Zna grzechów brzemie, zna i męczeństw trudy!

Już błysła zorza w nowém ducha słowie.

Już noc zapada w otchłani bezdennęj —

On leży z męczeństw cierniami na głowie,

Ze snu podźwignąć nie śmie głowy sennęj!

Świt ranka jego nie budzi z pościeli.

Choć śpi długo, sen jeszcze jawę jemu tai,

Gdy pierś jego rozkwitnie, on jawą wystrzeli,

I byt czuciem i myślą i czynem umai!

#### JORDAN. (*przebudzając się*).

Duchu jasności! świętego promienia

Daj myśli mojej, niech rozetłę w łonie;

Użyjcz mym oczom jasnego spojrzenia,  
 Niech wzrok mój w szlaki przyszłości utonie;  
 Niech ma pierś piosnkę odgadnie zbawienia!

Niczegom nie chciał, z dni moich poranku,  
 Ze wszystkich skarbów na życia dziedzinie,  
 Tylko piosenki tej chciałem jedynie,  
 Chciał siem wyuczyć i pisać bez ustanku,  
 I z pieśnią moją zlać życie me w czynie.

Kiedy pierś moja westchnęła ku Bogu,  
 I Bóg mój pierś z BOGIEM na niebiosach  
 Złączył się w myśli o ludzkości losach,  
 O, zbolały okropnie stanąłem na progu  
 Kolebki mojej i chwili dzisiejszej,  
 I drugiej w życiu nie miałem piękniejszej!  
 I poznałem bol piękny na Oliwnej górze!  
 O, i byłem szczęśliwy w boleści torturze!  
 I płakałem z rozkoszą, ach bo mi się zdało,  
 Ze łzy moje, to potop, ze za wszystkich płacze;  
 Że w łzach utopię to życie tułacze,  
 Swoje i braci, które tak spodłało!  
 I wszystkie grzechy w młodości zaraniu  
 Wylęgte w błędzie i w złym wychowaniu,  
 I swoje, i narodu, utopię w głębinie;  
 I że na Araratu duchowe wyżyny  
 Uniosę wszystko, co z Boskiej dziedziny  
 Zostało czyste w łona głębokości  
 I w przeświadczeniu ludzkości sumienia;  
 I gorycz z spożytego drzewa wiadomości  
 Odkwitnie w nowej *odrośli zbawienia*

#### PATRON JORDANA.

Stań przed natury rozległą widownią,  
 Z prószyn ziemskości obmyj duszy oko,

Popatrz bezdennie, w głębiny, wysoko,  
 A weźmiesz duchem natury warownią;  
 Tajnie, jak morze z pod Mojżesza laski,  
 Rozstąpią: bo w twym duchu są BOGA odblaski;  
 Oczyść się tylko, wykąp się w pokorze,  
 Słonecznym blaskiem wystrzelisz w przestworze!

Patrz na ten ruch bez końca, co w natury łonie;  
 Ten bieg i ten niepokój, co nie ma spoczynku  
 Ni w nocy ni we dnie!

Prędzej niż tkacza czółenko  
 Nić widomego żywota  
 Z brzegu przebiega do brzegu,  
 Z życia kolebki do trumny!  
 Lecz bieg jej bezbrzeżny,  
 Ledwo poczęty, ku końcowi bieży,  
 I końca, kresu znaleźć nie może:  
 Bo ów kres i ów koniec,  
 Jest to tylko nowy goniec  
 Nowego końca i kresu, co będzie!

Patrz — wód potoki lecą bez końca do morza;  
 Morza przepęłnić nie mogą;  
 Bo znowu idą skąd przyszły tąż drogą,  
 Idą powrócić do swojego łoża!

Patrzaj — zdroje żyjących na mogiły płyną;  
 Mogił przepęłnić nie mogą.  
 Choć strumień śmierci bieży i bieży,  
 I pędzi w wieczność, nowe życia wpłyną,  
 Znowu wracając do życia wybrzeży!

Słyszysz starca łabędzia przedśmiertne pien słowo.  
 Ach! wszystko próżne! znikome!  
 Pełne boleści i krwawego znoju!—  
 Lecz gdy w młodości znów odżyje zdroju,

Znowu przez życia leci ścieżki strome,  
 Nim znowu z mordowany nie zaśnie na nowo,  
 By powtórzyć przedśmiertne znikomości słowo!

Lecz w tej bezdni przechodu widomego świata,  
 Bez tej osi, na której swoje biegi toczy,  
 Bez tej władzy, co wszystkie sił kręgi jednoczy,  
 Jako słońce dzierżące ster planet swych biegu,  
 Mogłoby bez spoczynku, wytchnienia, noclegu,  
 Wszystko się kręcić w pozorze bezładu,  
 Pośród życia rokoszy, i boleści jadu,  
 I śród ludzkich ziemskich złości,  
 Śród tych urągania i niebu i światu?  
 Mogłoby tak trwać wszystko na łonie ziemskości  
 Bez wielkiej, świętej przystani Sabatu?

Lecz gdzież ta przystań, wypoczynek święty,  
 W widomych światów obszarze?  
 Gdzież tej świątyni ogień i ołtarze,  
 Gdzie mają spocząć stworzenia odmetry?  
 Gdzież on? W świata widomego ruchu,  
 W tym przejściu przejść bez końca, w wiecznym wirze przemian,  
 Niemasz ciszy Sabatu dla ziemi i ziemian?  
 Jest! Bóg w człowieku uświęcił go duchu.

Patrz—o, cała natura zda się na coś czeka.  
 Ziemia swą pierś wydeła, by w wielkim westchnieniu  
 Alpejskich szczytów w niebo się podniosła,  
 Jakby tęsknicą pod niebo urosła!

Ale tylko duch człowieka,  
 Bo swoim Boskim promieniem  
 W łono się BOGA zacieka,  
 W wieczności kapie strumieniu!

Na rozdrożu dwóch światów, widomemu światu  
 W świętej ducha harmonji jest święto Sabatu.



Wszystkie ruchy i waśnie cielesnych odmětów,  
 Rzucone w wiry cielesnej odchłani,  
 Nakształt płynących po morzu okrętów,  
 W ducha głębinach ciszę znajdują przystani!

Na rozdrożu dwóch światów tyś w wieczności kole  
 Elipsą sięgającą i nieba i ziemi  
 U nóg z ziemią zbratany, a bóstwo na czole!  
 Bolesci ziemskie tu słowami czczemi.  
 Czyzy głos dla ducha żałobny głos spiżu.

Mękom cielesnym stoi duch na straży.  
 Człowiek okropnie męczony na krzyżu,  
 Uniósł ducha z uśmiechem pogody na twarzy!

Na cóż On przyjął cielesne cierpienie?  
 On tajemnicy wyuczył ofiary:  
 W poświęceniu się wszystkich jest wszystkich zbawienie,  
 I już nie męczeństw, lecz szczęścia sztandary!

Tak nam przez niego pokazana droga.  
 Chór męczenników musiał ją krwią zrosić.  
 Lecz będzie człowiek podniesion do BOGA!  
 Kto podniesion, ten musi tak innych podnosić.

(Znika).

#### ZŁY DUCH.

*(w postaci kobiety pokazuje się w głębokościach przepaści).*

Przybiorę postać jego kochanki,  
 Słodkimi oczy jemu się przymiłę,  
 Przysięgnę miłość, włożę ślubne wianki,  
 I już się oprzeć nie będzie mi w siłę,  
 Wydrę mu z serca zapomnienie siebie,  
 W samolubnym uczuciu świat cały zagrzebię —  
 W sercu mu pamięć błogich chwil odżyje,  
 Skoczy po miłość, i tak złamię szyję!

*(Wola Jordana, przyjmując naprzemian barwy najponętniejszej Kreolki, potem smutku i rozpaczy).*

Jam tu—jam twoja—iść z tobą gotowa!

JORDAN.

*(obwiany skrzydłem Anioła-Stróża).*

O, w sercu mojem ty już jesteś wdowa!

Po twego serca pogrzebie

Ja nie pójde szukać ciebie,

W przepaściste lecieć tonie.

Czy pierś żarem uczuć spłonie,

Czy czas żary te wystudzi

I śmiech smutny da mi w wianie,

Jeszcze zawsze mi zostanie

Miłość moich bliźnich—ludzi!

Dla niewieścich cnót i wdzięków

Cześć zostanie w sercach prawych;

Lecz miłosnych łez i jęków

Bohaterów tkliwo-łzawych,

Na samobójstw złym kurhanie,

Niechaj, niechaj nie zostanie!

Z młodości jeszcze poranków

Tajnie tych bólów rozdarłem;

Śmierciami wszystkich kochanków

I bolałem i umarłem.

I z Gustawem się zabiłem;

I płakałem tkliwe dziecię;

Z jegom upiorem błąkał się po świecie.

Śmiech świata ogniów nie studził.

Ale go potem gorąco prosiłem,

By się znów nie zabijał i znów się nie budził!

Pył z pistoletów Wertera

Już dla mnie śmierci był hasłem,

Gdy dając dzieciom chleb z masłem,

Ona z nich pyły ociera—  
 I do Hernaniego szyi  
 Przywiązany jak psu dzwonek,  
 Co serdeczniej jady żmii  
 Miał zlać w hańbę lub postronek....  
 Wszystkie, wszystkim przeżył bole,  
 W romantycznej znane szkole!  
 I kochanków wszystkich skonem,  
 Biednej Gretchen boleściami,  
 I Ofelji szaleństwami,  
 Umarłem w bólu szalonym!

    Jaż mam dzisiaj, zmartwychwstały,  
 Przedrzeźniać śmierci mistrzowskie?  
 O, wszystkie te Platonowskie  
 Takie cudne ideały  
 W stokach brudnych Satyrjazy  
 Tak skąpano! i w obrazy  
 Eteryczne ustrojono  
 I na stroje pożyczono  
 Wszystkich tajnic estetycznych!

    Bohaterów romantycznych  
 We krwi żarach rozpalali—  
 I przy serdecznych pochodniach  
 Uświęcali cnotę w zbrodniach!

    Lecz na dzisiaj już zamali  
 Wszystkie owe bohaterzy,  
 Śród świtania nowej ery!

    A zostanie wiara święta,  
 Że nie będzie prawda tajna;  
 Że wszelka miłość przedajna  
 I kłamana jest przekłeta;  
 Że doczeka ludzkość święta,  
 W którym kłamstwo, udawanie,  
 Dla cnót, BOGA, i dla bliźnich,

Umrze raz w piersiach i z nich

Wzrośnie Feniks—Zmartwychwstanie!

*(Postać kobiety przemienia się w widmo, w którym twarz jej jest ułożona w mozaikę różnego gatunku monety; pierś brylantowa, wszystkie członki z różnych drogich kamieni. Jordan kładnie znak krzyża — widmo znika. Jordan klęka i modli się—z mogił prze-  
latuje chór duchów czystych nad głową Jordana).*

1-szy.

Zebrać sobie, stopić trzeba—

W wolnej woli grom się skuj!

I dwa życia ziemi, nieba,

Zlej w harmonji święty strój!

2gi.

Jak niebieski ów posłaniec,

Co dwa życia: ziemi, nieba,

W jeden Boski zlał kaganiec,

I wam wskazał, czem być trzeba—

Czem być trzeba—czem być można!

On się wcielił w wasze ciało,

Przyjął serca bicie wasze,

Przyjął wszystko co bolało;

Za przyjaciół miał Judasze.

Jednak słowo zmienił w ciało,

Boskie słowo w Boski czyn:

Bo prawdziwy Boży Syn!

3ci!

Lecz prawdziwy i wasz brat!

Wszak tak wyrzekł—czyż nic wiecie?

I dla tego przyszedł w świat,

Jak najmniejszy w całym świecie,

By różności ziemskie sprostać,

By najmniejszych bratem zostać!

W stajni, w żłobie ciesli dziecię!  
 Ale w piersi Boże kwiecie  
 Przyniósł z sobą wielki brat,  
 By pokazać jak je chować:  
 Trzeba w piersi pielęgnować—  
 Jakim całym ma być świat!

4ty.

Wy myślicie, że bluźnierstwo  
 Takie z Panem równieństwo?  
 Nędzne pańskie jest żołnierstwo,  
 Gdy w to jego posłannictwo  
 Ani wierzy, ani uczy;  
 Myśl tę zowie pychą, grzechem—  
 O! szatana wtenczas echem,  
 Który ziemskość ich wytuczy,  
 Natchnie chuci szatańskiem.  
 Mierząc czyny jego z swemi,  
 Jakże wierzyć, uczyć mogą,  
 Gdy tak różną idą drogą!

PATRON ZIEMI.

Wielki bracie! duch ludzkości  
 Kornie zgina swe kolana  
 U stóp ducha! Daj kapłana,  
 Co nas ma wieść ku przyszłości!

Wy mówicie: ludzka stopa  
 Krokom pańskim nie podoła:  
 Bo zmyć trudno pychę z czoła,  
 Trudno zostać bratem chłopa.

Próżne chrześcijańskie udawanie.  
 Ja wam powiem—ach! bo muszę,  
 Ze spodłone macie dusze,  
 Tylko słowy chrześcijańskie!

Lepsi jeszcze między wami  
 Dzielą kieskę swą z chłopami,  
 Pamiętają o ich brzuchu,  
 Jak psu rzucą kawał chleba.  
 Lecz tak z braćmiż żyć potrzeba?  
 Trza się z niemi dzielić w duchu!

Bo prawdziwa w tém ofiara,  
 I dwa cele: nieba, ziemi.  
 Tak będziecie szczęśliwemi,  
 Albo i tam i tu kara!

C H Ó R.

Śpieszcie, śpieszcie do ofiary!  
 Lub panować będą kary!

ANIOŁ-STRÓŻ JORDANA.

Gdy tve wszystkie święte chęci  
 Całą twoją pierś owioną,  
 Będą w sercu i pamięci  
 Twoim pługiem, twoją broną,  
 Życia ziarnem, bytu rdzenia,  
 I rozkoszą twą, i kaźnią,  
 Twoją jawą, wyobraźnią,  
 I w snach twoich się rozplenią,  
 I rozwiną się w marzeniach,  
 I rozkwitną w uniesieniach,  
 I w rozwadze twój dojrzeją,  
 I staną się twą nadzieją,  
 Twą światłością, która - wpłynie  
 W wszystkie gwiazdy twego łona—  
 Na takiej wejdą dziedzinie  
 Chęci, jak ziarna Jasona!  
 I gdy zgodny akord bytu,  
 Bolów, ofiar i zachwytu,

Zlejesz w jeden śpiew choralny  
 Uświęconej tak idei—  
 Tak w niej świętą ujrzysz czystość—  
 Wyjdiesz z piekieł — tryumfalny!  
 Wejdiesz w Boży dom—nadziei:  
 Co się zlewa w rzeczywistość!

PATRON ZIEMI.

Lecz żądz waszych przeskok prędkości:  
 To zapalem pjaną zmiennym,  
 To złudzeniem niby sennym.  
 To nie *chęci* ale *chętki*!  
 Niezamknięte w woli karby,  
 Niewcielone w życia rdzenie;  
 I strwonione wszystkie skarby—  
 Życie wasze, to *marzenie*!

I tak w sennych mar przegonie,  
 Co w widziadeł szkle rozbitym,  
 Mózg w widzeniu chorowitem  
 Wasze senne obwiął skronie.

Wyście senni, choć czuwacie,  
 I beczynni, choć ruchawie:  
 Lecz was nie ruch, lecz czyn zbawi,  
 Czyn w duchowej odzian szacie.

DUCH LUDZKOŚCI.

Kto co zechce zdziałać może,  
 Ten jest *wielki*! bo rozmierzył  
 Chęci swoje z siłą w chórze,  
 I dokonał, w co uwierzył!

Wielki, tworzy to, co zechce;  
 Lecz gdy duma go rozłechce,  
 Wzgardzi cnoty on ołtarzem,  
 Będzie wielkim—lecz zbrodniarzem!

*Mądrym jest, kto tylko tyle  
Chce, co zdziałać w jego sile.*

Lecz i wielkim, mądrym razem,  
Jest, kto chce, *jak chceć powinien;*  
Z siłą męstwa i obrazem,  
Niebu, ziemi, da co winien!

Człeku! wielka twa potęga,  
Gdy się władza twego ducha  
W gromy wolnej woli sprzęga!  
I gdy święcie jej usłucha,  
Jak cud słucha Bożej ręki,  
Jako światło słucha słońca;  
Gdy tak ziemskie duch odtrąca,  
Jak noc strąca blask jutrzeńki!

Gdy pierś *taką* zagrzmie wołą,  
Gdy się chęci *tak* zespolą—  
Ja chcę!—powiesz ty do siebie,  
A BÓG—stań się!—powie w niebie!

Bo głos Boga i głos ludu  
Zlewają się w jedno brzmienie,  
Lecz ma Boskie być twe chcenie,  
Kiedy pragniesz doznać cudu!—

Gdyby nas nie wstrzymało poszanowanie własności literackiej, z serdeczną skwapliwością umieścilibyśmy przedruk całego *Jordana*, bo jest zbiorem myśli z silnego przekonania, z najcnotliwszego uczucia wysnutych,—bo jest wyrazem tej prawdy, od której zależy nasze zbawienie na ziemi i w niebie.

*Au: Wi:*

ch. fl.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



159 ..... J. B. Grickonskiego  
 167 ..... Tak się dzieje, przez Paulinę z W. Włódką  
 179 ..... 0 przegłosowanych do druku przez Jan. Włódkę  
 209 ..... 210 .....  
 230 .....  
 243 .....  
 247 .....  
 252 .....  
 289 .....

**SPIS RZECZY**

**W TOMIE IIgim ZAWARTYCH.**



	<i>stron.</i>
<i>Układ rzeczy ziemskich, zastosowany do potrzeb powszechnych, przez profesora Jastrzębowskię</i>	1
<i>Kilka scen z Burgrafów V. Hugo, przekład A. Kozieniowskię</i>	27
<i>Uwagi nad pochwałą poematu «Dzieciątko Jezus ks. Hołowińskiego» umieszczoną przez J. I. Kraszewskię w poszycie Bibl. Warsz. za miesiąc lipiec 1846 r.—napisał Józef Bogdan Dziekoński</i>	67
<i>Pierwsza prelekcja historii cywilizacji francuskiej Guizota p. R. L.</i>	89
<i>Pan Pasożycki, redaktor in spe, przez Wł. Wolskię</i>	107
<i>O malarstwie w Polsce przez Wincentę Smokowskię</i>	123

<i>Spekulant, powieść Józefa Korzeniowskiego</i> przez J. B. Dziekońskiego.....	159
<i>Tak się dzieje</i> , przez Paulinę z L. Wilkońską.....	167
<i>Życie umysłowe w Czechach (przegląd z pierwszego półrocza 1846 r.)</i> przez Piotra Dubrowskiego	199
<i>O przygotowanych do druku pracach Jana Major- kiewicza</i> przez Aug. Wilkońskiego.....	209
<i>Zdarzenie z roku 182*** ramotka</i> przez Au: Wi:	219
<i>Pamiętniki nieznanego, I. J. Kraszewskiego</i> przez J. B. Dziekońskiego.....	230
<i>Poezje W. Dłużniewskiego</i> p. Au: Wi:.....	243
<i>Kilka uwag o użyciu wyrazów: Sprawiedliwość i odwet w prawie karném</i> , napisał Karol Bach- mann Dr. O. P.....	247
<i>Helena, szkic do romansu</i> napisał Au: Wi:.....	252
<i>Zygmuntowskie czasy,—powieść z roku 1572 I. J. Kraszewskiego</i> , przez Z. W. I.....	289
<i>Łużyccy Serbowie i ich pieśni</i> , przez Piotra Du- browskiego.....	300
<i>Kataleptyk, powieść nieboszczyka Pantofla</i> przez J. B. Dziekońskiego.....	325
<i>Cecylia Renata Austriaczka, Władysław IV. pierw- sza małżonka</i> , napisał Wojciech Dobiecki.....	331
<i>Kilka słów o komedjach Shakespeara</i> przez K. B.	366
<i>Jordan, fantazja dramatyczna, Antoniego Sowy</i> , przez Au: Wi:.....	390









N. P. E.

548

1946